

Clark Mary Higgins

Nie trać nadziei



calibre 0.9.43

MARY HIGGINS CLARK

NIE TRAC NADZIEI

(Przełożyła: Agnieszka Barbara Ciepłowska)

Prószyński i S-ka

2003

Raz jeszcze

Dla najbliższego mi i najukochańszego człowieka, Johna Conheeneya - mojego wspaniałego męża;

oraz

dzieci z rodziny Clarków: Marilyn, Warrena i Sharon, Davida, Carol i Pat;

wnuków z rodziny Clarków: Liz, Andrew, Courtney, Davida, Justina i Jerry'ego;

dzieci z rodziny Conheeneyów: Johna i Debby, Barbary, Trish, Nancy i Davida;

wnuków z rodziny Conheeneyów:

Roberta, Ashleya, Lauren, Megan, Davida, Kelly, Courtney, Johnny'ego, Thomasa i Liama.

Jesteście fantastyczni i wszystkich was ogromnie kocham.

Podziękowania

Koniec pisania książki to czas na wyrażanie wdzięczności ludziom, którzy razem ze mną odbyli tę podróż.

Jestem nieskończenie wdzięczna mojemu długoletniemu wydawcy, Michaelowi Kordzie.

Trudno uwierzyć, że minęło dwadzieścia osiem lat, odkąd dane nam było się poznać przy okazji

„Where Are the Children?”. Każda praca z nim to prawdziwa przyjemność, podobnie jak od dwunastu lat z jego współnikiem, Chuckiem Adamsem. Zawsze byli mi cudownymi przyjaciółmi i doradcami.

Specjalistka od reklamy, Lisi Cade, moja prawa ręka w tych sprawach, dodaje mi odwagi, jest spostrzegawcza, zawsze pomocna na tyle sposobów, że nie sposób je wymienić. Kocham cię, Lisl.

Wdzięczna jestem także swoim agentom: Eugene'owi Winickowi oraz Samowi Pinkusowi.

Prawdziwi z nich przyjaciele, niezależnie od okoliczności.

Zastępca kierownika redakcji, Gypsy da Silva, raz jeszcze zadziwiła mnie cudowną skrupulatnością. Wielkie dzięki i wyrazy wdzięczności na zawsze.

Dziękuję także jej współpracownikom, do których należą: Rose Ann Ferrick, Barbara Raynor, Stefe Friedeman, Joshua Cohen i Anthony Newfield.

Zawsze będę serdecznie wdzięczna moim pomocnicom i przyjaciółkom: Agnes Newton i Nadine Petry oraz pierwszej czytelniczce książki, mojej bratowej, Irene Clark.

Zawsze też będę ogromnie sobie ceniła opinię córki, a jednocześnie także pisarki, Carol Higgins Clark. Razem przeżywamy wszelkie wzloty i upadki weny. Wzloty zaczynają się zwykle wraz z ukończeniem książki.

Jestem też ogromnie wdzięczna Carlene McDevitt, mojemu ekspertowi w kwestiach związanych z testowaniem nowych leków, która cierpliwie przeprowadziła mnie przez wszelkie wątpliwości, zaczynające się zwykle od słów: „Założmy, że..., A gdyby tak...?”. Jeżeli jakieś szczegóły są inne, niż być powinny, cała wina leży po mojej stronie.

Zamykam podziękowaniami dla mojego męża, Johna, i naszych cudownych rodzin - dzieci oraz wnuków, które wymieniam w dedykacji.

A teraz, drodzy czytelnicy, możecie przystąpić do lektury. Oby ta książka wam się spodobała.

Owo pamiętne spotkanie akcjonariuszy - choć lepszym zwrotem na określenie tego wydarzenia byłoby raczej „pospolite ruszenie” - odbyło się dwudziestego pierwszego kwietnia w Grand Hyatt Hotel na Manhattanie. Dzień był zaskakująco zimny i wietrzny, a jednocześnie ponury - stosownie do okoliczności. Wiadomość, która dwa tygodnie wcześniej ukazała się na pierwszych stronach wszystkich tytułów prasowych, została powitana z prawdziwym, wyjątkowo szczerym żalem. Oto bowiem Nicholas Spencer, prezes i główny zarządzający spółki Gen-stone, rozbił się swoim prywatnym samolotem w drodze do San Juan. Jego firma była o krok od otrzymania błogosławieństwa Instytutu Żywności i Leków dla szczepionki, mającej z jednej strony eliminować możliwość rozrostu komórek nowotworowych, a z drugiej - zatrzymywać postęp choroby u osób już dotkniętych jej przekleństwem. Nowy środek miał zapobiegać i leczyć, a Nicholas Spencer był jedynym człowiekiem odpowiedzialnym za jego powstanie. Nazwał swoją firmę „Gen-stone”, nawiązując do kamienia z Rosetty, który umożliwił rozszyfrowanie języka starożytnych Egipcjan i pozwolił na zrozumienie godnej podziwu kultury tego narodu.

Alarmujące nagłówki informujące o zniknięciu Spencera bardzo szybko ustąpiły miejsca sensacyjnemu i zaskakującemu oświadczeniu prezesa zarządu Gen-stone. Oznajmił, że nastąpiły równie niespodziewane jak liczne niepowodzenia w eksperymentach sprawdzających skuteczność szczepionki, w związku z czym nie zostanie ona w najbliższej przyszłości przedstawiona do akceptacji Instytutu Żywności i Leków. Oświadczył także, iż z konta spółki zniknęły dziesiątki milionów dolarów, najwyraźniej zdefraudowanych przez Nicholasa Spencera.

Nazywam się Marcia DeCarlo, ale jestem lepiej znana jako Carley. Nawet teraz, siedząc w odgradzonym linami sektorze dla mediów na zebraniu akcjonariuszy i obserwując wściekłe, zdumione oraz zrozpaczone twarze dookoła, nadal nie potrafię uwierzyć w to, co usłyszałam. Bo z tego, co powiedziano, wynika, że Nicholas Spencer, dla wielu: Nick, to oszust i złodziej. Cudowna

szczepionka była tylko owocem jego wybujałej wyobraźni, chciwości oraz sprytnym chwytem reklamowym. Nicholas Spencer oszukał ludzi, którzy zainwestowali w jego firmę - często oszczędności całego życia albo rodzinne majątki. Oczywiście robili to, mając nadzieję na znaczny wzrost wartości akcji, ale wielu z nich podjęło ryzyko, wierząc, że ich pieniądze pomogą w wynalezieniu cudownego leku. Nie tylko inwestorzy ponieśli straty z powodu upadku firmy; wraz z bankructwem Gen-stone także fundusze emerytalne pracowników spółki - ponad tysiąc osób - straciły jakąkolwiek wartość.

Wszystko to wydawało się po prostu niemożliwe.

Ponieważ ciała Nicholasa Spencera nie odnaleziono, połowa zebranych w audytorium nie uwierzyła w jego śmierć. Druga połowa zaś najchętniej wbiłaby mu w serce drewniany kołek - gdyby tylko znaleziono jego zwłoki.

Prezes zarządu Gen-stone, Charles Wallingford, miał twarz barwy popiołu, ale z wrodzoną elegancją, zyskaną dzięki odpowiednim mariażom wielu pokoleń, usiłował zaprowadzić jaki taki porządek. Pozostali członkowie zarządu, z posępnymi minami, siedzieli razem z nim w pierwszym rzędzie na podium. Dla szarego zjadacza chleba byli oni prominentnymi figurami w biznesie i społeczeństwie.

W drugim rzędzie znaleźli się ludzie, których rozpoznałam jako członków zarządu firmy prowadzącej księgowość Gen-stone. Niektórzy udzielali czasami wywiadów dla „Weekly Browser”, niedzielnego dodatku, do którego pisywałam w kolumnie finansowej.

Na prawo od Wallingforda siedziała kobieta ubrana w czarny kostium, z pewnością kosztujący fortunę. Twarz miała alabastrowo białą, włosy kunsztownie upięte w kok. Lynn Hamilton Spencer. Żona Nicka. A może raczej: wdowa po nim. Jednocześnie, całkiem przypadkiem, moja przybrana siostra, którą spotkałam dokładnie trzy razy w życiu. Muszę przyznać, że jej nie lubię. Zaraz to wyjaśnię. Dwa lata temu moja owdowiała matka wyszła za mąż

za owdowiałego ojca Lynn. Poznała go w Boca Raton, gdzie mieszkali w sąsiednich domach.

Podczas kolacji, dzień przed ślubem naszych rodziców, Lynn Spencer rozżłościła mnie protekcjonalnym założeniem, iż naturalnie jestem oczarowana jej mężem. Owszem, wiedziałam, kto to taki Nicholas Spencer – „Time” i „Newsweek” pisały o nim bez przerwy. Pochodził z Connecticut, był synem lekarza rodzinnego, którego hobby stanowiły badania z dziedziny mikrobiologii. Doktor Spencer urządził w domu laboratorium, a Nick od dziecięcych lat spędzał tam większość wolnego czasu, pomagając ojcu w eksperymentach.

- Dzieci miewają ukochane pieski czy kotki - opowiadał dziennikarzom - a ja miałem białe myszki. Wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem, ale od najmłodszych lat pobierałem nauki u geniusza mikrobiologii.

W swoim czasie zajął się interesami, zrobił MBA* [Master of Business Administration - tytuł uzyskiwany po ukończeniu studium podyplomowego z dziedziny administracji i zarządzania przedsiębiorstwem.] z zarządzania, przedstawiając plan działania firmy realizującej dostawę dla podmiotów medycznych. Rozpoczął pracę w niewielkiej firmie dostawczej, szybko doszedł na szczyt i został współwłaścicielem. Potem, gdy mikrobiologia okazała się dziedziną przyszłości, wszedł na drogę, którą chciał podążać. Zaczął studiować notatki ojca i odkrył, że ten, niedługo przed nagłą śmiercią, znalazł się o krok od epokowego odkrycia w dziedzinie walki z nowotworami. Tak więc w ramach swej medycznej firmy dostawczej Nick stworzył dział badań. Udział kapitałowy pozwolił mu założyć Gen-stone, a wiadomość o szczepionce przeciw rakowi sprawiła, że spółka zyskała na Wall Street wyjątkowo wysokie notowania. Początkowo akcje sprzedawano zaledwie po trzy dolary za sztukę, wkrótce jednak ich wartość wzrosła do stu sześćdziesięciu, a po warunkowym poparciu Instytutu Żywności i Leków firma Garner Pharmaceuticals zaoferowała miliard dolarów za prawa do dystrybucji nowego leku.

Wiedziałam też, że Nick Spencer pięć lat temu stracił żonę, która zmarła na raka, że miał

dziesięcioletniego syna i że ożenił się z Lynn przed czterema laty. Żadna z tych wiadomości w niczym mi nie pomogła, kiedy go spotkałam na owej „rodzinnej” kolacji. Najzwyczajniej w świecie nie byłam przygotowana na zetknięcie się z tak charyzmatyczną osobowością jak Nick Spencer. Był jednym z tych ludzi, którzy zostali obdarzeni zarówno wdziękiem osobistym, jak i błyskotliwym umysłem. Miał nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemnoblonde włosy, intensywnie niebieskie oczy i wysportowaną sylwetkę. Był wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. A największą jego zaletę stanowiła umiejętność nawiązywania kontaktu z każdym spotkanym człowiekiem. Podczas gdy moja mama jakimś cudem podtrzymywała niezobowiązującą rozmowę z Lynn, ja opowiedziałam Nickowi o sobie znacznie więcej niż komukolwiek innemu przy pierwszym spotkaniu. Nie minęło pięć minut, a już wiedział, ile mam lat, gdzie mieszkam, gdzie pracuję i gdzie dorastałam.

- Trzydzieści cztery - powtórzył z uśmiechem. - Jestem osiem lat starszy.

Tak to się zaczęło. A potem nie tylko opowiedziałam mu o szybkim rozwodzie ze studentem z tego samego roku na nowojorskim uniwersytecie, ale także o dziecku, które żyło zaledwie kilka dni, ponieważ miało w sercu dziurę zbyt wielką, żeby można ją było zamknąć ludzkimi siłami. Nie poznawałam samej siebie. Nigdy nikomu nie mówię o zmarłym synku. Za bardzo mnie boli to wspomnienie. Tymczasem Nicholasowi Spencerowi opowiedziałam o nim bez żadnych zahamowań.

- Chcemy zapobiegać takim właśnie tragediom - powiedział cicho. - Poruszę niebo i ziemię, żeby uchronić ludzi przed cierpieniem.

Nagle wróciłam do rzeczywistości. Charles Wallingford zaczął stukać młotkiem w podkładkę i walił dotąd, aż nastąpiła cisza. Cisza ponura, nabrzmiała gniewem.

- Nazywam się Charles Wallingford, jestem prezesem zarządu Gen-stone - oznajmił.

Powitała go ogłuszająca kakofonia gwizdów i pohukiwań.

Wiedziałałam, że Wallingford ma czterdzieści dziewięć lat, widziałam go w telewizyjnych wiadomościach dzień po katastrofie samolotu Spencera. Teraz wyglądał znacznie starzej. Napięcie ostatnich tygodni dodało mu kilka lat. Nie sposób było wątpić, że ten człowiek cierpi.

- Pracowałem z Nicholasem Spencerem osiem lat - powiedział. - Przed ośmiu laty sprzedałem rodzinny interes i rozglądałem się za okazją zainwestowania w jakąś obiecującą firmę. Poznałem Nicka Spencera. Przekonał mnie, że spółka, którą właśnie założył, dokona prawdziwego przełomu w dziedzinie nowych leków. Za jego namową zainwestowałem w nią prawie wszystkie pieniądze i przyłączyłem się do Gen-stone. Tak samo jak wy zostałem wielce poszkodowany finansowo, ponieważ szczepionka nie jest gotowa do przedstawienia do akceptacji w Instytucie Żywności i Leków, ale to jeszcze nie oznacza, że dalsze badania nie rozwiążą problemu, jeżeli tylko zdobędziemy niezbędne fundusze...

Przerwały mu padające ze wszystkich stron pytania:

- Co z pieniędzmi, które ukradł?
- Przyznaj się pan, żeście nas wszystkich wykantowali!

Nagle Lynn wstała ze swojego miejsca i gwałtownym gestem zabrała Wallingfordowi mikrofon.

- Mój mąż umarł w drodze na spotkanie, gdzie miał zabiegać o fundusze niezbędne do prowadzenia dalszych badań. Kwestie finansowe na pewno dadzą się wytłumaczyć...

Jakiś mężczyzna z bocznego sektora ruszył biegiem w kierunku podium, wymachując papierami, które wyglądały na strony wyrwane z czasopism.

- „Spencerowie w swoim majątku w Bedford”! - wołał. - „Spencerowie wspierają bal dobroczynny”! „Uśmiechnięty Nicholas Spencer podpisuje czek dla biedoty Nowego Jorku”! - Kiedy dotarł do podwyższenia, strażnik chwycił go za ramię. - Jak pani sądzi, skąd brał na to wszystko pieniądze? Ja pani powiem. Z naszych kieszeni! Zaciągnąłem hipotekę na dom, żeby

zainwestować w waszą parszywą spółkę. Chce pani wiedzieć dlaczego? Bo moje dziecko ma raka, bo uwierzyłem w to, co pani mąż mówił o szczepionce!

Sektor mediów znajdował się w pierwszych kilku rzędach. Ja siedziałam na samym brzegu, mogłam dotknąć tego człowieka. Krzepki trzydziestolatek w dżinsach i swetrze. Twarz mu się nagle wykrzywiła, z oczu popłynęły łzy.

- Teraz moja córeczka już nawet nie doczeka końca swoich dni we własnym domu - powiedział. - Będę musiał go sprzedać.

Podniosłam wzrok na Lynn, nasze spojrzenia się spotkały. Na pewno nie dostrzegła pogardy w moich oczach, a ja myślałam tylko o tym, że diament na jej palcu wystarczyłby prawdopodobnie na spłacenie hipoteki, która pozbawi umierające dziecko dachu nad głową.

* * *

Spotkanie trwało najwyżej czterdzieści minut. Większą jego część zajęły dramatyczne skargi ludzi, którzy po upadku Gen-stone stracili wszystko. Wielu z nich mówiło, że zdecydowali się na kupno akcji, ponieważ mieli nadzieję przyczynić się w ten sposób do szybszego wynalezienia szczepionki, która pomoże ich choremu na raka dziecku czy innemu członkowi rodziny.

Gdy kolejne osoby opowiadały o sobie, notowałam nazwiska, adresy i numery telefonów.

Dzięki temu, że pisałam do prasy, wielu z nich znało moje nazwisko i bez oporów rozmawiało ze mną o bolesnej stracie finansowej. Pytali, czy moim zdaniem istnieje szansa na odzyskanie choćby części zainwestowanych pieniędzy.

Lynn wyszła bocznymi drzwiami. I dobrze. Po katastrofie samolotu Nicka napisałam do niej kilka słów o tym, że chciałabym wziąć udział w ceremonii żałobnej. Jeszcze się nie odbyła, nadal czekano na odnalezienie ciała. A teraz, podobnie jak prawie wszyscy w tej sali, zastanawiałam się, czy Nick rzeczywiście był na pokładzie samolotu, czy też może raczej sfingował własną śmierć.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Sam Michaelson, zasłużony reporter tygodnika „Wall Street

Weekly”.

- Chodź, Carley, postawię ci drinka - zaproponował.

- Przyda mi się.

Zeszliśmy do baru na parterze i zostaliśmy zaprowadzeni do stolika. Minęło wpół do piątej.

- Przestrzegam żelaznej zasady, żeby nie pić wódki przed piątą - poinformował mnie Sam -

należy jednak pamiętać, że gdzieś na świecie piąta już minęła.

Ja poprosiłam o kieliszek chianti. Zwykle pod koniec kwietnia przechodziłam na

chardonnay, wino, które pasowało do cieplejszej pogody, ale po spotkaniu akcjonariuszy byłam tak

emocjonalnie zlodowaciała, że musiałam się rozgrzać.

Sam złożył zamówienie.

- A ty jak sądzisz - spytał niespodziewanie - czy ten drań wygrzewa się właśnie w

brazylijskim słońcu?

Udzieliłam mu jedynej szczerej odpowiedzi, na jaką było mnie stać:

- Nie wiem.

- Spotkałem kiedyś Spencera - podjął Sam. - I mówię ci, gdyby mi zaoferował kupno mostu

Brooklińskiego, na pewno bym na to poszedł. Diabłu by sprzedał święconą wodę. A ty go poznałaś?

Dłuższą chwilę zastanawiałam się, co powinnam mu powiedzieć. Nigdy się nie afiszowałam

z tym, że Lynn Hamilton Spencer jest moją przyszywaną siostrą, a co za tym idzie, Nick Spencer

także był w sensie prawnym moją rodziną. Z drugiej strony, ten właśnie fakt powstrzymywał mnie

od wygłaszania, zarówno publicznie, jak i prywatnie, jakichkolwiek komentarzy na temat Gen-

stone, ponieważ miałam poczucie, że może tu zajść konflikt interesów. Niestety, nie powstrzymało

mnie to od kupienia akcji spółki wartych dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, ponieważ tamtego

wieczora przy kolacji Nicholas Spencer wspomniał, że po szczepionce eliminującej

prawdopodobieństwo zachorowania na raka może się pojawić następna, przeciwdziałająca różnym

nieprawidłowościom genetycznym.

Moje dziecko zostało ochrzczone w dniu narodzin. Dałam mu na imię Patrick, po ojcu mojej matki. Kupiłam akcje Gen-stone niejako dla uczczenia pamięci synka. Tamtego wieczora, dwa lata temu, Nick powiedział, że im więcej pieniędzy zbiorą, tym szybciej zakończą testy i tym wcześniej szczepionka będzie dostępna dla chorych.

- No, a przy okazji twoje dwadzieścia pięć tysięcy stanie się warte znacznie więcej - dodał.

To były pieniądze na przedpłatę na mieszkanie.

Spojrzałam na Sama i uśmiechnęłam się, nadal rozważając odpowiedź. Zaczynał siwieć.

Próżność kazała mu zaczesywać długie pasma włosów na łysiejący czubek czaszki. Zauważyłam już jakiś czas temu, że często rozsuwały się niedyskretnie na boki, ale jako stara przyjaciółka ugryzłam się w język i nie powiedziałam: „Czas się poddać. Przegrałeś batalię o włosy”.

Sam dobiegał siedemdziesiątki, mimo to jego niemowlęco błękitne oczy nadal spoglądały bystro. Miał twarz naiwnego wesołka, ale w jego wypadku pozory myliły. W rzeczywistości był mądry i przebiegły. Zdałam sobie sprawę, że nie byłabym w porządku, gdybym mu nie powiedziała o moich wiotkich powiązaniach ze Spencerami, choć powinnam też jasno podkreślić, że Nicka spotkałam raz w życiu, a Lynn raptem trzy.

Kiedy o tym mówiłam, jego brwi wędrowały coraz wyżej.

- Jakie wrażenie zrobił na tobie Spencer?

- Też kupiłabym od niego most Brookliński. Uważałam go za fantastycznego faceta.

- Co myślisz teraz?

- Pytasz, czy jest martwy, czy raczej zaaranżował katastrofę samolotu, żeby zniknąć? Nie wiem.

- A co sądzisz o jego żonie, twojej przyszywanej siostrze?

Na pewno niemiłosiernie się wykrzywiłam.

- Sam, moja mama albo jest absolutnie szczęśliwa z jej ojcem, albo powinna dostać Oscara za najlepszą rolę pierwszoplanową. Wyobraź sobie, nawet lekcje gry na fortepianie biorą w duecie. Żałuj, że nie słyszałeś koncertu, którego musiałam wysłuchać, kiedy spędziłam weekend w Boca w zeszłym miesiącu. Przyznaję się od razu, że nie lubię Lynn. Podejrzewam, że codziennie rano całuje z uwielbieniem własne odbicie w lustrze. Ale z drugiej strony tak naprawdę wcale jej nie znam. Widziałam ją na kolacji dzień przed ślubem mamy, potem na ślubie i jeszcze raz, kiedy przyjechałam do Boca w zeszłym roku. Ona akurat stamtąd wyjeżdżała. Wyświadczyć mi przysługę i nie nazywaj jej moją siostrą.

- Zrobione.

Kelnerka przyniosła nam drinki. Sam wychylił swój trunek z prawdziwą przyjemnością i odchrząknął.

- Carley, słyszałem, że ubiegasz się o zatrudnienie w naszej redakcji.

- Zgadza się.

- Co ci się stało?

- Chcę pracować w poważnym czasopiśmie finansowym, a nie tylko prowadzić kącik w dodatku niedzielnym, gdzie wiadomości finansowe są wypełnieniem wśród innych informacji. Zamierzam pisać do „Wall Street Weekly”. Taki sobie postawiłam cel. Skąd wiesz, że złożyłam podanie?

- Pytał o ciebie sam wielki szef, Will Kirby.

- Co mu powiedziałaś?

- Że masz głowę na karku i będziesz ogromnym krokiem naprzód w porównaniu z facetem, który odchodzi.

Pół godziny później Sam wysadził mnie przed domem. Mieszkam na pierwszym piętrze budynku z czerwonego piaskowca przy Wschodniej Trzydziestej Siódmej na Manhattanie.

Zignorowałam windę, która w pełni zasługuje na to, by ją ignorować, i skorzystałam ze schodów. Z prawdziwą ulgą otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Byłam w prawdziwie pieskim humorze i miałam po temu konkretne powody. Sytuacja finansowa inwestorów zrobiła na mnie przygnębiające wrażenie, lecz na tym nie koniec sprawy. Wielu z nich zdecydowało się na zakup akcji z tych samych powodów co ja: ponieważ chcieli przyczynić się do zatrzymania rozwoju choroby u jakiejś ukochanej osoby. W mojej sytuacji było już na to za późno, ale wiedziałam, że kupując te akcje niejako ku pamięci Patricka, na swój sposób próbowałam zaleczyć dziurę we własnym sercu, pewnie znacznie większą niż ta, wskutek której zmarł mój synek.

Umeblowanie dostałam z Ridgewood w New Jersey, gdzie mieszkałam z rodzicami.

Ponieważ jestem jedynaczką, po ich przeprowadzce do Boca Raton mogłam w dobrach materialnych przebierać jak w ulęgalkach. Zmieniłam obicie kanapy na ciemnoniebieskie, żeby pasowała do perskiego dywanu, który kupiłam na jakiejś wyprzedaży garażowej. Stoliki, lampy i fotel bujany pamiętałam z czasów, gdy byłam najmniejszą, ale najszybszą zawodniczką w uniwersyteckiej drużynie koszykówki w akademii pod wezwaniem Niepokalanego Serca. Na ścianie w mojej sypialni wisi fotografia drużyny. Piłkę do kosza też mam w sypialni.

Patrzę czasem na to zdjęcie i widzę, że pod wieloma względami jestem taka sama jak wtedy. Mam takie same krótkie włosy i te same, odziedziczone po ojcu, niebieskie oczy. Nigdy się nie wyciągnęłam w górę, choć matka twierdziła, że z pewnością kiedyś urosnę. Miałam wtedy jakieś metr sześćdziesiąt i tak już zostało. Niestety, zgubiłam gdzieś zwycięski uśmiech, w każdym razie nie bywa on już taki jak na zdjęciu zrobionym w czasach, gdy sądziłam, że świat stoi przede mną otworem. Może to efekt pisywania do kącika porad w dodatku niedzielny. Stale mam styczność z prawdziwymi ludźmi, obarczonymi jak najbardziej rzeczywistymi problemami finansowymi.

Była też jeszcze jedna przyczyna, która powodowała, że czułam się tego dnia wyjątkowo byle jak.

Nick. Nicholas Spencer. Niezależnie od tego, jak przekonujące wydawały się wszelkie dowody, zwyczajnie nie mogłam uwierzyć w to, co o nim usłyszałam.

Czy istniało inne wytłumaczenie niepowodzenia szczepionki, zniknięcia pieniędzy, katastrofy lotniczej? Czy też to ja miałam jakąś szczególną skazę, przez którą stawałam się podatna na sugestie złotoustych samolubnych oszustów? Takich jak Greg, Szanowny Pan Wielki Błąd, za którego wyszłam prawie jedenaście lat temu?

Gdy zmarł Patrick, zaledwie po czterech dniach życia, Greg nie musiał mi mówić, że kamień spadł mu z serca. Sama widziałam. Nie miał najmniejszej ochoty dźwigać na barkach brzemienia w postaci dziecka, które wymaga stałej opieki.

Właściwie nawet o tym nie rozmawialiśmy. Nie było o czym. On powiedział, że dostał świetną ofertę pracy w Kalifornii i nie może zmarnować tej szansy.

- Nie będę cię zatrzymywać - odrzekłam.

I tyle.

Wspomnienia wcale nie poprawiły mi humoru, poszłam więc wcześniej do łóżka, zdecydowana przespać to wszystko i jutro wstać ze świeżą głową.

O siódmej rano obudził mnie telefon Sama.

- Carley, włącz telewizor. Nadają wiadomości. Lynn Spencer nocowała w Bedford, ktoś podpalił jej dom. Pożar udało się ugasić, ale nałykała się sporo dymu. Jest w szpitalu Świętej Anny, stan poważny.

Jak tylko odłożył słuchawkę, chwyciłam pilota leżącego na nocnym stoliku. Właśnie włączyłam telewizor, gdy telefon zadzwonił ponownie. Szpital Świętej Anny.

- Pani DeCarlo? Pani siostra, Lynn Spencer, jest naszą pacjentką. Bardzo chce się z panią zobaczyć. Czy będzie pani mogła przyjść dzisiaj? - Ton żeńskiego głosu zmienił się odrobinę, teraz nalegał. - Jest obolała i w wyjątkowo złym stanie psychicznym. Ogromnie nam zależy na pani

odwiedzinach.

Podczas czterdziestominutowej drogi do szpitala Świętej Anny słuchałam stacji CBS, żeby wyłapać wszelkie nowe wiadomości o podpaleniu. Według reporterów Lynn Spencer zjawiała się w Bedford około jedenastej wieczorem. Małżeństwo służących, Manuel i Rosa Gomez mieszkający w osobnym budynku na terenie posiadłości, najwyraźniej nie spodziewało się przyjazdu właścicielki. Nic nie wiedzieli o jej powrocie do domu.

Dlaczego Lynn zdecydowała się przenocować w Bedford?

Zaryzykowałam i skręciłam w autostradę Cross Bronx, najszybszą drogę ze wschodniego Manhattanu do Westchester County, jeśli tylko nie dojdzie do jakiegoś wypadku, który spowoduje korek. Rzecz w tym, że zwykle zdarza się tu jakiś wypadek, przez co Cross Bronx zyskała sobie sławę najgorszej trasy w kraju.

Nowojorskie mieszkanie Spencerów mieści się Przy Piątej Alei, w pobliżu domu, w którym mieszkała Jackie Kennedy. Wyobraziłam sobie apartament o powierzchni trzystu metrów kwadratowych, a zaraz potem pomyślałam o straconych dwudziestu pięciu tysiącach dolarów - przeznaczonych na przedpłatę na moje mieszkanie. Myślałam też o mężczyźnie, który wczoraj na zebraniu mówił o umierającym dziecku i który straci dom, ponieważ zainwestował w Gen-stone. Zastanawiałam się, czy Lynn, wracając wczoraj do swojego luksusowego mieszkania, miała choć śladowe poczucie winy. Ciekawa też byłam, o czym chce ze mną rozmawiać.

Kwiecień zaczął wreszcie wyglądać jak kwiecień. Kiedy rano szłam po samochód do garażu oddalonego o trzy przecznice, wyczułam w powietrzu radość życia. Na cudownie błękitnym niebie lśniło słońce, a sielskiego obrazka dopełniało kilka obłoczków, wyglądających zupełnie jak rozrzucone w nieładzie białe poduszeczki. Moja przyjaciółka Eve, dekoratorka wnętrz, twierdzi, że planując jakieś wnętrze, zawsze widzi w nim rozrzucone poduszki. Dzięki nim zyskuje się efekt swobody, chociaż wszystko inne jest na swoim miejscu.

Termometr na desce rozdzielczej wskazywał prawie siedemnaście stopni Celsjusza.

Wspaniały dzień na wycieczkę za miasto, tylko przyczyna mogłaby być inna. Tak czy inaczej, nie sposób zaprzeczyć, że byłam zaciekawiona. Jechałam odwiedzić przybraną siostrę, w zasadzie całkowicie mi obcą kobietę, która, trafiwszy do szpitala, z jakiegoś nieodgadnionego powodu chciała się widzieć akurat ze mną, a nie z którymś ze swoich sławnych i wpływowych przyjaciół. Pokonałam Cross Bronx w jakieś piętnaście minut, innymi słowy nieomal ustanowiłam rekord. Skręciłam na północ w stronę Hutchinson River Parkway. Prezenter radiowy przedstawiał nowe szczegóły w sprawie Lynn. O trzeciej piętnaście nad ranem włączył się alarm przeciwpożarowy w Bedford. Gdy kilka minut później straż pożarna przystąpiła do akcji, cały parter budynku stał już w ogniu. Rosa Gomez zapewniała ratowników, że w domu nikogo nie ma, na szczęście jeden ze strażaków zajrzał do garażu i zobaczył fiata, samochód, którym zwykła jeździć Lynn. Zapytał Rosę, od kiedy auto tam stoi, a że była wyraźnie zaskoczona, ratownicy przystawili drabinę do okna sypialni, którą im wskazała kobieta, stłukli szybę i dostali się do wnętrza. Znaleźli oszołomioną i zdezorientowaną Lynn, szukającą wyjścia w gęstym dymie i już częściowo zaczadzoną. Na dłoniach i stopach nabawiła się poparzeń drugiego stopnia, kiedy macając ściany w poszukiwaniu drzwi, chodziła po gorącej podłodze.

Ze szpitala nadeszła wiadomość, że stan Lynn Spencer zmienił się z ogólnie złego w stabilny.

Pierwsze meldunki wskazywały na podpalenie. Całą werandę biegnącą wzdłuż frontu domu oblano benzyną. W ciągu kilku sekund parter ogarnęła rzeka płomieni.

Kto podłożył ogień? Czy ktokolwiek wiedział albo podejrzewał, że Lynn będzie tutaj nocowała? Przypomniłam mi się mężczyzna, który podczas spotkania akcjonariuszy krzychał na wdowę po Spencerze, energicznie wymachując wycinkami prasowymi. Miał do Spencerów pretensje o posiadłość w Bedford. Kiedy policja się dowie o tym incydencie, na pewno złożą

owemu człowiekowi wizytę.

* * *

Lynn umieszczono w izolatce na oddziale intensywnej opieki. Z nosa wystawały jej rurki doprowadzające tlen, ale twarz miała zdecydowanie mniej bladą niż wczoraj, na zebraniu udziałowców. Zaraz jednak przypomniałam sobie, że zatrucie dymem czasami nadaje skórze różowawy odcień.

Blond włosy szesane do tyłu wydawały się postrzępione, powiedziałabym nawet wychapane. Możliwe, że przy udzielaniu pierwszej pomocy trzeba było wyciąć nadpalone kosmyki. Dłonie miała Lynn zabandażowane, spod białego opatrunku wystawały tylko same czubeczki palców. Muszę przyznać, z niejakim wstydem, że zastanowiłam się przez chwilę, czy samotny brylant, którym tak kłuła w oczy na spotkaniu akcjonariuszy, nie został przypadkiem gdzieś w spalonym domu.

Leżała z zamkniętymi oczami, może spała. Spojrzałam pytająco na pielęgniarkę, która mnie przyprowadziła.

- Proszę się do niej odezwać - zaproponowała siostra cicho.

- Lynn - szepnęłam niepewnie.

Otworzyła oczy.

- Carley. - Spróbowała się uśmiechnąć. - Dziękuję, że przyszłaś.

Pokiwałam głową, nic więcej. Zwykle nie brakuje mi słów, ale tym razem po prostu nie wiedziałam, co mam jej powiedzieć. Szczerze się cieszyłam, że nie doznała cięższych obrażeń i nie udusiła się dymem, ale całkiem nie potrafiłam sobie wyobrazić, po jakie лихо mam odgrywać zatroskaną krewną. Jeżeli czegoś na świecie byłam absolutnie pewna, to tego, że obchodziłam Lynn Hamilton Spencer równie mało jak ona mnie.

- Carley... - niespodzianie zapiała, jakby przechodziła mutację. Umilkła i zamknęła usta. -

Carley - odezwała się po chwili już spokojniejszym tonem. - Nie wiedziałam, że Nick kradnie pieniądze firmy. Nadal w to nie wierzę. Nic nie wiem o jego interesach. Dom w Bedford i mieszkanie w Nowym Jorku były jego własnością jeszcze przed ślubem.

Wargi miała wyschnięte i popękane. Podniosła prawą rękę. Domyśliłam się, że chce sięgnąć po wodę, więc podałam jej szklankę i przytrzymałam. Nie byłam pewna, czy powinnam nacisnąć guzik podnoszący oparcie łóżka, a pielęgniarka wyszła, gdy tylko Lynn otworzyła oczy, wobec czego po prostu wsunęłam rękę pod szyję Lynn i podtrzymałam ją, gdy siorbała wodę małymi łykami.

Wypiła niewiele, zwiotczała i zamknęła oczy, jakby ten krótki wysiłek całkowicie ją wyczerpał. Dopiero wtedy zrobiło mi się jej naprawdę żal. Była skrzywdzona i załamana. W niczym nie przypominała znakomicie ubranej i uczesanej Lynn, którą spotkałam w Boca Raton. Ta kobieta potrzebowała pomocy, żeby wypić kilka łyków wody.

Opuściłam ją na poduszkę. Po policzkach Lynn spłynęły łzy.

- Carley - odezwała się zmęczonym głosem. - Straciłam wszystko. Mój mąż nie żyje.

Poproszono mnie o rezygnację z funkcji reprezentacyjnych. Przedstawiałam Nicka wielu znanym ludziom biznesu, a większość z nich zainwestowała w jego spółkę ciężkie pieniądze. To samo w klubie w Southhampton. Ludzie, którzy od lat nazywali się moimi przyjaciółmi, są na mnie wściekli, bo za moim pośrednictwem poznali Nicka - i stracili mnóstwo pieniędzy.

Przypomniało mi się, jak Sam powiedział, że Spencer potrafiłby diabłu sprzedać święconą wodę.

- Prawnicy wytoczą mi sprawę w imieniu akcjonariuszy. - Lynn mówiła coraz szybciej, gwałtowniej. Położyła mi rękę na ramieniu i natychmiast ją cofnęła. Zagryzła wargi. Najwyraźniej zabolęła ją poparzona dłoń. - Mam trochę pieniędzy na moim własnym koncie w banku - powiedziała - i nic więcej. Wkrótce zostanę bez dachu nad głową. Straciłam pracę. Carley,

potrzebuję twojej pomocy.

Jak mogłam jej pomóc? Nadal także nie wiedziałam, co powiedzieć, więc tylko na nią patrzyłam.

- Jeżeli Nick rzeczywiście zdefraudował pieniądze firmy, pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że ludzie uwierzą, iż ja także padłam jego ofiarą. Carley, ludzie przebakują, że należy mnie postawić w stan oskarżenia! Proszę, nie dopuść do tego. Wszyscy cię szanują, posłuchają cię. Wy tłumacz im, że jeśli doszło do oszustwa, ja nie brałam w nim udziału.

- Wierzysz w śmierć Nicka? - Musiałam zadać to pytanie.

- Tak. Nick był całkowicie przekonany, że działa w słusznej sprawie. Leciał do Portoryko na spotkanie w sprawach służbowych... wpadł w burzę... - Głos miała napięty, oczy mokre od łez. - Carley, Nick cię lubił. Bardzo cię lubił. Uwielbiał. Powiedział mi o twoim synku. Jego syn, Jack, właśnie skończył dziesięć lat. Mieszka u dziadków, w Greenwich. Teraz pewnie nawet nie pozwolił mi się z nim widywać... Nigdy mnie nie lubili, chyba dlatego, że z wyglądu przypominam ich córkę, a żyję, podczas gdy ona umarła. Tęsknię za Jackiem. Chcę przynajmniej móc go czasem odwiedzić.

To akurat potrafiłam zrozumieć.

- Współczuję ci, Lynn. Z całego serca.

- Carley, potrzebne mi coś więcej niż twoje współczucie. Potrzebuję twojej pomocy, żeby uświadomić ludziom, że nie brałam udziału w tym oszustwie. Nick powiedział, że można na tobie polegać. Pomożesz mi? - Zamknęła oczy. - Zrobisz to dla niego? - szepnęła. - Bardzo cię lubił.

Ned siedział w szpitalnym korytarzu, w dłoniach trzymał otwartą gazetę. Wszedł tuż za jakąś kobietą, niosącą kwiaty, i miał nadzieję, że jeśli ktokolwiek zwrócił na niego uwagę, uznał, iż byli tu razem. Jak tylko znalazł się w środku, zajął miejsce w poczekalni.

Przygarbił się, zasłonił gazetą twarz. Wypadki toczyły się za szybko. Musiał pomyśleć.

Wczoraj omal nie przyłożył żonie Spencera, kiedy na spotkaniu akcjonariuszy wzięła mikrofon i zaczęła opowiadać, że wszystko jest jakąś pomyłką księgową. Miał szczęście, że ten drugi facet zaczął się na nią wydzierać.

Ale potem, kiedy przed hotelem zobaczył, jak wsiadała do lśniącej limuzyny, nie zdołał opanować gniewu.

Od razu złapał taksówkę i podał kierowcy adres nowojorskiego mieszkania Spencerów, mieszczącego się w tym szpanerskim wieżowcu tuż przy Central Parku. Przyjechał akurat na czas, żeby zobaczyć, jak portier otwiera przed tamtą kobietą drzwi.

Zapłacił, wysiadł i zaczął sobie wyobrazać, jak Lynn Spencer jedzie windą do swojego luksusowego mieszkania, które razem z mężem kupili za ukradzione pieniądze. Ukradzione jemu.

Ledwo się oparł pokusie, by pobiec za tą suką. Ruszył Piątą Aleją. W oczach wszystkich nadchodzących z przeciwka widział pogardę. Doskonale wiedzieli, że to nie jego miejsce. On należał do świata, gdzie kupowano tylko niezbędne rzeczy, płacono za nie kartami kredytowymi, a potem regulowano tylko najpilniejsze zobowiązania.

Na ekranie telewizora Spencer opowiadał o tym, jak ludzie, którzy przed pięćdziesięciu laty zainwestowali w IBM czy Xerox, zostali milionerami.

- Kupując akcje Gen-stone, nie tylko pomagasz innym, ale też robisz krok w kierunku zdobycia fortuny.

Kłamca, kłamca, kłamca! - tłukło się Nedowi po głowie.

Z Piątej Alei doszedł do miejsca, gdzie mógł złapać autobus do domu, do Yonkers. Mieszkał w starym piętrowym budynku. Dwadzieścia lat temu, gdy pobrali się z Annie, wynajęli mieszkanie na parterze.

W salonie panował nieopisany bałagan. Ned wycinał wszystkie artykuły o katastrofie samolotu i o szczepionce, która nie dawała żadnej nadziei. Leżały w nieładzie na stoliku do kawy. Resztę gazet rzucał na podłogę. Zawsze po powrocie do domu czytał te artykuły od nowa, jeden po drugim.

Ściemniło się, ale nawet nie pomyślał o kolacji. Właściwie nie bywał już głodny. O dziesiątej wyciągnął koc oraz poduszkę i ułożył się na kanapie. Nie sypiał już w sypialni. Za bardzo tam tęsknił za Annie.

Po ceremonii pogrzebowej pastor dał mu Biblię.

- Zaznaczyłem tam kilka fragmentów specjalnie dla ciebie - powiedział. - Powinny ci przynieść ulgę.

Psalmami nie był zainteresowany, ale przeglądając Stary Testament na chybił trafił, natknął się na coś szczególnego w Księdze Ezechiela. „Ponieważ zasmucałyście kłamstwem serce sprawiedliwego, chociaż Ja go nie zasmucałem”*. [Cytaty z Pisma Świętego według Biblii Tysiąclecia, wyd. IV, Poznań - Warszawa 1984.] Zupełnie jakby prorok mówił o Spencerze i o nim, o Nedzie. Fragment ten dowodził, że Bóg był zły na ludzi, którzy krzywdzili swoich bliźnich, i że pragnął, by zostali oni ukarani.

Zasnął, ale krótko po północy obudził się, z obrazem posiadłości Spencerów przed oczami.

W niedzielne popołudnia, zaraz po tym jak kupił akcje Gen-stone, zdarzało się nieraz, że woził Annie do Bedford. Była na niego zła za tę inwestycję, bo żeby mieć na nią pieniądze, sprzedał dom w Greenwood Lake odziedziczony po matce. Annie nie była, tak jak on, przekonana, że ten krok uczyni z nich bogaczy.

- To był nasz dom na starość! - krzyczała na niego. A czasami płakała. - Nie chcę żadnej posiadłości. Kochałam tamten dom. Tak ciężko pracowałam, żeby był coraz piękniejszy, a ty nawet nie wspomniałeś, że zamierzasz go sprzedać. Ned, jak mogłeś mi to zrobić?

- Pan Spencer powiedział, że kupując jego akcje, nie tylko pomagam innym ludziom, ale jeszcze w dodatku będę mógł sobie kupić dom taki jak jego.

Nawet to jej nie przekonało. A dwa tygodnie temu, kiedy samolot się rozbił i jednocześnie rozeszła się wiadomość o problemach ze szczepionką, Annie wściekła się nie na żarty.

- Haruję w szpitalu jak wół, dzień w dzień po osiem godzin. A ty dałeś się naciągnąć jakiemuś oszustowi, kupiłeś lipne akcje i teraz będę musiała pracować do końca życia. - Płakała tak strasznie, że ledwo mówiła. - Nie może tak dłużej być. Ciągłe tracisz pracę, przez ten swój wybuchowy charakter. A jak już coś miałeś, to dałeś sobie odebrać. - Chwyciła kluczyki od samochodu i wybiegła. Z piskiem opon wyrwała na ulicę.

Następne wydarzenia nie dawały Nedowi spokoju. Obraz cofającej się śmieciarki. Zgrzyt hamulców. Widok samochodu wyrzuconego w powietrze, obróconego na dach. Wybuch zbiornika paliwa, auto w ogniu.

Annie. Martwa.

* * *

Poznali się w szpitalu przed dwudziestu laty, kiedy tu leżał. Wdał się w bójkę z jakimś facetem w barze i skończył ze wstrząsem mózgu. Annie opiekowała się nim i besztła go za lekkomyślne zachowanie. Była drobna, ale odważna i lubił, jak nim dyrygowała. Byli w tym samym wieku, mieli po trzydzieści osiem lat. Zaczęli się spotykać, a potem zamieszkali razem. Przyszedł dziś rano do szpitala, żeby się poczuć bliżej Annie. Za moment pojawi się w korytarzu, podejdzie do niego zwawym krokiem i przeprosi za spóźnienie. Znowu któraś z dziewcząt nie przyszła i trzeba było ją zastąpić w czasie obiadu.

To, niestety, tylko marzenia. Annie już nigdy nie przyjdzie.

Nagłym ruchem zmiął gazetę, gwałtownie wstał i wrzucił zadrukowany papier do najbliższego kosza na śmieci. Ruszył w stronę drzwi, ale właśnie wtedy spostrzegł go jeden z przechodzących lekarzy.

- Ned, dawno cię nie widziałem, nie pokazywałeś się od czasu wypadku. Przyjmij wyrazy współczucia. Annie była wspaniałą kobietą.

- To prawda... - Nagle przypomniał sobie nazwisko lekarza. - Dziękuję, doktorze Ryan.

- Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Nie, dziękuję.

Musiał powiedzieć coś jeszcze. Lekarz przyglądał mu się z ciekawością. Może wiedział, że za namową Annie bywał tutaj u psychiatry, doktora Greene'a. Ale doktor Greene wkurzył go któregoś razu. Zapytał: „Czy nie powinieneś był jednak spytać Annie o zdanie, zanim sprzedałeś dom?”.

Oparzenia bardzo go bolały. Kiedy rzucił zapalniczkę w benzynę, ogień buchnął z taką siłą, że dosięgnął jego dłoni. W ten sposób Ned zyskał pretekst, żeby się tu zjawić.

Pokazał rękę lekarzowi.

- Zachciało mi się wczoraj podgrzać kolację w piekarniku. Kiepski ze mnie kucharz. Na pogotowiu straszny tłok, a muszę zaraz lecieć do roboty. Chociaż pewnie to nic wielkiego...

Doktor Ryan spojrział na dłoń.

- Nie powinieneś tego lekceważyć, bo może się wdać infekcja. - Wyjął z kieszeni bloczek recept i nabazgrał coś na pierwszej z brzegu. - Smaruj dłoń tą maścią. I pokaż się za jakieś dwa dni.

Ned podziękował i odszedł. Nie chciał już wpaść na nikogo znajomego. Skierował się ponownie w stronę wyjścia, ale po chwili stanął zaskoczony. Przy głównym wejściu ustawiono kamery.

Włożył okulary przeciwsłoneczne i przeszedł przez obrotowe drzwi tuż za jakąś młodą kobietą. Nagle zdał sobie sprawę, że kamery zostały tam ustawione właśnie z jej powodu. Szybko odskoczył na bok i schował się za ludzi, którzy akurat mieli wejść do szpitala, lecz zatrzymali się na widok kamer. Próżniacy. Ciekawscy.

Bohaterka tego wydarzenia była atrakcyjną szatynką, chyba trochę po trzydziestce. Wydała mu się znajoma. Po chwili przypomniał sobie, gdzie ją widział. Brała udział we wczorajszym spotkaniu akcjonariuszy. Zadawała pytania ludziom schodzącym z mównicy. Jego też chciała zagadnąć, ale ją ominął. Nie lubił, jak ktoś go wypytywał. Jeden z reporterów przysunął jej mikrofon do ust.

- Pani DeCarlo, czy to prawda, że Lynn Spencer jest pani siostrą?

- Przybraną.

- Jak ona się czuje?

- Bardzo cierpi. Ma za sobą przerażające doświadczenie. O mało nie zginęła w tym pożarze.

- Czy domyśla się, kto podłożył ogień? Czy dostawała jakieś listy z pogroźkami?

- Nie rozmawialiśmy na ten temat.

- Jak pani sądzi, czy podpalaczem był ktoś, kto stracił pieniądze zainwestowane w Genstone?

- Trudno mi spekulować. Mogę jedynie powiedzieć, że każdy, kto podpala dom, jest albo zbrodniarzem, albo człowiekiem chorym psychicznie.

Ned zmrużył oczy z wściekłości. Annie umarła zatrzaśnięta w pułapce płonącego samochodu. Gdyby nie sprzedał domu w Greenwood Lake, tego dnia, kiedy zginęła, byłiby właśnie tam. Sadziłaby jakieś kwiatki, a nie wyjeżdżała na ulicę z piskiem opon, zapłakana, nie widząc, co się dzieje na jezdni.

Przez chwilę patrzył w oczy kobiecie wypytywanej przez reporterów. Nazywała się DeCarlo

i była siostrą Lynn Spencer.

Ja ci pokażę, kto tu jest psychicznie chory, pomyślał. Szkoda, że twoja siostra nie spłonęła żywcem tak samo jak moja żona w samochodzie. Szkoda, że ciebie też w tym domu nie było razem z siostrzyczką.

Annie, wykończę je obie. Odplacę im za twoją śmierć.

Wracałam do domu, delikatnie mówiąc, niespecjalnie zadowolona z przedstawienia, jakie dałam podczas tej niespodziewanej konferencji prasowej przed wejściem do szpitala.

Zdecydowanie wolałam sama stawiać pytania. Tak czy inaczej, zdałam sobie sprawę, że niezależnie od tego, czy mi się to podoba, będę teraz postrzegana jako rzeczniczka Lynn i jej obrończyni. Nie odpowiadała mi ta rola, nie czułam się w niej dobrze. Wcale nie byłam przekonana, iż moja przyszywana siostra istotnie była tak ufna i naiwna, że nie miała pojęcia o oszustwach męża. Tylko czy on rzeczywiście był oszustem? Leciał na spotkanie w interesach firmy. Czy wsiadając do samolotu, nadal wierzył w Gen-stone? Czy wyszedł na spotkanie śmierci, przekonany o swojej racji?

Trasa szybkiego ruchu Cross Bronx tym razem pokazała swoje prawdziwe oblicze.

Wypadek zablokował ruch na długości prawie kilometra, przez co zyskałam mnóstwo czasu na myślenie. Możliwe, że było go nawet trochę za dużo, bo zaczęłam sobie uświadamiać, że mimo wszystkich ostatnio dokonanych odkryć na temat Nicka Spencera oraz jego spółki nadal czegoś tu brakowało, coś mi nie pasowało. Wszystko poszło zbyt gładko. Samolot Nicka się rozbija. Zaraz potem okazuje się, że szczepionka jest nic niewarta. I brakuje paru milionów dolarów.

Czy katastrofa lotnicza była sfingowana i Nick rzeczywiście leżał na słońcu gdzieś w Brazylii, jak sugerował Sam? Czy samolot pilotowany przez Spencera trafił w środek burzy? A jeśli tak, gdzie się podziały te wszystkie pieniądze, z których dwadzieścia pięć tysięcy dolarów należało do mnie?

„Carley, on cię lubił”, powiedziała Lynn.

Cóż, ja też go lubiałam. Dlatego właśnie miałam nadzieję, że istnieje jakieś inne wyjaśnienie.

Minęłam wreszcie wypadek, przez który Cross Bronx zmieniła się w ulicę jednopasmową.

Drogę blokowała wywrócona ciężarówka. Połamane skrzynki pełne grejpfrutów i pomarańczy

zepchnięto na pobocze, żeby oczyścić choć jeden pas ruchu. Kabina ciężarówki wydawała się nietknięta. Miałam nadzieję, że kierowcy nic się nie stało.

Skręciłam w Harlem River Drive. Chciałam już być w domu. Zamierzałam jeszcze raz przeczytać artykuł naszykowany do niedzielnego wydania, zanim wyślę go e-mailem do redakcji. Chciałam też zadzwonić do ojca Lynn i zapewnić go, że wszystko będzie dobrze. No i ciekawa byłam, czy są jakieś nowe wiadomości na sekretarce, zwłaszcza od wydawcy „Wall Street Weekly”. Ależ bym chciała pracować w tym czasopiśmie!

Reszta drogi minęła dość szybko. Najgorsze, że w wyobraźni stale widziałam szczere spojrzenie Nicka, kiedy opowiadał mi o szczepionce. I pamiętałam własną reakcję na tego mężczyznę: rewelacyjny facet.

Czy byłam naiwna, głupia, czy też popełniłam niewybaczalną pomyłkę? Żadna z tych cech nie przystoi bystremu reporterowi, za jakiego chciałam się uważać. A może istniała jakaś inna odpowiedź? Wjeżdżając do garażu, uświadomiłam sobie, że martwi mnie coś jeszcze. Odezwał się we mnie szósty zmysł. Podpowiadał mi, że Lynn była znacznie bardziej zainteresowana oczyszczeniem własnego imienia niż poznaniem prawdy, czy jej mąż rzeczywiście nie żyje. Na sekretarce, owszem, była wiadomość, w dodatku taka, na jaką czekałam. Prośba, żebym się skontaktowała z Willem Kirbym z „Wall Street Weekly”.

Will Kirby jest redaktorem naczelnym. Drżącymi palcami wystukałam numer. Spotkałam Kirby’ego kilka razy przy okazji różnych większych spotkań, ale w zasadzie nigdy z nim nie rozmawiałam. Kiedy sekretarka mnie połączyła, pierwszą moją myślą było spostrzeżenie, że głos tego człowieka pasuje do jego wyglądu. Był potężnym mężczyzną po pięćdziesiątce, a głos miał głęboki i serdeczny. Mówił sympatycznym, ciepłym tonem, choć ogólnie wiadomo, że nie bawi się w sentymenty.

Nie tracił czasu na zbędne uprzejmości.

- Carley, możesz do mnie zajrzeć jutro z rana?

Jasne, pomyślałam.

- Tak, proszę pana.

- Dziesiąta ci odpowiada?

- Jak najbardziej.

- Świetnie. No to, do zobaczenia.

Stuknęła odłożona słuchawka.

Prześwietlało mnie już dwóch ludzi z jego gazety, wobec tego jutrzejsze spotkanie to będzie z całą pewnością wóz albo przewóz. Myślami powędrowałam do szafy. Żakiet, a do niego spodnie - będą lepsze niż spódnica. Ten kostium w szare pasy, który pod koniec zeszłego lata kupiłam na wyprzedży w Escada, tak, w sam raz. Gorzej, jeśli zrobi się zimno, jak wczoraj, bo będzie za lekki. Wtedy włożę ciemnoniebieski.

Dawno już nie czułam takiej mieszanki lęku i niecierpliwego wyczekiwania. Chociaż chętnie pisywałam do kącika porad finansowych, dawało mi to za mało satysfakcji. Gdyby to była rubryka w codziennej gazecie, to co innego, ale cotygodniowy dodatek, zwykle mocno spóźniony w stosunku do wydarzeń, nie stanowi wielkiego wyzwania dla kogoś, kto opanował podstawy księgowości. I chociaż od czasu do czasu jako wolny strzelec pisywałam do różnych czasopism o ludziach finansjery, ciągle mi było mało.

Zadzwoniłam do Boca. Mama przeprowadziła się po ślubie do Roberta, ponieważ od niego roztaczał się wspaniały widok na ocean, a poza tym jego dom był większy. Tylko jedno mi się w tym wszystkim nie podobało: kiedy wpadałam ją odwiedzić, nocowałam w „pokoju Lynn”.

Co wcale nie oznaczało, że kiedykolwiek tam nocowała. Jeśli zaglądała do ojca, meldowali się z Nickiem w wynajętym apartamencie w Boca Raton Resort. Natomiast dla mnie przeprowadzka mamy oznaczała tyle, że kiedy przyjeżdżałam do niej na weekend, mieszkałam w

pokoju, który aż krzyczał, że urządziła go dla siebie Lynn, jeszcze przed ślubem z Nickiem. Spałam w jej łóżku, w jej bladoróżowej pościeli, na jej poduszkach w poszwach obrzeżonych koronką, a po wyjściu spod prysznicą owijałam się kosztownym ręcznikiem z jej inicjałami.

O wiele lepiej sypiało mi się na rozkładanej kanapie w dawnym mieszkaniu. Ważnym plusem nowej sytuacji był oczywiście fakt, że mama była teraz ogromnie szczęśliwa, a i ja szczerze polubiłam Roberta Hamiltona. Mamy wybranek to spokojny sympatyczny mężczyzna, całkowicie pozbawiony choćby śladu arogancji, którą kłuła w oczy jego córka przy naszym pierwszym spotkaniu. Dowiedziałam się od mamy, że Lynn próbowała go wyswatać z jedną z bogatych wdów z Palm Beach, ale okazał brak zainteresowania.

Podniosłam słuchawkę, wcisnęłam jedynekę. Automatyczne wybieranie numeru zrobiło swoje. Odebrał Robert. Oczywiście bardzo się martwił o Lynn, więc z przyjemnością go zapewniłam, że nic jej nie będzie i za kilka dni wyjdzie ze szpitala.

Pomijając fakt, że niepokoił się o córkę, wyraźnie gnębiło go coś jeszcze. Wreszcie zebrał się w sobie:

- Carley, ty znałaś Nicka. Czy twoim zdaniem był oszustem? Boże jedyny, ulokowałam w Gen-stone prawie wszystkie oszczędności! Chyba nie namawiałby własnego teścia do inwestowania w trefny interes?

* * *

Następnego ranka, gdy usiadłam po drugiej stronie biurka Willa Kirby'ego, pierwsze pytanie zważyło mnie z nóg.

- O ile mi wiadomo, jesteś przybraną siostrą Lynn Spencer?

- To prawda.

- We wczorajszych wiadomościach pokazywali cię przed szpitalem. Szczerze mówiąc, zmartwiłem się, że nie będziesz mogła podjąć się zadania, które chciałbym ci zlecić, ale Sam

twierdzi, że nie utrzymujesz z tą kobietą bliskich kontaktów.

- Rzeczywiście. Szczerze mówiąc, byłam mocno zaskoczona, że chciała się ze mną zobaczyć. No, ale faktycznie miała powód. Prosi mnie o udowodnienie, że nie miała nic wspólnego z przekrętami męża.

Powiedziałam mu też, że Spencer namówił ojca Lynn do zainwestowania w Gen-stone lwiej części życiowych oszczędności.

- Byłby z niego prawdziwy drań, gdyby naciągał własnego teścia - zgodził się Kirby.

Wreszcie oświadczył, że mnie zatrudnia i że pierwszym moim zadaniem będzie sporządzenie dogłębnej charakterystyki Nicholasa Spencera. Miał okazję zapoznać się z moimi wcześniejszymi artykułami przedstawiającymi sylwetki różnych finansistów, przyznał, że mu się podobały.

- Będiesz pracowała w zespole - oznajmił. - Don Carter jest specjalistą od kwestii finansowych, Ken Page to nasz ekspert medyczny. Ty naszkicujesz tło dotyczące osobowości i spraw prywatnych. A na koniec we troje zrobicie z całości zgrabny tekst. Don właśnie ustala spotkania z prezesem zarządu Gen-stone i kilkoma dyrektorami, powinnaś dotrzymać mu towarzystwa w czasie tych wizyt. - Kirby wskazał leżące na biurku kopie kilku moich artykułów. - Oczywiście nie widzę przeciwwskazań, żebyś robiła także to, co do tej pory. Idź teraz, poznaj Cartera i doktora Page'a, a potem zajrzyj do kadr, powinnaś wypełnić parę druczków.

Koniec spotkania. Sięgnął po słuchawkę, ale kiedy wstawałam, jeszcze się do mnie odezwał.

- Cieszę się, że do nas przystałaś. - Uśmiechnął się lekko. - Zaplanuj sobie podróż do Connecticut, zdaje się, że gdzieś stamtąd pochodził Spencer. Podobało mi się w twoich pracach między innymi to, że rozmawiałaś z mieszkańcami rodzinnych miejscowości ludzi, o których pisałaś.

- Spencer pochodzi z Caspien - odrzekłam. - To niewielka miejscowość pod Bridgeport.

Doskonale pamiętałam opowieści o Nicku Spencerze, pracującym w domowym laboratorium razem z ojcem lekarzem. Miałam nadzieję, że po przyjeździe do Caspien przekonam się, iż przynajmniej to było prawdą. I wtedy właśnie zastanowiłam się, dlaczego nie potrafię uwierzyć w jego śmierć.

Nietrudno było odpowiedzieć na to pytanie. Lynn wydawała się bardziej zainteresowana ratowaniem własnego wizerunku niż losem Nicholasa Spencera i nie sprawiała wrażenia wdowy pogrążonej w żałobie. Albo wiedziała, że jej mąż nie umarł, albo jego śmierć w ogóle jej nie obchodziła. Miałam zamiar dotrzeć do prawdy.

Odniosłam wrażenie, że praca z Kenem Page'em i Donem Carterem będzie mi się podobała. Ken okazał się wielkim ciemnowłosym facetem o szczękach buldoga. Kiedy go zobaczyłam, zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem pracownicy „Wall Street Weekly” nie są dobierani pod kątem gabarytów. Zaraz jednak poznałam Dona Cartera: niewysokiego schludnego mężczyznę o jasnobrązowych włosach i orzechowych oczach. Obu dałabym około czterdziestki. Ledwo przywitałam się z Kenem, gdy przeprosił mnie i biegiem ruszył na korytarz, bo dostrzegł tam przechodzącego Cartera. Skorzystałam z okazji i spokojnie przyjrzałam się dyplomom na ścianie. Robiły wrażenie. Ken był lekarzem medycyny, a także napisał doktorat z biologii molekularnej.

Wrócił po chwili, prowadząc Dona. Umówili spotkanie z przedstawicielami Gen-stone, o jedenastej następnego dnia. Mieliśmy się stawić w głównej siedzibie firmy w Pleasantville. - Dyrektorzy mają biura w Chrysler Building - powiedział mi Don - ale tak naprawdę pracują w Pleasantville.

Zamierzaliśmy się zobaczyć z prezesem zarządu, Charlesem Wallingfordem, oraz z doktorem Milo Celtavinim, naukowcem odpowiedzialnym za prowadzenie badań i funkcjonowanie laboratorium Gen-stone. Ponieważ i Don, i Ken mieszkali w Westchester County, umówiliśmy się więc od razu na miejscu.

Chwała Samowi Michaelsonowi! Szepnął za mną słówko, bez dwóch zdań. Nie ma co gadać, jeśli człowiek pracuje nad priorytetowym tematem, to chce być pewnym, że robota pójdzie gładko i w zespole nic nie zacznie zgrzytać. Dzięki Samowi wyglądało na to, że nigdy nie usłyszę od swoich kolegów: „Poczekaj, to zobaczysz”. Zostałam przyjęta z otwartymi ramionami.

* * *

Zaraz po wyjściu z budynku redakcji zadzwoniłam z komórki do Sama, aby zaprosić go

razem z żoną na kolację w „Il Mulino” w Village. Potem wsiadłam do samochodu i ruszyłam do domu. Zamierzałam zrobić sobie kanapkę, zaparzyć herbatę i spędzić czas lunchu przed komputerem, bo dostałam sporo pytań od czytelników kącika finansowego. Chciałam je posegregować. Pytania często się powtarzają. Co oznacza, oczywiście, że wiele osób jest zainteresowanych tym samym zagadnieniem, a co za tym idzie, zyskuję wskazówkę, które sprawy są najpilniejsze.

Od czasu do czasu, gdy chcę, żeby ludzie dostali informację na konkretny temat, sama rzucam „pytanie od czytelnika”. Uważam, że osoby nieorientujące się zbyt dobrze w kwestiach pieniężnych powinny mimo wszystko mieć pojęcie na temat refinansowania hipoteki w wypadku wyjątkowo niskich rat albo umieć unikać pułapki tak zwanych pożyczek bezprocentowych.

Kiedy zadaję pytanie jako czytelniczka, podpisuję się inicjałami mojej najlepszej przyjaciółki i wstawiam miasto, z którego rzeczywiście pochodzi. Moją najlepszą przyjaciółką jest Gwen Harkins. Jej ojciec pochodził z Idaho. Tydzień temu głównym pytaniem w moim kąciku finansowym była kwestia szczegółów, na jakie trzeba zwrócić uwagę, zanim się wystąpi o zwrot należności. Podpisałam się jako G.H. z Boise w Idaho.

W domu okazało się, że muszę zmienić plany. Na sekretarce czekała wiadomość z prokuratury. Niejaki Jason Knowles chciał ze mną porozmawiać możliwie najszybciej. Ponieważ zostawił numer, oddzwoniłam natychmiast.

Następne czterdzieści minut zastanawiałam się, jakie to moje informacje są mu potrzebne tak bardzo, że musi się do mnie osobiście pofatygować. Wreszcie usłyszałam brzęczyk w przedpokoju. Podniosłam słuchawkę domofonu i dowiedziałam się, że pan Knowles właśnie przyszedł, wpuściłam go, poradziłam, żeby poszedł schodami, a następnie zwolniłam zamek w drzwiach mieszkania.

Kilka chwil później na moim progu stanął srebrnowłosa mężczyzna o doskonałych

manierach, a jednocześnie bezpośrednim sposobie bycia. Usiadłam na krześle naprzeciw kanapy i czekałam, aż zacznie mówić.

Podziękował, że zgodziłam się z nim zobaczyć tak niespodziewanie, a zaraz potem przeszedł do rzeczy.

- Była pani na poniedziałkowym spotkaniu akcjonariuszy Gen-stone - oznajmił.

Ponieważ brzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie, tylko kiwnęłam głową.

- O ile nam wiadomo, wiele osób biorących udział w tym zgromadzeniu wyrażało swoje negatywne emocje wobec zarządu, a jeden z mężczyzn zareagował wyjątkowo gwałtownie na wystąpienie pani Lynn Spencer.

- To prawda. - Byłam przekonana, że w następnym zdaniu nawiąże do tego, iż jestem jej przybraną siostrą. Pomyliłam się.

- Siedziała pani w sektorze zarezerwowanym dla mediów, na samym brzegu, widziała więc pani z bliska mężczyznę, który krzyczał na panią Spencer.

- Zgadza się.

- Po spotkaniu rozmawiała pani z wieloma zawiedzionymi akcjonariuszami i zapisywała ich nazwiska.

- Tak było.

- Czy rozmawiała pani także z mężczyzną, który wskutek zainwestowania w akcje Gen-stone będzie musiał sprzedać dom?

- Nie.

- Ma pani nazwiska udziałowców, z którymi pani rozmawiała?

- Mam. - Czułam, że Jason Knowles na coś czeka. - Pewnie pan wie, że co tydzień udzielam porad w jednym z czasopism. Moje odpowiedzi skierowane są do odbiorcy nie do końca zorientowanego w rynku finansowym. Na spotkaniu akcjonariuszy Gen-stone przyszło mi do

głowy, że powinnam napisać obszerniejszy artykuł ilustrujący przyczyny upadku spółki Gen-stone, ponieważ zniszczyła przyszłość tylu drobnych inwestorów.

- Wiem. Dlatego tutaj jestem. Chcielibyśmy uzyskać nazwiska osób, z którymi pani rozmawiała.

Patrzyłam na niego tępym wzrokiem. W zasadzie jego prośba wydawała się całkowicie zrozumiała, ale chyba obudziła się we mnie instynktowna niechęć do odsłaniania źródeł informacji, właściwa każdemu dziennikarzowi.

Jason Knowles jakby czytał w moich myślach.

- Na pewno rozumie pani powody, dla których prosimy panią o pomoc. Pani siostra, Lynn Spencer...

- Przybrana - przerwałam.

Pokiwał zgodnie głową.

- Przybrana. Pani przybrana siostra mogła zginąć w płomieniach. W tej chwili nie potrafimy określić, czy osoba, która podłożyła ogień, wiedziała, że pani Spencer znajduje się w domu. Wydaje się jednak prawdopodobne, że był to któryś z tych zawiedzionych, a nawet zdesperowanych akcjonariuszy.

- Zdaje pan sobie sprawę, że potencjalnych sprawców są setki? Udziałowcy, owszem, ale i pracownicy spółki - podkreśliłam.

- Bierzemy to pod uwagę. Czy ma pani może nazwisko tego mężczyzny, który głośno zarzucał Spencerom kradzież pieniędzy spółki?

- To nie on. - Przed oczami miałam twarz mężczyzny, którego gniew wylał się wraz ze łzami bezsilności. - On nie podłożył ognia.

Jason Knowles uniósł brwi.

- Jest pani pewna? Dlaczego?

Nagle zdałam sobie sprawę, że zachowałam się głupio.

- Wiem swoje - uparłam się wbrew rozsądkowi. - Był zrozpaczony, ale nie wściekły. Jest chory ze zmartwienia. Ma umierające dziecko i na dodatek będzie musiał sprzedać dom. Jason Knowles był wyraźnie rozczarowany, że nie potrafiłam zidentyfikować mężczyzny, który zrobił scenę na zebraniu, ale tak czy inaczej, jeszcze ze mną nie skończył.

- Ma pani nazwiska ludzi, z którymi pani rozmawiała.

Milczałam niezdecydowana.

- Proszę pani, widziałem wywiad z panią przed wejściem do szpitala. Powiedziała pani, że ten, kto podłożył ogień, jest zbrodniarzem albo człowiekiem psychicznie chorym.

Miał rację. Zgodziłam się dać mu nazwiska i numery telefonów, zanotowane po spotkaniu akcjonariuszy.

I znów odniosłam wrażenie, że zna moje myśli.

- Chcę panią zapewnić, że dzwoniąc do tych osób, będziemy informowali, iż rozmawiamy ze wszystkimi uczestnikami zebrania. I taka rzeczywistość jest prawda. Wiele z tych osób odesłało spółce zawiadomienia o spotkaniu, potwierdzając w ten sposób swój udział. Z nimi wszystkimi będziemy rozmawiali. Rzecz w tym, iż niestety, nie wszyscy, którzy zjawili się na spotkaniu, pofatygowali się, by potwierdzić swoją obecność.

- Rozumiem.

- Jak się czuje pani siostra?

Miałam nadzieję, że ten wyjątkowo spostrzegawczy człowiek nie zwrócił uwagi na odrobinę zbyt długą chwilę mojego milczenia.

- Widział pan wywiad - odrzekłam. - Lynn jest obolała i oszołomiona wypadkami.

Powiedziała mi, że nie miała pojęcia o jakichkolwiek nielegalnych poczynaniach męża. Przysięga na wszystko, że z tego, co jej wiadomo, był całkowicie przekonany o cudownych właściwościach

szczepionki.

- Czy jej zdaniem do katastrofy samolotu doprowadzono celowo? - spytał Jason Knowles zniemacka.

- Ona nie wie. - A potem, zupełnie jak echo Lynn, powtórzyłam jej słowa, zastanawiając się jednocześnie, czy brzmią przekonująco i czy wyglądam na przekonaną: - Chce koniecznie poznać prawdę.

Następnego ranka przed jedenastą wjechałam na parking dla gości Gen-stone w Pleasantville w stanie Nowy Jork. Pleasantville to sympatyczne miasteczko w Westchester, które zostało umieszczone na mapie przed wielu laty, gdy „Reader’s Digest” ulokowało tutaj swoją redakcję wydań międzynarodowych.

Gen-stone znajduje się jakiś kilometr od siedziby „Reader’s Digest”.

Znów mieliśmy piękny kwietniowy dzień. Kiedy szłam ścieżką do wejścia do budynku, przypomniał mi się fragment jakiegoś wiersza, który uwielbiałam jako dziecko. „Och, gdyby tak być w Anglii teraz, gdy wrócił tam kwiecień!”. Nazwisko sławnego poety wypadło mi z głowy. Było bardzo prawdopodobne, że odkryję je na przykład w środzku nocy.

Przed głównym wejściem stał strażnik. Mało tego, musiałam jeszcze wcisnąć guzik domofonu i przedstawić się, zanim recepcjonistka mnie wpuściła.

Przyjechałam kwadrans wcześniej i bardzo dobrze. Lepiej się rozejrzeć i złapać oddech przed spotkaniem, zamiast spóźnić się, biec w pośpiechu i przeproszać. Powiedziałam recepcjonistce, że czekam na kolegów, i spokojnie usiadłam.

Poprzedniego wieczora po kolacji posurfowałam trochę po Internecie i odrobiłam pracę domową na temat dwóch mężczyzn, z którymi mieliśmy rozmawiać: Charlesa Wallingforda oraz doktora Celtaviniego. Dowiedziałam się, że Charles Wallingford był szóstym z rzędu właścicielem i szefem rodzinnej sieci sklepów meblowych. Wszystko zaczęło się dawno temu od jakiegoś zapyziałego składu na Delancey. Interes rozrósł się, przeniósł na Piątą Aleję, a nazwisko Wallingford zyskało renomę znaku firmowego.

Objąwszy rodzinne przedsiębiorstwo, niezbyt dobrze radził sobie z zalewem rynku przez sieci oferujące meble z przeceny oraz z zapaścią ekonomiczną. Dorzucił do oferty tańsze propozycje, modyfikując w ten sposób wizerunek firmy, część sklepów zamknął, zmienił charakter

pozostałych, lecz w końcu zmuszony był zgodzić się na wykup udziałów przez jedną ze spółek brytyjskich. To było jakieś dziesięć lat temu.

Dwa lata później Charles Wallingford poznał Nicholasa Spencera, który wtedy akurat rozwijał nową firmę, Gen-stone. Wallingford zainwestował w nią poważną sumę i przyjął stanowisko prezesa zarządu.

Ciekawe, czy nie żałował, że odszedł od mebli.

Doktor Milo Celtavini ukończył college i studia we Włoszech. Przez większą część spędzonego tam życia prowadził najróżniejsze badania immunologiczne, po czym przyjął zaproszenie na członka zespołu badawczego Sloan-Kettering w Nowym Jorku. W krótkim czasie przeniósł się do laboratorium Gen-stone, ponieważ był przekonany, że spółka znajduje się na najlepszej drodze do rewelacyjnych odkryć medycznych.

Kiedy tak przeglądałam notatki, weszli Ken i Don. Recepcjonistka spytała ich o nazwiska i już kilka chwil później wszyscy troje zostaliśmy zaprowadzeni do gabinetu Charlesa Wallingforda.

Siedział za osiemnastowiecznym mahoniowym biurkiem. Perski dywan na podłodze wyblakł akurat na tyle, by czerwone, niebieskie i złote barwy z jego wzoru mieniły się ciepłym blaskiem. Na lewo od drzwi ustawiono skórzaną kanapę i kilka foteli od kompletu. Ściany wyłożono orzechową boazerią. Wąskie ciemnoniebieskie story służyły raczej jako element ozdobny niż do zasłaniania okien. W rezultacie gabinet zalany był naturalnym dziennym światłem, a przecudny ogród za oknem wydawał się żywym arcydziełem. Było to wnętrze urządzone przez człowieka o nieskazitelnym guście.

Co potwierdzało wrażenie, jakie ten mężczyzna wywarł na mnie na poniedziałkowym spotkaniu udziałowców. Choć z całą pewnością żył ostatnio w ogromnym napięciu, gdy tłum zaczął go wygwizdywać, zachowywał się dostojnie.

Teraz wstał zza biurka i powitał nas uprzejmym uśmiechem.

Przedstawiliśmy się sobie wzajemnie, po czym Wallingford zaproponował:

- Usiądźmy tam. - Wskazał komplet mebli wypoczynkowych. - Będzie nam wygodniej.

Usadowiłam się na kanapie, Don Carter obok mnie. Ken zajął jeden z foteli, natomiast

Wallingford przysiadł na krawędzi drugiego i opierając lekko łokcie o podłokietniki, złączył opuszki palców obu dłoni.

Nasz spec od interesów, Don, podziękował Wallingfordowi za zgodę na spotkanie i zaczął mu zadawać trudne pytania. Chciał między innymi wiedzieć, jak to możliwe, że tak znaczna suma pieniędzy rozplynęła się w powietrzu, a prezes oraz reszta członków zarządu niczego nie podejrzewali.

Zdaniem Wallingforda rzecz sprowadzała się do tego, że właściciel Garner Pharmaceuticals, firmy, która miała zainwestować w Gen-stone niebagatelną sumę, poczuł się zaniepokojony niepowodzeniami kolejnych badań. Spencer od wielu już lat musiał defraudować wpływy ze spedycji produktów medycznych. Zrozumiawszy, że Instytut Żywności i Leków nie zaaprobuje szczepionki i że nie sposób dłużej ukrywać tych oszustw, postanowił zniknąć.

- I tu najprawdopodobniej wtrącił się przypadek - zakończył Wallingford. - W drodze do Portoryko samolot Nicka uległ katastrofie.

- Jak pan sądzi, czy Nicholas Spencer zaoferował panu współudział w firmie oraz stanowisko prezesa zarządu z powodu pańskiego bogatego doświadczenia w prowadzeniu spółki, czy też doceniał pańskie umiejętności podejmowania trafnych decyzji? - spytał Don.

- Przypuszczam, że z obu tych powodów.

- Nie wszyscy jednak byli pod wrażeniem pańskich poczynań w rodzinnej firmie, jeśli wolno mi to tak ująć. - Don przeczytał kilka wyjątków z publikacji finansowych, które zdawały się sugerować, iż Wallingford rozłożył rodzinny interes.

Charles Wallingford odparował, że sprzedaż detaliczna mebli spadała stale już od dłuższego

czasu, wzrastały natomiast koszty pracy oraz problemy z dostawami i gdyby zwlekał dłużej, spółka z całą pewnością skończyłaby jako bankrut. Wskazał jeden z wycinków w dłoni Cartera.

- Potrafię przytoczyć co najmniej tuzin artykułów napisanych przez tego dziennikarza, na dowód, jaki z niego znawca - oświadczył ironicznie.

Zdawał się nie przejmować implikacją, że mylił się, nadając rodzinnej firmie taki, a nie inny kierunek.

Z własnych poszukiwań w sieci wiedziałam, że ma czterdzieści dziewięć lat, dwóch dorosłych synów, a dziesięć lat temu się rozwiódł. Dopiero kiedy Carter spytał, czy to prawda, że nie jest w najlepszych stosunkach z własnymi dziećmi, zacisnął szczęki.

- Rzeczywiście, z przykrością przyznaję, że jesteśmy poróżnieni - odparł. - I aby zapobiec jakimkolwiek nieporozumieniom, od razu wyjaśnię, na czym rzecz polega. Moi synowie nie życzyli sobie, bym sprzedał rodzinną firmę. Stworzyli sobie nierealne wyobrażenia na temat jej przyszłości. Odradzali mi również inwestowanie w Gen-stone. Jak widać, tym razem, niestety, mieli rację.

Następnie wyjaśnił nam, jak poznał Nicholasa Spencera.

- Wiadomo było ogólnie, że rozglądam się za okazją do dobrej inwestycji. Spółki doradcze sugerowały rozważenie kupna akcji Gen-stone. Poznałem Nicka Spencera, który zrobił na mnie doskonałe wrażenie, co nie było czymś wyjątkowym, jak się państwo zapewne orientują.

Zaproponował mi spotkanie z kilkoma najlepszymi mikrobiologami. Oczywiście mieli nieskazitelne listy uwierzytelniające. W opinii tych wszystkich naukowców Spencer był na najlepszej drodze do wynalezienia szczepionki zapobiegającej rakowi i powstrzymującej rozrost komórek nowotworowych. Zorientowałem się w możliwościach Gen-stone. Potem Nick podał mi pod rozwagę propozycję objęcia funkcji prezesa zarządu. Miałem zarządzać spółką. On chciał zostać szefem zespołu badawczego oraz kreować wizerunek publiczny firmy.

- Zdobywać kolejnych inwestorów - podsunął Don.

Wallingford uśmiechnął się krzywo.

- Był w tym bardzo dobry. Latał regularnie do Włoch i Szwajcarii, dawał do zrozumienia, że jego wiedza może rywalizować, a kto wie, czy nie przewyższa wykształceniem wielu badaczy zajmujących się biologią molekularną.

- Ile w tym prawdy?

Wallingford pokręcił głową.

- Jest inteligentny, ale nie pozjadał wszystkich rozumów.

Ale mnie zdołał ogłupić, pomyślałam, przypominając sobie, jak Nick Spencer emanował wiarygodnością, kiedy opowiadał mi o szczepionce, nad którą pracował.

Już wiedziałam, dokąd zmierza Don Carter. Jego zdaniem Charles Wallingford rozłożył własną rodzinną firmę, lecz mimo to Nick Spencer uważał, że będzie osobą tworzącą doskonały wizerunek jego spółki. Wyglądał i zachowywał się jak typowy biały przedstawiciel klasy średniej i łatwo nim było manipulować. Następne pytanie potwierdziło moje domysły.

- Czy zgodzi się pan ze mną, że zarząd spółki to ludzie dobrani według trudnego do określenia klucza?

- Niezupełnie rozumiem.

- Wszyscy pochodzą z wyjątkowo bogatych rodzin, ale nikt z nich nie ma prawdziwego doświadczenia w interesach.

- To moi dobrzy znajomi, zasiadają także w zarządach własnych firm.

- Co niekoniecznie musi świadczyć o ich rozeznaniu w sprawach finansowych, dostatecznie dużym, by zarządzać taką spółką jak ta.

- Nigdzie nie znajdzie pan grupy ludzi mądrzejszych i bardziej godnych szacunku -

oświadczył Wallingford. Ton głosu miał lodowaty, za to twarz czerwona.

Moim zdaniem niewiele brakowało, żeby nas pożegnał, ale akurat w tej chwili rozległo się

pukanie do drzwi i wszedł doktor Celtavini.

Był to mężczyzna stosunkowo niski, konserwatywnie ubrany. Na oko dobiegał siedemdziesiątki i mówił z lekkim akcentem włoskim. Powiedział nam, że gdy przyjął funkcję szefa laboratorium Gen-stone, był całkowicie przekonany o ogromnych szansach powodzenia badań nad szczepionką zapobiegającą nowotworom. Z początku rezultaty doświadczeń przeprowadzanych na myszach z genetycznymi komórkami rakowymi były zachęcające, ale potem zaczęły się problemy. Nie mógł powtórzyć wczesnych wyników obiecujących sukces. Zanim pozwoli sobie na jakiegokolwiek dalsze konkluzje, musi przeprowadzić kolejne szczegółowe testy.

- Przełom pojawi się z czasem - powiedział. - Wielu ludzi pracuje nad tym zagadnieniem.

- Co pan sądzi o Nicholasie Spencerze? - spytał Ken Page.

Doktor Celtavini poszarzał na twarzy.

- Przychodząc do Gen-stone, szczyciłem się nienaganną reputacją zdobytą w ciągu czterdziestu lat pracy. Teraz jestem postrzegany jako osoba zamieszana w upadek tej spółki. Moja odpowiedź brzmi: gardzę Nicholasem Spencerem.

* * *

Ken poszedł do laboratorium z doktorem Celtavinim, a Don i ja wynieśliśmy się z Gen-stone na dobre. Don był umówiony z akcjonariuszami spółki na Manhattanie. Ja zamierzałam pojechać do Caspien w Connecticut, miasteczka, gdzie dorastał Nicholas Spencer. Zgodziliśmy się, że aby przedstawić tę historię, zanim ostygnie, musimy działać szybko.

Mimo to skręciłam na północ, zamiast na południe. Nieprzezwyciężona ciekawość kazała mi pojechać do Bedford, aby na własne oczy zobaczyć zniszczenia dokonane przez ogień, który omal nie zabił Lynn.

Ned zdawał sobie sprawę, że doktor Ryan potraktował go z pewnym zaciekawieniem.

Dlatego właśnie bał się wrócić do szpitala. Tyle tylko, że wrócić musiał. Musiał dotrzeć do pokoju, w którym leżała Lynn Spencer.

Jeśli mu się uda, może przestanie wciąż widzieć Annie w chwili, gdy nie mogła się wydostać z płonącego samochodu. Chciał zobaczyć ten sam grymas na twarzy Lynn Spencer.

Wywiad z tą jej siostrą, przybraną czy nie, był puszczały przedwczoraj w wiadomościach o szóstej, a potem o dwudziestej trzeciej. „Lynn bardzo cierpi” - powiedziała smutnym głosem. Co oznaczało: „trzeba jej współczuć”. Nie jej wina, że twoja żona nie żyje. Ona razem z mężem chciała was po prostu oszukać. Tylko tyle.

Annie. Jeżeli już udawało mu się zasnąć, zawsze o niej śnił. Czasami były to miłe sny.

Znajdowali się razem w Greenwood Lake, czas zatrzymał się w miejscu piętnaście lat temu. Nie jeździli tam za życia jego matki. Mama nie lubiła gości. Ale kiedy umarła, odziedziczył po niej dom, a Annie bardzo się cieszyła.

- Nigdy nie miałam własnego domu. Urządzą go tak, że nie będzie na świecie miłszego miejsca, mówię ci, Ned, zobaczysz.

I rzeczywiście. Domek był nieduży, miał tylko cztery pokoje, ale z czasem Annie odłożyła tyle, że starczyło na nowe szafki do kuchni i opłacenie człowieka, który je zmontował. W następnym roku zaoszczędziła na nowy sedes i umywalkę. Kazała Nedowi pościągać stare tapety i razem pomalowali dom - w środku i od zewnątrz. Kupili nowe okna od tego gościa, co się cały czas reklamuje w CBS, że tańszych nie ma nikt. No i w dodatku Annie miała swój ukochany ogródek. Stale wracał myślą do czasu, gdy razem pracowali nad domkiem, kiedy go malowali. Śnił o tym, jak Annie wieszala zasłony, a potem odsuwała się od okna i mówiła, że pięknie wyglądają. Myślał o wspólnych weekendach. Jeździli tam w każdy weekend od maja do października.

Ogrzewali dom jedynie dwoma elektrycznymi grzejnikami, więc nie mogli mieszkać w nim zimą.

Annie planowała, że kiedy już odejdzie na emeryturę, będzie miała odłożone tyle, że wystarczy na centralne ogrzewanie. I wtedy będą mogli tam mieszkać przez cały rok.

W październiku zeszłego roku sprzedał dom sąsiadowi, który chciał powiększyć swoją działkę. Nie wziął dużo, bo zgodnie z nowym prawem miejskim nie była to działka budowlana.

Wszystko jedno, Ned i tak wiedział, że każdy dolar włożony w Gen-stone przyniesie mu fortunę.

Nie powiedział Annie, że sprzedaje dom. Nie chciał, żeby go odwiodła od tego pomysłu. Aż którejś zimowej soboty, w lutym, kiedy był w pracy, ona postanowiła przejechać się do Greenwood Lake. A tam domu już nie było. Wróciła i tłukła go pięściami po piersiach i nie uspokoiła się nawet wtedy, gdy ją zawiózł do Bedford, żeby jej pokazać, jak pięknie będzie mieszkała już wkrótce.

Ned żałował bardzo, że Nicholas Spencer nie żyje. Wolałby sam go zabić.

Gdybym go nie posłuchał, myślał, Annie wciąż byłaby przy mnie.

Aż nagle, zeszłej nocy, gdy znów nie mógł zasnąć, pokazała mu się Annie. Kazała mu iść do szpitala do doktora Greene'a.

- Potrzebne ci lekarstwo, Ned - powiedziała. - Doktor Greene ci je da.

Jeśli mu się uda zapisać do doktora Greene'a, pójdzie do szpitala i nikt nie będzie się dziwił, że go tam widzi. Dowie się, gdzie znaleźć Lynn Spencer, i pójdzie do jej pokoju. A zanim ją zabije, opowie jej wszystko o Annie.

Nie zamierzałam tego dnia odwiedzać Lynn, ale minąwszy szerniałe ruiny, które tak niedawno były jej domem w Bedford, zdałam sobie sprawę, że jestem raptem dziesięć minut od szpitala. Postanowiłam tam zajrzeć. Przyznam się szczerze: widziałam zdjęcia tego pięknego domu i teraz widok zwęglonych ścian wzbudził we mnie przekonanie, że Lynn przeżyła cudem. Tamtej nocy w garażu oprócz jej samochodu stały jeszcze dwa inne. Gdyby strażak nie zwrócił uwagi na czerwonego fiata, gdyby o niego nie zapytał, Lynn byłaby już martwa.

Miała dużo szczęścia.

Więcej niż jej mąż, pomyślałam, zatrzymując się na szpitalnym parkingu.

Dzisiaj nie musiałam się obawiać, że wpadnę na kamerzystów. W obecnym świecie, gdzie wydarzenia gonią jedno za drugim z zawrotną szybkością, historia Lynn była już przestarzała. Jej bliskie spotkanie ze śmiercią mogło ponownie wzbudzić zainteresowanie jedynie wówczas, gdyby kogoś aresztowano za podłożenie ognia albo gdyby się okazało, że Lynn była wplątana w okradanie Gen-stone.

Odebrałam plakietkę gościa i zostałam skierowana na najwyższe piętro. Gdy wyszłam z windy, natychmiast zdałam sobie sprawę, że jestem w miejscu przeznaczonym dla pacjentów z dużą forszą. Korytarz wyłożony był dywanem, a wolne pokoje, które minęłam po drodze, spokojnie mogłyby się znajdować w pięciogwiazdkowym hotelu.

Przyszło mi do głowy, że powinnam była zadzwonić. Nie zrobiłam tego, bo w pamięci został mi obraz Lynn sprzed dwóch dni: cierpiącej, z przewodami tlenowymi w nozdrzach, z zabandażowanymi rękami i stopami... żałośnie wdzięcznej, że przyszłam się z nią zobaczyć.

Drzwi pokoju były uchylone. Zajrzałam i zawahałam się w progu, bo Lynn rozmawiała przez telefon. Leżała na otomanie pod oknem i wyglądała zupełnie, ale to zupełnie inaczej niż we wtorek. Przewody tlenowe zniknęły. Bandaże na dłoniach i stopach były znacznie cieńsze. Zamiast

białej szpitalnej koszuli miała na sobie bladozielony atłasowy szlafroczek, a włosy zostały upięte w nienaganny kok.

- Ja też cię kocham - usłyszałam.

Jakoś wyczuła moją obecność, bo zamykając klapkę telefonu komórkowego, obróciła się w moją stronę. Co zobaczyłam na jej twarzy? Zaskoczenie? A może przez ułamek sekundy wydawała się zaniepokojona, a nawet przestraszona?

Zaraz jednak uśmiechnęła się promiennie.

- Carley, jak miło, że zajrzałaś - powitała mnie ciepło. - Właśnie rozmawiałam z tatusiem.

Nie potrafię go przekonać, że naprawdę nic mi nie jest.

Podeszłam do niej, ponieważ uświadamiając sobie, że raczej nie powinnam jej podawać ręki, wobec czego niezgrabnie poklepałam ją po ramieniu i usiadłam na dwuosobowej kanapie naprzeciwko. Na stoliku, na toalecie i szafce nocnej stały kwiaty. Żaden z tych bukietów nie należał do tych, które kupuje się w pośpiechu w szpitalnym holu. Jak wszystko inne wokół Lynn - były drogie.

Zezłościłam się na siebie, bo miałam wrażenie, że Lynn pozbawiła mnie pewności siebie.

Przez chwilę jak gdybym oczekiwała, że to ona ustali nastrój wizyty. Przy naszym pierwszym spotkaniu, na Florydzie, była łaskawą damą. Przedwczoraj - słabą kobietą wzbudzającą współczucie. A dzisiaj?

- Carley, nie wiem, jak ci dziękować za twoje słowa podczas wywiadu.

- Powiedziałam tylko, że cierpisz i że cudem uszłaś z życiem.

- Zadzwoń do mnie kilkoro przyjaciół, którzy przestali się do mnie odzywać po zniknięciu Nicka. Podejrzewam, że po obejrzeniu wywiadu zdali sobie sprawę, że padłam ofiarą oszustwa tak samo jak oni.

- Lynn, co teraz myślisz o swoim mężu? - Musiałam zadać to pytanie. Właściwie po to tutaj

przyszłam.

Spojrzała w dal nad moim ramieniem. Twarz jej stężała. Splotła palce i zacisnęła dłonie, ale zaraz się skrzywiła i rozłożyła ręce.

- Wszystko stało się tak szybko... Katastrofa lotnicza... Trudno mi uwierzyć w śmierć Nicka.

Był kwintesencją życia. Poznałaś go, więc na pewno wiesz, co mam na myśli. Wierzyłam mu. Był dla mnie człowiekiem pełnym ideałów. Mówił mi: „Lynn, pokonam raka, ale to dopiero początek.

Kiedy widzę te wszystkie dzieci, które urodziły się głuche, niewidome albo z rozszczepem kręgosłupa, a wiem, jak blisko jesteśmy zapobieganiu takim defektom, szlag mnie trafia, że jeszcze nie skończyliśmy badań nad tą szczepionką”.

Spotkałam Nicholasa Spencera tylko raz, ale wiele razy widywałam go w telewizji.

Świadomie czy nieświadomie Lynn naśladowała charakterystyczną nutę jego głosu, ową potężną pasję, która zrobiła na mnie tak ogromne wrażenie.

Wzruszyła ramionami.

- Teraz mogę się tylko zastanawiać, czy moje całe życie z tym człowiekiem nie było przypadkiem jednym wielkim oszustwem. Czy nie ożenił się ze mną wyłącznie po to, by zyskać dostęp do ludzi, do których inaczej nie mógłby się zbliżyć.

- Jak się poznaliście?

- W firmie public relations, w której pracowałam. Obsługiwaliśmy wyłącznie klientów z najwyższej półki. Chciał rozpocząć kampanię reklamową, zawiadomić świat o testowanej szczepionce. Potem zaczęliśmy się spotykać prywatnie. Wiedziałam, że jestem podobna do jego zmarłej żony. Popatrz, jak to człowiek nigdy nie wie... Nawet mój tata stracił oszczędności na emeryturę, bo uwierzył Nickowi. Jeżeli Nick z premedytacją oszukał mojego tatę i tych wszystkich ludzi, którzy stracili pieniądze, to człowiek, którego pokochałam, w ogóle nie istniał. - Zamilkła na chwilę. - Wczoraj odwiedziło mnie dwóch członków zarządu. Im więcej się dowiaduję, tym

bardziej nie mogę się pozbyć myśli, że Nick był bardzo sprytnym oszustem.

Uznałam, że najwyższy czas zawiadomić ją o moim zawodowym zleceniu, więc powiedziałam o zbieraniu materiałów dla „Wall Street Weekly”.

- Musimy się z tym śpieszyć - zakończyłam.

- Najwyższy czas odkryć prawdę.

Zadzwonił telefon stojący przy łóżku. Podałam Lynn słuchawkę. Ujęła ją w czubki palców, chwilę milczała skupiona, potem ciężko westchnęła.

- Tak, mogą przyjść - oddała mi telefon. - Dwóch policjantów z wydziału dochodzeniowego w Bedford chce ze mną porozmawiać na temat pożaru. Nie będę cię zatrzymywała.

Chętnie uczestniczyłabym w tym spotkaniu, ale zostałam grzecznie wyproszona. Odłożyłam słuchawkę i wzięłam do ręki torebkę. Nagle coś jeszcze przyszło mi do głowy.

- Jutro jadę do Caspian.

- Dokąd?

- Do rodzinnego miasteczka Nicka. Czy znasz kogoś, z kim szczególnie powinnam tam porozmawiać? Czy Nick wspominał o przyjaciółach z młodych lat?

Jakiś czas myślała nad moim pytaniem, wreszcie pokręciła głową.

- Nikogo takiego sobie nie przypominam. - Podniosła wzrok na kogoś za moimi plecami i gwałtownie nabrała tchu ze strachu.

Spojrzałam i ja, ciekawa, co ją tak wystraszyło.

W drzwiach stał jakiś łysiejący mężczyzna. Jedną rękę schował pod kurtkę, drugą trzymał w kieszeni. Cerę miał bladą, policzki zapadnięte. Wyglądał na chorego. Kilka chwil patrzył na nas obie, potem spojrzał w głąb korytarza.

- Przepraszam, chyba pomyliłem piętra - mruknął i zniknął.

W następnej chwili na progu pojawiło się dwóch policjantów, a ja wyszłam.

W drodze do domu usłyszałam przez radio, że policja przesłuchuje mężczyznę podejrzanego o podłożenie ognia pod dom Nicholasa Spencera w Bedford, określanego teraz jako zaginiony lub zmarły dyrektor wykonawczy spółki Gen-stone.

Ku swemu przerażeniu dowiedziałam się, że owym podejrzanym jest mężczyzna, który nie powstrzymał wybuchu gniewu na poniedziałkowym spotkaniu akcjonariuszy w Grand Hyatt Hotel na Manhattanie. Był to trzydziestosześcioletni Marty Bikorsky, mieszkaniec White Plains, zatrudniony na stacji benzynowej w Mount Kisco, miasteczku sąsiadującym z Bedford. We wtorek po południu w szpitalu Świętej Anny opatrywano mu poparzenie prawej ręki.

Bikorsky twierdził, że w noc pożaru pracował do dwudziestej trzeciej, potem wyskoczył z kilkoma kolegami na piwo i około dwudziestej czwartej trzydzieści spał jak zabity we własnym łóżku. W toku śledztwa przyznał, że w barze rozmawiał o posiadłości Spencerów w Bedford. Padło z jego ust stwierdzenie, że ucieszyłby się, gdyby ich rezydencja poszła z dymem, a nawet byłby gotów sam ten dom podpalić.

Jego żona potwierdziła zeznanie w szczegółach dotyczących powrotu do domu, ale przyznała także, iż o trzeciej nad ranem, gdy się obudziła, męża przy niej nie było. Nie zdziwiła jej ta nieobecność, ponieważ Bikorsky źle sypiał i potrafił w środku nocy, włożywszy kurtkę na piżamę, wychodzić na ganek na papierosa. Szybko zasnęła ponownie i obudziła się dopiero około siódmej. O tej porze mąż był już w kuchni, dłoń miał poparzoną. Wyjaśnił, że dotknął rozgrzanego palnika, ścierając rozlane kakao.

Powiedziałam śledczemu z biura prokuratora, Jasonowi Knowlesowi, że moim zdaniem Marty Bikorsky nie miał nic wspólnego z podpaleniem i że na spotkaniu akcjonariuszy zrobił na mnie wrażenie człowieka zrozpaczonego, a nie pałającego żądzą zemsty. Teraz zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie zatraciłam instynktu koniecznego w pracy dziennikarskiej. W

końcu jednak zdecydowałam, że niezależnie od tego, jak bardzo fakty zdawały się wskazywać na winę Bikorsky'ego, będę obstawała przy swoim.

Coś ciągle nie dawało mi spokoju, a nie do końca wiedziałam co. Wreszcie zrozumiałam: chodziło o twarz mężczyzny, który przez chwilę zaglądał do szpitalnego pokoju Lynn. Już go gdzieś widziałam. Tak. We wtorek, kiedy otoczyli mnie reporterzy, stał przed szpitalem. Biedak. Wyglądał na zdruzgotanego. Może ktoś z jego bliskich jest ciężko chory.

* * *

Tego wieczora umówiłam się na kolację z Gwen Harkins u Neary'ego przy Wschodniej Pięćdziesiątej Siódmej. W szczenięcych latach mieszkaliśmy po sąsiedzku w Ridgewood. Razem chodziłyśmy do podstawówki i do gimnazjum. Potem, na etapie college'u, nasze drogi się rozeszły; ona wyjechała na południe, do Georgetown, a ja w przeciwną stronę, do Bostonu. Natomiast praktyki w Londynie i Florencji odbywałyśmy razem. Kiedy wychodziłam za mąż za wcielenie męskich cnót, została moją pierwszą druhną, a potem, gdy mój synek umarł, a wcielenie męskich cnót dało nogę do Kalifornii, stale mnie gdzieś wyciągała.

Gwen jest rudowłosa, słusznego wzrostu i na dodatek zwykle nosi wysokie obcasy. We dwie na pewno stanowimy intrygujący widok. Ja jestem żywym dowodem na prawdziwość stwierdzenia, że co Bóg złączył, Nowy Jork może rozłączyć, ona natomiast miała paru chłopaków, ale żaden z nich nie doprowadził jej do stanu, w którym dziewczyna ma ochotę przykleić sobie komórkę do ucha, żeby na pewno nie przegapić telefonu od tego jedyne. Jej matka, w duecie z moją, zapewniają stale, iż któregoś dnia trafi na właściwego faceta. Gwen jest prawnikiem w jednej z większych firm farmaceutycznych; nie kryję, że zapraszając ją na kolację u Neary'ego, miałam ku temu dwa powody.

Pierwszy to oczywiście chęć spotkania się z przyjaciółką, bo zawsze miło nam się razem gawędzi. Drugi natomiast to fakt, że chciałam ją wypytać na temat Gen-stone i posłuchać, co mają

na ten temat do powiedzenia ludzie z branży farmaceutycznej.

U Neary'ego było jak zwykle tłoczno. Ta knajpka stała się dla wielu ludzi domem z dala od domu. Nigdy nie wiadomo, jaka sława czy polityk usiądzie akurat przy narożnym stoliku.

Jimmy Neary podszedł do nas na chwilę. Gwen popijała czerwone wino, a ja opowiedziałam mu o nowej pracy.

Słuchał mnie uważnie. Kiedy skończyłam, powiedział:

- Nick Spencer zaglądał tu czasem. Wyglądał na równego gościa. No cóż, nigdy nie wiadomo. - Ruchem głowy wskazał dwóch mężczyzn stojących przy barze. - Tamci też utopili pieniądze w Gen-stone, a skądinąd wiem, że nie mogą sobie na taką stratę pozwolić. Obaj mają dzieciaki w college'u.

Gwen zamówiła okonia. Ja natomiast poprosiłam o swoje ulubione danko na pocieszenie: stek a la kanapka i frytki. Wróciłyśmy do rozmowy.

- Dzisiaj ja stawiam - oznajmiłam. - Muszę cię wyeksploatować umysłowo. Powiedz mi, jakim cudem Nick zyskał takie uznanie, jeżeli jego szczepionka była jednym wielkim oszustwem.

Gwen leciutko wzruszyła ramionami. Jako doskonały prawnik nigdy nie odpowiadała na pytanie wprost.

- Carley, odkrycia w branży farmaceutycznej zdarzają się praktycznie dzień w dzień.

Porównajmy to z rozwojem transportu. Aż do dziewiętnastego wieku ludzie przemieszczali się dzięki koniom. Albo w powozach, albo w siodle. Pociąg i samochód, wielkie wynalazki, pozwoliły światu poruszać się szybciej. W dwudziestym wieku mamy już samoloty śmigłowe, potem odrzutowce, wreszcie maszyny latające z prędkością ponaddźwiękową, no i statki kosmiczne.

Podobne przyśpieszenie rozwoju można zauważyć także w laboratoriach medycznych. Sama pomyśl. Aspirynę odkryto pod koniec lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Wcześniej ludziom cierpiącym na ból głowy puszczano krew. Weźmy ospę. Szczepionka liczy sobie dopiero

osiemdziesiąt lat, a tam, gdzie się pojawiała, definitywnie usuwała chorobę. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu mieliśmy epidemię polio. Teraz już są szczepionki. Można tak wymieniać bez końca.

- Na przykład odkrycie DNA?

- Właśnie. Nie zapomnij, że to odkrycie odegrało co najmniej podwójną rolę: DNA zrewolucjonizowało nie tylko medycynę, pozwalając na przewidywanie chorób dziedzicznych, ale także system prawny.

Pomyślałam o więźniach, którzy uniknęli kary śmierci, ponieważ ich DNA dowiodło, że nie popełnili zarzucanej zbrodni. Gwen jeszcze nie skończyła.

- Czytałaś na pewno różne powieści, w których porwane dziecko wraca do domu po trzydziestu latach, staje w drzwiach i mówi: „To ja, mamusiu”. Dzisiaj już nie ma znaczenia, czy ktoś jest mniej więcej podobny do kogoś z rodziny. Testy DNA rozstrzygają wszelkie wątpliwości. Dostałyśmy zamówione dania. Gwen zjadła kilka kawałków ryby.

- Widzisz, Carley - podjęła po chwili - w zasadzie nie wiem, czy Nick Spencer był szarlatanem czy geniuszem. O ile mi wiadomo, niektóre spośród wczesnych wyników prac nad szczepionką na raka wydawały się, według prasy medycznej, wyjątkowo obiecujące, ale z drugiej strony, można założyć, że w końcu nie udało się zweryfikować tych osiągnięć. Wówczas oczywiście Spencer zniknął i okazuje się, że okradał spółkę.

- Miałaś okazję go poznać?

- Widywałam go w większej grupie, na niektórych seminariach medycznych. Robił wrażenie, to prawda, ale wiesz co? Teraz, kiedy wiem, że okradł ludzi, którzy wcale nie spali na pieniądzech, a w dodatku odebrał nadzieję wszystkim tym, którzy uwierzyli w reklamowany przez niego specyfik, jakoś nie mogę wskrzesić w sobie ani krzty współczucia dla tego człowieka. Nawet jeśli rzeczywiście zginął w samolocie. Jeśli o mnie chodzi, dostał to, na co zasłużył.

Connecticut to piękny stan. Akurat kiedy dorastałam, mieszkali tu kuzyni mojego ojca, więc przyjeżdżaliśmy do nich w odwiedziny. Wtedy sądziłam, że wszystkie miejscowości tutaj wyglądają jak ekskluzywne Darien. Tymczasem w Connecticut, jak w każdym innym stanie, są także skromne miasteczka klasy pracującej.

Następnego ranka, gdy dotarłam do Caspien, oddalonego od Bridgeport o jakieś dwadzieścia pięć kilometrów, znalazłam się właśnie w takim miasteczku.

Podróż nie trwała długo, trochę ponad godzinę. Wyjechałam z garażu o dziewiątej, a o dziesiątej dwadzieścia minęłam tablicę z napisem: „Witamy w Caspien”. Tablica była drewniana, ozdobiona wizerunkiem uczestnika wojny o niepodległość, trzymającego muszkiet.

Najpierw pojeździłam trochę po mieście, żeby się z nim zapoznać. Większość budynków wyglądała jak żywcem przeniesiona z Cape Cod, o nieregularnie dodawanych kolejnych piętrach. Pochodziły z połowy lat pięćdziesiątych. Wiele z nich rozbudowano, widziałam wyraźnie, gdzie kolejne pokolenie zastępowało pierwszych właścicieli, weteranów drugiej wojny światowej. W zatoczkach parkingowych i przy bocznych drzwiach często leżały skateboardy, stały rowery.

Większość samochodów zaparkowanych na podjazdach stanowiły minivany i przestronne sedany.

Rodzinne miasteczko. Prawie wszystkie domy doskonale utrzymane. Jak w każdym mieście tak i tutaj znajdowały się działnice z większymi posesjami i obszerniejszymi budynkami. Na próżno by jednak szukać wystawnych rezydencji. Doszłam do wniosku, że kiedy mieszkańcom Caspien zaczyna się powodzić lepiej, wystawiają tabliczkę z napisem „na sprzedaż” i przeprowadzają się do jakiejś bardziej ekskluzywnej pobliskiej enklawy, na przykład do Greenwich, Westport lub Darien.

Jechałam sobie wolno Main Street przez centrum Caspien. Na przestrzeni czterech przecznic napotkałam pełen przekrój małomiasteczkowych firm: Gap, J. Crew, zastawy stołowe, sklep z meblami, poczta, ładny zakład fryzjerski, lokal sieci pizzerii, kilka restauracji oraz zakład

ubezpieczeń. Wjechałam w jedną i drugą boczną ulicę. Na Elm Street znalazłam zakład pogrzebowy i centrum handlowe, składające się z supermarketu, pralni chemicznej, sklepu monopolowego oraz kina. Na Hickory Street dostrzegłam sympatyczną knajpkę, tuż obok piętrowego budynku z tablicą „Caspien Town Journal”.

Odszukałam na mapie Winslow Terrace, ulicę, przy której pod numerem siedemdziesiąt jeden stał rodzinny dom Spencerów. Odchodziła od Main Street, trafiłam bez kłopotu. Dom był obszerny, z gankiem, pochodził zapewne z przełomu wieków. Sama wyrastałam w podobnym. Dostrzegłam tabliczkę z napisem: „Philip Broderick, lekarz”. Ciekawe, czy pan Broderick mieszkał na piętrze, w mieszkaniu, które kiedyś zajmowała rodzina Spencerów.

Nicholas Spencer malował w czasie wywiadów idylliczny obrazek swojego dzieciństwa.

„Nie wolno mi było przeszkadzać ojcu, gdy przyjmował pacjentów, ale zawsze miałem błogą świadomość, że znajduje się właściwie na wyciągnięcie ręki”.

Zamierzałam odwiedzić doktora Philipa Brodericka, ale jeszcze nie teraz. Na razie wróciłam do budynku, w którym mieściła się redakcja „Caspien Town Journal”, zaparkowałam przy krawężniku i weszłam do środka.

Siedząca w recepcji kobieta wyjątkowo ciężkiego kalibru była tak pochłonięta czymś, co znalazła w Internecie, że przestraszyła się dźwięku otwierania drzwi. Bardzo szybko jednak odzyskała panowanie nad sobą, z sympatycznym wyrazem twarzy powitała mnie pogodnym „dzień dobry” i zapytała, w czym może mi pomóc. Wielkie szkła bez oprawek powiększały jej jasnoniebieskie oczy.

Zamiast przedstawiać się jako reporterka „Wall Street Weekly”, postanowiłam zwyczajnie poprosić o ostatnie wydania gazety. Samolot Spencera rozbił się prawie trzy tygodnie temu. Skandal dotyczący defraudacji w spółce i niewypału ze szczepionką miał dwa tygodnie. Podejrzewałam, że miejscowe czasopismo oba wydarzenia zgłębiło do samego dna.

Kobieta wykazała się zdumiewającym brakiem zainteresowania co do powodów mojej prośby. Zniknęła gdzieś w korytarzu i po chwili wróciła z egzemplarzami z ostatnich tygodni. Zapłaciłam za nie całe trzy dolary, wetknęłam pod pachę i poszłam do knajpki obok. Na śniadanie zjadłam pół drożdżówki, którą popiłam rozpuszczalną kawą. Uznałam, że jakaś kolejna bułeczka, ale tym razem podlana prawdziwą kawą, będzie doskonałym „pośniadaniem”, jak mawiają moi brytyjscy przyjaciele o przekąsce połkniętej w czasie przedpołudniowej przerwy na kawę czy herbatę.

Wnętrze było nieduże i przytulne, talerze i zasłony miały ten sam odcień czerwieni, a na ścianie za barem wisiały zdjęcia kwok z pisklętami. Dwóch mężczyzn pod osiemdziesiątkę właśnie szykowało się do wyjścia. Kelnerka, prawdziwa kulka rtęci, sprzątała ich stolik.

Słyszając otwierające się drzwi, podniosła głowę.

- Proszę sobie wybrać stolik - zachęciła mnie z uśmiechem. - Od wschodu, zachodu, północy albo południa.

Plakietka przypięta na jej fartuszkach zachęcała: „Mów mi Milly”. Oceniałam, że kobieta jest w wieku mojej mamy, tyle że moja mama nie miała tak ogniste rudy włosy.

Poszłam w stronę zacisznego boksu w zaokrąglonym rogu, gdzie mogłam spokojnie rozłożyć się z gazetami. Zanim usiadłam, Milly już była przy mnie, z bloczkiem w dłoniach.

Chwilę później dostałam precel i gorącą kawę.

Samolot Spencera rozbił się czwartego kwietnia. Najstarsza z gazet, które miałam przed sobą, była z dziewiątego kwietnia. Na pierwszej stronie znajdowało się zdjęcie Nicka, opatrzone podpisem: „Nasz Nicholas Spencer nie żyje”.

Artykuł można by nazwać odą ku pamięci małomiasteczkowego chłopca, któremu się powiodło. Zdjęcie było całkiem aktualne. Zostało zrobione piętnastego lutego, gdy Spencer odbierał przyznany mu w tym mieście medal „Zasłużonego Obywatela”. Dokonałam w myślach paru

obliczeń: od piętnastego lutego do czwartego kwietnia... W dniu odbierania medalu Nicholas Spencer miał przed sobą jeszcze czterdzieści siedem dni ziemskiego żywota. Często się zastanawiałam, czy ludzie zdają sobie sprawę z tego, że ich czas dobiega końca. Mój ojciec chyba wiedział. Tamtego ranka, osiem lat temu, wyszedł na spacer jak zwykle, ale mama mówiła, że przy drzwiach się zawahał, w końcu wrócił i pocałował ją w czubek głowy. Trzy przecznice dalej dostał ataku serca. Lekarz powiedział, że był martwy, zanim upadł.

Nicholas Spencer na zdjęciu uśmiechał się szeroko, ale spojrzenie miał melancholijne - może nawet zaniepokojone?

Pierwsze cztery strony gazety traktowały wyłącznie o nim. Zamieszczono jego zdjęcia jako ośmiolatka, grającego w małej lidze. Był miotaczem w Tygrysach z Caspien. Na innym zdjęciu Spencer, mniej więcej dziesięcioletni, znajdował się razem z ojcem w laboratorium. W gimnazjum pływał w uczniowskim klubie sportowym - zobaczyłam go pozującego z trofeum w dłoniach. Na następnej fotografii stał w szekspirowskim kostiumie, trzymając w rękach coś, co przypominało z wyglądu Oscara - zdobył tytuł najlepszego aktora z przedstawienia ostatnich klas.

Na widok zdjęcia Spencera z pierwszą żoną, zrobionego dwanaście lat temu, w dniu ślubu, mało się nie zakrztusiłam. Janet Barlowe Spencer z Greenwich była szczupłą blondynką o delikatnych rysach. Stwierdzenie, że wyglądała jak bliźniaczka Lynn, stanowiłoby zapewne niejaką przesadę, ale bez wątplenia istniało między nimi ogromne podobieństwo. Ciekawe, jak dużą rolę odegrało w małżeństwie Spencera z Lynn.

Zamieszczono wspomnienia żałobne autorstwa kilku miejscowych znakomitości, między innymi prawnika, który uważał się za najlepszego przyjaciela z lat szkolnych zmarłego, nauczyciela, który podkreślał ciągły głód wiedzy Spencera, sąsiadki, wdzięcznej za stałą gotowość do wszelkiej pomocy. Wyjęłam notes i zapisałam ich nazwiska. Podejrzewałam, że jeśli uznam, iż warto z nimi porozmawiać, bez kłopotu znajdę adresy tych ludzi w książce telefonicznej.

Wydanie z kolejnego tygodnia roztrząsało informację, że szczepionka, która miała być cudownym lekiem na raka, okazała się niewypałem. W artykule zauważono także, iż zdaniem wicedyrektora wykonawczego Gen-stone być może pośpieszono się nieco z nagłośnieniem wcześniejszych sukcesów. Zdjęcie Nicka Spencera dołączone do tego felietonu zostało najprawdopodobniej wzięte z oficjalnych archiwów spółki.

W egzemplarzu sprzed pięciu dni znalazłam tę samą fotkę, ale opatrzoną innym podpisem. Tym razem brzmiał on: „Spencer oskarżony o sprzeniewierzenie milionów dolarów”. Artykuł najeżony był słowem „posądzony” odmienianym we wszystkich przypadkach, ale jednocześnie wydawca sugerował, że miasto, zamiast wyróżniać Spencera medalem dla Zasłużonego Obywatela, powinno było raczej przyznać mu Oscara - dla najlepszego aktora.

„Mów mi Milly” zaproponowała mi dolewkę kawy. Przystałam z ochotą. Na widok ułożonych jeden obok drugiego egzemplarzy tygodnika, otwartych na zdjęciach Spencera, w oczach kobiety zapłonęła ciekawość. Postanowiłam dać jej dojść do głosu.

- Znała pani Nicholasa Spencera? - spytałam.

Pokręciła głową.

- Przeniosłam się tutaj dwadzieścia lat temu, on tu już wtedy nie mieszkał. Ale coś pani powiem. Kiedy się okazało, że okradał własną firmę, a z tej całej szczepionki nic nie będzie, mieszkańcy rwali sobie włosy z głowy. Jak dostał ten medal - stuknęła palcem w zdjęcie z wręczenia odznaczenia - dużo ludzi kupiło akcje jego spółki. Gdy dziękował za wyróżnienie, powiedział, że jego lek może być najważniejszym odkryciem od czasu lekarstwa na polio. Oceniał się coraz wyżej, nie ma co. Czyżby chciał po prostu nabrać kolejnych naiwniaków i zgarnąć przed zniknięciem więcej szmalu?

- Tamta kolacja była jednocześnie zbiórką funduszy, sprzedano wszystkie bilety. Trzeba pamiętać, że Spencer był nawet na okładkach czasopism ogólnokrajowych. Ludzie chcieli go

zobaczyć z bliska. Nigdy nie mieszkał tutaj nikt, kogo można by nazwać sławą albo znakomitością.

Słyszałam, że po mowie Spencera zarząd szpitala postanowił znaczną część funduszy przeznaczyć na zakup akcji Gen-stone. A teraz wszyscy na wszystkich są wściekli za te pomysły z medalem i z zaproszeniem tutaj tego człowieka. Miało powstać nowe skrzydło szpitala, medycyna dziecięca i nic z tego. - W prawej ręce trzymała dzbanek z kawą, lewą wsparła na biodrze. - Ja pani powiem: w tym mieście nazwisko Spencer to teraz najgorsze przekleństwo. - Zamilkła na chwilę. - Ale... niech mu ziemia lekka będzie - dodała z ociąganiem. Spojrzała na mnie ciekawie. - Dlaczego on panią tak interesuje? Jest pani z jakiejś gazety?

- Tak - przyznałam.

- Nie pani pierwsza o niego pyta. Byli tu już ludzie z FBI, pytali mnie o jego przyjaciół.

Powiedziałam im, że już nie ma takich.

Zapłaciłam rachunek i dałam Milly swoją wizytówkę.

- Na wypadek gdyby chciała się pani ze mną skontaktować - powiedziałam.

Wsiadłam do samochodu i tym razem pojechałam już prosto na Winslow Terrace siedemdziesiąt jeden.

Czasami mam fart. We wtorki po południu doktor Philip Broderick nie przyjmował chorych. Gdy przyjechałam, piętnaście po dwunastej, właśnie wyszedł ostatni pacjent. Podałam recepcjonistce jedną ze swoich nowiuteńkich wizytówek z „Wall Street Weekly”. Z miną pełną powątpiewania poprosiła mnie, żebym zaczekała, a ona spyta doktora, czy zechce się ze mną zobaczyć. Posłuchałam rady, ściskając kciuki.

Wróciwszy, powiedziała:

- Pan doktor porozmawia z panią.

Była wyraźnie zdziwiona i ja, przyznaję szczerze, też. Pracując jako wolny strzelec, nauczyłam się, że kiedy w grę wchodzi jakiś kontrowersyjny temat, dziennikarz ma takie same szanse uzyskać zgodę na rozmowę, dzwoniąc do czyichś drzwi, jak próbując umówić się na spotkanie przez telefon. A według mojej prywatnej teorii niektórzy ludzie nadal kierują się nawet czymś w rodzaju wrodzonej kurtuazji i mają poczucie, że jeśli już ktoś się pofatygował do nich osobiście, zasługuje przynajmniej na to, by go tolerować, jeżeli już nie powitać z otwartymi ramionami. Ciąg dalszy tej teorii zakłada, że niektórzy ludzie obawiają się, iż jeśli nie wpuszczą cię do środka, choć stoisz na progu, w odwecie możesz ich obsmarować.

Niezależnie od tego, jakie racje kierowały decyzją doktora Brodericka, za chwilę mieliśmy się spotkać.

Pewnie usłyszał moje kroki, bo kiedy weszłam do gabinetu, już wstał. Okazał się wysokim szczupłym mężczyzną po pięćdziesiątce, o gęstych siwych włosach. Powitał mnie grzecznie, ale niespecjalnie wylewnie i od razu przystąpił do rzeczy.

- Będę z panią szczery. Zgodziłem się z panią porozmawiać wyłącznie dlatego, że regularnie czytuję i cenię czasopismo, które pani reprezentuje. Mimo to musi pani zdawać sobie sprawę, że nie jest ani pierwszą, ani nawet dziesiątą przedstawicielką mediów, która chce się ze mną widzieć.

Ciekawe, ile artykułów o Nicku Spencerze ukaże się w najbliższym czasie. Pozostawało mi jedynie mieć nadzieję, że wniosę w naszą zbiorową pracę redakcyjną coś nowego i wartościowego. Miałam jednego asa w rękawie. Krótco podziękowałam lekarzowi, że zgodził się poświęcić mi czas, i od razu przeszłam do sprawy.

- Skoro pan regularnie czyta nasz magazyn, z pewnością zwrócił pan uwagę na fakt, iż kładziemy nacisk na ukazanie prawdy, uciekając od taniej sensacji. Takie właśnie jest moje zadanie, a jednocześnie jestem związana osobiście z ostatnimi wydarzeniami. Dwa lata temu moja owdowiała matka ponownie wyszła za mąż. Moja przybrana siostra, którą znam bardzo powierzchownie, jest żoną Nicholasa Spencera. Teraz przebywa w szpitalu, ponieważ została poparzona po podpaleniu jej domu. Nie wie już, w co ma wierzyć, jeśli chodzi o jej męża, ale chce - i zamierza - poznać prawdę. Każda pomoc, jakiej zechciałby pan udzielić, będzie mile widziana.

- Czytałem o podpaleniu.

W jego głosie usłyszałam ubolewanie, na które miałam nadzieję, choć nie byłam z siebie dumna, że zagrałam na tym uczuciu.

- Czy pan znał Nicholasa Spencera? - zapytałam.

- Znałem jego ojca, doktora Edwarda Spencera. Przyjaźniliśmy się. Podobnie jak jego, tak i mnie interesowała mikrobiologia, więc często zaglądałem tutaj, obserwować jego eksperymenty.

Było to dla mnie fascynujące hobby. Nicholas Spencer, już wtedy absolwent college'u, wyjechał do Nowego Jorku.

- Kiedy widział pan Nicholasa Spencera po raz ostatni?

- Szesnastego lutego, w dzień po zbiórce funduszy.

- Został tu na noc?

- Nie, nie, przyjechał ponownie. Nie spodziewałem się go spotkać. Muszę pani coś wyjaśnić. Nicholas wyrastał w tym domu... wie pani o tym, prawda?

- Tak.

- Jego ojciec zmarł na atak serca dwanaście lat temu, niedługo po ślubie Nicka.

Zaproponowałem, że kupię ich dom. Mojej żonie zawsze się podobał, a i ja potrzebowałem więcej miejsca z powodów zawodowych. Planowałem wtedy korzystać z laboratorium, pociągnąć dalej pewne najwcześniejsze badania, które doktor Spencer zarzucił, uznając, że prowadzą donikąd.

Poprosiłem Nicka, aby zostawił mi kopie notatek ojca. Zostawił mi oryginały. Zabrał późniejszą dokumentację ojcowskich eksperymentów, którą uważał za ciekawą, dającą obiecujące rezultaty. Na pewno wie pani także, iż jego matka jako młoda kobieta zmarła na raka, a celem życia jego ojca stało się wynalezienie leku na tę chorobę.

Przypominam sobie napięcie na twarzy Nicka Spencera, gdy opowiadał mi tę historię.

- Czy wykorzystał pan notatki doktora Spencera? - spytałam.

- W zasadzie nie - odparł Broderick, lekko wzruszając ramionami. - Oto skutek zderzenia teorii z praktyką. Zawsze miałem jakieś inne pilne zajęcia, potem okazało się, że muszę wydzielić dwa nowe gabinety, więc w końcu zlikwidowałem laboratorium. Całą dokumentację złożyłem na strychu, na wypadek gdyby młody Spencer chciał ją odebrać. Zdawało się jednak, że całkowicie o niej zapomniał, aż do dnia po zbiórce funduszy.

- Półtora miesiąca przed śmiercią! Jak pan sądzi, do czego mogły mu być potrzebne te notatki?

Broderick chwilę milczał niezdecydowany.

- Nie wdawał się w żadne wyjaśnienia, toteż trudno mi mieć jakąkolwiek pewność - odezwał się wreszcie. - Z całą pewnością był niespokojny. Może raczej: spięty. Powiedziałem mu, że przyjechał niepotrzebnie, a on zapytał, co mam na myśli.

- Co pan miał na myśli?

- Zeszłej jesieni zjawił się po te papiery ktoś z jego firmy, oczywiście oddałem mu je

wszystkie.

- Jak Nick zareagował na tę wiadomość? - Byłam zaintrygowana.
- Spytał mnie o nazwisko i wygląd człowieka, który się tu zjawił. Nazwiska nie pamiętałem, ale potrafiłem go opisać. Był dobrze ubrany, średniego wzrostu, miał brązowe włosy z rudawym połyskiem. Około czterdziestki.
- Nick domyślił się, o kogo chodzi?
- Tego nie potrafię powiedzieć, ale był wyraźnie rozeźlony. Powiedział: „Mam mniej czasu, niż myślałem” - i odjechał.
- Czy odwiedził kogoś jeszcze?
- Tak przypuszczam. Kiedy godzinę później jechałem do szpitala, minęliśmy się na ulicy.

* * *

Jeszcze niedawno planowałam, że następnym przystankiem będzie szkoła średnia, do której uczęszczał Nick; miałam zamiar przeprowadzić tam zwykłe rozpoznanie terenu, dowiedzieć się, jakim był chłopcem. Tymczasem po rozmowie z doktorem Broderickiem zmieniłam zdanie. Zamierzałam pojechać prosto do Gen-stone, znaleźć faceta z brązowymi włosami o rudawym połysku i zadać mu kilka pytań.

Jeżeli rzeczywiście ktoś taki pracował w Gen-stone, w co mocno wątpiłam.

Po wyjściu ze szpitala Ned wrócił do domu i położył się na kanapie. Chociaż starał się ze wszystkich sił, to jednak zawiódł Annie. Wziął ze sobą benzynę w słoiku, w kieszeni miał długi sznurek, w drugiej zapalniczkę. Wystarczyłaby mu jeszcze jedna chwila, a szpitalny pokój wyglądałby tak samo jak jej dom.

Niestety, akurat wtedy usłyszał stuknięcie drzwi windy i zobaczył gliniarzy z Bedford. Znali go. Na pewno nie dostrzegli jego twarzy, byli za daleko. I dobrze, bo nie chciał, żeby się zaczęli zastanawiać, co robi w szpitalu, skoro Annie już tam nie ma.

Oczywiście zawsze mógł im powiedzieć, że miał spotkanie z doktorem Greene'em i byłaby to szczerą prawdą. Doktor Greene, choć bardzo zajęty, znalazł dla niego czas w przerwie na lunch. Miły z niego człowiek, mimo wszystko. Mimo wszystko, bo tak jak Annie, uważał, że sprzedaż domu w Greenwood Lake należało z nią omówić.

Nie zdradził się doktorowi Greene'owi ze swoim gniewem. Wspomnił tylko o smutku.
- Tęsknię za Annie - powiedział. - Kocham ją.

Doktor Greene nie znał prawdziwej przyczyny jej śmierci. Wiedział, że wypadła z domu jak burza, wskoczyła do samochodu i została staranowana przez śmieciarkę, ale nie wiedział, że wszystko to się wydarzyło, ponieważ była zła na Neda z powodu akcji Gen-stone. Nie miał też pojęcia, że Ned pracował kiedyś u ogrodnika zajmującego się posiadłością Spencera w Bedford i doskonale znał teren.

Dał Nedowi pigułki na uspokojenie i kilka tabletek nasennych.

Dwa proszki na sen połknął od razu po powrocie i zasnął na kanapie. Spał czternaście godzin, aż do jedenastej przed południem w czwartek, ponieważ właśnie wtedy zadzwoniła do drzwi pani Morgan, właścicielka mieszkania. Dwadzieścia lat temu, kiedy wprowadzili się tu z Annie, lokal był własnością jej matki, ale w zeszłym roku ona go przejęła.

Ned jej nie lubił. Była potężnie zbudowana i zawsze miała taki wyraz twarzy, jakby szukała zaczepki. Stał w progu, zagradzając jej wejście, ale i tak zaglądała mu przez ramię, wyraźnie szukając kłopotów.

Odezwała się zadziwiająco niegłośnie i jak na nią, całkiem miło.

- Ned, powinieneś chyba być w pracy o tej porze.

Nie odpowiedział. Nie jej sprawa, że znowu go wywalą z roboty.

- Bardzo mi przykro z powodu Annie, wiesz o tym, prawda?

- Jasne. - Nadal był tak otumaniony środkami nasennymi, że nawet mamrotać było mu trudno.

- Słuchaj, Ned, jest pewien problem. - Całe współczucie gdzieś się ulotniło, teraz rozmawiał z Panią Gospodynią. - Pierwszego czerwca kończy ci się umowa najmu. Mój syn się żeni i musi gdzieś się podziać. Przykro mi, ale sam wiesz, jak to jest. Będzie mieszkał tutaj, musisz zwolnić mieszkanie. Przez wzgląd na Annie możesz w maju mieszkać za darmo.

* * *

Godzinę później ruszył do Greenwood Lake. Niektórzy dawni sąsiedzi dopieszczali gazony. Zatrzymał się przed działką, na której kiedyś stał ich dom. Teraz został tylko trawnik. Zniknęły nawet kwiaty, które Annie sadziła z taką starannością. Stara pani Schafley, sąsiadka z drugiej strony, podlewała mimozy przed domem. Podniosła głowę, a zauważywszy go, zaprosiła na herbatę. Podała ciasto czekoladowe domowej roboty i nawet pamiętała, że lubił do herbaty dużo cukru. Usiadła naprzeciwko.

- Ned, wyglądasz strasznie - powiedziała. - Annie nie byłaby zadowolona. Zawsze pilnowała, abyś chodził zadbane.

- Muszę się wyprowadzić - wypalił. - Właścicielka chce, żeby jej syn tam zamieszkał.

- Dokąd się przeniesiesz?

- Nie wiem. - Ciągle jeszcze walczył ze snem. Nagle coś mu przyszło do głowy. - Niech pani mi wynajmie pokój, póki sobie czegoś nie znajdę.

- Natychmiast dostrzegł w jej oczach odmowę. - Przez wzgląd na Annie - dodał, bo pani Schafley uwielbiała jego żonę. Ale kobieta pokręciła głową przecząco.

- To bez sensu, naprawdę. Nie jesteś specjalnie porządniczy, prawda? Annie zawsze po tobie sprzątała. Domek mam mały, wchodzilibyśmy sobie w drogę.

- Myślałem, że pani mnie lubi. - Ned czuł, jak w gardle zaczyna go dusić gniew.

- Lubię cię, lubię - potwierdziła uspokajającym tonem - ale lubić a mieszkać z kimś to nie to samo. - Zerknęła przez okno. - Patrz, Harry Harnik! - Podbiegła do drzwi i zawołała sąsiada. - Ned zajrzał z wizytą! - krzyknęła.

To Harry Harnik kupił ich dom, bo chciał mieć większą działkę. Gdyby Harry nie wyszedł z tą propozycją, Ned nie sprzedałby mu domu i nie wsadził pieniędzy w tę nieszczęsną spółkę. A teraz Annie nie żyła, dom zniknął z powierzchni ziemi, a jego, Neda, właścicielka mieszkania wyrzucała na bruk. Pani Schafley, która zawsze zachowywała się tak sympatycznie, gdy Annie była w pobliżu, nie chciała mu wynająć pokoju. A Harry Harnik właśnie się pojawił, ze współczującym uśmiechem na twarzy.

- Dopiero niedawno usłyszałem, co się stało z Annie. Bardzo mi przykro, była wyjątkowo miłą kobietą.

- Tak, bardzo miłą - przytaknęła pani Schafley.

Oferta kupna domu, złożona przez Harnika, stała się pierwszym ogniwem w łańcuchu zdarzeń prowadzących do śmierci Annie. Pani Schafley zawołała sąsiada, bo nie chciała być sam na sam z Nodem.

Ona się mnie boi, pomyślał.

Nawet Harnik patrzył na niego jakoś dziwnie.

On też się mnie boi, ocenił Ned.

A właścicielka mieszkania, choć taka groźna, sama zaproponowała mu, żeby mieszkał u niej za darmo przez ostatni miesiąc. Ona także się go bała. Jej syn w życiu się do niej nie wprowadzi, nie mogliby mieszkać pod jednym dachem.

Po prostu chciała się mnie pozbyć, uznał Ned.

Lynn Spencer też się go bała, widział to, kiedy stał w progu jej szpitalnego pokoju. Jej siostra, ta DeCarlo, w czasie wywiadu wcale go nie zauważyła, a wczoraj ledwie na niego spojrzała, ale to się jeszcze zmieni. Ona też nauczy się go bać.

Wzbierała w nim fala gniewu i bólu. Podchodziła do gardła, zmieniając się w poczucie władzy, wszechmocy. Tak samo było, kiedy jako dziecko strzelał do wiewiórek. Harnik, pani Schafley, Lynn Spencer i ta jej siostra - wszyscy są wiewiórkami. Tak właśnie ich potraktuje, pomyślał, tak samo jak wiewiórki.

Potem będzie mógł spokojnie odjechać, a oni będą leżeli, wykrwawiając się na śmierć, tak jak wiewiórki, kiedy był dzieckiem.

Co to on zwykle śpiewał w samochodzie? Ano właśnie: „Pojedziemy na łów”. Tak.

Zaczął się śmiać.

Harry Harnik i pani Schafley patrzyli na niego zdumieni.

- Ned - odezwała się kobieta - bierzesz pigułki, które ci przepisał lekarz?

Uważaj, nie wolno wzbudzić ich podejrzeń, przestrzegł sam siebie. Udało mu się jakoś opanować śmiech.

- Tak, tak, biorę - odpowiedział. - Annie na pewno chciałyby, żebym brał. Zaśmiałem się, bo przypomniałem sobie, jak się rozzłościłeś, Harry, kiedy ściągnąłem do domu ten stary samochód, który chciałem naprawiać.

- To były dwa samochody. Ulica wyglądała wtedy jak złomowisko, na szczęście Annie

przekonała cię, żebyś się ich pozbył.

- Pamiętam, pamiętam. Nie chciałeś, żebym tu ściągał następne wraki, chociaż lubię je remontować. Dlatego kupiłeś nasz dom. I dlatego, kiedy twoja żona chciała zadzwonić do Annie, aby się upewnić, że ona nie ma nic przeciwko sprzedaży, ty jej na to nie pozwoliłeś. A pani też wiedziała, że Annie będzie nieszczęśliwa, jeśli straci dom. Pani też do niej nie zadzwoniła. Nie zrobiliście nic, nie zawiadomiliście jej, bo chcieliście się mnie pozbyć.

Na obu twarzach była wyraźnie wypisana wina: na zawadiackim czerwonym obliczu Harnika i na pomarszczonych policzkach pani Schafley. Możliwe, że lubili Annie, ale nie na tyle, żeby nie spiskować za jej plecami.

Nie zdradź się ze swoimi prawdziwymi uczuciami, ostrzegł siebie ponownie. Bądź ostrożny.

- No, będę leciał - rzucił, wstając. - Ale musicie wiedzieć, oboje, że przejrzałem wasz spisek i mam nadzieję, że usmażycie się w piekle.

Odwrócił się, wyszedł z domu dawnej sąsiadki i ruszył do samochodu. W chwili gdy otwierał drzwiczki, dostrzegł kielik tulipana, torujący sobie drogę ku słońcu w miejscu, gdzie jeszcze nie tak dawno chodniczek prowadził ku domkowi Annie. W wyobraźni bez trudu odszukał jej obraz, wyraźnie widział, jak w zeszłym roku na klęczkach sadiła cebulki.

Podbiegł tam, schylił się, jednym ruchem wyrwał roślinę i wzniosł ją wysoko do nieba. W ten sposób złożył Annie obietnicę zemsty. Lynn Spencer, Carley DeCarlo, właścicielka mieszkania - pani Morgan, Harry Harnik, pani Schafley. A co z żoną Harnika, Bess?

Wsiadł do samochodu i wolno prowadząc, rozważał tę kwestię. W końcu dodał Bess Harnik do listy. Mogła zadzwonić do Annie, tak czy inaczej, uprzedzić ją, co się kroi. Innymi słowy, ona także zasłużyła na śmierć.

Nie miałam pewności, czy przypadkiem nie wchodzę w paradę Kenowi Page'owi, ale wróciłam do Pleasantville, do biura Gen-stone. Musiałam, i to natychmiast. Jadąc autostradą z Connecticut do Westchester, stale rozważałam możliwość, że mężczyzna, który przyszedł po dokumenty doktora Spencera, był z jakiejś agencji detektywistycznej, może nawet wynajętej przez spółkę.

Charles Wallingford w przemówieniu na spotkaniu akcjonariuszy stwierdził, a przynajmniej zasugerował, że zarówno defraudacja, jak i kłopoty ze szczepionką są czymś całkowicie zaskakującym, wręcz wstrząsającym. Tymczasem ładnych parę tygodni przed katastrofą samolotu Spencera ktoś tu się zjawia po starą dokumentację badań. Dlaczego?

„Mam mniej czasu, niż myślałem”. Tak powiedział Nick Spencer doktorowi Broderickowi.

Mniej czasu na co? Na zatarcie śladów? Na zabezpieczenie sobie przyszłości w zupełnie nowym miejscu, z nowym nazwiskiem, a także nową twarzą - i milionami dolarów? Czy może była jakaś zupełnie inna przyczyna? I dlaczego mój umysł bez przerwy jej szukał?

* * *

Tym razem, gdy zjawiłam się w głównej siedzibie spółki, zapytałam o doktora Celtaviniego i podkreśliłam, że sprawa jest pilna. Sekretarka kazała mi zaczekać. Po dobrej minucie oświadczyła, iż doktor Celtavini jest bardzo zajęty, ale przyjmie mnie jego asystentka, doktor Kendall.

Budynek laboratorium znajdował się w głębi, na prawo od biur, prowadził do niego długi korytarz. Przy wejściu strażnik sprawdził zawartość mojej torebki i wskazał mi drogę przez bramkę z wykrywaczem metali. Potem czekałam przy recepcji, aż doktor Kendall po mnie przyjdzie.

Doktor Kendall okazała się kobietą o poważnym wyglądzie i w trudnym do określenia wieku, gdzieś pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym piątym rokiem życia. Miała wysunięty podbródek, nadający twarzy wyraz zdecydowania, oraz gęste proste ciemne włosy.

Zaprowadziła mnie do swojego gabinetu.

- Rozmawiałam wczoraj z doktorem Page'em z waszej gazety - oznajmiła. - Doktor Celtavini i ja poświęciliśmy mu sporo czasu. Odniosłam wrażenie, że udało nam się odpowiedzieć na wszystkie pytania.

- Pozostało jeszcze pytanie, którego Ken Page nie mógł wczoraj zadać, ponieważ jest związane z czymś, o czym ja dowiedziałam się dopiero dzisiaj rano - powiedziałam. - O ile mi wiadomo, zainteresowanie Nicholasa Spencera szczepionką narodziło się w wyniku prac jego ojca w domowym laboratorium.

Pokiwała głową.

- Tak słyszałam.

- Najwcześniejsze notatki doktora Spencera przechowywał na prośbę jego syna, Nicholasa, doktor Broderick, który kupił dom Spencerów w Caspien. Zeszłej jesieni zabrał je ktoś rzekomo przysłany z Gen-stone.

- Dlaczego „rzekomo”? - odezwał się ktoś za moimi plecami.

Odwróciłam się. W drzwiach stał doktor Celtavini.

- Mówię tak, ponieważ według doktora Brodericka Nick Spencer, który sam przyszedł odebrać tę dokumentację, był wyraźnie zaskoczony i zirytowany jej zniknięciem.

Trudno było rozszyfrować wyraz twarzy doktora Celtaviniego. Zaskoczenie? Troska? Czy może coś więcej... jakby smutek? Wiele bym dała za to, żeby móc przez chwilę czytać w jego myślach.

- Zna pani nazwisko tego, kto przejął dokumentację? - spytała doktor Kendall.

- Doktor Broderick go sobie nie przypomina. Opisał mi tego człowieka jako dobrze ubranego mężczyznę o brązowych włosach z rudawym połyskiem, około czterdziestki.

Popatrzyli na siebie. Doktor Celtavini pokręcił głową.

- Nie znam nikogo takiego związanego z laboratorium. Może asystentka Nicka Spencera, Vivian Powers, zdoła pani udzielić jakiejś informacji.

Najchętniej zarzuciłabym doktora Celtaviniego pytaniami. Instynkt podpowiadał mi, że ten mężczyzna toczył walkę z samym sobą. Wczoraj powiedział, że nienawidzi Nicka Spencera nie tylko za jego fałsz i obłudę, ale także dlatego, że przez niego utracił reputację. Nie miałam wątpliwości, że mówił szczerze, ale jednocześnie czułam, że to jeszcze nie wszystko.

- Lauro - odezwał się do doktor Kendall - gdybyśmy chcieli odebrać jakieś dokumenty, to przecież wysłalibyśmy po nie któregoś z naszych gońców.

- Tak przypuszczam, panie doktorze.

- Pani DeCarlo, czy ma pani telefon do doktora Brodericka? Chciałbym z nim porozmawiać.

Podalam mu numer telefonu lekarza.

Zatrzymałam się jeszcze przy ladzie recepcji i upewniłam, że gdyby pan Spencer chciał posłać kogoś po jakieś służbowe dokumenty, prawie na pewno skorzystałby z usług któregoś z trzech gońców zatrudnionych właśnie w tym celu. Zapytałam też, czy mogę się zobaczyć z Vivian Powers, ale miała wolny dzień.

Wychodząc z Gen-stone, byłam pewna przynajmniej jednego: facet z brązowymi włosami o rudawym połysku, który przejął dokumenty starszego Spencera od doktora Brodericka, nie miał do tego upoważnienia.

Pozostawało tylko pytanie, gdzie się podziały notatki. I jakie ważne informacje zawierały, jeżeli przyjmujemy, że istotnie jakieś były.

Nie bardzo wiem, kiedy się zakochałam w Caseyu Dillonie. Przypuszczam, że długie lata temu. Tak naprawdę nazywa się Kevin Curtis Dillon, ale całe życie wszyscy wołali na niego Casey, tak samo jak ja, Marcia, od zawsze byłam Carley. Casey pracuje jako chirurg na ortopedii w szpitalu chirurgii specjalnej. Dawno, dawno temu, gdy jeszcze oboje mieszkaliśmy w Ridgewood, a ja chodziłam do drugiej klasy liceum, zaprosił mnie na bal maturalny. Czułam do niego miętę przez rumianek i właściwie nigdy mi to nie minęło, ale on poszedł do college'u i nie powiedział, kiedy wraca. Ważniak, nie zapomnę mu tego.

Wpadliśmy na siebie jakieś pół roku temu, w jednym z teatrów na off-Broadwayu. Ja byłam sama, on z dziewczyną. Zadzwoił do mnie miesiąc później. Nie ma wątpliwości, że doktor Dillon, przystojny trzydziestosześcioletni chirurg, nie tęsknił zbyt wiele za moim towarzystwem. Od tamtej pory odzywa się od czasu do czasu, ale nie tak znowu często ani regularnie.

Choć bardzo się wystrzegam ponownego złamania serca, muszę przyznać, że uwielbiam towarzystwo Caseya. Dwa miesiące temu przeżyłam prawdziwy wstrząs, kiedy obudzony się w środku nocy, zdałam sobie sprawę, że śniłam o wspólnych zakupach! Wybieraliśmy serwetki koktajlowe na przyjęcie. W wyobraźni całkiem wyraźnie widziałam nasze imiona nakreślone ozdobnymi zawijasami: „Casey i Carley”. Nieprawdopodobne!

Większość naszych spotkań planowaliśmy ze sporym wyprzedzeniem, ale tym razem stało się inaczej. Kiedy po długim dniu, bogatym w wydarzenia, wróciłam do domu, zastałam na sekretarce wiadomość: „Carley, skoczmy coś przekąsić?”.

Wydało mi się to doskonałym pomysłem. Casey mieszkał przy Zachodniej Osiemdziesiątej Piątej, więc często spotykaliśmy się od razu w którejś ze śródmiejskich restauracji. Zadzwoiłam do niego, zostawiłam wiadomość, że się zgadzam, zrobiłam staranne notatki z całego dnia i postanowiłam, że czas najwyższy na gorący prysznic.

Prysznic wymieniano mi już dwa razy, ale to nic nie dało. Nadal prychał raz ciepłą, raz zimną wodą, a takie zmiany temperatury to koszmarne przeżycie. Nie mogłam się powstrzymać od smutnej refleksji, jak miło byłoby zanurzyć się w ciepłych bąbelkach jacuzzi. Zamierzałam wstawić takie cudeńko do własnego mieszkania. Niestety, za sprawą inwestycji w Gen-stone do niebiańskich rozkoszy było mi nadal bardzo daleko.

Casey oddzwonił, kiedy suszyłam włosy. Uznaliśmy, że chińszczyzna w „Shun Lee West” zadowoli nas oboje, i umówiliśmy się tam o ósmej, zakładając, że nie będziemy siedzieli długo. On miał następnego dnia z samego rana operację, a ja musiałam się przygotować na jutrzejsze spotkanie z moimi partnerami z zespołu, wyznaczone na dziewiątą.

Weszłam do „Shun Lee” dokładnie o czasie. Casey wyglądał, jakby czekał na mnie od dłuższej chwili. Czasami sobie pokpiwam, że przy nim zawsze czuję się spóźniona, chociaż można by według mnie regulować zegarek. Zamówiliśmy wino, przejrzelismy jadłospis i po krótkim zastanowieniu wybraliśmy tempurę z krewetkami oraz kurczaka na ostro. A potem zaczęliśmy nadrabiać minione dwa tygodnie.

Pochwaliłam się, że zostałam zatrudniona przez „Wall Street Weekly” - zrobiło to na nim wrażenie. Potem opowiedziałam o zbieraniu materiałów do charakterystyki Nicholasa Spencera. Zaczęłam głośno myśleć, co mi się często zdarza przy Casey.

- Najgorsze, że gniew skierowany na Spencera jest tak osobisty - mówiłam, wbijając zęby w bułeczkę. - Jasne, w końcu chodzi o pieniądze, a dla niektórych nie tylko o nie, dla wielu ludzi to znacznie więcej niż kwestia finansów. Mają poczucie, że zostali zdradzeni.

- Widzieli w nim boga, którzy położy na nich dłonie i przywróci zdrowie im lub choremu dziecku - odpowiedział Casey. - Jestem lekarzem, znam to uczucie, dostrzegam je na twarzy pacjenta uratowanego po ostrym kryzysie. Spencer obiecał uwolnić cały świat od zagrożenia nowotworem. Możliwe, że nie dał sobie rady, kiedy szczepionka okazała się niewypałem.

- Co to znaczy: „nie dał sobie rady”?

- Z jakiegoś powodu zabrał te pieniądze. Szczepionka nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Czekala go niesława i marny koniec za kratkami. Ciekawe, na ile był ubezpieczony. Czy ktoś to sprawdził?

- Na pewno Don Carter się tym zajmie. Jest odpowiedzialny za stronę finansową naszej historii. Możliwe, że już to zrobił. Myślisz, że Nick Spencer celowo spowodował katastrofę lotniczą?

- Nie byłby pierwszy ani ostatni.

- Co prawda, to prawda.

- Carley, laboratoria medyczne to wylęgarnie plotek. Popytałem trochę tu i ówdzie. Od paru miesięcy chodziły słuchy, że ostateczne wyniki w Gen-stone nie są obiecujące.

- Jak sądzisz, czy Spencer o tym wiedział?

- Skoro wiedzieli wszyscy w branży, nie wiem, jak on mógł pozostać w nieświadomości.

Coś ci powiem. Farmaceutyki to miliardowy interes, a Gen-stone nie jest jedyną spółką desperacko szukającą leku na raka. Firma, która go znajdzie, zyska patent wart biliony dolarów. Nie ma co się oszukiwać, inne laboratoria świętują teraz niepowodzenie Spencera. Każdy chce wygrać. Wielkie pieniądze i Nagroda Nobla to bardzo silne bodźce.

- Nie przedstawiasz profesji medycznej w najjaśniejszym świetle, panie doktorze.

- Mówię ci, jak jest. Ten sam mechanizm działa w szpitalach. Walczymy o pacjenta. Pacjent oznacza przychody. Przychody zaś oznaczają, że szpital może się zaopatrzyć w najnowszy sprzęt. Jak przyciągnąć pacjentów? Oferując im usługi najlepszych lekarzy. Jak ci się wydaje, dlaczego sławni lekarze stale zmieniają miejsce pracy? Toczy się o nich ciągła walka. Zawsze tak było.

Przyjaciele ze szpitalnego laboratorium badawczego powiedzieli mi, że w zasadzie stale mają się na baczności przed szpiegami. Kradzież informacji o nowych preparatach to chleb codzienny. A nawet

bez kradzieży wyścig, którego celem jest wynalezienie najlepszego, cudownego leku, trwa dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Z tym właśnie musiał się borykać Nick Spencer.

Obracałam w myślach słowo „szpieg”. Myślałam o obcym mężczyźnie, który zabrał dokumentację od doktora Brodericka. Opowiedziałam o nim Caseyowi.

- Innymi słowy, Nick zabrał notatki swojego ojca dwanaście lat temu, a zeszłej jesieni jakiś bliżej nieokreślony mężczyzna przejął to, co jeszcze zostało. Czy to ci nie nasuwa podejrzenia, że było w nich coś cennego i ktoś doszedł do tego wniosku przed Spencerem?

- „Mam mniej czasu, niż myślałem”... Tyle usłyszał od Spencera doktor Broderick na pożegnanie. Raptem półtora miesiąca przed katastrofą samolotu. Nie daje mi to spokoju.

- Co miał na myśli?

- Nie wiem. Jak ci się wydaje, ile osób mogło wiedzieć, że wczesne notatki jego ojca zostały w domu rodzinnym? Pomyśl, skoro człowiek się przeprowadza i sprzedaje dom, trudno oczekiwać, by nowy właściciel przechowywał jakieś pudła pełne rupieci poprzedniego. Tutaj mamy do czynienia ze szczególnym zbiegiem okoliczności. Doktor Broderick pragnął w wolnym czasie popracować w laboratorium. Powiedział mi, że musiał jednak przerobić je na gabinety.

Podano nam zamówione dania, parujące, pachnące, wyglądające bosko. Zdałam sobie sprawę, że nie jadłam nic od czasu samotnego obwarzanka z kawą w Caspien. No i pomyślawszy o tym, uświadomiłam sobie, że po spotkaniu z Kenem Page'em i Donem Carterem w redakcji będę musiała jeszcze raz pojechać do miasteczka.

Rano byłam zaskoczona, gdy doktor Broderick tak łatwo zgodził się ze mną porozmawiać.

Równie mocno zdumiało mnie, że tak szybko i chętnie wyznał, iż przechowywał notatki doktora Spencera i że zaledwie dwa miesiące temu oddał je posłańcowi, którego nazwiska sobie nie przypominał. Spencer zawsze uważał, że badania jego ojca przyczyniły się do rozwoju Gen-stone.

Zostawił te notatki u Brodericka na jego prośbę. Ten powinien je traktować z najwyższą dbałością.

Może tak właśnie było. Może nie istniał żaden mężczyzna o brązowych włosach z rudawym połyskiem.

- Casey, dobrze mi się przy tobie myśli - powiedziałam, koncentrując się na krewetce. -

Chyba powinieneś być psychologiem.

- Każdy lekarz jest psychologiem. Tylko nie każdy o tym wie.

Jak miło należeć do grona pracowników redakcji „Wall Street Weekly”, mieć własne biurko i własny komputer. Wiem, są ludzie, którzy kochają otwartą przestrzeń i życie w drodze, ale nie ja. Nie żebym nie lubiła podróżować, bo lubię. Robiłam charakterystyki sławnych, a w każdym razie znanych ludzi w Europie, Ameryce Południowej, a nawet w Australii, ale po dwóch tygodniach w dalekim kraju gotowa jestem wracać do domu.

Domem jest dla mnie fantastyczny, cudowny, niezastąpiony, jedyny w swoim rodzaju kawałek świata zwany Manhattanem. Część zachodnia, wschodnia, całość. Uwielbiam spacerować po ulicach w spokojną niedzielę, Kocham czuć potęgę budynków, które moi pradziadkowie ujrzeli, przyjeżdżając do Nowego Jorku. Jedno z Irlandii, drugie z Toskanii.

Wszystko to przeleciało mi przez głowę, gdy rozkładałam na biurku kilka osobistych drobiazgów i przeglądałam notatki, przygotowując się do spotkania w biurze Kena.

W świecie napiętych terminów i zaskakujących wiadomości nie ma czasu do stracenia.

Przywitaliśmy się krótko i zaraz przeszliśmy do sprawy. Ken usiadł za biurkiem. Ubrany był w sweter oraz koszulę bez krawata. Szczerze mówiąc, wyglądał jak emerytowany piłkarz.

- Don, ty pierwszy - zarządził.

Don, niewysoki i schludny, przekartkował notatki.

- Spencer zaczął pracę w Jackman Medical Supply Company, farmaceutycznej spółce dostawczej, czternaście lat temu, po zrobieniu MBA w Cornell. W tym czasie była to firma rodzinna torująca sobie drogę na rynku. Z pomocą teścia wykupił ją od Jackmanów. Osiem lat temu, zakładając Gen-stone, włączył do tej spółki interes dostawczy i wszedł na giełdę, żeby sfinansować badania. Właśnie z tego działu kradł fundusze. Kupił dom w Bedford i apartament w Nowym Jorku - ciągnął Don. - Za dom zapłacił trzy miliony, ale remont i wzrost cen na rynku nieruchomości spowodowały, że przed pożarem posiadłość była warta znacznie więcej. Mieszkanie

nabyto za cztery miliony, urządzenie także trochę kosztowało. Nie jest to jeden z tych astronomicznie kosztownych penthouse'ów czy piętrowych apartamentów, jak twierdzą niektóre czasopisma. Przypadkiem tak się składa, że i dom, i mieszkanie miały hipoteki, które zostały spłacone.

Przypomniałam sobie, jak Lynn powiedziała mi, że musiała mieszkać w domu i mieszkaniu pierwszej żony Nicka.

- Okradanie działu dostaw medycznych zaczęło się rok temu. Półtora roku temu Spencer zaczął pożyczać forszę pod zastaw własnych akcji. Nikt nie wie, dlaczego.

- Wtrącę się tutaj - przerwał mu Ken - żeby zachować chronologię. Od doktora Celtaviniego dowiedziałem się, że w tym właśnie czasie zaczęły się kłopoty w laboratorium. U kolejnych pokoleń myszy, mimo podawania szczepionki, nadal rozwijały się komórki rakowe. Spencer prawdopodobnie zdał sobie sprawę, że domek z kart zaczął się rozpadać i dlatego zaczął okradać firmę. Według pogłosek, spotkanie w Portoryko było tylko krokiem na drodze do ucieczki z kraju. I wtedy szczęście go opuściło.

- Lekarzowi, który kupił dom jego ojca, powiedział, że ma mniej czasu, niż sądził - wtrąciłam swoje trzy grosze. I opowiedziałam im o notatkach, jakie doktor Broderick podobno oddał szatynowi z rudawym odcieniem włosów, rzekomo przysłanemu z biura Spencera. -

Najtrudniej mi uwierzyć w to - przyznałam na koniec - żeby jakikolwiek lekarz przekazał taką dokumentację, nie upewniając się, iż trafia ona we właściwe ręce, albo przynajmniej nie zażądał pisemnego potwierdzenia odbioru.

- Czy może ktoś w firmie zdążył zacząć coś podejrzewać? - zapytał Don.

- Biorąc pod uwagę to, co się działo na spotkaniu akcjonariuszy, najwyraźniej nie - oeniłam. - A doktor Celtavini nie wiedział nawet o istnieniu tej dokumentacji. Jeżeli ktokolwiek byłby zainteresowany wczesnymi eksperymentami mikrobiologa amatora, to tylko ktoś podobny do

niego.

- Czy doktor Broderick powiedział o zaginionej dokumentacji komuś jeszcze? - spytał Ken.

- Wspomniał coś o rozmowie z policjantami. - Nie zadałam mu tego pytania.

- Pewnie odwiedził go ktoś z biura prokuratora. - Don zamknął notatnik. - Próbują wytropić pieniądze, ale podejrzewam, że ta forsa dawno leży na jakimś szwajcarskim koncie.

- Zdaniem policji właśnie tam Spencer miał zamiar uciec? - spytałam.

- Trudno powiedzieć. Wiele jest miejsc, gdzie ludzie z dużymi pieniędzmi witani są z szeroko otwartymi ramionami i nikt nie zadaje im zbędnych pytań. Spencer lubił Europę, mówił płynnie po francusku i niemiecku, więc nie byłoby mu trudno gdzieś tam osiąść.

Przypomniało mi się, co Nick mówił o swoim synu: „Jest dla mnie najważniejszy na świecie”. Czy rzeczywiście miał zamiar opuścić ukochanego syna, uciekając z kraju, do którego nie mógłby nigdy wrócić, bo groziło mu więzienie? Podsunęłam tę kwestię moim partnerom, ale żaden z nich nie dostrzegł tu najmniejszej sprzeczności.

- Przy takich pieniądzach można zafundować dzieciakowi przelot prywatnym samolotem i synek odwiedza tatusia w każdej chwili. Podam ci całą listę ludzi, utrzymujących bardzo bliskie kontakty z rodziną, chociaż nie mogą wrócić do domu. A jak często widywałyby dzieciaka, siedząc za kratkami?

- Pozostaje jeszcze jedna niewiadoma - podsumowałam. - Lynn. Jeśli jej wierzyć, nie brała w tym wszystkim udziału. Czy Nicholas rzeczywiście zamierzał ją zostawić w błogiej nieświadomości i zniknąć? Jakoś nie widzę jej żyjącej na wygnaniu gdzieś w Europie. Ciężko pracowała na aktualną pozycję w elicie towarzyskiej Nowego Jorku. Twierdzi, że została praktycznie bez grosza przy duszy.

- Jej pojęcie o braku gotówki zapewne bardzo się różni od naszego - zauważył z goryczą Don, podnosząc się z miejsca.

- Jeszcze jedno - zatrzymałam go pośpiesznie. - Chciałabym zwrócić uwagę na ważny fakt.

Przejrzałam materiały z konferencji prasowych, zwoływanych z powodu bankructwa spółek.

Zwykle główny nacisk kładzie się na to, na jakim poziomie żył facet oskarżany o kradzież, i najczęściej rzeczywiście taki osobnik ma kilka samolotów, łodzi oraz przynajmniej pięć domów.

Tutaj sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Nie mamy bladego pojęcia, co Nick Spencer robił z pieniędzmi. Chciałabym porozmawiać z ludźmi, z akcjonariuszami Gen-stone, zwłaszcza z tym, który został oskarżony o podłożenie ognia. Nawet jeśli jest winny, w co mocno wątpię, to oszalał z rozpaczy, bo jego córeczka umiera na raka, a na dodatek wkrótce straci dom.

- Dlaczego sądzisz, że jest niewinny? - zainteresował się Don. - Dla mnie wygląda na pewniaka.

- Widziałam go na spotkaniu udziałowców. Praktycznie otarliśmy się o siebie, kiedy wystartował z pretensjami do Lynn.

- I jak długo to trwało? - Don podniósł jedną brew. Chciałabym tak umieć.

- Jakieś dwie minuty, nie więcej - przyznałam. - Ale wszystko jedno, nieważne, czy to on podłożył ogień, czy nie, na pewno jest przykładem tego, co przeżywają prawdziwe ofiary bankructwa Gen-stone.

- Pogadaj z paroma - przyklasnął mi Ken. - Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Dobra, bierzmy się do roboty.

Wróciłam do swojej klitki i przejrzałam notatki o Spencerze. Po katastrofie samolotu wydrukowano w czasopiśmie komentarze bliskich mu osób na temat samego Nicka oraz Gen-stone. Vivian Powers, która pracowała u niego jako sekretarka i asystentka, wychwalała go pod niebiosy. Zadzwoniłam do niej do biura w Pleasantville i trzymałam kciuki, żebym zastała ją w pracy.

Odebrała telefon. Głos miała miły, ale od razu oznajmiła stanowczo, że nie może się zgodzić

na wywiad, ani przez telefon, ani osobiście. Wpadłam jej w słowo, zanim zdążyła odłożyć słuchawkę.

- Proszę pani, pracuję w „Wall Street Weekly”, mam przedstawić charakterystykę Nicholasa Spencera. Będę z panią szczerą. Chciałabym uzyskać jakąś pozytywną opinię, ale ludzie są tak rozgoryczeni z powodu utraty pieniędzy, że rysuje mi się wyjątkowo negatywny portret. Tuż po śmierci Spencera mówiła pani o nim w samych superlatywach. Czy mam rozumieć, że teraz zmieniła pani zdanie?

- Nigdy nie uwierzę, że Nicholas Spencer sprzeniewierzył cokolwiek dla osobistych korzyści - oświadczyła żarliwie. Głos jej się załamał. - Był cudownym człowiekiem - dokończyła prawie szeptem. - Taka jest moja opinia.

Miałam przeczucie, że Vivian Powers boi się podsłuchu.

- Jutro jest sobota - rzuciłam szybko. - Chętnie przyjadę do pani do domu albo gdziekolwiek indziej, gdzie tylko pani zechce.

- Nie, nie jutro. Muszę nad tym pomyśleć. - Usłyszałam kliknięcie i w słuchawce zapanowała cisza.

Co to miało znaczyć, że Nicholas Spencer nie sprzeniewierzyłby niczego dla osobistych korzyści? Ciekawe.

Może nie jutro, ale porozmawiamy, droga pani Powers, przysięgłam sobie. Porozmawiamy z całą pewnością.

Gdyby Annie żyła, nie pozwoliłaby mu pić. Mówiła, że alkohol źle się komponuje z jego lekarstwem. Ale wczoraj, wracając z Greenwood Lake, Ned wstąpił do sklepu monopolowego i kupił po butelce burbona, szkockiej oraz czystej wódki. Nie brał lekarstwa od dnia śmierci Annie, więc chyba nie byłaby zła, że pije.

- Annie, muszę się przespać - wyjaśnił, otwierając pierwszą butelkę. - Wódeczka pomoże mi zasnąć.

Rzeczywiście, pomogła, usnął w fotelu. Wkrótce jednak coś mu przeszkodziło. Nie potrafił określić, czy to nadal był sen, czy wspomnienie z nocy pożaru. Stał w kępie drzew, z bańką w ręku, gdy jakiś cień oderwał się od ściany domu i żwawo ruszył podjazdem.

Wiał silny wiatr, kołysząc gałęzie drzew... Ned pomyślał z początku, że to właśnie cień drzewa. Ale po chwili niewyraźny kształt przybrał postać mężczyzny, a we śnie Nedowi wydawało się, że widział jego twarz.

Czy to było coś takiego jak sny o Annie, tak prawdziwe, że czuł nawet zapach jej brzoskwiniowego balsamu do ciała?

Chyba tak. To był tylko sen.

O piątej rano, akurat gdy pierwsze światło porannego brzasku torowało sobie drogę przez nocny mrok, Ned wstał. Po nocy spędzonej w fotelu wszystko go bolało, ale najgorszy był ból w sercu. Tęsknił za Annie. Pragnął jej, potrzebował... Nie było jej. Przeszedł przez pokój i wziął do rąk strzelbę. Długie lata leżała schowana za górą różnych nikomu niepotrzebnych gratów zaśmiecających ich połowę garażu. Usiadł ponownie, w dłoniach ścisnął kolbę.

Dzięki tej strzelbie na nowo połączy się z Annie. Kiedy już skończy z tamtymi wszystkimi ludźmi, którzy byli winni jej śmierci, sam do niej pójdzie. Znowu będą razem.

I nagle przypomniała mu się postać nocnego gościa. Twarz widziana na podjeździe w

Bedford. Widział ją rzeczywiście czy tylko wyśnił?

Położył się i próbował zasnąć na nowo, ale już nie mógł. Oparzenie na dłoni wyglądało coraz gorzej i bardzo bolało. Nie mógł z tym pójść do szpitala. Słyszał w radiu, że facet, którego aresztowano za podpalenie, został oskarżony, ponieważ miał poparzoną rękę.

Ned miał szczęście, spotkawszy doktora Ryana w szpitalnym korytarzu. Gdyby się zgłosił do gabinetu zabiegowego, ktoś pewnie doniósłby na niego policji. I wtedy dowiedzieliby się, że zeszłego lata pracował u ogrodnika, który opiekował się posiadłością w Bedford. Szkoda tylko, że zgubił receptę od doktora Ryana.

Może wystarczy posmarować masłem. Matka tak się kiedyś ratowała, gdy sparzyła się w rękę, przypalając papierosa od węgla w piecu.

A gdyby tak poprosić doktora Ryana o drugą receptę? Można do niego zadzwonić.

Tylko czy wówczas doktor Ryan nie uświadomi sobie, że kilka godzin po wybuchu pożaru w Bedford Ned pokazywał mu poparzoną dłoń?

Trudna decyzja.

Wycięłam z „Caspien Town Journal” wszystkie artykuły dotyczące Nicka Spencera. Po rozmowie z Vivian Powers przejrzałam je i znalazłam zdjęcie podium zrobione w czasie wręczenia Spencerowi medalu dla Zasłużonego Obywatela piętnastego lutego. Pod zdjęciem wymieniono wszystkie osoby siedzące z nim przy stole.

Był wśród nich prezes zarządu szpitala w Caspien, burmistrz miasteczka, senator, pastor i kilkoro innych mężczyzn oraz kobiet, bez wątpienia prominentnych postaci z najbliższej okolicy. Ot, ludzie, którzy regularnie bywają na przyjęciach związanych ze zbiórką funduszy.

Zanotowałam ich nazwiska i odszukałam numery telefonów. Ogromnie chciałam znaleźć osobę, którą Nick Spencer odwiedził po wyjściu od doktora Brodericka, następnego dnia po uroczystej kolacji. Istniała bardzo niska, ale jednak niezaprzeczalna możliwość, że była to któraś z osób siedzących razem ze Spencerem przy głównym stole. Na razie zrezygnowałam z dzwonienia do burmistrza, senatora czy prezesa zarządu szpitala. Miałam natomiast nadzieję, że uda mi się złapać jedną z obecnych tam kobiet.

Według słów doktora Brodericka, Spencer nieoczekiwanie wrócił tego ranka do Caspien i był zirytowany, usłyszawszy, że wczesne zapiski jego ojca zniknęły. Zawsze próbuję postawić się na miejscu człowieka, którego postępowanie usiłuję zrozumieć. Na miejscu Nicka, gdybym nie miała nic do ukrycia, pojechałabym prosto do biura i zaczęła poszukiwania notatek ojca.

Wczoraj wieczorem, po powrocie z kolacji z Caseyem, przebrałam się w ulubioną koszulę nocną, oparłam poduszkę o zagłówek i rozłożyłam na łóżku wszystkie artykuły na temat Nicka, jakie udało mi się zdobyć. Było tego sporo. Umiem czytać, czytam szybko i uważnie, ale niezależnie od tego, jak bardzo się zaczytywałam w tę fascynującą lekturę, nie znalazłam żadnego odniesienia do faktu, że zostawił notatki swojego ojca dotyczące jego najwcześniejszych eksperymentów u doktora Brodericka w Caspien.

Oczywiście taka informacja powinna być znana zaledwie kilku osobom. Ale jeśli wierzyć doktorowi Celtaviniemu i doktor Kendall, nie mieli oni pojęcia o istnieniu starych notatek, a mężczyzna o brązowych włosach z rudawym połyskiem nie był zatrudniony w spółce Gen-stone. Skąd jednak ktoś spoza firmy wiedziałby o notatkach doktora Spencera, a co więcej, po co miałby je zabierać?

Zadzwoniłam do trzech osób i zostawiłam wiadomości. Czwartą zastałam w domu. Był to wielebny Howel, prezbiteriański duchowny, który wygłosił mowę w czasie tamtej uroczystej kolacji. Rozmawiał ze mną serdecznie, ale niewiele mi pomógł, bo owego wieczora niewiele czasu spędził z Nickiem.

- Pogratulowałem mu otrzymania odznaczenia i to właściwie wszystko. Bardzo mnie zasmuciły późniejsze doniesienia o czynach, jakie mu się zarzuca, a także wiadomość, że nasz szpital miejski poniósł ogromne straty finansowe w wyniku zainwestowania poważnych sum w jego firmę.

- Podczas takich kolacji ludzie nie siedzą cały czas na swoich miejscach, nie zauważył pan przypadkiem, czy Nicholas Spencer rozmawiał z kimś dłużej?

- Nie zwróciłem uwagi, ale mogę popytać, jeśli to pani w czymś pomoże.

* * *

Nie poczyniłam w swoim dochodzeniu jakichś olśniewających postępów. Zadzwoniłam do szpitala i dowiedziałam się, że Lynn została już wypisana.

Poranne gazety donosiły, że Marty Bikorsky został oskarżony o podpalenie oraz narażenie Lynn na utratę życia, a następnie zwolniony za kaucją. Jego nazwisko znajdowało się w książce telefonicznej White Plains. Wybrałam właściwy numer. Ponieważ włączyła się automatyczna sekretarka, zostawiłam wiadomość:

- Nazywam się Carley DeCarlo, pracuję w „Wall Street Weekly”. Widziałam pana na

spotkaniu akcjonariuszy Gen-stone. Moim zdaniem nie wyglądał pan na podpalacza. Mam nadzieję, że pan oddzwoni. Chciałabym panu pomóc, jeśli tylko zdołam.

Telefon zadzwonił prawie natychmiast po tym, gdy odłożyłam słuchawkę.

- Mówi Marty Bikorsky. - Głos miał napięty, a jednocześnie znużony. - Nie przypuszczam, żeby pani zdołała nam pomóc, ale każda próba jest mile widziana.

Półtorej godziny później parkowałam przed jego domem, nie najnowszym już, ale doskonale utrzymanym. Na trawniku wznosił się maszt z amerykańską flagą.

Kwiecień udowadniał, że jest kapryśnym miesiącem. Wczoraj było dwadzieścia stopni, dzisiaj zaledwie piętnaście i w dodatku wiał wiatr. Przydałby mi się sweter, bo miałam na sobie tylko lekką wiosenną kurtkę.

Bikorsky musiał na mnie czekać, bo drzwi otworzyły się, zanim nacisnęłam dzwonek.

Spojrzałam mu w twarz i pomyślałam: „biedaczysko!”. W oczach miał rezygnację i bolesne zmęczenie, budzące współczucie. Mimo wszystko starał się prostować przygarbione nieszczęściem ramiona i nawet udało mu się lekko uśmiechnąć.

- Zapraszam do środka. Nazywam się Marty Bikorsky.

Wyciągnął do mnie rękę, ale zaraz ją schował. Dłoń spowijał gruby bandaż. No tak, Marty Bikorsky twierdził, że sparzył się o palnik.

Wąski przedpokój prowadził do kuchni. Za drzwiami na prawo dostrzegłam pokój dzienny.

- Żona właśnie zaparzyła kawę, napije się pani?

- Z przyjemnością.

Pani Bikorsky wyjmowała akurat ciasto z piecyka.

- Rhoda - zwrócił się do niej mąż - to jest pani DeCarlo.

- Proszę nazywać mnie Carley - powiedziałam. - W zasadzie mam na imię Marcia, ale w szkole przyłgnęło do mnie Carley i tak już zostało.

Rhoda Bikorsky była mniej więcej w moim wieku, parę centymetrów wyższa i zgrabna.

Miała długie ciemnoblond włosy oraz błyszczące niebieskie oczy. Na policzkach wykwitły jej zbyt czerwone rumieńce, nie wiedziałam, czy taką miała urodę, czy życiowe nieszczęścia zaczęły niszczyć jej zdrowie.

Podobnie jak mąż była ubrana w dzinsy i bawełnianą bluzę.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Szkoda, że dla mnie nikt nie wymyślił czegoś lepszego niż Rhoda. - Podałyśmy sobie ręce.

Kuchnia była czysta i przytulna. Stół i krzesła w stylu wczesnoamerykańskim; wykładzina na podłodze, imitująca kamienną kostkę, przypominała mi dom rodzinny.

Rhoda zaprosiła mnie do stołu, przystałam na kawę i z chęcią sięgnęłam po kawałek ciasta.

Przez okno widziałam nieduży ogródek, gdzie znajdowały się huśtawka i piaskownica - niezawodny znak, że w tej rodzinie jest dziecko.

Gospodyni podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem.

- Marty zrobił to dla Maggie. - Usiadła naprzeciwko mnie. - Carley, będę z tobą szczerą. Nie znasz nas w ogóle. Jesteś dziennikarką. Zaprosiliśmy cię, ponieważ powiedziałaś, że chciałabyś nam pomóc. Mam w związku z tym jedno proste pytanie: dlaczego chcesz nam pomóc?

- Byłam na spotkaniu akcjonariuszy. Widziałam tam twojego męża. Moim zdaniem zachowywał się jak zrozpaczony ojciec, a nie jak ktoś pełen żądy zemsty.

Twarz jej złagodniała.

- No to znasz go lepiej niż policja. Gdybym wiedziała, do czego dążą, w życiu bym im nie powiedziała o jego bezsenności i wstawaniu na papierosa w środku nocy.

- Bez przerwy mi powtarzasz, żebym rzucił palenie - zauważył cierpko Bikorsky. - Szkoda, że cię nie posłuchałem.

- Słyszałam, że bezpośrednio ze spotkania udziałowców poszedłeś do pracy na stacji

obsługowej. Czy to się zgadza? - spytałam.

Pokiwał głową.

- W tamtym tygodniu pracowałem od trzeciej do jedenastej. Spóźniłem się wtedy, ale jeden z kumpli mnie krył. Taki byłem podminowany, że po robocie poszedłem z chłopakami na piwo.

- Czy to prawda, że w barze mówiłeś o podpaleniu domu Spencerów?

Wykrzywił się niemiłosiernie i wolno pokręcił głową.

- Nie będę twierdził, że strata pieniędzy nie zrobiła na mnie wrażenia. Jestem wściekły.

Musimy sprzedać dom. Nasz jedyny dach nad głową. Ale tak czy inaczej równie daleki jestem od podpalania cudzego domu jak własnego. Po prostu mam za długi język.

- No właśnie! - Rhoda ścisnęła męża za ramię. A potem pogładziła go po policzku. - Jakoś się ułoży, damy sobie radę.

Marty Bikorsky mówił prawdę. Byłam tego pewna. Wszystkie dowody świadczące przeciwko niemu to tylko poszlaki.

- W nocy z poniedziałku na wtorek wyszedłeś zapalić około drugiej nad ranem.

- Zgadza się. Wiem, jestem nałogowcem, ale nic na to nie poradzę: kiedy budzę się w środku nocy i nie mogę zasnąć, papieros pomaga mi się uspokoić.

Nieświadomie powędrowałam wzrokiem za okno. Dzień był wyjątkowo wietrzny. Coś mi przyszło do głowy.

- Chwileczkę - zastanowiłam się głośno. - W nocy z poniedziałku na wtorek było zimno i wiał wiatr. Gdzie palisz, siadasz na ławeczce przed domem?

- Nie... W samochodzie.

- W garażu?

- Wtedy akurat stał na podjeździe. Włączyłem silnik...

Rhoda spojrzała na niego znacząco. Wyraźnie dawała sygnał mężowi, że ma nie mówić nic

więcej. W tej chwili zadzwonił telefon. Powiedziałabym, że Marty z prawdziwą ulgą skorzystał z okazji i wstał od stołu. Po kilku chwilach wrócił z ponurą twarzą.

- Dzwonił mój prawnik. Wściekł się, że cię w ogóle wpuściłem. Zabronił mi się do ciebie odzywać.

- Tatusiu, co się stało? Dlaczego jesteś zły?

Do kuchni weszła dziewczynka, może czteroletnia. Ciągnęła za sobą ulubiony kocyk. Miała takie same jak matka długie blond włosy i błękitne oczy, ale twarzyczka jej była kredowobiała.

Wydawała się nieprawdopodobnie krucha, przywodziła na myśl porcelanową lalkę, którą widziałam kiedyś w muzeum zabawek.

Bikorsky schylił się i wziął małą na ręce.

- Nie jestem zły. Dobrze spałaś?

- Mhm.

Ojciec odwrócił się do mnie.

- Carley, to jest Maggie.

- Tatusiu, powinieneś powiedzieć; to jest moja kochana Maggie.

- Jak mogłem popełnić taki straszny błąd!? - wykrzyknął z udawanym przerażeniem. -

Carley, to jest moja kochana Maggie. Maggie, przedstawiam ci Carley.

Uścisnęłam wyciągniętą do mnie małą rączkę.

- Miło mi cię poznać - usłyszałam.

Na twarzy dziewczynki pojawił się zadumany uśmiech.

Łudziłam się nadzieją, że nie widać łez, które zakręciły mi się w oczach. Nie sposób było mieć żadnych wątpliwości. Dziecko było bardzo chore.

- Witaj, Maggie. Mnie także miło cię poznać.

- Masz ochotę na kakao? - spytał córeczkę Bikorsky. - Mama odprowadzi Carley do drzwi, a

ja zagrzeję mleczko.

Dziewczynka leciutko pogładziła zabandażowaną rękę ojca.

- Tylko się znowu nie oparz.

- Obiecuję, że się nie oparzę, księżniczko. - Bikorsky spojrział na mnie. - Możesz to wydrukować, jeśli chcesz.

- Zamierzam - przyznałam spokojnie.

Rhoda odprowadziła mnie do drzwi.

- Maggie ma raka mózgu. Trzy miesiące temu lekarze dali mi jedyną radę, jaką dać potrafili.

„Niech pani wraca z dzieckiem do domu i cieszy się córeczką, póki jest. Niech pani da sobie spokój z chemią i naświetlaniami i nie pozwoli się namówić na żadne cudowne metody proponowane przez wszelkich szarlatanów, bo one nic nie pomogą”. Powiedzieli mi też, że Maggie nie dożyje Bożego Narodzenia. - Rumieńce na policzkach kobiety pociemniały. - Carley, muszę ci coś wyjaśnić. Kiedy człowiek całymi dniami i nocami wzywa Boga na pomoc i błaga go o litość, żeby oszczędził nasze jedyne dziecko, nie ma się ochoty wkurzać Go, podpalając komuś dom. - Zagryzła wargi, z trudem opanowując szloch. - Marty zaciągnął drugą hipotekę na moją prośbę. W zeszłym roku byłam w hospicjum przy szpitalu Świętej Anny, w odwiedzinach u umierającego przyjaciela. Nicholas Spencer pracował tam jako ochotnik. Tam właśnie go poznałam. Opowiadał o szczepionce, był taki pewny, że zdoła leczyć nią raka. Wtedy przekonałam Marty'ego, żeby wszystkie nasze pieniądze zainwestować w jego firmę.

- Poznałaś Nicholasa Spencera w hospicjum? Pracował jako wolontariusz? - Byłam tak zdumiona, że zaczęłam się powtarzać.

- Tak. Kiedy dowiedzieliśmy się o chorobie Maggie, poszłam tam znów, żeby się z nim zobaczyć. Powiedział, że szczepionka nie jest jeszcze gotowa, więc nie może pomóc mojej córce.

Trudno uwierzyć, że człowiek tak przekonujący mógł oszukiwać, ryzykować... - Pokręciła głową i

przycisnęła dłonie do ust, ale teraz już nie zdołała opanować szlochu. - Maggie umiera!

- Mamusiu...

- Już idę, kochanie. - Rhoda niecierpliwie otarła łzy, które spłynęły jej na policzki.

Otworzyłam drzwi.

- Byłam po stronie Marty'ego instynktownie - powiedziałam. - Teraz, kiedy was poznałam, wiem z całą pewnością, że jeśli tylko istnieje sposób, żeby wam pomóc, ja go znajdę. - Uścisnęłam jej rękę i odeszłam.

W drodze powrotnej do Nowego Jorku zadzwoniłam do domu, sprawdzić wiadomości na sekretarce. No i czekała na mnie jedna, od której zjeżyły mi się włosy na głowie.

- Dzień dobry pani, Milly z tej strony. Kelnerka z tej knajpki w Caspien, gdzie pani jadła wczoraj. Wiem, że miała pani rozmawiać z doktorem Broderickiem, więc pewnie przyda się pani najnowsza wiadomość: dzisiaj rano, kiedy uprawiał jogging, potrącił go jakiś samochód. Sprawca uciekł, a w szpitalu mówią, że doktor tego wypadku nie przeżyje.

Do domu trafiłam chyba prowadzona przez automatycznego pilota. Potrafiłam myśleć tylko o wypadku, po którym doktor Broderick znalazł się w śpiączce, w stanie krytycznym. Czy to aby na pewno był nieszczęśliwy wypadek? Pytanie wracało jak bumerang.

Wczoraj prosto od doktora Brodericka pojechałam do Gen-stone i zaczęłam wypytywać, kto chciał mieć notatki doktora Spencera. Rozmawiałam z doktorem Celtavinim i z doktor Kendall. W recepcji upewniłam się co do innych możliwości skorzystania z usług kurierskich i opowiedziałam o człowieku z brązowymi włosami o rudawym odcieniu, tak jak opisał mi go doktor Broderick. A dzisiaj rano, niecałą dobę po tych wydarzeniach, doktor Broderick został zaatakowany przez jakiegoś kierowcę. Tak, zaatakowany, a nie przypadkowo potrącony.

Jeszcze z samochodu zadzwoniłam do knajpki w Caspien i rozmawiałam z Milly.

Dowiedziałam się, że do wypadku doszło około szóstej rano, w parku, niedaleko domu lekarza.

- Z tego, co słyszałam - powiedziała kelnerka - to według policji sprawca był pijany albo i coś jeszcze gorszego. Bardzo daleko zjechał z szosy. Straszne, prawda? Niech pani się pomodli za doktora.

Pomodłę się, na pewno.

W domu przebrałam się w wygodny miękki sweter i spodnie od dresu, na nogi wsunęłam klapki. O piątej nalałam sobie kieliszek wina, wyciągnęłam do niego trochę sera i krakersy, a potem rozsiadłam się w fotelu, oparłam nogi na podnóżku i pograżyłam się w rozmyślaniach.

Widok Maggie, której pozostało tylko kilka miesięcy życia, obudził we mnie ciągle żywe wspomnienie Patricka. Zastanawiałam się, co byłoby gorsze: mieć Patricka przez cztery lata, a potem go stracić? Czy stracić go po kilku dniach zaledwie, zanim stał się centrum mojego życia, źrenicą oka, tak jak Maggie dla Rhody i Marty'ego Bikorskich? Gdyby, gdyby, gdyby... Gdyby chromosomy, które uformowały serce Patricka, były wolne od skaz... Gdyby tę jedną jedyną

komórkę rakową, która zaatakowała mózg Maggie, można było zniszczyć...

Oczywiście takie gdybanie nie ma najmniejszego sensu, ponieważ nic nie zmienia. Patrick skończyłby teraz dziesięć lat. Widzę go oczami wyobraźni, znam go sercem, wiem doskonale, jak by wyglądał, gdyby żył. Miałby ciemne włosy, to jasne. Greg, jego ojciec, ma ciemne włosy. Byłby wysoki jak na swój wiek. Greg jest wysoki, a sądząc po moich rodzicach i dziadkach, na mój wzrost wpłynęły jakieś geny recesywne. Miałby niebieskie oczy. Ja mam niebieskie, Greg też patrzy na świat przyćmionym błękitem. Wolę sądzić, że z rysów twarzy Patrick przypominałby bardziej mnie niż Grega, bo jestem podobna do ojca, a on był nie tylko dobrym, przemyślnym człowiekiem, ale też jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jacy chodzili po tej ziemi.

Zabawne. Moje dziecko, które żyło tylko kilka dni, jest dla mnie po dziesięciu latach ciągle rzeczywiste i prawdziwe jak żywe, podczas gdy Greg, z którym przez rok chodziłam do college'u i który przez rok był moim mężem, zatarł mi się w pamięci jak nieistotny fakt. Jeżeli już w ogóle o nim myślę, to jedynie wówczas, kiedy się zastanawiam, jak mogłam być tak głupia, żeby nie zauważyć, że zawsze był pozerem. Znaście ten stary plakat: „On nie jest dla mnie ciężarem, to mój brat”? A może by tak: „On nie jest dla mnie ciężarem, to mój syn”. Śliczne maleństwo, ważące zaledwie dwa kilogramy i trzysta pięćdziesiąt gramów, ale jego chore serce okazało się dla ojca zbyt wielkim ciężarem.

Mam nadzieję, że zyskam kiedyś drugą szansę. Chciałabym założyć rodzinę. Powtarzam sobie, żebym następnym razem miała oczy szeroko otwarte i nie popełniła po raz drugi tego samego błędu. To moja wada, fakt. Za szybko oceniam ludzi. Instynktownie polubiłam Marty'ego Bikorsky'ego. Było mi go żal. Dlatego pojechałam się z nim zobaczyć. I wierzę, że nie podłożył ognia.

Moje myśli podryfowały w stronę Nicholasa Spencera. Poznałam go dwa lata temu i od razu instynktownie polubiłam. Mało tego: uwielbiałam go. Teraz widzę jedynie czubek góry lodowej,

małeńki fragment ludzkiego nieszczęścia, które spowodował. Nie tylko odebrał ludziom poczucie finansowego bezpieczeństwa, ale, co gorsza, nadzieję, że jego szczepionka wyleczy z raka ich umierających ukochanych.

Chyba że sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

Mężczyzna o brązowych włosach z rudym połyskiem, ten który zabrał dokumentację doktora Spencera, mógłby być elementem innej wersji. Na pewno. Czy możliwe, że doktor Broderick padł ofiarą ataku, ponieważ zdołałby go rozpoznać?

Jakiś czas później wyszłam z domu. Wybrałam się do Village, tam zjadłam linguini z sosem z krewetek, do tego zieloną sałatę, a wszystko popiłam bezpretensjonalną małą czarną. Pomogło mi to na ból głowy, który właśnie zaczął mi grozić, ale niestety nic nie dało, jeśli chodzi o ściśnięte serce. Przytłaczała mnie świadomość, że doktor Broderick może zapłacić życiem za moją wizytę. Mimo wszystko udało mi się zasnąć.

Obudziłam się w lepszej formie. Uwielbiam niedzielne poranki, czytanie gazet w łóżku, nad filiżanką kawy. W końcu jednak włączyłam radio, żeby posłuchać serwisu informacyjnego o dziewiątej. Z samego rana jakieś dzieciaki z Portoryko, łowiące ryby z łodzi niedaleko miejsca, gdzie rozbił się samolot Nicholasa Spencera, wyciągnęły z wody nadpalony i poplamiony krwią kawałek niebieskiej sportowej koszuli. Spiker podał, że zaginiony finansista, Nicholas Spencer, podejrzewany o sprzeniewierzenie milionów dolarów swojej medycznej firmy badawczej, wylatując z lotniska Westchester County, miał na sobie właśnie niebieską sportową koszulę. Znaleziona przez dzieci szmatka zostanie poddana testom i będzie porównana z podobnymi koszulami od Paula Stuarta z Madison Avenue, gdzie Spencer zazwyczaj kupował ubrania. Zespół nurków podejmie poszukiwania ciała, koncentrując się na wspomnianej okolicy.

Zadzwoniłam do apartamentu Lynn i od razu się zorientowałam, że ją obudziłam. Głos miała zaspany, nawet zły, ale szybko zmieniła ton, gdy zdała sobie sprawę, kto dzwoni.

Przekazałam jej wiadomości z radia, a ona długi czas milczała.

- Carley - szepnęła wreszcie - byłam zupełnie pewna, że znajdą go żywego, że to wszystko tylko koszmarny sen, z którego obudzę się znowu przy nim...

- Jesteś sama? - spytałam.

- Oczywiście - odparła z oburzeniem. - Za kogo ty mnie...?

- Lynn - przerwałam jej - chodziło mi o to, czy jest z tobą gospodyni albo ktoś inny, kto ci pomaga, póki nie wyzdrowiejesz. - Teraz to ja odezwałam się ostrym tonem. Dlaczego, na litość boską, miałabym insynuować, że ma jakiegoś faceta?

- Och, Carley, wybacz - zreflektowała się szybko. - Moja gospodyni ma zwykle wolne w niedziele, ale dzisiaj przyjdzie, tylko trochę później.

- Przyjechać do ciebie?

- Przyjedź.

Umówiliśmy się, że będę około jedenastej.

Właśnie wychodziłam z domu, kiedy zadzwonił Casey.

- Znasz najnowsze wieści na temat Spencera?

- Tak.

- Chyba raczej skończą się domysły, że małwersant żyje.

- Chyba tak. - W myślach zobaczyłam twarz Nicholasa Spencera. Nie wiedzieć czemu, aż dotąd oczekiwałam, że ten człowiek pojawi się znienacka i wszystko naprawi. Że cała ta skandaliczna historia okaże się straszną pomyłką. - Właśnie jadę do Lynn.

- Ja też stoję w drzwiach. Nie będę cię zatrzymywał. Pogadamy później.

* * *

Przypuszczam, że w głowie ciągle miałam obraz wyciszonej, smutnej Lynn, natomiast zobaczyłam coś całkiem innego. Gdy dotarłam na miejsce, zastałam w salonie, oprócz mojej

przyszywanej siostry, Charlesa Wallingforda oraz jeszcze dwóch mężczyzn, którzy okazali się prawnikami Gen-stone.

Lynn była ubrana w prześlicznie skrojone beżowe spodnie oraz pastelową bluzkę z jakimś nadrukiem. Blond włosy szesała z twarzy. Makijaż miała lekki, ale było to prawdziwe dzieło sztuki. Po grubych bandażach na rękach zostały tylko pojedyncze szerokie opatrunki z gazy, przyklejone do dłoni plastrami. Na nogach miała przezroczyste klapki ze specjalną wyściółką chroniącą poparzone stopy.

Niezgrabnie pocałowałam ją w policzek. Wallingford przywitał mnie lodowato, a obaj prawnicy, konserwatywnie ubrani i wyglądający bardzo poważnie, uprzejmie mnie wysłuchali, gdy się przedstawiłam.

- Przepraszam cię, Carley - odezwała się Lynn - właśnie przygotowujemy oświadczenie dla mediów. Nie potrwa to długo, ale jest konieczne, bo na pewno zostaniemy zasypani pytaniami.

Charles Wallingford spojrzał na mnie, a ja na niego. Mogłam czytać w jego myślach. Co ja tu robiłam, obserwując ich w trakcie przygotowywania oświadczenia dla mediów? Przecież właśnie byłam przedstawicielką prasy.

- Lynn, przyjdę innym razem - zaproponowałam.

- Nie, nie, jesteś mi potrzebna. - Na chwilę jej lodowate opanowanie pękło. - Niezależnie od tego, co się stało, co złego się wydarzyło, z czym Nick nie dał sobie rady, to przecież z całą pewnością wierzył w możliwość wynalezienia tego leku i był pewien, że oferuje ludziom szansę wzbogacenia się. Chcę postawić sprawę jasno i przekonać wszystkich, że nie brałam żadnego udziału w defraudacji, ale pragnę też podkreślić, że Nick, przynajmniej na początku, z pewnością nie zamierzał przywłaszczać sobie cudzych pieniędzy. Tu naprawdę nie chodzi o robotę propagandową. Uwierz mi.

Nadal nie uszczęśliwiało mnie uczestniczenie w tej sesji, lecz niechętnie zajęłam miejsce na

krzesła przy oknie. Rozejrzałam się po pokoju. Ściany miały barwę słonecznej żółci, sufit i stiuki - białą. Dwie kanapy przykryto kapami w żółto-zielono-biały wzór. Dwa fotele od kompletu stały naprzeciwko siebie przy kominku. Obrazu dopełniało wysokie angielskie biurko oraz kilka pięknych stolików, najwyraźniej antyków. Przez okna po lewej stronie roztaczał się widok na Central Park. Dzień był ciepły, drzewa zaczęły już zielenieć. Mnóstwo ludzi spacerowało, uprawiało jogging albo zwyczajnie siedziało na ławkach, ciesząc się piękną pogodą.

Zdałam sobie sprawę, że pokój został urządzony tak, by połączyć wnętrze z jego otoczeniem. Był rozedrgany, wiosenny i w jakimś sensie mniej oficjalny, niż spodziewałabym się po Lynn. Dokładnie rzecz biorąc, był zupełnie inny, niż się spodziewałam, ponieważ - choć dość przestronny - bardziej robił wrażenie wygodnych czterech kątów dla rodziny niż pokazowego apartamentu ważnej osobistości.

I wtedy przypomniałam sobie, jak Lynn wspomniała, że to mieszkanie Nick kupił dla swojej pierwszej żony. Lynn chciała je sprzedać. Pobrali się zaledwie przed czterema laty. Czy to możliwe, że nie zmieniła wystroju tego wnętrza, nie dostosowała go do własnego gustu, bo nie zamierzała tu mieszkać? To mogła być właściwa odpowiedź.

Kilka chwil później odezwał się gong u drzwi. Gospodyni poszła otworzyć. Lynn chyba w ogóle nic nie usłyszała. Zajęta była omawianiem notatek z Charlesem Wallingfordem. W pewnej chwili zaczęła głośno czytać:

- Z tego, co nam wiadomo, należy domniemywać, że skrawek ubrania znaleziony wcześniej dziś rano dwie mile od Portoryko pochodził z koszuli mojego męża, który miał ją na sobie, wylatując z lotniska Westchester. Przez minione trzy tygodnie kurczowo trzymałam się nadziei, że mój mąż przeżył katastrofę lotniczą i pojawi się, by oczyścić swoje dobre imię ze wszystkich zarzutów. Zawsze gorąco wierzył, że jest na drodze do odkrycia szczepionki, która będzie zapobiegała rakowi i jednocześnie leczyła tę chorobę. Jestem całkowicie pewna, że wszelkie

pieniądze, jakie podejmował z kont firmy, zostały wykorzystane tylko i wyłącznie w tym celu.

- Wybacz, Lynn, ale muszę ci powiedzieć, że jedyną reakcją na to oświadczenie będzie obcesowe pytanie: „z kogo pani chce zrobić wariata?”. - Ton głosu był łagodny, lecz policzki Lynn zapłonęły, a kartka papieru wypadła jej z ręki.

- Adrian!

Jeśli człowiek jako tako orientował się w świecie finansów, to - jak zwykli mawiać gospodarze programów telewizyjnych, zapowiadając sławnego gościa - nowo przybyłego nie trzeba było przedstawiać. Rozpoznałam go natychmiast: Adrian Nagel Garner, jedyny właściciel Garner Pharmaceuticals Company, a jednocześnie światowej klasy filantrop. Średniego wzrostu, miał jakieś czterdzieści pięć lat, siwiejące włosy i pospolite rysy twarzy. Ot, zwyczajny mężczyzna, którego nic nie wyróżnia z tłumu. Nikt nie wiedział, jak bardzo był bogaty. Nigdy nie zezwolił na wywiady dotyczące spraw osobistych, ale, oczywiście, słyszało się to i owo. Ludzie mówili z ogromnym podziwem o jego domu w Connecticut, gdzie znajdowały się wspaniała biblioteka, teatr na osiemdziesiąt miejsc i studio nagrań, żeby wymienić tylko kilka drobnych udogodnień. Dwukrotnie rozwiedziony, miał dorosłe dzieci, a obecnie podejrzewano go o romantyczny związek z pewną Brytyjką błękitnej krwi.

To właśnie jego spółka planowała zainwestować miliard dolarów w prawa do dystrybucji szczepionki antynowotworowej. Wiedziałam, że jeden z dyrektorów został wybrany do zarządu Gen-stone, ale nie było go na spotkaniu udziałowców. Moim zdaniem ostatnią rzeczą, jakiej Adrian Nagel Garner życzyłby sobie dla swojej firmy, były jakiegokolwiek powiązania w publicznej świadomości ze zhańbioną Gen-stone. Szczerze mówiąc, poczułam się wstrząśnięta i zdumiona, widząc go w salonie Lynn.

Najwyraźniej dla niej także ta wizyta była całkowitym zaskoczeniem. Nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać.

- Adrianie, co za niespodzianka - powiedziała. Niewiele brakowało, a byłaby się zająknęła.

- Jechałem na górę, na lunch z Parkinsonami, kiedy uświadomiłem sobie, że ty także tu

mieszkaś, więc zajrzałem. Słyszałem najnowsze wiadomości. - Spojrzał na Wallingforda. -

Charles. - W powitaniu zabrzmiała chłodna nuta. Skinął głową prawnikom, po czym przeniósł wzrok na mnie.

- To moja przybrana siostra - przedstawiła mnie Lynn - Carley DeCarlo. - Nadal wydawała

się niespokojna. - Pracuje nad profilem Nicka dla „Wall Street Weekly”.

Nie odezwał się słowem, tylko patrzył na mnie dziwnie. Zła byłam na siebie, że nie

wyszłam w chwili, gdy zobaczyłam tutaj Wallingforda i prawników.

- Jestem tu z tego samego powodu co pan - odezwałam się słabo. - Chciałam powiedzieć

Lynn, jak mi przykro, że Nick nie uszedł z katastrofy z życiem.

- Chyba się nie zgadzamy, droga pani - rzucił Adrian Garner ostro. - Moim zdaniem nic tu

nie jest pewne. Bo na każdą osobę przekonaną, że ten kawałek koszuli stanowi dowód jego śmierci,

znajdzie się dziesięć innych, które będą twierdziły, że Nick uciekł z miejsca katastrofy, mając

gorącą nadzieję, iż ten strzępek materiału zostanie znaleziony. Akcjonariusze i pracownicy są już

dostatecznie zirytowani i przepelnieni goryczą. Chyba się pani ze mną zgodzi, że Lynn wycierpiała

już dosyć jako ofiara powszechnego gniewu. Dopóki nie zostanie odnalezione ciało Nicka, nie

wolno jej powiedzieć nic, co mogłoby zostać odebrane jako próba przekonania ludzi do

jakichkolwiek faktów. Moim zdaniem najodpowiedniejszym komentarzem, jaki Lynn może

wygłosić, jest stwierdzenie: „nie wiem, co o tym myśleć”. - Odwrócił się do niej. - Lynn,

oczywiście zrobisz, co uznasz za stosowne. Życzę ci jak najlepiej i chcę, żebyś o tym wiedziała.

Adrian Garner, jeden z najbogatszych i najpotężniejszych ludzi w tym kraju, skinął nam

głową, wychodząc.

Wallingford poczekał, aż do naszych uszu dotarło kliknięcie zamka drzwi wyjściowych, i

wtedy powiedział gwałtownie:

- Jak zwykle najmądrzejszy.

- Ale może ma rację - zamyśliła się Lynn. - Wiesz, Charles, chyba rzeczywiście ma.

- Trudno znaleźć jakąkolwiek rację w całym tym zamieszaniu - odparł i od razu zrobił skruszoną minę. - Lynn, przepraszam cię, na pewno wiesz, co miałem na myśli.

- Tak, wiem.

- Najgorsze w tym wszystkim, że bardzo lubiłem Nicka - westchnął Wallingford. -

Pracowałem z nim przez osiem lat i uważałem to za swój przywilej. Trudno mi w to wszystko uwierzyć. - Pokręcił głową i przeniósł wzrok na prawników. Wzruszył ramionami. - Lynn, dam ci znać, jeśli dotrą do nas jakieś nowe wieści.

Lynn wstała i skrzywiła się z bólu. Stopy ciągle przysparzały jej cierpień.

Była wyraźnie zmęczona, ale nalegała, bym z nią jeszcze została. Przystałam na krwawą mary. Tematem rozmowy były nasze wiotkie więzi rodzinne. Powiedziałam jej, że we wtorek, po powrocie ze szpitala zadzwoniłam do jej ojca, zawiadomić go o jej stanie i że w środę poplotkowałam z mamą na temat mojej nowej pracy.

- Rozmawiałam z tatą tego dnia, kiedy trafiłam do szpitala, a potem następnego ranka - powiedziała Lynn. - Wtedy uprzedziłam go, że wyłączę telefon, bo chcę odpocząć, i zadzwonię do niego dopiero w weekend. Zrobię to dzisiaj, jak tylko trochę się pozbieram.

Wstałam i odstawiłam pustą szklankę.

- Będziemy w kontakcie.

* * *

Dzień był tak piękny, że te parę kilometrów do domu postanowiłam przejść piechotą. Spacer zwykle odświeża myśli, a ja miałam nad czym się zastanawiać. Zwłaszcza ostatnie kilka minut spędzone w towarzystwie Lynn wymagały dokładnego przemyślenia. Kiedy byłam u niej w szpitalu

drugi raz, rozmawiała przez telefon. Kończąc rozmowę, powiedziała: „ja też cię kocham”. W następnej chwili zobaczyła mnie i wyraźnie chciała sprawić wrażenie, że rozmawiała z ojcem. Czy teraz pomyliły jej się dni? Czy też wtedy przy telefonie był ktoś inny? Mogła to być któraś z przyjaciółek. Często w rozmowie z bliskim znajomym rzuca się niezobowiązujące „ja też cię kocham”, sama tak robię. Ale jest wiele sposobów na powiedzenie tego zdania. Wtedy w głosie Lynn brzmiały ciepłe nuty, powiedziała to „ja też cię kocham”... seksownie. W głowie zaświtało mi szokujące przypuszczenie: czyżby pani Spencerowa odbywała wtedy czułą pogawędkę ze swoim zaginionym mężem?

Carley DeCarlo. Musiał się dowiedzieć, gdzie ona mieszka. Była przybraną siostrą Lynn Spencer, tylko tyle o niej wiedział. Miał jednak wrażenie, że jej nazwisko już mu się obilo o uszy... może Annie o niej wspominała. Tylko kiedy? Przy jakiej okazji? Gdzie Annie mogłaby ją poznać? Jako pacjentkę w szpitalu? Cóż, w zasadzie... możliwe.

Teraz, skoro już miał plan działania, kiedy wyczyścił i naładował strzelbę, był znacznie spokojniejszy. Pierwsza będzie pani Morgan. Łatwe zadanie. Co prawda zawsze zamykała drzwi, ale wystarczy pójść na górę i powiedzieć choćby, że ma dla niej prezent. Już niedługo. Zanim ją zastrzeli, oświadczy jej prosto w oczy, że nie powinna była go okłamywać i opowiadać bajek o tym, że mieszkanie jest jej potrzebne dla syna.

Potem, tej samej nocy, pojedzie do Greenwood Lake. Tam odwiedzi panią Schafley i Harników. Pójdzie mu jeszcze łatwiej, niż gdy strzelał do wiewiórek, bo przecież wszyscy będą w łóżkach. Harnikowie zawsze spali przy uchylonym oknie. Na pewno zdąży pchnąć je w górę i przechylić się przez parapet, zanim w ogóle uświadomią sobie, co się dzieje. A do domu pani Schafley nawet nie będzie musiał wchodzić. Wystarczy, że stanie w oknie pokoju i poświeci jej latarką w twarz. Gdy kobieta się obudzi, on przez chwilę skieruje światło na siebie, żeby go zobaczyła i zrozumiała, co się stanie. A potem ją zastrzeli.

Policja na pewno szybko zacznie go szukać. Pani Schafley po całej okolicy rozpaplała, że chciał u niej wynająć pokój, to jasne jak słońce.

- Co za bezczelność! - Tak na pewno mówiła. Zawsze tak mówiła, jak się na kogoś skarżyła.

- Co za bezczelność! - zwierzała się Annie, kiedy dzieciak, koszący u niej trawniki, poprosił o podwyżkę. - Co za bezczelność! - zrywała się, gdy chłopak roznoszący gazety powiedział jej, że zapomniała mu dać napiwek na Boże Narodzenie.

Czy to samo przyjdzie jej do głowy w tej jednej chwili przed śmiercią? „Co za bezczelność!

On chce mnie zabić!”.

Wiedział, gdzie mieszka Lynn Spencer. Teraz musiał się dowiedzieć, gdzie szukać jej przybranej siostry. Carley DeCarlo. Dlaczego to nazwisko wydawało mu się znajome? Czy rzeczywiście słyszał je od Annie? Może gdzieś je wyczytała?

- Tak - szepnął. - Carley DeCarlo prowadzi jakiś kącik w tym dodatku do niedzielnej gazety, który Annie uwielbiała czytać.

Właśnie była niedziela.

Poszedł do sypialni. Narzuta z grubej przędzy, ulubiona kapa Annie, leżała na łóżku. Nie tknął jej. Nadal miał przed oczami, jak ostatniego ranka Annie układała ją starannie, tak żeby po obu stronach zwisała równo, a potem nadmiar materiału od strony głowy zawinęła pod poduszki.

Zauważył niedzielny dodatek, który został na nocnym stoliku. Wziął go do ręki i otworzył.

Wolno przewracał strony. Wreszcie znalazł: nazwisko i zdjęcie. Carley DeCarlo. Pisała o pieniądzach. Annie wysłała do niej kiedyś pytanie i potem długi czas sprawdzała, czy w kąciku ukaże się odpowiedź. Nie doczekała się, ale tak czy inaczej lubiła te artykuły, czasem nawet czytywała je na głos.

- Posłuchaj, Ned, ona się ze mną zgadza. Píše, że tracisz mnóstwo pieniędzy, jeśli robisz debet na karcie kredytowej i co miesiąc spłacasz tylko minimum.

W zeszłym roku Annie była na niego zła, że kupił drogi zestaw narzędzi. Wtedy, kiedy ściągnął ze złomowiska ten stary samochód i chciał go wyremontować. Odpowiedział, że wysoka cena nie jest taka ważna, bo może ją bardzo długo spłacać. Wtedy właśnie Annie przeczytała mu ten artykuł.

Siedział i przyglądał się zdjęciu Carley DeCarlo. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Będzie drażnił, denerwował i wyprowadzał z równowagi tę kobietę. Annie od lutego, od czasu gdy się dowiedziała, że ich dom w Greenwood Lake przestał istnieć, aż do dnia, gdy ciężarówka uderzyła w

jej samochód, była zatroskana i nerwowa. Przez cały ten czas bardzo często płakała. „Jeżeli ta szczepionka się nie uda, nie zostanie nam nic, Ned, zupełnie nic” - powtarzała bez przerwy.

Przez długie tygodnie przed śmiercią Annie cierpiała. Ned chciał, żeby Carley DeCarlo także cierpiała, żeby była niespokojna i zdenerwowana. I już nawet wiedział, jak to zrobić. Wyśle do niej ostrzegawczy e-mail: „Przygotuj się na dzień sądu”.

* * *

Musiał wyjść z domu. Postanowił wsiąść w autobus jadący do miasta i pospacerować sobie przed apartamentowcem, w którym mieszkała Lynn Spencer, przed tym wymuskanym budynkiem na Piątej Alei. Sama świadomość, że kobieta może być w domu, da mu poczucie, iż ma ją na oku. Godzinę później stał po drugiej stronie ulicy, na wprost wejścia do tego wieżowca. Nie minęła nawet minuta, kiedy portier otworzył drzwi i wyszła z nich Carley DeCarlo. W pierwszej chwili Nedowi wydawało się, że śni, tak jak śnił o człowieku, który opuszczał dom w Bedford tuż przed pożarem.

Tak czy inaczej, ruszył za dziennikarką. Szła bardzo długo, aż do Trzydziestej Siódmej, tam skręciła na wschód. Wreszcie weszła po kilku stopniach do jednego z typowych miejskich domów. Na pewno tam właśnie mieszkała.

No to wiem, gdzie jej szukać, pomyślał Ned. Więc kiedy uzna, że nadszedł czas, będzie tak samo jak z Harnikami i panią Schafley. Zastrzeli ją z taką samą łatwością jak wiewiórki.

- Aż się boję przyznać, ale Adrian Garner miał wczoraj absolutną rację - powiedziałam następnego ranka Donowi i Kenowi.

Wszyscy troje przyszliliśmy do pracy wcześniej i za piętnaście dziewiąta siedzieliśmy już w pokoiku Kena, każde z drugim kubkiem kawy.

Przewidywania Garnera, że ludzie natychmiast uznają strzępek zwęglonej i poplamionej krwią koszuli jedynie za część doskonale opracowanego planu Spencera, okazały się prorocze. Prasa zrobiła z tego sensację dnia.

Na pierwszej stronie „New York Post” i na trzeciej „The Daily News” znajdowały się zdjęcia Lynn. Oba zostały zrobione poprzedniego wieczora, w drzwiach jej apartamentowca. Na obu udało jej się wyglądać zarazem olśniewająco i dramatycznie. W oczach miała łzy. Lewa dłoń, otwarta i zwrócona wnętrzem do góry, odsłaniała opatrunek. Prawą ręką przytrzymywała się ramienia gospodyni. W „Post” wielkie litery głosiły: „Żona niepewna, czy Spencer utonął czy odpłynął”, natomiast w „The News” napisano: „Żona szłocha: nie wiem, co myśleć”.

Wcześniej tego dnia zadzwoniłam do szpitala i dowiedziałam się, że doktor Broderick nadal jest w stanie krytycznym. Postanowiłam opowiedzieć o nim Kenowi i Donowi, a co za tym idzie, także o wszystkich moich podejrzeniach.

- Twoim zdaniem wypadek Brodericka ma coś wspólnego z waszą rozmową na temat tych notatek? - upewnił się Ken.

Przez te kilka dni naszej znajomości nauczyłam się, że kiedy rozważał wszelkie za i przeciw, odgrywające rolę w jakiejś sprawie, często zdejmował okulary i bujał je na palcach prawej dłoni. Właśnie teraz tak zrobił. Ciągły zarostu na twarzy wskazywał na to, że albo zaczął zapuszczać brodę, albo się spieszył dziś rano. Miał na sobie czerwoną koszulę, ale mimo to, patrząc na niego, oczyma wyobraźni widziałam doktora w białym fartuchu, z bloczkiem recept wystającym z

kieszeni oraz stetoskopem na szyi. Niezależnie od tego, co Ken miał na sobie, i niezależnie od zarostu na twarzy, otaczała go zawsze aura lekarza.

- Możesz mieć rację - podjął po chwili. - Wszyscy wiemy, że na rynku farmaceutyków panuje ogromna konkurencja. Firma, która pierwsza wprowadzi skuteczny lek przeciw nowotworom, warta będzie grube miliardy.

- Ken, ale po co ktoś miałby kraść jakieś stare notatki faceta, który nawet nie był biologiem?
- zaproponował Don.

- Nicholas Spencer zawsze wierzył, że ostatnie badania jego ojca stanowią podstawę do stworzenia szczepionki, nad którą pracował. Może ktoś wpadł na pomysł, że i we wcześniejszych zapiskach doktora może się znaleźć coś wartościowego - zastanawiał się Ken.

Moim zdaniem ta teoria nie była pozbawiona sensu.

- Tylko doktor Broderick potrafiłby rozpoznać mężczyznę, który odebrał notatki starszego Spencera - powiedziałam. - Czy te dokumenty były aż tak cenne, że ktoś wolał zabić, niż ryzykować zdemaskowanie człowieka o rudawych włosach? Innymi słowy: ten tajemniczy posłaniec jednak istnieje! Może jest zatrudniony w Gen-stone, a może to znajomy któregoś z pracowników, kogoś, kto był z Nickiem Spencerem na tyle blisko, by wiedzieć o depozycie u Brodericka.

- Zapominamy chyba o jeszcze jednej możliwości - powiedział wolno Don. - Nick Spencer mógł sam wysłać kogoś po zapiski ojca, a potem udawać zaskoczonego ich zniknięciem. Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Po co? - zapytałam.

- Carley, Spencer jest... czy też ewentualnie był, bystrym facetem, posiadającym pewną wiedzę z zakresu mikrobiologii, wystarczającą, by po pierwsze: zacząć na jej podstawie pozyskiwać pieniądze, po drugie: zrobić prezesem zarządu człowieka takiego jak Wallingford - który

doprowadził do ruiny własną rodzinną firmę - i pozwolić mu skompletować resztę tego gremium z ludzi, którzy z trudem trafią do dobrze oznaczonego wyjścia ewakuacyjnego, a po trzecie: ogłosić, że jest u progu odkrycia lekarstwa na raka. Udało mu się odgrywać tę farsę przez osiem lat. Jak na faceta o takiej pozycji, żył relatywnie skromnie. A wiecie, dlaczego? Bo wiedział, że ze szczepionki będą nici, i odkładał fortunę na swój mały prywatny fundusz emerytalny. Dodatkową atrakcją było stworzenie iluzji kradzieży wartościowych danych i udawanie, że on sam padł ofiarą jakiegoś spisku. Zaryzykowałbym takie stwierdzenie: utrzymywał, że nie wie o przejęciu dokumentów wyłącznie na użytek ludzi, którzy będą o nim pisali.

- Czy wypadek doktora Brodericka jest częścią tego planu? - zapytałam.

- Jestem gotów się założyć, że to był czysty przypadek. Wszystkie warsztaty samochodowe w tamtym rejonie Connecticut na pewno zostały już zobowiązane do zawiadomienia policji o każdym podejrzeniu uszkodzonym samochodzie. Znajdą jakiegoś faceta, który wracał do domu po nocnej popijawie, albo młodziaka z ciężką nogą do gazu.

- Pod warunkiem, że ten, kto staranował doktora Brodericka, pochodził z tamtych stron - zauważyłam. - A moim zdaniem wcale tak nie jest. - Wstałam. - Idę sprawdzić, czy mi się uda skłonić do rozmowy sekretarkę Spencera, a potem zajrzę do hospicjum, gdzie Nick Spencer pracował jako ochotnik.

* * *

Vivian Powers znowu wzięła wolny dzień. Zadzwoiłam do niej do domu, ale kiedy usłyszała moje nazwisko, powiedziała tylko: „nie będę rozmawiała o Nicholasie Spencerze” - i odłożyła słuchawkę. Pozostało mi jedno wyjście. Stawić się u niej osobiście.

Zanim wyszłam z biura, sprawdziłam pocztę elektroniczną. Dostałam przynajmniej sto pytań do mojego kącika w dodatku niedzielnym, większość z nich była stosunkowo rutynowa, ale na końcu pojawiły się dwa e-maile, które mną niezaprzeczalnie wstrząsnęły. W pierwszym z nich

napisano: „Przygotuj się na dzień sądu”.

Nie, to nie groźba, uspokoiłam sama siebie. Pewnie przesłanie od jakiegoś nawiedzonego świra, wołanie typu: „Zbliża się Sąd Ostateczny”. Zbyłam go wzruszeniem ramion, tym bardziej że drugi list przyprawił mnie o kompletne osłupienie: „Kim był człowiek, który wyszedł z domu Lynn Spencer tuż przed pożarem?”.

Kto mógł widzieć jakąkolwiek osobę wychodzącą z domu na chwilę przed wybuchem ognia? Czy nie ten, kto go podłożył? A jeśli tak, dlaczego miałby pisać akurat do mnie? Wtedy przyszła mi do głowy pewna myśl: małżeństwo zajmujące się domem Spencerów pod nieobecność gospodarzy nie spodziewało się Lynn tamtej nocy, ale może widzieli kogoś innego wychodzącego z domu? Jeśli tak, dlaczego się z tym nie zdradzili? Potrafiłam wymyślić tylko jedną przyczynę: przebywali w Ameryce nielegalnie i nie chcieli zostać deportowani.

Teraz czekały mnie trzy wizyty w Westchester County.

Postanowiłam najpierw podjechać do Vivian i Joela Powersów w Briarcliff Manor, jednym z miasteczek graniczących z Pleasantville. Ich dom był zaznaczony na mapie samochodowej. Zaparkowałam przed uroczym piętrowym budyneczkiem, który miał nie mniej niż sto lat. Na frontowym trawniku widniała tablica ze znakiem firmowym biura nieruchomości. Dom został wystawiony na sprzedaż.

Zaciskając w myślach kciuki, podobnie jak wówczas, gdy prosiłam, by mnie zaanonsowano doktorowi Broderickowi, zadzwoniłam do ciężkich, solidnych drzwi. Pośrodku znajdował się judasz; czułam, że jestem obserwowana. Wreszcie się uchylity, zabezpieczone doskonale widocznym łańcuchem.

Kobieta, która je otworzyła, była ciemnowłosą piękną koło trzydziestki. Nie miała żadnego makijażu, bo też w ogóle go nie potrzebowała. Jej brązowe oczy ocieniały długie rzęsy. Subtelnie zarysowane kości policzkowe, nos o doskonałym kształcie i pełne usta... mogła kiedyś

być modelką. Z całą pewnością na modelkę wyglądała.

- Nazywam się Carley DeCarlo - powiedziałam. - Czy pani Vivian Powers?

- Tak, to ja, i już mówiłam, że nie udzielę wywiadu - odparła ostro. Za chwilę zamknie mi drzwi przed nosem.

- Chcę napisać prawdziwą i wyważoną historię Nicholasa Spencera - wyrzucałam z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. - Nie zgadzam się z płaską i czarno-białą opowieścią lansowaną przez media. Kiedy rozmawialiśmy w sobotę, odniosłam wrażenie, że była pani gotowa bronić szefa.

- To prawda. Żegnaj panią. Proszę tu więcej nie przychodzić.

Ryzykowałam, ale nie miałam innego wyjścia.

- W piątek pojechałam do Caspien, rodzinnego miasteczka Nicka. Rozmawiałam z doktorem Broderickiem, który kupił jego dom rodzinny i przechowywał wczesne zapiski starszego pana Spencera. Doktor Broderick został potrącony przez samochód. Ma niewielkie szansę przeżycia. Sprawca wypadku uciekł. Uważam, że moja wizyta u doktora Brodericka i ten tak zwany wypadek są ze sobą ściśle powiązane.

Wstrzymałam oddech. W oczach Vivian Powers pojawił się strach. Po chwili zdjęła łańcuch.

- Proszę wejść.

W środku trwało pakowanie. Dywany zwinięto, rzeczy ułożono w kartonach z dużymi napisami oznaczającymi zawartość. Puste stoły, gołe ściany i okna - wszystko świadczyło, że Vivian Powers właśnie się wyprowadza. Zauważyłam na jej palcu obrączkę ślubną, ciekawa byłam, gdzie też się podziewał jej mąż.

Zaprowadziła mnie na niedużą, nasłonecznioną werandę, ciągle jeszcze nietkniętą, z lampami na stolikach i małym dywanikiem na jasnej podłodze z desek. Stały tam wiklinowe meble, siedzenia i oparcia foteli wyoszczono poduszkami obciążniętymi perkalem w jasnych kolorach.

Vivian Powers usiadła na dwuosobowej kanapce, mnie zostawiła miejsce na fotelu od kompletu.

Cieszyłam się, że postanowiłam być natrętna, że przyjechałam tu dzisiaj i że wprosiłam się do środka.

Agencje nieruchomości mają mądry zwyczaj pokazywania domów nowym klientom, gdy jeszcze mieszkają w nich poprzedni właściciele, toteż nasunęło mi się pytanie, czemu Vivian Powers wyprowadza się w takim pośpiechu. Postanowiłam sprawdzić, kiedy dom został zgłoszony do sprzedaży. Założyłam się sama ze sobą, że już po katastrofie lotniczej Spencera.

- Uciekam tutaj od czasu, gdy zaczęło się pakowanie.

- Kiedy pani się wyprowadza? - zapytałam.

- W piątek.

- Zostanie pani w okolicy? - Staralam się, żeby pytanie brzmiało zdawkowo.

- Nie. Jadę do Bostonu, do rodziców. Zamieszkać z nimi, dopóki nie znajdę sobie nowego domu. Meble zostawię na razie w magazynie.

Joel Powers najwyraźniej nie wpisał się w żonine plany na przyszłość.

- Nie będzie miała pani nic przeciwko, jeśli zadam kilka pytań...

- Gdybym miała, nie wpuściłabym pani do środka - odparła. - Ale najpierw ja chciałabym panią o coś spytać.

- Odpowiem, jeśli tylko będę mogła.

- Dlaczego wybrała się pani do doktora Brodericka?

- Pojechałam tam, żeby zyskać pojęcie o domu, gdzie wychowywał się Nicholas. Chciałam porozmawiać z jego aktualnym właścicielem na temat laboratorium doktora Spencera.

- Czy wiedziała pani o pozostawionych tam notatkach ojca Nicka?

- Nie. Dowiedziałam się o nich dopiero od samego doktora Brodericka. Był wyraźnie zmartwiony, że okazał się zbyt ufny i przekazał je w niewłaściwe ręce. Czy Nick Spencer

wspomniał pani o ich zniknięciu?

- Tak. - Zawiesiła głos. - Podczas tej uroczystej kolacji, gdy wręczano mu medal dla zasłużonego obywatela Caspien, wydarzyło się coś szczególnego, choć nie wiem, co. Na pewno miało to związek z listem, jaki Nick otrzymał mniej więcej w okresie Święta Dziękczynienia. Otóż jakaś kobieta postanowiła ujawnić tajemnicę, którą ponoć znali tylko ona i doktor Spencer.

Podobno ojciec Nicka wyleczył jej córkę ze stwardnienia rozsianego. Podała nawet numer swojego telefonu. Nick oddał mi ten list, aby udzielić jej standardowej odpowiedzi. Powiedział:

„Zwariowała kobiecina. Przecież to niemożliwe”.

- Tak czy inaczej, odpowiedź na ten list została wysłana?

- Odpowiadaliśmy na wszystkie listy przychodzące do Nicka. Ludzie pisali do niego bez przerwy, błagając, by ich włączył do programu badań, gotowi podpisać wszystko i na wszystko się zgodzić, w zamian za szansę otrzymania szczepionki. Czasami pisali o wyzdrowieniu z jakiejś konkretnej choroby i chcieli, żeby testował ich domowej roboty leki, a potem je rozprowadzał. Było kilka wzorów odpowiedzi.

- Czy ma pani kopie tych wzorów?

- Nie, tylko listę osób, do których wysłano listy, ale żadne z nas nie zapamiętało nazwiska tamtej kobiety. Prowadzenie takiej korespondencji należało do obowiązków dwóch specjalnie w tym celu zatrudnionych maszynistek. Jakiś czas później, właśnie w trakcie tej uroczystej kolacji, zdarzyło się coś szczególnego. Następnego ranka Nick był wyjątkowo ożywiony. Podobno otrzymał jakąś sensacyjną informację. Mnie powiedział tylko, że instynkt każe mu poważnie potraktować list kobiety, której córkę wyleczył ze stwardnienia rozsianego jego ojciec.

- Wrócił więc do Caspien po wczesne zapiski ojca, ale dowiedział się tylko, że zniknęły.

Ktoś je zabrał mniej więcej w okresie Święta Dziękczynienia, w tym samym czasie, gdy przyszedł do biura ów list.

- Zgadza się.

- Podsumujmy. Pani zdaniem istnieje ścisły związek między owym konkretnym listem a faktem, że notatki doktora Spencera zostały zabrane od doktora Brodericka zaledwie kilka dni później?

- Jestem tego pewna. Po drugiej wizycie w Caspien Nick bardzo się zmienił.

- Czy kiedykolwiek wspomniał, z kim się spotkał po wizycie u doktora Brodericka?

- Nie, nigdy.

- Może pani sprawdzić zapiski w jego kalendarzu? Uroczysta kolacja odbyła się piętnastego lutego, więc chodzi o szesnastego. Może zanotował jakieś nazwisko albo numer?

Pokręciła głową.

- Tamtego ranka nie zanotował nic i na dodatek po tym dniu w ogóle już nic nie notował w kalendarzu. To znaczy, żadnych spotkań poza biurem.

- A gdyby musiała się pani natychmiast z nim skontaktować?

- W takich wypadkach dzwoniłam pod jego numer komórkowy. Muszę coś pani wyjaśnić.

W kalendarzu były zapisane pewne plany ustalone wcześniej: seminaria medyczne, kolacje, posiedzenia zarządu i tym podobne. Ale też w ciągu ostatnich czterech czy pięciu tygodni Nick częściej niż zwykle bywał poza biurem. Kiedy zjawili się u nas ludzie z prokuratury, powiedzieli, że dwa razy poleciał do Europy. Nie korzystał z samolotu firmowego, więc nikt o niczym nie wiedział, nawet ja.

- Zdaniem policji, czynił przygotowania do operacji plastycznej twarzy albo wił sobie nowe gniazdko. A co pani sądzi?

- Ja sądzę, że działo się coś bardzo złego i on się o tym dowiedział. Chyba się bał, że ma telefon na podsłuchu. Do doktora Brodericka dzwonił przy mnie... kiedy teraz o tym myślę, zastanawiam się, dlaczego nie powiedział, o co mu chodzi. Zapytał jedynie, czy może zajrzeć.

Vivian Powers z całą pewnością desperacko pragnęła wierzyć, iż Nick Spencer padł ofiarą czyjegoś niecnego planu.

- Jak pani sądzi, czy rzeczywiście miał nadzieję na wynalezienie cudownego leku? -

zapytałam. - Czy też od początku zdawał sobie sprawę z beznadziejności tego przedsięwzięcia?

- Wynalezienie leku na raka było celem jego życia. Nowotwór zabrał mu i żonę, i matkę...

Poznałam Nicka dwa lata temu, w hospicjum. Pracował jako wolontariusz, kiedy trafił tam mój mąż.

- Poznaliście się w hospicjum?

- Tak. U Świętej Anny. Zaledwie kilka dni przed śmiercią Joela. Wcześniej pracowałam jako asystentka prezesa spółki maklerskiej. Zrezygnowałam z tego zajęcia, żeby mieć więcej czasu dla męża. Nick zajrzał któregoś razu do jego pokoju i długo z nami rozmawiał. Potem, kilka tygodni po śmierci Joela, zadzwonił do mnie i powiedział, że gdybym kiedyś wzięła pod uwagę pracę w Genstone, chętnie znajdzie mi miejsce. Pół roku później skorzystałam z propozycji. Nie spodziewałam się, że będę pracowała bezpośrednio dla niego, ale tak się akurat złożyło. Jego asystentka miała niedługo rodzić, a planowała zostać w domu przynajmniej dwa lata, więc dostałam jej posadę. Spadła mi jak z nieba.

- Jak układały się jego stosunki z innymi pracownikami biura?

Vivian się uśmiechnęła.

- Doskonale. Szczerze lubił Charlesa Wallingforda, choć czasami sobie z niego żartował.

Powiedział kiedyś na przykład, że jeśli jeszcze raz usłyszy o jego drzewie genealogicznym, będzie zmuszony je ściąć. Nie przepadał natomiast za Adrianem Garnerem. Uważał go za nadętego snoba, ale tolerował ze względu na pieniądze. Nick Spencer całkowicie poświęcił się jednej sprawie. -

Usłyszałam w głosie Vivian Powers pasję, tę samą, na którą zwróciłam uwagę, gdy rozmawialiśmy w sobotę. - Był gotów tańczyć, jak mu zagra Garner, byle wejść ze szczepionką na rynek i

udostępnić ją całemu światu.

- A gdyby zdał sobie sprawę, że szczepionki nie będzie i że roztrwonił ogromne pieniądze?

- Wtedy, przyznaję, mógłby się załamać. Był podminowany i zmartwiony, a jeszcze los dokładał swoje. Tydzień przed katastrofą lotniczą o włos uniknął groźnego wypadku. Kiedy późną nocą jechał do domu... z Nowego Jorku do Bedford, wysiadły mu hamulce.

- Mówiła pani o tym komuś?

- Nie. Sam Nick potraktował sprawę bardzo lekko. Miał szczęście, bo ruch był niewielki, więc zdjął nogę z gazu i manewrował kierownicą, aż udało mu się zatrzymać. Samochód był stary, ale Nick go uwielbiał. Po tej przygodzie uznał jednak, że najwyższy czas z nim się rozstać. -

Zawahała się. - Kiedy się teraz nad tym zastanawiam... Może ktoś celowo uszkodził wóz? Ten incydent zdarzył się raptem tydzień przed katastrofą lotniczą.

Bardzo się starałam zachować pokerową twarz, więc tylko w zamyśleniu pokiwałam głową.

Nie chciałam jej pokazać, że całkowicie się z tym zgadzam. Musiałam się jeszcze czegoś dowiedzieć.

- A co pani wie o jego związku z Lynn?

- Nic. Chociaż Nick wydawał się osobą publiczną, w rzeczywistości skutecznie chronił swoją prywatność.

Ujrzałam w jej oczach szczerzy smutek.

- Lubiła go pani, prawda?

Pokiwała głową.

- Każdy, kto miał przyjemność regularnie się z nim widywać, musiał go polubić. Był wyjątkowym człowiekiem, sercem i duszą tej spółki. Bez niego nic z niej nie zostanie. Zbankrutuje. Ludzie albo są zwalniani, albo sami odchodzą, wszyscy go nienawidzą i obarczają winą. A moim zdaniem on także jest ofiarą.

Wymogłam na Vivian Powers obietnicę, że pozostanie ze mną w kontakcie, i kilka minut później wyszłam. Poczekała, aż dojdę do furтки, i pomachała mi, kiedy wsiadłam do samochodu. Mój mózg pracował na przyspieszonych obrotach. Na pewno istniało jakieś powiązanie między wypadkiem samochodowym doktora Brodericka, uszkodzeniem auta Nicka i katastrofą samolotu. Trzy przypadki z rzędu? Mowy nie ma. Aż wreszcie postawiłam wyraźne pytanie, które od dawna czaiło się gdzieś w zakamarkach umysłu: Czy Nicholas Spencer został zamordowany? Kiedy jednak porozmawiałam z małżeństwem opiekującym się posiadłością w Bedford, w mojej głowie powstał zupełnie inny scenariusz, który skierował myśli na całkiem nowe tory.

„Dzisiaj śniło mi się, że znów jestem w Manderley”. Pierwsze słowa pierwszego rozdziału „Rebeki” Daphne du Maurier brzęczały mi w uszach niczym natrętna mucha. Zjechałam z drogi w Bedford, zatrzymałam wóz przed bramą i zapowiedziałam się przez domofon.

Drugi raz tego dnia składałam niezapowiedzianą wizytę. Gdy głos z hiszpańskim akcentem grzecznie spytał, kim jestem, przedstawiłam się jako przybrana siostra pani Spencer. Na chwilę zapadła cisza, a potem wyjaśniono mi, jak mam ominąć pogorzelsko, trzymając się prawej strony. Jechałam bardzo wolno, bo podziwiałam przepiękny i doskonale utrzymany teren wokół poczerńiałych ruin. Na tyłach znajdował się odkryty basen, a wyżej, na tarasie - kryty. Po lewej stronie widziałam coś, co przypominało angielski ogród. Jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić Lynn na kolanach, dłubiącej w ziemi. Ciekawa byłam, czy to Nick z pierwszą żoną przyczynili się do takiego kształtu otoczenia, czy też może stworzył to wszystko poprzedni właściciel.

Dom, w którym mieszkali Manuel i Rosa Gomez, okazał się interesującą architektonicznie budowlą z wapienia, zwieńczoną ukośnym dachem. Ściana wiecznie zielonych roślin osłaniała go od strony głównego budynku, zapewniając obu miejscom prywatność. Od razu zrozumiałam, dlaczego w zeszłym tygodniu zatrudnieni tu ludzie nie zauważyli powrotu Lynn. Na pewno przyjechawszy późno w nocy, otworzyła sobie bramę kodem. Wprowadziła samochód do garażu i jakby jej nie było. Trochę natomiast zdziwił mnie brak jakichkolwiek zabezpieczeń na terenie posiadłości - ani śladu kamer czy strażników. Może wystarczał alarm w samym domu.

Zaparkowałam, weszłam na ganek i zadzwoniłam do drzwi. Otworzył Manuel Gomez, przystojny mężczyzna wzrostu nieco ponad metr siedemdziesiąt, z ciemnymi włosami i pociągłą inteligentną twarzą. Zaprosił mnie do środka. Weszłam do przedpokoju i od razu podziękowałam, że zgodzili się ze mną porozmawiać, choć zjawiłam się bez uprzedzenia.

- Niewiele brakowało, a już by nas pani tu nie zastała - odrzekł sztywno. - Zgodnie z

poleceniem pani siostry wyjeżdżamy o trzynastej. Rzeczy już wywieźliśmy. Żona zrobiła zakupy zlecone przez panią Spencer i właśnie poszła się upewnić, że na piętrze wszystko w porządku. Czy zechce pani sprawdzić?

- Państwo się wyprowadzają? Dlaczego?

Chyba zdał sobie sprawę, że jestem szczerze zdumiona.

- Pani Spencer nie potrzebuje teraz służby na stałe, a poza tym zamierza mieszkać w domku dla gości, do czasu, gdy zdecyduje, czy odbudowywać dom.

- Pożar był zaledwie tydzień temu! - wykrzyknęłam. - Czy państwo mają już nową pracę?

- Nie mamy. Wybierzemy się na krótki urlop do Portoryko, w odwiedziny do krewnych.

Potem zamieszkamy u córki i będziemy szukali nowego zajęcia.

Lynn chciała zamieszkać w Bedford. Zrozumiałe. Na pewno miała tutaj przyjaciół. Ale żeby tak bezwzględnie wyrzucać tych ludzi na ulicę? Nieludzkie.

Mężczyzna zdał sobie sprawę, że ciągle stoimy w przedpokoju.

- Przepraszam panią - powiedział. - Zapraszam do salonu.

Idąc za nim, szybko rozejrzałam się dookoła. Dostyc strome schody prowadziły z korytarza na piętro. Na lewo było coś, co wydało mi się gabinetem z regałami na książki i odbiornikiem telewizyjnym. Salon miał całkiem przyzwoite rozmiary, tynkowane ściany pomalowane na kremowo, kominek i okna w srebrzystych ramach. Był wygodnie umeblowany; potężną sofę oraz fotele obito tkaniną o gobelinowym wzorze. Wszystko razem budziło skojarzenie z angielskim domkiem na wsi.

Wnętrze było nieskazitelnie czyste, na stoliku do kawy stał wazon ze świeżymi kwiatami.

- Proszę usiąść - odezwał się Gomez. On sam stał nadal.

- Jak długo pan tu pracuje? - spytałam.

- Od czasu gdy państwo Spencer się pobrali. To znaczy... pan Spencer z pierwszą żoną.

Dwanaście lat temu.

Dwanaście lat służby i tydzień wymówienia! Dobry Boże! Umierałam z ciekawości, jaką odprawę wypłaciła im Lynn, ale nie miałam śmiałości zapytać. W każdym razie nie tak z marszu.

- Proszę pana - odezwałam się - nie przyszedłam oglądać domu. Przyszedłam, bo chciałam porozmawiać z panem i pańską żoną. Jestem dziennikarką z „Wall Street Weekly”, pomagam przy stworzeniu charakterystyki Nicholasa Spencera. Pani Spencer wie o moim zleceniu. Wiele osób wypowiada się o Nicholasie w sposób wręcz zjadliwy, a ja chcę być całkowicie bezstronna. Mogę państwu zadać kilka pytań na jego temat?

- Poproszę żonę - powiedział cicho. - Jest na piętrze.

Czekając, zajrzałam przez łukowato sklepione przejście do dalszej części domu. W głębi otwierała się jadalnia, jeszcze dalej była kuchnia. Odniosłam wrażenie, że budynek został raczej zaprojektowany jako domek dla gości, a nie dla służby. Pachniał luksusem.

Usłyszałam kroki na schodach, więc wróciłam na miejsce, gdzie posadził mnie Gomez.

Wstałam, żeby przywitać się z Rosą Gomez, ładniutką, nieco zbyt pulchną kobietą, której podpuchnięte oczy świadczyły niezbicie o niedawnych łzach.

- Usiądźmy może - zaproponowałam i w tej samej chwili poczułam się jak idiotka. W końcu to jednak ja tu byłam gościem.

Nakłoniłam ich do mówienia o Nicholasie i Janet Spencerach bez najmniejszego wysiłku.

- Byli tacy szczęśliwi - opowiadała Rosa Gomez, a twarz jej się rozchmurzyła na wspomnienie dawnych dni. - A kiedy urodził im się Jack, to pomyślałaby pani, że nie ma innego dziecka na całym świecie. Biedny chłopaczek, stracił oboje rodziców. Byli wspaniałymi ludźmi.

Łzy zalśniły jej w oczach. Niecierpliwie otarła je wierzchem dłoni. Dowiedziałam się, że Spencerowie kupili dom kilka miesięcy po ślubie, a zaraz potem zatrudnili Gomezów.

- Wtedy mieszkaliśmy w głównym domu - ciągnęła Rosa. - Jest tam bardzo miłe

mieszkańko przy kuchni. Ale kiedy pan Spencer ożenił się po raz drugi, pani siostra...

Przybrana!!!

Chciałam to wrzasnąć na całe gardło.

- Muszę pani przerwać - odezwałam się zamiast tego całkiem spokojnie. - Powinnam wyjaśnić, że pani Spencer i ja nie jesteśmy rodzonymi siostrami. Jej ojciec i moja mama pobrali się dwa lata temu. Wprawdzie jesteśmy przybranymi siostrami, ale nie łączą nas żadne bliskie więzi.

Przysłałam do państwa jako dziennikarka, a nie krewna pani domu.

Tyle jeśli chodzi o działanie w imieniu i na korzyść Lynn. Musiałam usłyszeć od tych ludzi prawdę, a nie grzeczne, starannie wyważone słowa. Manuel Gomez spojrzał na żonę i przeniósł wzrok na mnie.

- Pani Lynn Spencer nie chciała nas w tamtym domu. Wołała, jak wielu innych pracodawców, żeby służba mieszkała osobno. Przekonała pana Spencera, że pięć pokoi gościnnych w dużym domu to więcej niż dość dla wszelkich gości, jakich chcieliby zapraszać. Pan nie miał nic przeciwko temu, abyśmy się przeprowadzili do tego domku, a my byliśmy zachwyceni, że możemy zamieszkać w takim pięknym miejscu. Jack mieszkał, oczywiście, z rodzicami.

- Czy Nicholas Spencer był blisko związany z synem? - spytałam.

- Bardzo - odparł Manuel stanowczo. - Ale dużo podróżował, a nie chciał zostawiać Jacka pod opieką niani.

- A kiedy ożenił się po raz drugi, Jack nie chciał mieszkać w domu razem z panią Lynn Spencer - stwierdziła Rosa bez ogródek. - Powiedział mi kiedyś, że ona go nie lubi.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Proszę pamiętać, że znaleźliśmy go od urodzenia. Dobrze mu było z nami.

Traktował nas jak rodzinę. A w ojcu... - Uśmiechnęła się do wspomnień i pokręciła głową. - W ojcu miał najlepszego przyjaciela. Jaka to straszna tragedia dla tego dziecka. Najpierw matka, teraz

ojciec... Rozmawiałam niedawno z babcią Jacka... Mówi, że chłopiec nie wierzy w śmierć ojca.

- Dlaczego? - spytałam szybko.

- Pan Nicholas był doskonałym pilotem, latał już w college'u. Jack uchwycił się nadziei, że ojciec jakoś wydostał się z samolotu przed katastrofą.

Proroctwo niewiniątka?

Dłuższą chwilę słuchałam, jak Manuel i Rosa jedno przez drugie opowiadali anegdoty o dawnych latach spędzonych z Nickiem i Janet oraz Jackiem, aż wreszcie przeszłam do pytań, które musiałam zadać.

- Dostałam list elektroniczny od kogoś, kto twierdzi, że na chwilę przed wybuchem pożaru z domu wyszedł jakiś mężczyzna. Czy któreś z państwa coś o tym wie?

Oboje wyglądali na wstrząśniętych.

- My nie mamy poczty elektronicznej - odrzekł Manuel. - A gdybyśmy zobaczyli kogoś przed wybuchem pożaru, na pewno powiedzielibyśmy o tym policji. Sądzi pani, że list wysłał podpalacz?

- Możliwe - przytaknęłam. - Różni wariaci chodzą po świecie. Nie wiem natomiast, dlaczego ten list został wysłany do mnie, a nie do policji.

- Czuję się winny, że nie pomyśleliśmy o sprawdzeniu garażu - przyznał się cicho Manuel. - Zazwyczaj pani Spencer nie wracała do domu w środku nocy, czasami się to jednak zdarzało.

- Jak często Spencerowie tutaj bywali? - zapytałam. - Co weekend, w tygodniu czy nieregularnie?

- Pierwsza pani Spencer uwielbiała ten dom. Państwo przyjeżdżali tu co weekend, a pani często zostawała na tydzień czy dwa, jeśli pan Spencer był w podróży. Natomiast pani Lynn Spencer zamierzała sprzedać i ten dom, i nowojorski apartament. Powiedziała panu Spencerowi, że chce zacząć wszystko od początku, a nie mieszkać w miejscu urządzonym według gustu innej

kobiety. Nawet się o to pokłócili.

- Roso, nie powinnaś plotkować - ostrzegł żonę Manuel.

Wzruszyła ramionami.

- Mówię samą prawdę. Dom jej się nie podobał. Pan Spencer poprosił, żeby zaczekała na zatwierdzenie szczepionki przez Instytut Żywności i Leków, zanim zaangażuje się w jakieś projekty budowlane. Ostatnio pojawiły się kłopoty ze szczepionką i pan chodził bardzo zmartwiony. Dużo podróżował. Kiedy wracał do domu, często od razu jechał do Greenwich, żeby być z Jackiem.

- O ile wiem, Jack mieszka z dziadkami. Czy przyjeżdżał tutaj na weekendy, jeśli Nicholas Spencer był w domu?

- O, nieczęsto. Zawsze robił się bardzo cichy przy nowej pani Spencer. Ona nie potrafi postępować z dziećmi. Jack stracił matkę, kiedy miał pięć lat. Pani Lynn Spencer przypominają z wyglądu, ale oczywiście nią nie jest. Przez to jest mu trudniej. Myślę, że to podobieństwo go denerwuje.

- Czy powiedzieliby państwo, że Lynn i pan Spencer byli sobie bardzo oddani? -

Wiedziała, że zaczynam być, delikatnie mówiąc, niedyskretna, ale musiałam zyskać pojęcie o ich układach.

- Cztery lata temu, jak tylko się pobrali... to tak - przyznała Rosa. - Przynajmniej jakiś czas.

Ale zdaje mi się, że to nie trwało długo. Ona często przyjeżdżała tutaj ze swoimi gośćmi, kiedy pan był w podróży albo w Greenwich, z Jackiem.

- Powiedziała pani, że pani Spencer nie miała w zwyczaju przyjeżdżać tu późną nocą, ale czasami się to zdarzało. Czy wtedy najpierw do państwa dzwoniła?

- Czasami rzeczywiście dzwoniła wcześniej i uprzedzała, żeby przygotować jej jakieś przekąski albo kolację na zimno. Bywało też, że rano dostawaliśmy telefon już z głównego budynku, dowiadaliśmy się, że pani jest i o której sobie życzy śniadanie. Normalnie i tak szliśmy

tam około dziewiątej i zaczęliśmy sprzątać. O taki duży dom trzeba dbać stale, wszystko jedno, czy ktoś w nim akurat przebywa, czy nie.

Najwyższy czas się zbierać. Czułam, że Manuel i Rosa Gomez nie chcą przedłużać bolesnego rozstania z domem. A przecież tak niewiele dowiedziałam się o życiu mieszkających tu ludzi.

- Nie zauważyłam na terenie posiadłości żadnych kamer - rzuciłam na koniec.

- Przedtem państwo mieli labradora, dobry był z niego stróż - wyjaśnił Manuel. - Teraz Shep mieszka razem z Jackiem w Greenwich, bo pani Lynn Spencer nie życzyła sobie psa. Mówiła, że jest uczulona.

Bez sensu. Przecież w mieszkaniu jej ojca w Boca Raton widziałam mnóstwo zdjęć coraz doroślejszej Lynn z najróżniejszymi psami i końmi.

- Gdzie trzymano tego psa? - spytałam.

- Właściwie zawsze był w ogrodzie, chyba że czasem zdarzyła się wyjątkowo zimna noc.

- Szczekał na obcych?

Uśmiechnęli się oboje.

- O, tak - powiedział Manuel. - Pani Spencer narzekała, że Shep jest strasznie hałaśliwy.

Strasznie hałaśliwy, bo obwieszczał wszystkim o jej późnych powrotach, czy dlatego, że alarmował, gdy pojawiali się inni nocni goście? Wstałam.

- Bardzo dziękuję, że poświęcili mi państwo tyle czasu. Żałuję, że sprawy ułożyły się tak fatalnie.

- Ja się modlę - oznajmiła Rosa. - Modlę się, żeby Jack miał rację i żeby pan Spencer przeżył. Modlę się też, żeby ta szczepionka w końcu się udała i żeby się skończyły wszystkie kłopoty z pieniędzmi. - W oczach kobiety znowu pojawiły się łzy i potoczyły po policzkach. - I modlę się o cud. Matka Jacka już nie wróci, ale modlę się, żeby pan Spencer zszedł się z tą śliczną

kobietą, która u niego pracuje.

- Cicho, Rosa - burknął Manuel.

- Nie będę cicho! - odparła wyzywająco. - Co komu zaszkodzi, jeśli teraz to powiem? -

Przeniosła wzrok na mnie. - Parę dni przed katastrofą samolotu pan Spencer przyjechał tutaj po południu, zaraz po pracy, bo zapomniał wziąć walizkę. Była z nim ta dziewczyna. Nazywa się Vivian Powers. Gołym okiem było widać, że bardzo się kochają. I dobrze. Pan Spencer nie miał szczęścia w życiu. Pani Lynn Spencer nie jest dobrą kobietą. Jeżeli pan Spencer rzeczywiście nie żyje, to będę się cieszyła, że przynajmniej zdążył poznać kogoś, kto go tak pokochał.

Zostawiłam im swoją wizytówkę i wyszłam, układając sobie w głowie nowe informacje.

Vivian rzuca pracę, sprzedaje dom i wstawia meble do magazynu. Powiedziała, że zamierza rozpocząć nowe życie. W drodze do domu uznałam, iż mogę spokojnie dać głowę, że nie będzie tego życia zaczynała w Bostonie. A co z listem od kobiety, której córkę wyleczył ponoć doktor Spencer? Gdzie się podział? Gdzie zniknęły najwcześniejsze zapiski ojca Nicka? Czy historia o awarii samochodu była częścią skomplikowanego planu mającego na celu stworzenie wrażenia, że Nick Spencer padł ofiarą spisku?

Przypomniał mi się nagłówek z „Teh News”: „Żona szłocha: nie wiem, co myśleć”.

Mogłam dorzucić do tego podtytuł: „Przybrana siostra żony także nie ma bladego pojęcia”.

Podłogę korytarza w hospicjum zajmującym jedno skrzydło szpitala Świętej Anny pokrywała miękka wykładzina. Kącik recepcyjny urządzono wygodnie, przez przeszkloną ścianę rozpościerał się piękny widok na staw. Jasne wnętrze emanowało spokojem, całkiem przeciwnie niż w głównym budynku szpitala czy w innym skrzydle, gdzie odwiedzałam Lynn.

Pacjenci przychodzili tutaj ze świadomością, że już nie wyjdą. Potrzebowali ulgi w cierpieniu, o tyle, o ile mogła im ją ofiarować ludzka wiedza, i oczekiwali na spokojną śmierć w otoczeniu swoich bliskich oraz ludzi służących wszelką pomocą i pocieszeniem zarówno odchodzącym, jak i tym, którzy zostawali.

Recepcjonistka była wyraźnie zaskoczona, że chcę się spotkać z dyrektorem hospicjum, nie będąc umówiona, ale zgodziła się przekazać moją prośbę. Wzmianka o „Wall Street Weekly” otwierała wiele drzwi. Po chwili zostałam dosłownie odeskortowana do biura doktor Katherine Clintworth, atrakcyjnej kobiety tuż po pięćdziesiątce. Miała długie i proste włosy o barwie piasku, ale dominujący akcent w jej twarzy stanowiły oczy koloru zimowego błękitu, takie jak woda w słoneczny styczniowy dzień. Ubrana była w luźny żakiet z grubej dzianiny i spodnie od kompletu. Muszę się pochwalić, że przeprosiny z powodu niezapowiedzianej wizyty, a zaraz po nich wyjaśnienia, iż biorę udział w kompletowaniu materiałów dla „Wall Street Weekly”, miałam już opanowane do perfekcji. Doktor Clintworth zbyła je krótkim gestem ręki.

- Z przyjemnością odpowiem na pani pytania dotyczące Nicholasa Spencera - powiedziała. -

Bardzo go lubiłam. Jak pani z pewnością doskonale rozumie, mało co sprawiłoby nam większą przyjemność niż możliwość zlikwidowania hospicjów dla umierających na nowotwory - z powodu opanowania nowotworów.

- Jak długo Nicholas Spencer pracował w hospicjum? - spytałam.

- Od śmierci swojej pierwszej żony, Janet. Czyli trochę ponad pięć lat. Mogliśmy się nią

zajęć u nich w domu, ale ponieważ mieli małe dziecko, uznała, że lepiej zrobi, przeprowadzając się do nas na te ostatnie dni. Nick był nam ogromnie wdzięczny za wszelką pomoc, jaką mogliśmy ofiarować, nie tylko Janet, ale także jej, ich synkowi oraz rodzicom żony. Kilka tygodni po jej śmierci przyszedł i zaproponował, że będzie u nas pracował.

- Chyba niełatwo było wyznaczać mu dyżury? Przecież dużo podróżował.

- Sporządzał dla nas wykaz dni, kiedy można było wyznaczyć mu dyżur, zawsze z przynajmniej dwutygodniowym wyprzedzeniem. Włączaliśmy go do grafiku bez najmniejszego trudu. Nick był tutaj bardzo lubiany.

- Rozumiem wobec tego, że pracował jako ochotnik do ostatniej chwili?

Zamilkła na chwilę.

- Nie - przyznała wreszcie. - Nie zaglądał do nas mniej więcej od miesiąca.

- Czy była jakaś konkretna przyczyna?

- Zasugerowałam mu, żeby wziął sobie trochę wolnego. Od kilku tygodni sprawiał wrażenie człowieka żyjącego w ciągłym napięciu. - Bardzo starannie dobierała słowa.

- A dokładnie? - naciskałam.

- Wydawał się podenerwowany i spięty. Powiedziałam mu szczerze, że moim zdaniem żyje pod zbyt wielką presją. Całymi dniami pracował nad szczepionką, a jeszcze przychodził tutaj i opiekował się chorymi, którzy błagali go, żeby wypróbował na nich swój wynalazek.

- Zgodził się z panią?

- Jeżeli nawet się nie zgodził, to powiedziałabym, że przynajmniej zrozumiał. Tamtego wieczora widzieliśmy się ostatni raz.

Ukryte znaczenie słów, których nie wypowiedziała, spadło na mnie jak grom z jasnego nieba.

- Proszę pani, czy Nicholas Spencer kiedykolwiek podał swoją szczepionkę jakiemuś

pacjentowi?

- Takie postępowanie byłoby niezgodne z prawem - odparła krótko doktor Clintworth.

- Nie o to pytałam. Istnieje bardzo prawdopodobna możliwość, że Nicholas Spencer borykał się z nieprzewidzianymi przeszkodami. Proszę, niech pani będzie ze mną szczerą.

Jakiś czas milczała.

- Jestem przekonana - odezwała się wreszcie - że podał szczepionkę jednej osobie. W zasadzie jestem tego pewna, choć pacjent się nie przyznał. Podejrzewam, że lek dostała jeszcze jedna osoba, ale w tym wypadku także spotkałam się ze stanowczym zaprzeczeniem.

- Co się stało z chorym, który na pewno otrzymał szczepionkę?

- Wrócił do domu.

- Wyzdrowiał?

- Nie, ale o ile mi wiadomo, nastąpiła u niego spontaniczna remisja. Wyhamowanie rozwoju objawów chorobowych, co się zdarza, choć nieczęsto.

- Czy śledzą państwo stan tego pacjenta?

- Jak powiedziałam, nie przyznał się, że przyjął szczepionkę Nicholasa Spencera, nawet jeśli założymy, iż faktycznie ją dostał.

- Powie mi pani, kto jest tym pacjentem?

- Nie mogę tego zrobić. Byłoby to pogwałceniem jego prawa do prywatności.

Sięgnęłam po wizytówkę.

- A czy zechciałaby pani go poprosić, żeby się ze mną skontaktował?

- Poproszę, ale jestem pewna, że się nie odezwie.

- A co z tym drugim pacjentem? - naciskałam.

- W tym wypadku w grę wchodzi wyłącznie moje niczym niepotwierdzone domysły.

Wybaczy pani, ale muszę już wrócić do obowiązków. Jeśli chce pani poznać moją opinię o

Nicholasie Spencerze do zacytowania drukiem, to proszę napisać: „Był dobrym człowiekiem, niespotykane szlachetnym. Jeżeli zboczył z właściwej drogi, to na pewno nie z pobudek egoistycznych”.

Dłoń rwała tak potwornie, że Ned potrafił myśleć tylko o bólu. Wkładał rękę do lodowatej wody i smarował masłem, ale ani jedno, ani drugie nie pomagało. Wreszcie, za dziesięć dziesiąta w ten poniedziałkowy wieczór, poszedł do pobliskiej apteki - zdążył tuż przed zamknięciem. Od razu skierował się tam, gdzie stały lekarstwa na poparzenia. Wybrał kilka, które wydawały mu się najbardziej odpowiednie.

Stary pan Brown, właściciel, szykował się już do zamykania. Poza nim pracowała tu tylko Peg, kasjerka, wścibska baba kochająca plotki. Ned nie chciał, żeby zobaczyła jego rękę, więc włożył lekarstwa do jednego z koszyków stojących przy wejściu, przewiesił go sobie przez lewe ramię, a w lewej dłoni trzymał naszykowane pieniądze. Prawą rękę ukrył w kieszeni. Bandaż wyglądał tragicznie, chociaż tego dnia był zmieniany już dwa razy.

W kolejce stało kilka osób. Czekaając, Ned przestępował z nogi na nogę. Cholerna ręka.

Gdyby nie sprzedał domu w Greenwood Lake i nie stracił wszystkich pieniędzy, nie sparzyłby się w rękę i Annie by nie umarła. Kiedy nie myślał o Annie, nie przywoływał w pamięci tych ostatnich minut - jak płakała, uderzając go w pierś zaciśniętymi pięściami, a następnie wybiegła z domu i zaraz usłyszał zgrzyt miażdżonej przez śmieciarkę blachy - wtedy myślał o ludziach, których nienawidził, i o tym, co im zrobi. Harnikowie, pani Schafley, pani Morgan, Lynn Spencer i Carley DeCarlo.

Kiedy ogień liznął mu palce, wcale tak bardzo nie bolało, ale potem spuchły i teraz najłżejsze dotknięcie było torturą. Jeśli nic się nie zmieni, trudno mu będzie utrzymać strzelbę, a nawet pociągnąć za cyngiel.

Poprzedni klient zabrał kupione lekarstwa. Ned postawił koszyk na ladzie i położył obok banknot dwudziestodolarowy. Kiedy Peg obliczała należność, zapatrzył się w przestrzeń i pogrążył w myślach.

Powinien iść na pogotowie i pokazać oparzenie jakimś lekarzowi, ale się bał. Na pewno zaczęła mu zadawać pytania: „Co się stało?” i „Dlaczego tak długo pan zwlekał?”. Nie chciał na nie odpowiadać.

Gdyby powiedział, że leczył go doktor Ryan ze Świętej Anny, spytaliby na pewno, dlaczego tam nie wrócił od razu, skoro kuracja nie pomagała. W końcu postanowił zgłosić się po pomoc gdzieś indziej, na przykład w Queens czy w New Jersey albo może w Connecticut.

- Hej, Ned, pobudka.

Spojrzał na kasjerkę. Nigdy nie lubił Peg. Miała oczy za blisko nosa, grube czarne brwi i zbyt czarne włosy z szarymi odrostami. Przypominała mu wiewiórkę. Była zła, bo nie zauważył, że spakowała już jego lekarstwa do torebki i przygotowała resztę z dwudziestu dolarów. Trzymała ją w dłoni, w drugiej ręce miała torbę z lekarstwami. Zmarszczyła czoło.

Sięgnął po torebkę lewą ręką, a prawą, odruchowo, wyjął z kieszeni i wyciągnął po pieniądze. Wtedy zobaczył, jak Peg gapi się na bandaż.

- Dobry Boże, Ned, co ci się stało? Okropnie to wygląda. Powinieneś iść do lekarza.

Przeklął sam siebie za nieuwagę.

- Oparzyłem się przy gotowaniu - burknął. - Jak Annie żyła, nie musiałem tego robić. Byłem u lekarza w tym szpitalu, gdzie pracowała. Powiedział, żebym się pokazał za tydzień. Tydzień mija jutro.

I natychmiast zdał sobie sprawę, co zrobił. Właśnie powiedział Peg, że był u lekarza w zeszły wtorek, a z tym wcale nie miał zamiaru się zdradzać.

Annie często rozmawiała z Peg przy okazji zakupów w aptece. Jej zdaniem Peg nie była wścibska, tylko zwyczajnie po przyjacielsku ciekawa. Annie, wychowana w niewielkiej miejscowości niedaleko Albany, mawiała czasem, że w jej rodzinnym miasteczku pracowała w aptece kasjerka, która o wszystkich wszystko wiedziała. Peg przypominała jej tamtą kobietę.

Co jeszcze Annie powiedziała Peg? O utracie domu w Greenwood Lake? O zainwestowaniu wszystkich pieniędzy w Gen-stone? O tym, jak Ned zawiózł Annie pod posiadłość Spencerów w Bedford i obiecał kupić jej taki dom?

Teraz Peg przyglądała mu się uważnie.

- Pokaż rękę panu Brownowi - zaproponowała. - Znajdzie ci coś lepszego niż to, co wzięłeś.

Odpowiedział jej twardym spojrzeniem.

- Powiedziałem przecież, że rano idę do lekarza.

Peg miała dziwny wyraz twarzy. Zupełnie taki sam jak Harnik i pani Schafley. To był strach.

Peg się go przelękała. Czy przypomniała sobie wszystko, co Annie jej powiedziała na temat domu i pieniędzy oraz jeżdżenia obok posiadłości Spencerów? Czy połączyła to wszystko w całość i domyśliła się, kto podłożył ogień?

Wydawała się podekscytowana.

- To dobrze - stwierdziła. A potem dodała: - Szkoda, że Annie już nie przychodzi.

Wyobrażam sobie, jak musisz za nią tęsknić. - Przeniosła wzrok na kogoś za jego plecami. -

Wybacz, ale muszę obsłużyć Garreta.

Ned zdał sobie sprawę, że za nim stoi jakiś młody człowiek.

- Jasne, nie ma sprawy - rzucił i odsunął się, robiąc mu miejsce.

Trzeba wyjść. Nie mógł tak stać. Ale też musiał coś zrobić.

Wyszedł, wsiadł do samochodu, od razu sięgnął na tylne siedzenie i wyjął spod koca strzelbę. Położył ją na podłodze i czekał. Z miejsca gdzie zaparkował, miał doskonały widok na wnętrze apteki. Jak tylko ten cały Garret wyszedł, Peg opróżniła kasę i oddała recepty panu Brownowi. Potem obeszła wnętrze, gasząc światła.

Jeżeli miała zamiar zawiadomić gliny, to pewnie dopiero z domu. Może nawet najpierw obgada sprawę z mężem.

Pan Brown i Peg wyszli z apteki razem. Pan Brown powiedział „dobranoc” i poszedł za róg.

Peg szybkim krokiem ruszyła w odwrotną stronę, do przystanku. Ned widział nadjeżdżający autobus. Peg śpieszyła się, podbiegła niezgrabnie, ale i tak nie zdążyła.

Stała na przystanku sama.

Podjechał, wysiadł i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Wsiadaj, podwiozę cię.

Znowu zobaczył na jej twarzy tamten wcześniejszy grymas. Tym razem Peg była wręcz przerażona.

- Nie trzeba, poczekam. Zaraz będzie następny. - Rozejrzała się dookoła, ale nie miała kogo zawołać na pomoc.

Chwycił ją mocno i zatkał jej usta, żeby nie krzyczała. Dłoń zaboląa go jak wszyscy diabli, ale jakoś wytrzymał. Lewą ręką wykręcił jej ramię, gwałtownie wepchnął ją do wozu, aż uderzyła głową o deskę rozdzielczą. Zablokował drzwi i wsiadł z drugiej strony.

- Ned, o co ci chodzi? Co ty robisz? - szlochała, skulona na podłodze. Jedną ręką podniósł strzelbę. Wycelował ją w Peg.

- Nie będziesz nikomu opowiadała, że się bawiłem zapałkami.

- Oczywiście, że nie będę! - Rozplakała się.

Pojechał do piknikowej części parku miejskiego.

Czterdzieści minut później był już w domu. Rzeczywiście, i palec, i cała dłoń bardzo bolały przy pociąganiu za spust, ale nie chybił. Miał rację. To było zupełnie jak strzelanie do wiewiórek.

Po wyjściu z hospicjum podjechałam do redakcji, ale nie było tam ani Dona, ani Kena.

Zanotowałam parę tematów do omówienia z nimi jutro z samego rana. Co dwie głowy to nie jedna, a trzy to nie dwie. Oczywiście nie zawsze taka jest prawda, ale z całą pewnością teoria zgadza się z praktyką, jeżeli w grę wchodzi takich dwóch facetów.

Chciałam z nimi omówić kilka kwestii. Czy Vivian Powers zamierzała dołączyć gdzieś do Nicholasa Spencera? Czy zapiski doktora Spencera rzeczywiście zniknęły, czy też zaistniały jedynie jako zasłona dymna, mająca wzbudzić wątpliwości co do winy Nicka? Czy w posiadłości Spencerów na kilka chwil przed wybuchem pożaru rzeczywiście znajdował się jeszcze ktoś oprócz Lynn? I pytanie chyba najważniejsze, bo jego znaczenie zapierało dech w piersiach: czy Nick Spencer testował szczepionkę na śmiertelnie chorym pacjencie, który w efekcie wrócił z hospicjum do domu?

Zdecydowana byłam poznać nazwisko tego człowieka.

Tylko dlaczego nie rozgłosił na cały świat, że choroba zaczęła ustępować? Może chciał się przekonać, czy poprawa jest trwała? A może nie chciał się zmienić w obiekt stałego zainteresowania mediów? Bez trudu potrafiłam sobie wyobrazić sensacyjne nagłówki, gdyby do środków masowego przekazu przedostała się wiadomość, że szczepionka Gen-stone jednak działa. A kto był owym drugim pacjentem, który zdaniem doktor Clintworth otrzymał lekarstwo? Czy miałam jakąkolwiek szansę przekonać dyrektor hospicjum, by podała mi jego nazwisko? Nicholas Spencer w szkole średniej należał do mistrzowskiej drużyny pływackiej. Jego syn kurczowo trzymał się nadziei, że ojciec żyje, ponieważ w college'u był doskonałym pilotem. Nie trzeba zbyt dużego wysiłku wyobraźni, by uznać, że mógł sfingować własną śmierć parę kilometrów od brzegu i spokojnie odpłynąć w bezpieczne miejsce.

Bardzo chciałam obgadać te pomysły z chłopakami, dopóki jeszcze miałam je w głowie

całkiem na świeżo. Zamiast tego musiałam się zadowolić zrobieniem notatek, a potem, ponieważ nie wiedzieć kiedy zrobiła się szósta, a ja miałam za sobą dzień pełen wydarzeń, pojechałam do domu.

Na sekretarce czekało na mnie kilka wiadomości: głównie przyjaciele proponujący spotkania, między innymi Casey z informacją, że czeka na mój telefon do siódmej, jeżeli jestem w nastroju na jakieś włoskie kluchy w „Il Tinello”. Uznałam, że jestem, więc jeszcze zastanowiłam się, czy powinnam czuć się zaszczycona zaproszeniem na kolację dwukrotnie w ciągu siedmiu dni, czy też raczej jestem traktowana jak zapchajdziura, kiedy Caseyowi nie dopisali ludzie, wymagający większych starań.

Tak czy inaczej, zatrzymałam sekretarkę i zadzwoniłam do niego na komórkę. Rozmowa była, jak zwykle, ekspresowa.

Najpierw jego krótkie:

- Doktor Dillon, słucham.

- Cześć, to ja.

- Rozumiem, że pasują ci kluski na kolację?

- Tak.

- O ósmej w „Il Tinello”?

- Aha.

- Super.

Pyk.

Zapytałam go kiedyś, czy w łóżku jest równie szybki jak przez telefon. Zapewnił mnie, że to zupełnie inna bajka.

- Czy ty sobie zdajesz z tego sprawę, ile czasu ludzie tracą na rozmowy telefoniczne? - spytał. - Robiłem badania na ten temat.

Zaciekawił mnie.

- Z jakiej okazji? Kiedy?

- Dwadzieścia lat temu, na przykładzie mojej siostry. Jeszcze w gimnazjum sprawdzałem, ile czasu Trish spędza przy telefonie. Któregoś razu przez godzinę i piętnaście minut opowiadała swojej najlepszej przyjaciółce, jak bardzo się boi wyznaczonego na następny dzień testu, do którego nie ma czasu się przygotować. Innym razem pięćdziesiąt minut relacjonowała jakiejś koleżance, że jest w połowie roboty z projektem, który miała oddać za dwa dni.

- Ale musisz przyznać, że w końcu całkiem nieźle wylądowała - podsumowałam wtedy.

Trish była chirurgiem pediatrą, mieszkała w Wirginii.

Uśmiechając się do wspomnień i lekko zmartwiona swoją natychmiastową gotowością przystosowania się do planów Caseya, wcisnęłam guzik sekretarki, żeby odsłuchać ostatnią wiadomość.

Kobięcy głos był niski, wyraźnie zaniepokojony. Nie przedstawiła się, ale ją rozpoznałam.

Vivian Powers.

- Jest czwarta. Czasami biorę pracę do domu. Właśnie sprzątałam biurko. Chyba wiem, kto zabrał notatki doktora Spencera od Brodericka. Proszę o kontakt.

Telefon domowy napisałam na odwrocie wizytówki, natomiast numer komórki był na niej wydrukowany. Szkoda, że Vivian nie zadzwoniła mi do kieszeni. Około czwartej byłam właśnie w drodze do miasta. Zawróciłabym i szybko byłabym u niej. Chwyciłam torebkę, wyjęłam notes, znalazłam jej numer i zadzwoniłam.

Sekretarka powitała mnie po piątym sygnale, co oznaczało, że Vivian wyszła z domu stosunkowo niedawno. W większości wypadków urządzenia te włączają się po czterech lub pięciu dzwonek, żeby dać czas na odebranie połączenia, natomiast po nagraniu pierwszej wiadomości zaczynają działać już po drugim.

Zostawiłam wiadomość, bardzo starannie dobierając słowa:

- Cieszę się, że pani zadzwoniła. Jest za piętnaście siódma. Będę w domu jeszcze czterdzieści pięć minut, a potem około wpół do dziesiątej. Proszę o kontakt.

Sama dobrze nie wiedziałam, dlaczego się nie przedstawiłam. Jeżeli Vivian miała funkcję identyfikacji dzwoniącego, mój numer i tak został zarejestrowany na wyświetlaczu. Gdyby jednak przypadkiem odsłuchiwała sekretarkę w obecności kogoś innego, to chyba wybrałam najdyskretniejszy sposób przekazania wiadomości.

Szybki prysznic przed wieczornym wyjściem zawsze pomaga mi pozbyć się napięć, jakie wywołuje praca. W mojej miniaturowej łazience prysznic jest połączony z wanną dla liliputów i choć działa kapryśnie, spełnia swoją funkcję. Walcząc z kranami od ciepłej i zimnej wody, przypomniałam sobie, co kiedyś czytałam o Elżbiecie I: „Królowa bierze kąpiel raz w miesiącu, niezależnie od tego, czy jej potrzebuje, czy też nie”. Może mniej osób straciłoby głowę, gdyby władczyni chciała codziennie się zrelaksować pod strumieniem gorącej wody.

W ciągu dnia zwykle biegam w którymś z kostiumów składających się ze spodni i żakietu, ale wieczorem lepiej się czuję w jedwabnej bluzce, luźnych spodniach i na obcasie. W ten sposób udaję sama przed sobą, że jestem wyższa.

Na zewnątrz już się ochłodziło, ale zamiast płaszcza chwyciłam tylko wełniany szal, który mama kupiła mi w Irlandii. Ma cudowny odcień dojrzałej żurawiny. Uwielbiam go.

Zerknęłam w lustro. Wyglądałam całkiem nieźle. Nawet uśmiechnęłam się do siebie. Zaraz jednak mina mi zrzędła, bo uświadomiłam sobie, że wystroiłam się tak specjalnie dla Caseya i że jestem nieziemsko wprost uszczęśliwiona tylko dlatego, iż zadzwonił do mnie w tak niedługim czasie po ostatnim spotkaniu.

Wyszłam z domu dosyć wcześnie, ale w żaden sposób nie mogłam złapać taksówki.

Czasami odnoszę wrażenie, jakby nowojorscy taksówkarze na mój widok przekazywali sobie tajny

znak, po którym wszyscy zgodnie włączają na kogucie informację o zjeździe do bazy.

W efekcie spóźniłam się piętnaście minut. Mario, właściciel restauracyjki, zaprowadził mnie do stolika, przy którym czekał Casey, i odsunął mi krzesło. Casey miał bardzo poważną minę.

Dobry Boże, pomyślałam, chyba nie będzie mi robił wyrzutów z powodu tego kwadransa?

Wstał, musnął wargami mój policzek i spytał:

- Wszystko w porządku?

Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, że przyzwyczajony do mojej punktualności, zwyczajnie się o mnie martwił. Sprawilo mi to ogromną przyjemność. Przystojny, inteligentny, kawaler i w dodatku człowiek sukcesu - doktor Kevin Curtis Dillon miał na pewno ogromne powodzenie wśród samotnych kobiet w Nowym Jorku, więc obawiałam się, że moja pozycja może się sprowadzać tylko do odgrywania roli miłej przyjaciółki. Sytuacja nie do pozazdrosczenia, choć z pozoru kusząca. Kiedyś, jeszcze za czasów szkolnych, zaczęłam pisać pamiętnik. Porzuciłam go dopiero pół roku temu, kiedy wpadłam na Caseya w teatrze. Wstyd mi było czytać, jak niecierpliwie oczekiwałam balu maturalnego w jego towarzystwie, a jeszcze bardziej piekły mnie policzki, kiedy na następnych stronach wracałam do gorzkiego rozczarowania, że potem już nie zadzwonił. Po raz kolejny nakazałam sobie wyrzucić ten pamiętnik.

- Nic mi nie jest - zapewniłam Caseya. - Cierpię jedynie na dość powszechną przypadłość nowojorczyków zwaną chronicznym niepowodzeniem w łapaniu taksówek.

Nadal nie wyglądał na szczególnie rozradowanego. Wyraźnie coś go gryzło.

- Coś jest nie tak, Casey - zauważyłam. - Co takiego?

Zaczekał, aż nalano nam zamówione wino, i dopiero wtedy się odezwał.

- Miałem ciężki dzień. Tak to już jest w chirurgii. Człowiek robi co może, ale ciągle ma przykrą świadomość, że może niewiele. Operowałem dzieciaka, który jechał na motocyklu i zderzył się z ciężarówką. Udało mi się uratować stopę, ale chłopak nie odzyska pełnej sprawności

ruchowej.

Oczy miał pociemniałe z żalu. Pomyślałam o Nicku Spencerze, który tak bardzo chciał ratować życie ludziom cierpiącym na raka. Czy rzeczywiście przekroczył granice bezpieczeństwa, próbując udowodnić, że to potrafi? Nie mogłam się uwolnić od tego pytania.

Odruchowo położyłam dłoń na ręce Casey'a. Podniósł na mnie wzrok, wydawał się spokojniejszy.

- Przy tobie cudownie odpoczywam - powiedział. - Jestem wdzięczny, że przyszłaś, choć rzuciłem propozycję w ostatniej chwili.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Chociaż się spóźniłaś. - Koniec intymności.

- Kłopoty z taksówką.

- A co nowego w sprawie Spencera?

Nad grzybkami Portobello, kruchą zieloną sałatą i linguini z sosem ostrygowym

opowiedziałam mu o swoim spotkaniu z Vivian Powers, Rosą i Manuelem Gomezami oraz doktor Clintworth w hospicjum.

Usłyszawszy, że Nicholas Spencer być może eksperymentował na pacjentach hospicjum, Casey zmarszczył brwi.

- Jeżeli rzeczywiście tak postąpił, to nie tylko złamał prawo, ale jeszcze popełnił ogromny

błąd z moralnego punktu widzenia - oznajmił. - Ludzkość zna wiele tragicznych historii, gdy leki, które wydawały się długo oczekiwanymi cudami, okazały się czymś wręcz przeciwnym.

Klasycznym przykładem jest thalidomid. Czterdzieści lat temu został wprowadzony w Europie jako środek hamujący nudności u ciężarnych kobiet. Całe szczęście, że w tym czasie doktor Frances Kelsey z Instytutu Żywności i Leków nie dopuściła go do sprzedaży w Stanach. Dzisiaj w Niemczech żyje kilka tysięcy osób w potworny sposób zdeformowanych genetycznie z powodu

niewykształcenia kości długich kończyn. Ponieważ ich matki, będąc w ciąży, przyjmowały lek, który uważały za całkowicie bezpieczny.

- Chyba gdzieś czytałam, że thalidomid okazał się skuteczny w leczeniu innych dolegliwości.

- To prawda, jak najbardziej. Natomiast nie wolno go podawać ciężarnym kobietom. Nowe leki muszą być testowane przez długi czas.

- Casey, a gdybyś miał wybór: umrzeć za kilka miesięcy albo żyć, ryzykując jakieś straszliwe efekty uboczne, co byś wybrał?

- Na szczęście nie stoję przed takim dylematem. Ale wiem, że będąc lekarzem, nie pogwałciłbym przysięgi i nie potraktowałbym człowieka jako świnki doświadczalnej.

Tyle tylko, że Nicholas Spencer nie był lekarzem, pomyślałam. Rozumował inaczej. A w hospicjum stale przestawał z ludźmi śmiertelnie chorymi, którzy nie mieli już żadnej nadziei. Chory na raka mógł jedynie zostać królikiem doświadczalnym lub umrzeć.

Nad kawą espresso Casey zaprosił mnie na przyjęcie do przyjaciół w Greenwich, w niedzielę po południu.

- Polubisz tam wszystkich - obiecywał. - I oni polubią ciebie.

Zgodziłam się, oczywiście.

Kiedy wychodziliśmy z restauracji, oczekiwałam, że Casey po prostu wsadzi mnie do taksówki, ale pojechał ze mną. Zaprosiłam go na pokolacyjnego drinka, którego nie mieliśmy ochoty wypić w restauracji, lecz nie przyjął zaproszenia. Kazał taksówkarzowi poczekać i odprowadził mnie do drzwi mieszkania.

- Byłoby lepiej, gdybyś mieszkała w budynku z portierem - stwierdził. - Jeśli sama otwierasz bramę kluczem, nie jesteś bezpieczna. Ktoś może się za tobą wepchnąć.

Byłam niewymownie zdumiona.

- A skąd ci to przyszło do głowy?

Popatrzył na mnie uważnie. Casey ma jakieś metr dziewięćdziesiąt. Nawet kiedy jestem na obcasach, patrzy na mnie z góry.

- Sam nie wiem - odrzekł. - Zastanawiam się tylko, czy nie pakujesz się przy okazji tej sprawy Spencera w coś znacznie większego, niż ci się wydaje.

Wtedy o tym nie wiedziałam, ale wygłosił prorocze słowa.

Gdy weszłam do mieszkania, zbliżała się już dziesiąta trzydzieści. Zerknęłam na sekretarkę.

Nie migła. Vivian Powers nie oddzwoniła.

Wybrałam jej numer jeszcze raz, ale nikt się nie zgłosił, więc ponownie zostawiłam wiadomość.

Następnego dnia rano telefon odezwał się dokładnie w chwili, gdy wychodziłam do pracy.

Dzwonił ktoś z policji w Briarcliff Manor. Jeden z sąsiadów Vivian Powers, wyprowadzający psa na spacer, zwrócił uwagę, że drzwi od jej domu są otwarte na oścież. Wcisnął guzik dzwonka, ale nie było odpowiedzi, więc wszedł do środka. Nikogo nie zastał. Na podłodze leżały przewrócony stolik i lampa, wyraźnie z niego zrzucona. Inne światła wciąż się paliły. Sąsiad wezwał policję.

Funkcjonariusze włączyli sekretarkę, na której nagrane były moje wiadomości. Czy wiem, gdzie może przebywać Vivian Powers i czy miała jakieś kłopoty?

Ken i Don słuchali z wytężoną uwagą. Opowiedziałam im o wszystkich moich spotkaniach w Westchester i o porannym telefonie policji z Briarcliff Manor.

- Czyżby reakcja łańcuchowa? - Ken się zamyślił. - Czy to celowe przedstawienie, aby przekonać wszystkich dookoła, że dzieje się coś podejrzanego? Małżeństwo opiekujące się domem w Bedford powiedziało ci, że Nick Spencer i Vivian Powers byli w sobie ewidentnie zakochani.

Czyżbyś za bardzo zbliżyła się do prawdy? Jak sądzisz, może ta kobieta zamierzała wpaść na chwilę do Bostonu, pomieszkać z mamusią i tatusiem, a potem, kiedy sprawy przycichną, zacząć nowe życie w Australii, Timbuktu albo Monako?

- To oczywiście całkiem prawdopodobne - przyznałam. - Tylko w tej wersji zostawienie otwartych na oścież drzwi, przewróconego stolika i lampy na podłodze jest lekką przesadą... - Zamilkłam, bo musiałam chwilę się zastanowić.

- No, co? - ponaglił mnie Ken.

- Vivian chyba się bała. Kiedy otworzyła mi drzwi, były zabezpieczone łańcuchem i minęło parę dobrych minut, zanim uznała, że może mnie wpuścić.

- Rozmawiałaś z nią około wpół do dwunastej - powiedział Ken.

- Tak.

- Czy dała ci do zrozumienia, czego się boi?

- Nie bezpośrednio, ale przecież opowiedziała mi o awarii samochodu Spencera zaledwie tydzień przed katastrofą samolotu. Pomyślała, że może ani jedno, ani drugie nie było przypadkiem.

- Wstałam. - Pojadę tam - zdecydowałam. - Obym się myliła, bo jeśli nie, to Vivian Powers, która skojarzyła sobie mężczyznę o rudawych włosach, stała się dla kogoś poważnym zagrożeniem.

Ken pokiwał głową.

- Jedź. Ja spróbuję z innej strony. Nie tak znowu wielu chorych wychodzi z hospicjum.

Pewnie uda mi się znaleźć tego pacjenta.

Ciągle jeszcze byłam nowa w tym zawodzie. Ken miał stanowczo większe prawa. Mimo wszystko jednak musiałam go poprosić:

- Jak go znajdziesz i wybierzesz się do niego pogadać, zabierz mnie ze sobą, dobrze?

Zastanawiał się chwilę, a wreszcie kiwnął głową.

- Niech będzie.

* * *

Mam całkiem niezłą orientację w terenie. Tym razem już nie potrzebowałam mapy, żeby trafić do domu Vivian. Przed drzwiami stał samotny gliniarz, mierząc mnie podejrzliwym wzrokiem. Wyjaśniłam, że widziałam się z panią Powers poprzedniego dnia, a potem do mnie dzwoniła.

- Sprawdźmy - oświadczył krótko. Wszedł do środka i bardzo szybko wrócił. - Detektyw Shapiro mówi, że może pani wejść.

Detektyw Shapiro okazał się mężczyzną o łagodnym głosie, wyglądzie naukowca, przerzedzonych włosach i przenikliwym spojrzeniu orzechowych oczu. Na wstępie wyjaśnił mi, że dochodzenie dopiero się zaczęło. Policja skontaktowała się z rodzicami Vivian Powers i z uwagi na okoliczności otrzymała pozwolenie na wejście do jej domu. Ponieważ frontowe drzwi były otwarte, lampa i wywrócony stolik leżały na ziemi, a samochód stał na podjeździe, obawiano się, iż padła ofiarą przestępstwa.

- Pani była tu wczoraj? - upewnił się Shapiro.

- Tak.

- W tych warunkach, w środku przeprowadzki trudno mieć pewność, ale może potrafi pani ocenić, czy coś się zmieniło?

Staliśmy w salonie. Rozejrzałam się dookoła, przypominając sobie, jak to wnętrze pełne

spakowanych kartonów i ze stołami o nagich blatach wyglądało, kiedy je widziałam ostatnim razem. Owszem, była pewna różnica. Poprzednio wszystkie blaty były puste, a dziś na stoliku do kawy stał jeden karton. Wskazałam go palcem.

- Tego pudła tu nie było - oznajmiłam. - Albo je spakowała już po moim wyjściu, albo czegoś szukała i otworzyła, ale wcześniej go tu nie było.

Detektyw Shapiro podszedł do stolika i wyjął z kartonu jakąś teczkę.

- Pracowała w Gen-stone, prawda?

Odruchowo udzielałam jedynie informacji, których byłam absolutnie pewna, nie wspominając nic o własnych podejrzeniach. Łatwo mogłam sobie wyobrazić wyraz jego twarzy, gdybym powiedziała: „Vivian Powers mogła sfingować swoje zniknięcie i ulotnić się dyskretnie na spotkanie z Nicholasem Spencerem, który podobno zginął w katastrofie lotniczej”. A może zrozumiałby więcej, gdybym powiedziała: „Zaczynam się zastanawiać, czy Nicholas Spencer padł ofiarą przestępstwa i czy lekarz z Caspien przeżyje próbę zabójstwa upozorowaną na wypadek samochodowy, dokonaną z powodu zapisków badań laboratoryjnych, przechowywanych przez niego długie lata, a także czy Vivian Powers zniknęła, bo mogłaby zidentyfikować człowieka, który te notatki zabrał”.

Zamiast tego wszystkiego ograniczyłam się do wyjaśnienia, że odwiedziłam Vivian Powers, ponieważ zbieram materiały do publikacji na temat jej szefa, Nicholasa Spencera.

- Dzwoniła do pani po waszej rozmowie.

Chyba detektyw Shapiro podejrzewał, że nie dowiedział się ode mnie wszystkiego.

- Tak. Wspomniałam Vivian o zniknięciu dokumentów laboratoryjnych. Tajemniczy mężczyzna, który je zabrał, przedstawiając się jako wysłannik Nicholasa Spencera, nie miał do tego prawa. Zostawiła mi na sekretarce krótką wiadomość, że domyśla się, kto to taki.

Detektyw nadal trzymał teczkę ze znakiem firmowym Gen-stone. Pustą teczkę.

- Czy uświadomiła to sobie, przeglądając te dokumenty?

- Pojęcia nie mam, ale to pewnie możliwe.

- Teczka jest pusta, a pani Vivian Powers zniknęła. Co pani to mówi?

- Moim zdaniem istnieje możliwość, że Vivian Powers padła ofiarą przestępstwa.

Obrzucił mnie ostrym spojrzeniem.

- Czy w samochodzie słuchała pani radia?

- Nie. - Nie powiedziałam mu, że pracując nad takim materiałem jak ten, bardzo sobie cenię spokojne chwile w samochodzie, kiedy mogę pomyśleć i rozważyć różne scenariusze dopiero co poznanych wydarzeń.

- Wobec czego nie słyszała pani informacji, jakoby Nick Spencer był widziany w Zurychu?

Podobno zauważył go tam człowiek, który wiele razy widywał go na spotkaniach akcjonariuszy.

Przetrawiałam tę informację całą długą minutę.

- Pana zdaniem ten człowiek jest wiarygodny?

- Tego nie powiedziałem. Ale z pewnością rzucił nowe światło na sprawę. Naturalnie także i to najnowsze doniesienie zostanie starannie sprawdzone.

- Jeżeli ta rewelacja się potwierdzi, nie trzeba będzie się specjalnie przejmować losem

Vivian Powers - zauważyłam. - O ile dobrze się domyślam, jest w drodze do Spencera albo może już do niego dotarła.

- Są ze sobą związani? - spytał Shapiro.

- Małżeństwo, które opiekowało się domem Spencerów, jest o tym przekonane. Jeśli mają rację, to cała historyjka o zaginionych notatkach stanowi wyłącznie część starannie skonstruowanej zasłony dymnej. Słyszałam, że drzwi wejściowe były szeroko otwarte?

Shapiro pokiwał głową.

- Co mogło być działaniem celowym, mającym zwrócić uwagę na jej nieobecność -

stwierdził. - Będę z panią szczery. Wyczuwam w tym wszystkim jakiś fałsz i wydaje mi się, że dzięki pani doszedłem, na czym on polega. Moim zdaniem Vivian Powers jest teraz w samolocie, w drodze do Nicholasa Spencera, pewnie na drugim końcu świata.

Milly powitała mnie jak starą przyjaciółkę. Zjawiłam się w knajpce akurat w porze późnego lunchu.

- Opowiadałam wszystkim, że pani zbiera materiały o Nicku Spencerze - oznajmiła rozpromieniona. - Co pani myśli o najnowszych wieściach? Podobno on jest w Szwajcarii! Dwa dni temu dzieciaki wyłowiły skrawek koszuli i wszyscy myśleli, że Nick jest martwy. Jutro okaże się jeszcze co innego. A ja cały czas powtarzam: jeśli człowiek ma tyle rozumu, żeby ukraść takie pieniądze, będzie potrafił tak się urządzić, żeby z nich żyć długo i szczęśliwie.

- Trudno się sprzeczać - uznałam. - Sałatka z kurczakiem dobra dzisiaj?

- Niebo w gębie.

To dopiero prawdziwa rekomendacja. Zamówiłam sałatkę i kawę. Ponieważ czas lunchu się kończył, w knajpce było dość tłoczno. Kilka razy usłyszałam nazwisko Nicka, padające przy różnych stolikach, ale nie udało mi się usłyszeć, co ludzie o nim mówili.

Gdy Milly pojawiła się z moim zamówieniem, zapytałam ją o stan doktora Brodericka.

- Trochę mu lepiej - odparła, przeciągając głoskę „o”. - To znaczy, ciągle jest w stanie krytycznym, ale podobno próbował rozmawiać z żoną. To chyba dobrze, prawda?

- Tak, na pewno. Bardzo mnie to cieszy.

Jedząc sałatkę, rzeczywiście cudownie pełną selera, za to cokolwiek wybrakowaną w kwestii kurczaka, pograżyłam się w myślach. Czy doktor Broderick potrafiłby zidentyfikować kierowcę, który go przejechał? Czy w ogóle będzie pamiętał wypadek?

Zanim dotarłam do drugiej filiżanki kawy, knajpka raptownie opustoszała. Oczekałam, aż Milly skończy sprzątać ze stolików, i dopiero wtedy ją zawołałam. Miałam ze sobą zdjęcie zrobione w czasie uroczystej kolacji, na której uhonorowano Nicka medalem. Pokazałam je kelnerce.

- Zna pani tych ludzi?

Włożyła na nos okulary i uważnie przyjrzała się grupie siedzącej przy głównym stole, na podwyższeniu.

- Pewno, że znam. - Wskazała palcem pierwszą kobietę. - To jest Delia Gordon. To jej mąż, Ralph. Miła z niej kobieta, tylko trochę sztywna. Tutaj siedzi Jackie Schlosser. Jest naprawdę bardzo sympatyczna. Obok niej wielebny Howell, nasz prezbiteriański duchowny. Tutaj ten oszust i złodziej, oczywiście... Mam nadzieję, że go złapią. To prezes zarządu szpitala. Biedny człowiek, to on przekonał pozostałych członków do zainwestowania takich wielkich pieniędzy w Gen-stone. Z tego, co słyszałam, przy następnych wyborach do zarządu straci pracę, a może i wcześniej. Mnóstwo ludzi uważa, że powinien sam się usunąć. I pewnie tak zrobi, jeśli udowodnią, że Nick Spencer żyje. Z drugiej strony, jeśli zostanie aresztowany, to może się dowiedzą, gdzie ukrył pieniądze. Tutaj siedzi Dora Whitman z mężem, Nilsem. Oboje pochodzą z najstarszych rodzin tego miasta. Mają duże pieniądze. Wspierają organizacje charytatywne i tak dalej. Wszyscy ich wielbią za to, że nikt z ich rodziny nie opuścił Caspien, ale ja tam słyszałam, że mają też domek letni w Martha's Vineyard. A tutaj na końcu jeszcze Kay Fess, szefowa wolontariuszy pracujących w szpitalu.

Robiłam notatki, usiłując nadążyć za komentarzami Milly, lecącymi w tempie pocisków wystrzeliwanych z broni maszynowej.

- Chciałabym porozmawiać z paroma osobami - odezwałam się, gdy zamilkła - ale udało mi się dotrzeć tylko do wielebnego Howella. Pozostali albo mają zastrzeżone numery telefonów, albo do mnie nie oddzwonili. Ma pani jakiś pomysł, co powinnam zrobić? Jak do nich dotrzeć?

- Głowy nie dam, ale Kay Fess siedzi teraz pewnie w recepcji w szpitalu. Nawet jeśli nie oddzwoniła, na pewno chętnie panią pozna.

- Jest pani kochana - uznałam. Skończyłam kawę, uregulowałam rachunek, zostawiając szczodry napiwek i sprawdzivszy drogę na mapie, pojechałam do szpitala, znajdującego się cztery

przecznice dalej.

Chyba podświadomie oczekiwałam widoku skromnej lokalnej lecznicy, tymczasem tutejszy szpital okazał się imponującym gmachem otoczonym kilkoma mniejszymi budynkami połączonymi z głównym blokiem. Ogrodzona część terenu oznaczona była tablicą z napisem: „Miejsce przyszłego centrum pediatrycznego”.

Miałam absolutną pewność, że planowana budowa zostanie wstrzymana - z powodu pechowych inwestycji w Gen-stone.

Zaparkowałam i weszłam do holu. W recepcji siedziały dwie kobiety, od razu rozpoznałam Kay Fess. Robiła wrażenie piękną opalenizną, choć przecież był dopiero kwiecień. Miała krótko przycięte siwiejące włosy, ciemnobrązowe oczy ukryte za babcinymi okularami, nos o doskonałym kształcie i wąskie usta. Ogólnie rzecz biorąc, wyglądała na osobę kompetentną i znajdującą się na właściwym miejscu. Poważnie wątpiłam, czy ktokolwiek miał szansę prześlizgnąć się bez przepustki oraz identyfikatora gościa podczas jej dyżuru. Siedziała bliżej zagrodzonego liną wejścia do wind, co świadczyło, że jest tu najważniejsza.

Gdy weszłam, w kolejce przy ladzie stały cztery osoby. Odczekałam, aż zostaną z dwiema recepcjonistkami sama, i dopiero wtedy podeszłam.

- Pani Fess?

Natychmiast się ożywiła, czujna i zaalarmowana, jakby podejrzewała, że zamierzam prosić o pozwolenie na wpuszczenie z wizytą do jakiegoś pacjenta przynajmniej dziesięciorga dzieci.

- Nazywam się Carley DeCarlo, pracuję dla „Wall Street Weekly”. Chciałabym porozmawiać z panią o uroczystej kolacji, wydanej w lutym na cześć Nicholasa Spencera. O ile mi wiadomo, siedziała pani przy stole blisko niego.

- Dzwoniła pani do mnie jakiś czas temu.

- Dzwoniłam.

Druga kobieta w recepcji przyglądała nam się z wyraźną ciekawością, ale po chwili

zaabsorbowali ją następni goście.

- Droga pani, skoro do pani nie oddzwoniłam, powinna pani wyciągnąć z tego słuszny wniosek, iż nie mam zamiaru z panią rozmawiać. - Mówiła uprzejmie, ale też głosem nieznoszącym sprzeciwu.

- Poświęca pani szpitalowi wiele czasu. Równie dobrze jak ja wie pani, że z powodu inwestycji w Gen-stone trzeba będzie odłożyć budowę centrum pediatrycznego. Chciałabym z panią porozmawiać, ponieważ moim zdaniem prawdziwa historia zniknięcia Nicholasa Spencera nie ujrzała jeszcze światła dziennego, a co za tym idzie, może uda się odzyskać pieniądze.

Widziałam w jej oczach wahanie i powątpiewanie.

- Nicholas Spencer widziany był w Szwajcarii - odezwała się w końcu. - Ciekawa jestem, czy właśnie tam kupił sobie dom za pieniądze, które miały ratować życie przyszłym pokoleniom.

- Zaledwie dwa dni temu gazety krzyczały o dowodach wskazujących na jego śmierć - przypomniałam jej. - A teraz nagle wszyscy są przekonani o prawdzie dokładnie odwrotnej. W rzeczywistości nadal niczego nie wiemy na pewno. Proszę, niech mi pani poświęci kilka minut.

Po południu w szpitalu nie było tłumu odwiedzających.

- Margie - zwróciła się pani Fess do swojej współpracownicy - wrócę za chwilę.

Usiadłyśmy w kącie holu. Moja rozmówczyni wyraźnie oczekiwała, że od razu przejdę do sedna, i nie zamierzała poświęcić mi wiele czasu. Ja natomiast nie zamierzałam zdradzać się z podejrzeniem, że to, co przytrafiło się doktorowi Broderickowi, mogło nie być wypadkiem. Zamierzałam natomiast, jak najbardziej, powiedzieć jej, iż moim zdaniem Nicholas Spencer usłyszał podczas tamtej uroczystej kolacji coś, co sprawiło, że zaraz następnego ranka popędził do doktora Brodericka po stare zapiski swojego ojca. A potem zdecydowałam się posunąć jeszcze krok dalej.

- Nicholas Spencer był wyraźnie zirytowany, gdy się dowiedział, że ktoś zabrał te notatki, na dodatek twierdząc, iż działa na jego polecenie. Gdybym doszła do tego, kto udzielił mu owych niepokojących informacji tamtego wieczora, a także, do kogo poszedł po wyjściu od doktora Brodericka następnego dnia rano, moglibyśmy zyskać jakieś pojęcie, co naprawdę stało się i z nim, i z pieniędzmi. Czy rozmawiała pani wtedy ze Spencerem?

Pogrążyła się w zamyśleniu. Wyglądała mi na osobę, która niczego nie przeoczy.

- Goście siedzący przy głównym stole zebrali się pół godziny wcześniej w pokoju recepcyjnym, gdzie zrobiono kilka zdjęć. W tym czasie podano drinki. Nicholas Spencer znajdował się, oczywiście, w centrum zainteresowania.

- Jak by go pani określiła na początku wieczoru? Czy robił wrażenie spokojnego?

- Tak. Był serdeczny, bardzo uprzejmy... zachowywał się tak, jak powinna się zachowywać osoba, która ma zostać uhonorowana zaszczytnym odznaczeniem. Przekazał prezesowi zarządu szpitala czek na sto tysięcy dolarów ze swoich prywatnych pieniędzy, z przeznaczeniem na fundusz budowy centrum pediatrycznego. Nie ogłosił tego w czasie kolacji. A wręczając ten dar, powiedział, że kiedy szczepionka zostanie zaaprobowana przez Instytut Żywności i Leków, będzie mógł ofiarować nam czek na dziesięciokrotnie większą sumę. - Zacisnęła usta. - Był bardzo przekonującym oszustem.

- Czy wtedy rozmawiał z kimś dłużej?

- Nie wiem. Natomiast tuż przed podaniem deseru uciął sobie dłuższą pogawędkę z Dorą Whitman. Trwało to przynajmniej dziesięć minut i Spencer wydawał się bardzo przejęty tym, co od niej słyszał.

- Czy domyśla się pani, o czym rozmawiali?

- Dostałam miejsce po prawej stronie wielebnego Howella, a on wstał i podszedł do przyjaciół. Dora siedziała po jego lewej stronie, więc słyszałam ją dość wyraźnie. Cytowała kogoś,

kto wychwalał doktora Spencera, ojca Nicholasa. Opowiadała o pewnej kobiecie, która twierdziła, że doktor wyleczył jej dziecko urodzone z jakąś wadą, która zrujnowałaby mu życie.

Na to właśnie czekałam. Jednocześnie zdałam sobie sprawę, że nie zdołałam się skontaktować z Whitmanami, ponieważ mieli zastrzeżony numer.

- Jeśli ma pani numer telefonu pani Whitman, proszę, niech pani do niej zadzwoni i poprosi w moim imieniu o rozmowę, nawet teraz, jeśli tylko jest to możliwe.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem i pokręciła przecząco głową. Nie dałam jej szansy, by mnie spławiła.

- Proszę pani, jestem dziennikarką. Tak czy inaczej dowiem się, gdzie mieszka pani Whitman, i pójdę z nią porozmawiać. A im szybciej się dowiem, co powiedziała Nicholasowi Spencerowi tamtego wieczora, tym większa będzie szansa, że wreszcie wyjdzie na jaw, dlaczego zniknął i gdzie są pieniądze.

Przyglądała mi się uważnie. Wcale jej nie przekonałam. Jedyne, co do niej trafiło, to przypomnienie, że jestem dziennikarką. Nadal miałam w rękawie asa w postaci historii doktora Brodericka i jego tak zwanego wypadku, ale na razie zagrałam inną kartą:

- Rozmawiałam wczoraj z Vivian Powers, osobistą asystentką Nicholasa Spencera. Podobno podczas tej uroczystej kolacji stało się coś, co go zirytowało albo wyjątkowo podekscytowało.

Także wczoraj, ale późnym popołudniem, ładnych parę godzin po naszej rozmowie, ta młoda kobieta zniknęła, może została porwana. Coś tu się wyraźnie dzieje, ktoś gorączkowo usiłuje zapobiec rozprzestrzenianiu się informacji o zaginionych zapiskach i nie chce, żeby wiadomość o nich dotarła do policji. Niech pani mi pomoże skontaktować się z Dorą Whitman.

Wstała.

- Proszę zaczekać, zadzwonię do niej - oznajmiła.

Podeszła do recepcji, wzięła do ręki telefon i wystukała numer. Oczywiście nie musiała go

szukać w notesie. Gdy zaczęła mówić, wstrzymałam oddech i z zapartym tchem obserwowałam, jak notuje na kartce jakąś krótką informację. W holu znów pojawili się odwiedzający i ruszyli do recepcji. Kay Fess skinęła na mnie, więc podeszłam do niej spieszenie.

- Pani Whitman jest teraz w domu, ale za godzinę wybiera się do miasta. Przekazałam, że chciałaby pani porozmawiać z nią jak najszybciej, więc czeka na panią. Napisałam tu jej adres, numer telefonu i kilka wskazówek, jak do niej trafić.

Zaczęłam jej dziękować, ale pani Fess patrzyła już na kogoś za moimi plecami.

- Dzień dobry, pani Broderick - odezwała się serdecznie. - Jak się ma dzisiaj pani mąż?

Mam nadzieję, że coraz lepiej?

Teraz, kiedy Annie nie żyła, już nikt nie przychodził go odwiedzać. Dlatego we wtorek rano, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, Ned postanowił nie zwracać na niego uwagi. Z całą pewnością była to pani Morgan. Swoją drogą, ciekawe, czego znowu chciała. Nie ma prawa go nachodzić. Dzwonek odezwał się znowu, potem jeszcze raz, ale tym razem, ktokolwiek to był, naciskał go dłuższy czas. Wreszcie dały się słyszeć ciężkie kroki osoby schodzącej po schodach. Co oznaczało, że to nie pani Morgan dzwoniła do drzwi. Chwilę później usłyszał jej głos, przeplatający się w rozmowie z głosem jakiegoś mężczyzny. Teraz będzie musiał sprawdzić, kto to taki, bo w przeciwnym razie gospodyni otworzy drzwi jego mieszkania własnym kluczem.

Pamiętał, żeby włożyć prawą rękę do kieszeni. Środki kupione w aptece nie pomogły ani trochę. Otworzył drzwi na tyle, by widzieć, kto dzwoni.

Na zewnątrz było dwóch mężczyzn. Pokazali mu swoje odznaki. Detektywi. Nie ma się czego bać, powiedział sobie. Pewnie mąż Peg zgłosił na policję, że zaginęła, a może już znaleźli jej ciało? Pan Brown oczywiście opowiedział policji, że Ned był jednym z ostatnich kupujących wczoraj wieczorem.

Według odznak, wysoki miał na nazwisko Pierce, a czarny - Carson.

Carson zapytał, czy mogą chwilę porozmawiać. Ned i tak nie mógł mu odmówić, bo by to podejrzanie wyglądało. Obaj policjanci przyglądali się z uwagą jego prawej ręce - przecież trzymał ją w kieszeni. Musiał ją wyjąć. Obawiali się spluwy albo czegoś takiego. Dłoń miał owiniętą gazą, zasłaniając oparzenie. Powoli wyjął rękę z kieszeni, starając się nie zdradzić, jak potwornie go boli, gdy ociera dłoń o materiał.

- Jasne, możemy porozmawiać - mruknął.

Detektyw Pierce podziękował pani Morgan za pomoc. Gospodyni wyraźnie umierała z ciekawości i oddałaby wszystko, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. Zanim Ned zamknął drzwi,

udało jej się zajrzeć do środka. Doskonale wiedział, co pomyślała: „Ale bałagan!”. Annie zawsze po nim sprzątała: zbierała śmieci, zносиła talerze do kuchni i wkładała je do zmywarki, a brudne rzeczy wrzucała do kosza na bieliznę. Annie lubiła czystość i porządek. Teraz, kiedy jej nie było, nie chciało mu się sprzątać. Jadł mało, a jeśli już potrzebował talerza albo kubka, zwyczajnie opłukiwał go pod strumieniem wody w zlewie.

Policjanci rozejrzeli się po pokoju. Zwrócili uwagę na koc i poduszkę na kanapie oraz sterty gazet na podłodze, na pudełko płatków i miskę na stoliku, tuż obok gazy, maści na oparzenia i taśmy klejącej. Brudne ubrania utworzyły na krześle okazałą stertę.

- Możemy usiąść? - zapytał Pierce.

- Pewnie.

Ned odsunął na bok koc i usiadł na kanapie.

Po bokach telewizora stały dwa krzesła. Każdy z policjantów wziął jedno i obaj przysunęli je bliżej kanapy. Kiedy usiedli, byli za blisko. Czuł się niewyraźnie. Osaczyli go jak w pułapce.

Uważaj, co mówisz, przestrzegł siebie.

- Panie Cooper, wczoraj wieczorem był pan w aptece pana Browna, tuż przed jej zamknięciem, prawda? - zapytał Carson.

Aha, czyli Carson jest tu szefem.

Obaj patrzyli na jego rękę.

Trzeba im o niej opowiedzieć, postanowił. Niech mu współczują.

- Tak, byłem w aptece. W zeszłym miesiącu zmarła moja żona... ja sam nigdy nie gotowałem i dwa tygodnie temu sparzyłem się o piecyk. Nie chce się zagoić. Byłem wczoraj u Browna po jakieś maści.

Spodziewają się, że zapyta, po co tutaj przyszli. Spojrzał na Carsona.

- Co się stało?

- Czy zna pan panią Rice, kasjerkę w aptece pana Browna?

- Peg? Jasne. Przecież ona tam pracuje ze dwadzieścia lat. Miła z niej kobitka. Zawsze człowiekowi pomoże.

Milczeli. Nic nie powiedzieli na temat Peg. Czy byli przekonani, że zaginęła, czy już znaleźli jej ciało?

- Pan Brown powiedział nam, że był pan przedostatnim kupującym w aptece.

- Chyba faktycznie. Na pewno ktoś jeszcze za mną był, kiedy płaciłem. A potem to już nie wiem, czy ktoś jeszcze wchodził. Wsiadłem do wozu i odjechałem.

- Czy po wyjściu z apteki zauważył pan, żeby ktoś się przed nią kręcił?

- Nie. Tak jak mówiłem, wsiadłem do wozu i odjechałem.

- Czy wie pan, kto stał za panem w kolejce do kasy?

- Nie. Nie zwróciłem uwagi. Ale Peg go znała. Nazwała go... Niech pomyślę... Tak, Garret.

Detektywi spojrzeli jeden na drugiego. O to im chodziło. Brown nie wiedział, kto był ostatnim klientem. Teraz będą szukać tamtego faceta. Podnieśli się z krzesel.

- Nie będziemy panu dłużej przeszkadzać - powiedział Carson. - Bardzo nam pan pomógł.

- Pańska ręka wygląda na spuchniętą - zauważył Pierce. - Oczywiście był pan u lekarza.

- Pewnie, jasne. I tak jest już dużo lepiej.

Patrzyli na niego zdziwieni. Widział to wyraźnie. Dopiero kiedy zamknął za nimi drzwi i dwa razy przekręcił klucz w zamku, zdał sobie sprawę, że nie powiedzieli mu, co się stało Peg. I na pewno zwrócili na to uwagę. Wypuścił ich, nie pytając.

Pewnie już byli w drodze do Browna, aby spytać go o Garreta. Odczekał dziesięć minut, a potem zadzwonił do apteki. Odebrał Brown.

- Mówi Ned Cooper. Martwię się o Peg. Było u mnie dwóch policjantów i pytali o nią, ale nie powiedzieli mi, co się stało. Coś złego?

- Zaczekaj chwilę.

Brown zakrył słuchawkę dłonią i z kimś rozmawiał. Po chwili odezwał się detektyw Carson.

- Panie Cooper, z przykrością muszę pana zawiadomić, że pani Rice padła ofiarą morderstwa.

Policjant miał znacznie bardziej przyjazny głos niż kilkanaście minut temu. Innymi słowy, Ned dobrze się domyślił: specjalnie mu nie powiedzieli, co się stało Peg. Powiedział Carsonowi, jak bardzo mu przykro, i poprosił o przekazanie słów żalu panu Brownowi, a Carson poprosił o telefon, gdyby mu się cokolwiek przypomniało, nawet coś mało ważnego.

- Zadzwoń na pewno - obiecał.

Odłożył słuchawkę i podszedł do okna. Wróć, to jasne. Ale na razie wszystko w porządku.

Trzeba jedynie schować strzelbę. Nie jest bezpieczna w samochodzie ani nawet za gratami w garażu. Gdzie ją ukryć? Koniecznie w jakimś miejscu, gdzie nikt nie będzie jej szukał.

Popatrzył na zachwaszczony pasek trawy przed domem. Błotnisty, porośnięty zielskiem skrawek przypominał mu grób Annie. Została pochowana w mogile jego matki, na starym miejskim cmentarzu. Mało kto tam przychodził. Nikt nie dbał o groby, wszystkie wyglądały na zapomniane.

W zeszłym tygodniu mogiła Annie wyglądała na całkiem świeżą, ziemia jeszcze się nie osadziła.

Była miękka, mokra i sprawiała wrażenie, jakby nią przysypano kupkę śmieci.

Jakby nią przysypano... Właśnie! To była odpowiedź. Wsadzi strzelbę i naboje w plastikowe worki, owinie starym kocem i zakopie w grobie Annie. Niech sobie tam leżą, aż będą znowu potrzebne. A kiedy już zrobi wszystko, co trzeba, odwali całą robotę, pójdzie tam znowu, położy się i skończy ze sobą.

- Annie! - zawołał, jak wtedy, kiedy była w kuchni. - Annie, już niedługo będę znowu z tobą.

Obiecuję.

Ken i Don wyszli z biura, zanim wróciłam z Caspien, więc pojechałam prosto do domu. Tak czy inaczej obu im zostawiłam wiadomości i obaj wieczorem do mnie oddzwonili. Umówiliśmy się niemal o brzasku, o ósmej rano, żeby porozmawiać na świeżo.

Popracowałam trochę nad kącikiem porad finansowych, co przypomniało mi o codziennych staraniach dziewięćdziesięciu dziewięciu procent mieszkańców naszego świata, by zbilansować wydatki z przychodami. Przebrnęłam przez zalew listów elektronicznych, mając nadzieję na jakąś nową wiadomość od faceta, który napisał, że widział kogoś wychodzącego z domu Lynn w Bedford tuż przed wybuchem pożaru. Nic od niego nie było. Od niego... albo od niej, skorygowałam się w myślach.

Uporałam się z poradami mniej więcej za dwadzieścia jedenasta, umyłam twarz, przebrałam się w koszulę nocną, na wierzch zarzuciłam szlafrok, zamówiłam małą pizzę i nalałam sobie kieliszek wina. Osiągnęłam perfekcję w synchronizacji. Restauracyjka była tuż za rogiem, na Third Avenue, pizza pojawiła się równo z początkiem wiadomości o jedenastej.

Historia Nicka Spencera nadal była głównym tematem. Prasa powiązała doniesienie o jego rzekomym pojawieniu się w Szwajcarii ze zniknięciem Vivian Powers. Zdjęcia obojga pokazywano jedno obok drugiego, komentowano najnowsze wydarzenia jako „nieoczekiwany zwrot w sprawie Spencera”. Istotą relacji było stwierdzenie, że policja z Briarcliff Manor wątpi w uprowadzenie Vivian Powers.

Uznałam, że już za późno na telefon do Lynn, ale też pocieszyłam się myślą, że tak czy inaczej, najświeższe sensacje tylko wspierały jej oświadczenie, że nie miała nic wspólnego z planami męża. Swoją drogą, jeśli z posiadłości w Bedford rzeczywiście ktoś wyszedł zaledwie kilka chwil przed wybuchem pożaru, to być może Lynn też nie jest taka znowu kryształowa.

Poszłam do łóżka miotana sprzecznymi uczuciami i długi czas nie mogłam zasnąć. Jeżeli

Vivian Powers zamierzała wyjechać do Nicka Spencera zaledwie kilka godzin po naszej rozmowie, to jest rewelacyjną aktorką. Dobrze, że nie skasowałam jej wiadomości zostawionej na mojej sekretarce. Zamierzałam ją zatrzymać, zamierzałam wrócić do Gen-stone i porozmawiać z maszynistkami, które odpowiadały na listy.

* * *

Następnego dnia o ósmej rano razem z Donem siedzieliśmy w biurze Kena, zaopatrzeni w kubki ze świeżą gorącą kawą. Obaj koledzy patrzyli na mnie wyczekująco.

- Może chronologicznie? - zaproponowałam.

Ken pokiwał głową.

Opowiedziałam im o domu Vivian Powers, otwartych na oścież drzwiach, przewróconym stoliku i leżącej na ziemi lampie, które robiły wrażenie teatralnej sceny.

- Mimo wszystko, kiedy Vivian Powers zadzwoniła do mnie z informacją, że się domyśla, kto zabrał notatki doktora Spencera od Brodericka, mówiła bardzo przekonująco. - Podniosłam oczy znad własnych zapisków. - I chyba już wiem, dlaczego te papiery zostały zabrane oraz co mogły zawierać - oznajmiłam. - Wczoraj wszystko zaczęło się układać w logiczną całość. -

Położyłam na biurku zdjęcie ludzi siedzących przy głównym stole podczas uroczystej kolacji w Caspien i wskazałam Dorę Whitman. - Byłam u niej wczoraj. W czasie tamtej kolacji rozmawiała ze Spencerem dłuższą chwilę. Opowiedziała o podróży z mężem do Ameryki Południowej. Wybrali się w rejs na początku listopada. Na wycieczce zaprzyjaźnili się z pewnym małżeństwem z Ohio. Tamci opowiedzieli im o kuzynce mieszkającej w Caspien przez krótki czas, mniej więcej przed trzynastu laty. Urodziła córeczkę w tamtejszym szpitalu, u noworodka zdiagnozowano stwardnienie rozsiane. Doktor Spencer robił maleństwu zastrzyki. Dzień przed powrotem rodziny do Ohio, był u nich z wizytą domową, wezwany do gorączkującego niemowlęcia. Podał mu penicylinę w zastrzyku. - Siorbnęłam łyk kawy. Nadal nie oswoiłam się ze skutkami następstwa zdarzeń. - Kilka

tygodni później doktor Spencer zadzwonił do matki, już do Ohio. Był strasznie zdenerwowany.

Oznajmił, że właśnie zdał sobie sprawę, iż zamiast penicyliny przez pomyłkę wstrzyknął dziecku nieprzetestowaną szczepionkę, nad którą pracował przed kilku laty. Wziął na siebie pełną odpowiedzialność za wszelkie mogące z tego wyniknąć konsekwencje...

- Podał niemowlakowi nieprzetestowaną szczepionkę? Kilkuletni lek? Cud, że nie zabił dzieciaka! - warknął Ken.

- Zaczekaj, to jeszcze nie koniec. Matka odpowiedziała, że zastrzyk nie wywołał żadnej reakcji. Co było w tamtych czasach niezwykle, nie pognała natychmiast do najbliższego prawnika, zaskarżyć doktora Spencera. Z drugiej strony, u małej najwyraźniej nie wystąpiły żadne niepokojące symptomy. Kilka miesięcy później nowy pediatra dziewczynki w Ohio stwierdził, że po urodzeniu musiała zostać błędnie zdiagnozowana, ponieważ rozwija się całkowicie normalnie, nie sposób u niej dostrzec żadnych śladów choroby. W tej chwili dziewczynka ma trzynaście lat. Jesienią uległa wypadkowi samochodowemu. Diagnosta od rezonansu magnetycznego zauważył, że gdyby to nie było niemożliwe, to powiedziałby, iż wyniki badania wskazują na obecność w niektórych komórkach ledwie dostrzegalnych śladów stwardnienia rozsianego. Matka postanowiła posłać do Caspien po dawne zdjęcia rentgenowskie. Wykazały one rozległe obszary stwardnienia rozsianego zarówno w mózgu, jak i w rdzeniu kręgowym.

- Prawdopodobnie były to zdjęcia innego dziecka - ocenił Ken. - Niestety, ciągle jeszcze się zdarzają takie pomyłki.

- Rzeczywiście. W Ohio nikt nie wierzy, że to rentgen tego samego dziecka. Tylko matka jest o tym przekonana. Napisała o całej sprawie do doktora Spencera, ale ponieważ lekarz zmarł kilka lat wcześniej, list wrócił do nadawcy. Dora Whitman opowiedziała parze z Ohio o Nicholasie Spencerze, synu lekarza. Uznała, że chętnie przeczytałby wiadomości, które nie dotarły do jego ojca. Zasugerowała, by kuzynka napisała do niego na adres Gen-stone. Najwyraźniej rzeczywiście

napisała, ale nie dostała odpowiedzi.

- I tę historię pani Whitman opowiedziała Spencerowi przy kolacji? - upewnił się Don.

- Tak.

- A Spencer następnego dnia pognął z powrotem do Caspien, żeby odebrać wczesne zapiski ojca, bez rezultatu - podsumował Ken, bawiąc się okularami. Ciekawa byłam, jak często musiał wymieniać śrubkę, dzięki której oprawki trzymały się w jednym kawałku.

- Dora Whitman obiecała Nicholasowi adres i numer telefonu ludzi, którzy opowiadali jej o swojej kuzynce. W czasie kolacji oczywiście nie miała notesu przy sobie, toteż Spencer pojechał do niej zaraz po tym, jak wyszedł od doktora Brodericka, dowiedziawszy się o zniknięciu notatek. Pani Whitman zauważyła, że był wyraźnie zdenerwowany. Zadzwoił od niej do małżeństwa z Ohio, dostał od nich numer telefonu kuzynki i od razu się z nią skontaktował. Ta kobieta nazywa się Caroline Summers. Dora Whitman słyszała, jak pytał, czy ma dostęp do faksu. Najwyraźniej miała, bo powiedział, że już jedzie do szpitala w Caspien sprawdzić, czy zachowali tam w archiwum zdjęcia rentgenowskie jej córki i jeśli tak, prosił, by przesłała pozwolenie na ich odebranie.

- W ten sposób wiemy, dokąd pojechał po spotkaniu z Broderickiem.

- Tak. Po rozmowie z panią Whitman wróciłam do szpitala w Caspien. Tamtejsza pracownica archiwum doskonale pamiętała Nicka Spencera. Niestety, nie pomogła mu, ponieważ ostatni komplet zdjęć przekazano swego czasu panu Summersowi.

- Uporządkujmy kolejność zdarzeń: w listopadzie pani Summers pisze do Spencera list, a niedługo po tym ktoś zgłasza się po wczesne zapiski jego ojca - powiedział Don.

Szkicował na kartce trójkąty. Ciekawa byłam, co by z tych bazgrołów wywnioskował psycholog. A więc jakaś osoba trzecia w biurze Gen-stone potraktowała ów list poważnie i podjęła odpowiednie działania - albo przekazała sprawę komuś dalej.

- To nie koniec. Nick Spencer poleciał do Ohio na spotkanie z Caroline Summers i jej córką.

Wypytał tę kobietę, wziął pod pachę zdjęcia rentgenowskie zrobione w szpitalu w Caspien i razem z dziewczynką pojechali do kliniki w Ohio, gdzie diagnosta wykrył ślady komórek stwardnienia rozsianego. Wyniki badania rezonansem magnetycznym zniknęły. Ktoś podszywający się pod Caroline Summers odebrał je tydzień po Święcie Dziękczynienia. Nick poprosił panią Summers, by z nikim nie rozmawiała na temat zdrowotnych rewelacji swojej córki, i obiecał, że wkrótce się z nią skontaktuje. Tego, oczywiście, już nie zrobił.

- Ktoś w jego firmie odwała krecią robotę - stwierdził Ken. - Minął miesiąc z niedużym okładem i zdarzyła się katastrofa lotnicza. - Włożył okulary na nos, widomy znak, że dąży do podsumowania. - A teraz widziano go w Szwajcarii. W dodatku jego przyjaciółeczka zniknęła.

- I niezależnie od tego, jak przedstawiś sprawę, nadal brakuje paru milionów dolarów - dorzucił Don.

- Carley, mówiłaś, że widziałaś się z żoną doktora Brodericka. Wyciągnęłaś od niej jakieś informacje? - spytał Ken.

- Rozmawialiśmy zaledwie chwilę. Wiedziała, że byłam u jej męża w zeszłym tygodniu, i chyba usłyszała od niego pochlebną opinię na mój temat. Obiecała znaleźć dla mnie czas, jak tylko jej mężowi się poprawi. Do tej pory pozostaje mi jedynie mieć nadzieję, że doktor Broderick będzie mógł powiedzieć nam coś w końcu na temat tamtego krytycznego dnia.

- Wypadek samochodowy Brodericka, katastrofa lotnicza, skradzione zapiski lekarza, zaginione wyniki badania rezonansem magnetycznym, podpalony dom, zniknięcie sekretarki, oszukana szczepionka na raka, a z drugiej strony - lek, który być może trzynaście lat temu wyleczył dziecko ze stwardnienia rozsianego - wyliczał Don, wstając. - I pomyśleć, że to wszystko zaczęło się od przekrętu finansowego.

- Jedno mogę stwierdzić z całą pewnością - odezwał się Ken. - Jeszcze się nie zdarzyło, żeby zastrzyk z jakiegoś przestarzałego leku wyleczył chorego ze stwardnieniem rozsianym.

Zadzwoiła moja komórka, odebrałam pośpiesznie. Lynn. Ponieważ dowiedziała się, że Nicka widziano w Szwajcarii, a z drugiej strony dotarły do niej szokujące wieści o romansie męża z asystentką, prosiła mnie o pomoc w przygotowaniu oświadczenia dla mediów. Zarówno Charles Wallingford, jak i Adrian Garner nalegali, by zrobiła to możliwie najszybciej.

- Carley, nawet gdyby informacje o Nicku w Szwajcarii okazały się nieprawdziwe, to fakt, że miał romans ze swoją asystentką, skutecznie uchroni mnie przed podejrzeniami o współudział w kradzieży. Ludzie będą mnie teraz postrzegali jako pokrzywdzoną żonę, a przecież tego właśnie chcemy, prawda?

- Chcemy poznać prawdę, Lynn - odparłam, a potem, choć niechętnie, to jednak zgodziłam się zjeść z nią lunch w „The Four Seasons”.

W „The Four Seasons” było, jak zwykle o trzynastej, dość tłoczno, ponieważ jest to ulubiona pora jedzenia lunchu co najmniej połowy wszystkich tych, którzy w ogóle jadają lunch. Zauważyłam wiele znanych twarzy: osób, które widuje się w „Timesie” w części „Style” oraz na stronach poświęconych biznesowi i polityce.

Przy wejściu gości witali współwłaściciele: Julian oraz Alex. Zapytałam o stolik pani Spencer, na co usłyszałam:

- Ach, tak, oczywiście. Rezerwacja była na pana Garnera. Wszyscy już są. Czekają w sali basenowej.

Aha. Czyli nie będzie to siostrzana sesja w formie burzy mózgów pod tytułem: „Jak ratować nadwątloną reputację”.

Poprowadzono mnie marmurowym korytarzem do właściwej sali. Ciekawe, dlaczego Lynn nie powiedziała mi o Wallingfordzie i Garnerze. Czyżby się obawiała, że jej odmówię? Nic z tego, droga Lynn. Bardzo chętnie przyjrę się im z bliska, zwłaszcza Wallingfordowi. Ale też powściągnę dziennikarskie zapędy. Zamierzałam zamienić się w słuch i zapomnieć języka w gębie.

Sala basenowa wzięła swoją nazwę od sporego kwadratowego basenu na środku pomieszczenia, wdzięcznie okolonego drzewami symbolizującymi jedną z pór roku. Aktualnie wiosnę przedstawiały długie smukłe jabłonie z gałęziami ciężkimi od kwiecica. Wnętrze urocze, naprawdę prześliczne. Gotowa byłam iść o zakład, że przypieczętowano tutaj uściskiem dłoni równie wiele decydujących ustaleń, co w gabinetach zarządów.

Eskorta przekazała mnie w ręce pierwszego kelnera, a ten powiódł do odpowiedniego stolika.

Nawet z daleka widać było wyraźnie, że Lynn wygląda prześlicznie. Ubrana była w czarny kostium z białym lnianym kołnierzem oraz mankietami. Nie widziałam jej stóp, ale z dłoni zniknęły

bandaże. W niedzielę nie miała na sobie żadnej biżuterii, teraz natomiast na jej serdecznym palcu błyszczała szeroka złota obrączka. Ludzie przechodzący do swoich stolików zatrzymywali się i pozdrawiali ją serdecznie.

Nie wiem, czy to ona świetnie grała, czy też ja byłam klinicznym przypadkiem braku ciepłych siostrzanych uczuć, ale kiedy zobaczyłam, jak dzielnie się uśmiecha i po dziewczęcemu kręci głową, gdy pewien broker, wysoko postawiony w hierarchii firmy, sięgnął po jej dłoń, pogarda mało mi nie wypłynęła uszami.

- Ciągle jeszcze boli - wyjaśniła Lynn czarującym tonem.

Akurat w tym samym momencie kelner odsunął dla mnie krzesło. Bardzo byłam zadowolona, że moja przyszywana siostra patrzyła akurat w przeciwną stronę. Uwolniło mnie to od konieczności odprawienia rytuału całowania powietrza przy jej policzkach.

Adrian Garner i Charles Wallingford zdobyli się na zwyczajową próbę odsunięcia krzesel od stołu i powstania na moje powitanie. Oszczędziłam im wysiłku, protestując zgodnie z oczekiwaniami, więc usiedliśmy wszyscy jednocześnie.

Muszę przyznać, że obaj panowie robili wrażenie. Wallingford był bezsprzecznie przystojnym mężczyzną o subtelnych rysach twarzy, świadczących o łączeniu się wielu pokoleń błękitnej krwi. Orli nos, lodowato niebieskie oczy, ciemnobrązowe włosy siwiejące na skroniach, doskonale utrzymane ciało i piękne dłonie. Esencja patrycjusza. Jego ciemnoszary garnitur w niemal niedostrzegalne cieniuteńkie prążki pochodził, moim zdaniem, od Armaniego. Obrazu dopełniał stonowany czerwony krawat w szare wzory, wyeksponowany na śnieżnobiałej koszuli. Zauważyłam, iż niektóre kobiety, mijając nasz stół, obrzucały prezesa Gen-stone bardzo przychylnymi spojrzeniami.

Adrian Garner był pewnie z grubsza w tym samym wieku co Wallingford, ale na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. Był raczej niższy, a zgodnie z tym, co zauważyłam w

niedzielę, ani w jego ciele, ani w twarzy nikt by się nie doszukał owej subtelności tak oczywistej i jawnej u tamtego. Cerę miał rumianą, jak gdyby wiele czasu spędzał na świeżym powietrzu. Dzisiaj jego głęboko osadzone brązowe oczy spoglądające zza okularów patrzyły wyjątkowo przenikliwie. Gdy zwracał wzrok na mnie, odnosiłam wrażenie, że czyta mi w myślach. Otaczała go wszakże aura władzy, pomimo pospolitej sportowej marynarki w kolorze złotego brązu, połączonej z brązowymi ciemnymi spodniami, które także wyglądały, jakby zostały zamówione w katalogu wysyłkowym.

Obaj z Wallingfordem pili szampana, a na moje przyzwalające skinienie kelner napełnił także mój kieliszek. Wtedy zobaczyłam, jak Garner rzucił poirytowane spojrzenie w stronę Lynn, która ciągle jeszcze rozmawiała z facetem z firmy maklerskiej. Chyba poczuła jego wzrok na sobie, bo szybko skończyła rozmowę, odwróciła się do nas i odegrała radość na mój widok.

- Carley, ogromnie się cieszę, że zgodziłaś się przyjść, chociaż tak późno cię zaprosiłam. Na pewno rozumiesz, co się ze mną dzieje!

- Rzeczywiście.

- Popatrz, jak się szczęśliwie złożyło, że Adrian namówił mnie do zmiany treści poprzedniego oświadczenia dla mediów, pamiętasz, w niedzielę, kiedy sądziliśmy, że znaleziono skrawek koszuli Nicka. A teraz słyszę, że Nick jest w Szwajcarii! Na dodatek jego asystentka zniknęła... Doprawdy, sama już nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć.

- Ale tego akurat nie powiesz - stwierdził Wallingford stanowczo. Przeniósł spojrzenie na mnie. - Wszystko, co pani teraz powiem, jest poufne - oświadczył. - Postanowiliśmy na własną rękę przeprowadzić dochodzenie w firmie. Dla znacznej liczby pracowników nie ulega wątpliwości fakt, iż Nicholas Spencer i Vivian Powers byli sobie... bardzo bliscy. Pozostała w pracy przez kilka ostatnich tygodni, ponieważ chciała śledzić postępy dochodzenia w sprawie katastrofy lotniczej. Prokuratura robi swoje, oczywiście, ale my, swoją drogą, zatrudniliśmy agencję detektywistyczną.

Spencerowi najbardziej odpowiadałoby uznanie go za zmarłego, tymczasem, skoro był widziany w Europie, gra się skończyła. W tej chwili jest uważany za uciekiniera. Należy również przyjąć, iż pani Powers także zniknęła z własnej woli. Skoro powszechnie wiadomo, że Spencer przeżył katastrofę lotniczą, ta pani nie ma już żadnego powodu, aby pozostawać w firmie. Przy tym, gdyby nie zniknęła na czas, władze z pewnością chciałyby ją przesłuchać.

- Jedno bezsprzecznie zawdzięczam tej kobiecie - odezwała się Lynn. - Ludzie przestali mnie traktować jak pariasa. Wreszcie uwierzyli, że Nick oszukał mnie tak samo jak wszystkich innych. Kiedy pomyślę...

- Pani DeCarlo - wtrącił się Adrian Garner - kiedy spodziewa się pani publikacji rezultatów dochodzenia dziennikarskiego?

Chyba byłam jedyną przy stole osobą zirytowaną na tego człowieka, który tak bezpardonowo przerwał Lynn w środku zdania. Najwyraźniej taki miał zwyczaj.

W rewanżu uraczyłam go odpowiedzią pełną wątpliwości i niekonkretnych stwierdzeń, mając nadzieję, że i ja jego potrafię zirytować.

- Jak pan być może słyszał, podczas śledztwa dziennikarskiego mamy niekiedy do czynienia z dwoma całkowicie przeciwstawnymi elementami. Tutaj jednym z nich jest aspekt sensacji. Sprawa Nicholasa Spencera niewątpliwie stanowi ogromną rewelację. Drugi natomiast aspekt to podanie faktów uczciwie i rzetelnie, a nie w formie zbioru najnowszych pogłosek. Czy znamy już pełną historię Nicka Spencera? Nie przypuszczam. W zasadzie codziennie przekonuję się na nowo, że nawet nie zaczęliśmy zbliżać się do prawdy. Dlatego na pewno zrozumie mnie pan, jeśli wyznam, że nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytanie.

Owszem, udało mi się go wkurzyć i sprawiło mi to nieziemską przyjemność. Adrian Nagel Garner był może wzorem sukcesu w biznesie, ale w moich oczach wcale nie dawało mu to prawa do niegrzecznego zachowania.

Podjął rękawicę.

- Pani DeCarlo...

- Przyjaciele - wpadłam mu w słowo - zwracają się do mnie po imieniu. - Nie on jeden potrafił przerywać mówiącemu.

- Carley, my czworo, siedzący przy tym stoliku, a także inwestorzy i pracownicy Gen-stone, wszyscy jesteśmy ofiarami Nicholasa Spencera. Wiem od Lynn, że zainwestowałaś w spółkę dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Rzeczywiście. - Przypomniałam sobie, co słyszałam o posiadłości Garnera, owym cudzie nowoczesnej techniki połączonym z artystem, i postanowiłam sprawdzić, czy potrafię tego człowieka rozwścieczyć. - Odkładałam na mieszkanie. Marzyło mi się od lat. Chciałabym mieszkać w budynku z czynną windą i mieć łazienkę z działającym prysznicem, a może nawet w starszym domu, gdzie byłby także kominek. Zawsze mi się podobały kominki.

Wiedziałam, że Garner zaczynał od samego dołu, ale nie chwycił przynęty i nie uderzył we współczujący ton, głosząc na przykład: „wiem, jak to jest tęsknić za działającym prysznicem”.

Kompletnie zignorował moje nieśmiałe marzenia o przyzwoitych czterech kątach.

- Każdy, kto zainwestował w Gen-stone, przeżywa osobisty dramat - wybrnął gładko. - Moja firma straciła zaufanie wielu klientów, ponieważ ogłosiła zamiar kupienia praw do dystrybucji tej nieszczęsnej szczepionki. Nie ucierpieliśmy finansowo, ponieważ finalizacja umowy miała nastąpić wyłącznie pod warunkiem akceptacji nowego medykamentu przez Instytut Żywności i Leków. Ale tak czy inaczej, poważnie ucierpieliśmy wskutek nadszarpnięcia opinii, a jest ona istotnym elementem budowania przyszłości każdego przedsiębiorstwa. Ludzie kupowali akcje Gen-stone za sprawą kryształowej reputacji Garner Pharmaceuticals. A obarczanie współwiną jest bardzo realnym czynnikiem psychologicznym w świecie biznesu... Carley.

Mało brakowało, a znowu nazwałby mnie panią DeCarlo, lecz po ułamku sekundy

zastanowienia wypluł moje imię. W życiu nie słyszałam, żeby ktoś je wymawiał z większą pogardą.

Raptem zdałam sobie sprawę, że Adrian Garner, mimo całej swojej władzy i potęgi, najwyraźniej się mnie bał.

Chociaż nie, poprawiłam się w myślach, to za mocno powiedziane. On odnosi się z szacunkiem do faktu, że mogę pomóc ludziom zrozumieć, iż nie tylko Lynn, ale także Garner Pharmaceuticals Company padła ofiarą gigantycznej machlojki Nicholasa Spencera, jaką była szczepionka na raka.

Wszyscy troje patrzyli na mnie, czekając na odpowiedź. Uznałam, że czas najwyższy, bym teraz dla odmiany to ja wyciągnęła od nich jakieś informacje. Spojrzałam na Wallingforda.

- Czy zna pan osobiście akcjonariusza, który widział Nicka Spencera w Szwajcarii?

Garner uniósł dłoń, zanim Wallingford zebrał się do odpowiedzi.

- Powinniśmy złożyć zamówienie.

Wtedy dopiero dostrzegłam kelnera stojącego przy naszym stoliku. Wzięliśmy od niego menu i dokonaliśmy wyboru. Uwielbiam ciasteczka z krabów podawane w „The Four Seasons”, więc niezależnie od tego, jak pilnie przeglądam jadłospis ani jak uważnie słucham dobrych rad obsługi, nieodmiennie zamawiam tutaj to samo danie, wraz z zieloną sałatą.

Mało kto w dzisiejszych czasach zamawia befszytk tatarski, bo kombinacja surowej wołowiny z równie surowym żółtkiem nie jest uważana za najlepszą metodę na doczekanie sędziwego wieku. Tymczasem, co interesujące, Adrian Garner podjął taką właśnie decyzję.

No cóż, siła wyższa i skrzypce, jak mawia Casey, musiałam powtórzyć pytanie do

Wallingforda:

- Czy zna pan akcjonariusza, który twierdzi, że widział Nicka Spencera w Szwajcarii?

- Czy go znam? - Wallingford leciutko wzruszył ramionami. - Zawsze intrygowała mnie semantyczna wykładnia tego zwrotu. Co to znaczy: znać kogoś? Dla mnie oznacza to, że naprawdę

coś wiem o danej osobie, a nie tylko tyle, że widuję ją regularnie na zebraniach, w których bierze udział większa liczba uczestników, jak choćby zebrania akcjonariuszy. Znam Barry'ego Westa z imienia i nazwiska. Pracuje jako kierownik w dziale zaopatrzenia i najwyraźniej doskonale radzi sobie z własnymi inwestycjami. Pojawił się na naszych spotkaniach cztery, może pięć razy w ciągu minionych ośmiu lat i zawsze dopilnował, by w tym czasie doszło do rozmowy i z Nickiem, i ze mną. Dwa lata temu, gdy firma Garner Pharmaceuticals zgodziła się brać udział w dystrybucji szczepionki po jej zaaprobowaniu przez Instytut Żywności i Leków, Adrian wprowadził do zarządu swojego reprezentanta, Lowella Drexela. Barry West natychmiast podjął próbę... zacieśnienia więzi z Lowellem. - Wallingford spojrział na Adriana Garnera. - Słyszałem, jak pytał Lowella, czy nie potrzebujesz świetnego, solidnego człowieka na stanowisko kierownicze, Adrianie.

- Jeżeli Lowell nie jest głupi, odpowiedział przecząco - warknął Garner.

Stanowczo nie uznawał uprzejmości z samego rana, ale też przyznaję, do pewnego stopnia przeszła mi już irytacja z powodu jego nieuprzejmego zachowania. W moim zawodzie człowiek tak często spotyka się z wodolejstwem, że niekiedy miło dla odmiany porozmawiać z kimś, kto wali prosto z mostu.

- Może tak, a może nie - odrzekł Wallingford. - Moim zdaniem Barry West miał okazję widywać Nicka wystarczająco często, aby go rozpoznać. Wobec tego można założyć, że widział w Szwajcarii albo jego, albo kogoś do niego bardzo podobnego.

Kiedy spotkałam obu panów u Lynn, w niedzielę, odniosłam wrażenie, że się serdecznie nie znoszą. Tymczasem okazało się, że wojna rodzi dziwaczne sojusze, a podobnie jest z upadającą firmą. Jednocześnie byłam tutaj najwyraźniej nie tylko po to, by pomóc Lynn ukazać światu jej pozycję bezradnej ofiary niewierności i złodziejstwa męża. Wszyscy troje chcieli się dowiedzieć, jaki kierunek przybiera nasze dziennikarskie śledztwo.

- Panie Wallingford - odezwałam się uprzejmie.

Podniósł dłoń. Oczywiście zaraz mnie poprosi, żebym się do niego zwracała po imieniu.

Poprosił. Usłuchałam.

- Charles, doskonale się orientujesz, że mnie interesuje wyłącznie aspekt ludzki upadku

Gen-stone i zniknięcia Nicholasa Spencera. O ile mi wiadomo, rozmawiałeś z moim kolegą, Donem Carterem.

- Tak. We współpracy z naszymi księgowymi umożliwiliśmy osobom prowadzącym śledztwo pełen wgląd we wszystkie księgi.

- Ukradł tyle pieniędzy - odezwała się Lynn - a nie chciał obejrzeć ze mną domu w Darien, chociaż to była doskonała okazja! Tak bardzo się starałam dbać o nasze małżeństwo, a on nie rozumiał, że nie chcę mieszkać w domu innej kobiety.

Szczerze mówiąc, tu akurat ją rozumiałam. Też nie chciałabym mieszkać w domu poprzedniej żony mojego męża. Przez głowę przeleciała mi myśl, że jeśli wyjdę za Caseya, ten problem mi nie grozi.

- Doktor Page zyskał swobodny dostęp do naszego laboratorium i wgląd we wszystkie wyniki przeprowadzonych badań - podjął Wallingford. - Na nasze nieszczęście, rezultaty najwcześniejszych eksperymentów wydawały się obiecujące. Nie jest to niczym wyjątkowym, jeśli chodzi o poszukiwania leku mającego spowolnić lub zatrzymać rozrost komórek nowotworowych. Zbyt często dochodzi do upadku firm i utraty nadziei, ponieważ wczesne sukcesy po prostu się nie potwierdzają. To samo wydarzyło się także w Gen-stone. Pewnie nigdy się nie dowiemy, dlaczego Nick zaczął okradać własną firmę. A kiedy zrozumiał, że szczepionka nie ma szans powodzenia i wartość spółki zacznie wkrótce gwałtownie spadać, nie miał już sposobu na pokrycie debetu.

Prawdopodobnie wówczas postanowił zniknąć.

Każdy dziennikarz od samego początku uczy się zadawać pięć podstawowych pytań: kto, co, dlaczego, gdzie i kiedy. Wybrałam środkowe.

- Dlaczego - spytałam - pakował się w to coraz głębiej?

- Początkowo zapewne po to, by zyskać więcej czasu na badania - wyjaśnił Wallingford. -

Potem, gdy się zorientował, że szczepionka nie jest cudownym lekiem i że będzie musiał sfalszować wyniki, mógł uznać, iż ma tylko jedną możliwość: nakraść tyle, by mu wystarczyło do końca życia, i zniknąć. Więzienia federalne to jednak nie ekskluzywne kluby, wbrew temu, co twierdzą media.

Ciekawa byłam, czy rzeczywiście ktokolwiek byłby skłonny uważać więzienie federalne za rodzaj ekskluzywnego klubu. Wallingford i Garner, w skrócie rzecz ujmując, powiedzieli mi, że dowiodłam swojej wierności wobec Lynn. Nadszedł czas, by uzgodnić najlepszy sposób ukazania jej niewinności, a potem mogłabym jeszcze pomóc odbudować jej wiarygodność - poprzez to, w jaki sposób napiszę swoją część sprawozdania ze śledztwa dziennikarskiego.

Nadszedł czas, by raz jeszcze wyłożyć kawę na łąwę, choć jak sądziłam, powinni byli się nią już udławić.

- Muszę powtórzyć to, z czego już zdajecie sobie sprawę, jak sądzę - zaczęłam.

W tej chwili pojawiły się nasze przystawki, więc musiałam poczekać z dalszą częścią swojego odkrywczego stwierdzenia. Kelner zaproponował mielony pieprz. Tylko Adrian Garner i ja skorzystaliśmy z oferty. Gdy znów zostaliśmy we czworo, powiedziałam im, że napiszę tę historię tak, jak ją widzę, a by napisać ją dobrze i zgodnie z prawdą, będę chciała umówić się na spotkanie zarówno z Charlesem Wallingfordem, jak i z panem Garnerem, który - co sobie właśnie uświadomiłam - nie przeszedł jednak ze mną na ty.

Obaj zgodzili się na moją propozycję. Niezbyt chętnie? To już trudno stwierdzić z całą pewnością.

W zasadzie zakończyliśmy interesy. Lynn wyciągnęła do mnie rękę przez stół. Zmuszona byłam odpowiedzieć na ten gest, dotknęłam więc czubków jej palców.

- Carley, taka jesteś dla mnie dobra - oznajmiła z głębokim westchnieniem. - Ogromnie się cieszę, że uznałaś, iż moje ręce, choć osmalone, są czyste.

Nasunęły mi się na myśl słynne słowa Poncjusza Piłata o zmywaniu z rąk krwi tego niewinnego człowieka.

Tymczasem Nick Spencer, niezależnie od tego, jak szczerze miał motywy, był jednak winny kradzieży i zdrady, prawda?

Na to, w każdym razie, zdawały się wskazywać dowody.

Czy aby na pewno?

Zanim opuściliśmy restaurację, uzgodniliśmy daty moich spotkań z Garnerem i Wallingfordem. Skorzystałam z okazji i zaproponowałam, że przyjadę do każdego z nich do domu. Wallingford, który mieszka w Rye, jednym z najwytworniejszych przedmieść w Westchester County, zgodził się chętnie i nawet dał mi do wyboru sobotę lub niedzielę o trzeciej.

- Z przyjemnością zajrzę w sobotę - odpowiedziałam, myśląc o Casey i przyjęciu, na które miałam z nim iść w niedzielę. I od razu, ściskając kciuki, spróbowałam załatwić przy okazji jeszcze jeden interes. - Chciałabym też zajrzeć do twojego biura i porozmawiać z pracownikami. Przydałoby mi się poznać ich odczucia na temat straty akcji, bankructwa Gen-stone oraz dowiedzieć się, jak to wszystko zmieni ich życie. - Wyraźnie szukał grzecznej odmowy, więc szybko dodałam: - Oczywiście w rzeczywistości będę chciała się dowiedzieć, czy związek Nicka Spencera i Vivian Powers był rzeczą ogólnie znaną.

Wallingfordowi nie podobał się mój pomysł, ale osiągnęłam cel, bo zależało mu na zrobieniu dobrego wrażenia wobec przedstawicielki mediów.

- Nie widzę problemu - odezwał się po chwili lodowatym tonem.

- Wobec tego wpadnę jutro o piętnastej trzydzieści - oznajmiłam. - Nie zajmę dużo czasu, obiecuję. Chcę tylko mieć ogólną reakcję, żeby ją osadzić w tle.

W przeciwieństwie do Wallingforda, Garner stanowczo odmówił przyjęcia mnie w swoim domu.

- Mój dom jest moją fortecą, Carley - oznajmił. - Nigdy nie załatwiam tam interesów.

Z przyjemnością wytknęłabym mu, że nawet pałac Buckingham otwiera podwoje dla turystów, ale ugryzłam się w język.

Zgodził się, że bym odwiedziła go w biurze, w wieżowcu Chrysler Building. Uprzejmie obiecał mi krótki wywiad w piątek o dziewiątej trzydzieści.

Zdając sobie sprawę, jak niewielu dziennikarzy osiągnęło tak wiele - Adrian Garner słynał z niechęci do udzielania wywiadów - podziękowałam mu z odpowiednią dozą wdzięczności.

Zanim skończyliśmy espresso, byłam już jedną nogą w drodze. Dziennikarz nie powinien dopuszczać do głosu emocji, lecz kiedy tak siedziałam i obserwowałam ich troje, narastał we mnie gniew. Lynn była wyraźnie uradowana myślą, że mąż zaangażował się w poważny romans. Dzięki temu znacząco zyskiwał jej cokolwiek niepewny wizerunek, a nawet zasługiwała na współczucie - i tylko to się dla niej liczyło.

Wallingford i Garner założyli sobie podobne cele. Pokaż światu naszą krzywdę! Taki wydzźwięk miało wszystko, co mi powiedzieli. Z naszej czwórki tylko ja wydawałam się zainteresowana możliwością odszukania Nicholasa Spencera i odzyskania chociaż części pieniędzy. Byłaby to najwspanialsza wiadomość dla akcjonariuszy. Może zwrócono by mi chociaż niewielki procent moich dwudziestu pięciu tysięcy. A może zdaniem Wallingforda i Garnera nawet gdyby Nicka udało się odnaleźć, choćby w Szwajcarii, i doprowadzić do ekstradycji, nic by to nie dało, ponieważ zakopał pieniądze tak głęboko, że nikt do nich nie dotrze?

Zbieraliśmy się już do wyjścia, kiedy Lynn powiedziała:

- Carley, zabrałam się do porządkowania osobistych drobiazgów Nicka. Natrafiłam na to odznaczenie, które przyznano mu w lutym w jego rodzinnym miasteczku. Wrzucił je do szuflady.

Byłaś w Caspien, zbierałaś tam materiał do publikacji, prawda?

- Tak. - Nie miałam zamiaru jej zdradzać, że nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny, odkąd stamtąd wyjechałam.

- Co sądzą o nim tamtejsi ludzie?

- To samo, co wszędzie gdzie indziej. Na uroczystości wręczenia medalu był tak przekonujący, że zarząd szpitala w Caspien zainwestował w Gen-stone niebagatelną sumę. Na skutek strat trzeba było zrezygnować z planów budowy skrzydła pediatrycznego.

Wallingford pokręcił głową. Garner miał ponurą minę, ale też coraz bardziej się niecierpliwił. Już po lunchu. Pora iść.

Lynn nie skomentowała faktu, że szpital stracił pieniądze przeznaczone na pomoc chorym dzieciom.

- Chodziło mi o to - uściśliła - co mówili o Nicku, zanim wybuchł skandal.

- Miejscowy tygodnik drukował same pochlebne opinie - odrzekłam. - Nick był doskonałym uczniem, sympatycznym chłopcem i świetnym sportowcem. Widziałam jego zdjęcie jako szesnastolatka z pucharem w rękach. Był doskonałym pływakiem.

- I pewnie właśnie dzięki temu udało mu się zaaranżować katastrofę, po której spokojnie dopłynął do brzegu - wtrącił Wallingford.

Możliwe. Ale skoro był taki sprytny, to dlaczego dał się zauważyć w Szwajcarii?

* * *

Wróciłam do biura i sprawdziłam pocztę elektroniczną. Było kilka niepokojących wiadomości. Pierwszy list, jaki otworzyłam, brzmiał:

Moja żona napisała do ciebie w zeszłym roku, a ty nie raczyłaś jej odpowiedzieć. Teraz już nie żyje. Nie taka znowu z ciebie mądrała. Wymyśliłaś, kto był w domu Lynn Spencer przed pożarem?

Kto pisze te listy? O ile nie były głupim dowcipem, to nadawca raczej marnie się czuł. Po adresie poznałam, że to ten sam, który przysłał mi dziwaczną wiadomość dwa dni wcześniej. Tamtą zatrzymałam, żałowałam tylko, że wyrzuciłam tę, która kazała mi się przygotować na dzień sądu.

Usunęłam ją, bo uznałam, że mam do czynienia z jakimś fanatykiem religijnym. A teraz zastanawiałam się, czy przypadkiem ta sama osoba nie jest autorem wszystkich trzech listów.

Czy ktoś był w domu z Lynn? Od Gomezów wiedziałam, że późny gość nie stanowiłby wielkiego zaskoczenia. Chętnie bym pokazała ten e-mail swojej przybranej siostrze.

Powiedziałabym: „Popatrz, niesamowite, prawda?” i obserwowałabym jej reakcję.

Kolejną wiadomość, która mnie poruszyła, zastałam na sekretarce telefonicznej. Nagrała ją kierowniczka archiwum zdjęć rentgenowskich w szpitalu w Caspien. Prosiła o telefon w sprawie, którą uznała za ważną.

Oddzwoniłam natychmiast.

- Czy to pani była tu wczoraj - zapytała kierowniczka - i rozmawiała z jedną z moich pracownic?

- Tak, to ja.

- O ile dobrze rozumiem, pytała pani o kopię prześwietlenia córki państwa Summers i miała pani zezwolenie osoby uprawnionej na odbiór tych zdjęć.

- Zgadza się.

- Dowiedziała się pani, że nie mamy już odbitek, ale nie otrzymała pani pełnej informacji.

Ostatni komplet odebrał dwudziestego ósmego listopada pan Summers. Proponowaliśmy zrobienie kopii, ale uznał, iż nie jest to konieczne.

- Rozumiem. Dziękuję. Musiałam zebrać myśli.

Mąż Caroline Summers nie odebrał zdjęć rentgenowskich, tak samo jak nie wziął wyników badania rezonansem magnetycznym w Ohio. Osoba, która przeczytała i poważnie potraktowała list Caroline Summers, napisany do Nicholasa Spencera, najwyraźniej zadbała o wszelkie szczegóły. Twierdząc, że działa z polecenia Nicka Spencera, ów ktoś zabrał od doktora Brodericka wczesne zapiski doktora Spencera, potem, podszywając się pod męża Caroline Summers, wyłudził z archiwum szpitala w Caspien zdjęcia rentgenowskie stanowiące dowód, że dziecko miało stwardnienie rozsiane, oraz przejął wyniki badania rezonansem magnetycznym z kliniki szpitala w Ohio. Skoro ta osoba zadała sobie tyle trudu, musiała mieć po temu ważny powód.

Don siedział w biurze sam.

- Znajdziesz dla mnie dwie chwile?

- Jasne.

Zdałam mu relację z rozmowy podczas lunchu w „The Four Seasons”.

- Nieźle ci poszło - uznał. - Garnera trudno przyszpilić.

Opowiedziałam mu także o zdjęciach rentgenowskich, które ktoś udający męża Caroline

Summers zabrał ze szpitala w Caspien.

- Ktokolwiek za tym stoi, faktycznie pomyślał o wszystkim - stwierdził Don. - Co dowodzi,

że w Gen-stone ktoś odwała... albo odwałął bardzo poważną krecią robotę. Poruszyłaś którąś z tych spraw w czasie lunchu?

Spojrzałam na niego wymownie.

- Przepraszam - zmitygował się natychmiast. - Oczywiście, że nie.

Pokazałam mu ostatni e-mail.

- Nie mogę się zdecydować, czy ten facet to wariat czy nie - przyznałam.

- Ja też nie wiem - odrzekł Don Carter - ale moim zdaniem tak czy inaczej powinnaś

zawiadomić policję. Gliniarze mają sposoby, żeby znaleźć nadawcę, a kto wie, może się on okazać na przykład ważnym świadkiem w sprawie pożaru. Dostaliśmy cynk o ciekawej sprawie w Bedford.

Policja zatrzymała jednego nastolatka za prowadzenie pod wpływem narkotyków. Małolat jest bogaty z domu, więc rodzice wynajęli mu prawnika z najwyższej półki, a ten chce iść na ugodę.

Proponują, że dzieciak będzie zeznawał przeciwko Bikorsky'emu. Tydzień temu we wtorek, wracając z imprezki około trzeciej nad ranem, przejeżdżał obok domu Spencerów. Przysięga, że widział Bikorsky'ego, jak swoim vanem wolniutko jechał przed ich domem.

- Skąd wie, że to był jego samochód, na litość boską? - zdumiałam się niebotycznie.

- Zdarzyła mu się nie tak dawno stłuczka po pijanemu w Mount Kisco, w rezultacie

wyłądował akurat w warsztacie, w którym pracuje Marty. Widział jego samochód i zapamiętał

rejestrację, bo o niej rozmawiali. Na tablicy są tylko trzy litery: M.O.B., bo Marty nazywa się Martin Otis Bikorsky.

- Dlaczego do tej pory siedział cicho?

- Bikorsky i tak został aresztowany. Chłopak poszedł na imprezkę bez pozwolenia, więc nie chciał kolejnych kłopotów z rodzicami. Twierdzi, że gdyby zatrzymano niewłaściwego człowieka, ujawniłby się ze swoją informacją.

- Jaki wzorowy obywatel! - Niby ironizowałam, ale w rzeczywistości byłam przerażona.

Pytałam Marty'ego, czy pałac, siedział w samochodzie. Kiedy mi odpowiadał, zauważyłam ostrzegawcze spojrzenie jego żony. Czy o to właśnie jej chodziło? Wówczas tego nie wiedziałam i teraz także nie. A może nie siedział w samochodzie z włączonym silnikiem, tylko odjechał spod domu? W tamtej okolicy budynki stoją bardzo blisko jeden drugiego. Pracujący silnik w środku nocy mógłby przeszkadzać sąsiadom śpiącym przy otwartym oknie. Cóż bardziej naturalnego, kiedy człowiek jest wściekły, rozgniewany i bezsilny, a przy tym po kilku piwach, że przejechał się przed śliczną, wypielegnowaną posiadłością w Bedford i pomyślał o stracie własnego domu. A przecież mógł coś zrobić. Więc zrobił swoje.

W dodatku e-maile zdawały się potwierdzać tę wersję wydarzeń. Fatalnie.

Don obserwował mnie uważnie.

- Twoim zdaniem zawodzi mnie umiejętność oceny ludzi? - spytałam.

- Myślałem akurat o tym, że kiepsko się złożyło dla tego twojego znajomka. Z tego co powiedziałaś, miał tysiąc powodów, żeby podpalić dom Spencerów. Jeżeli był na tyle głupi, żeby to zrobić, zdrowo za to beknie, gwarantuję. Za dużo jest w Bedford wymuskanych rezydencji, żeby facetowi upiekł się taki numer. Uwierz mi, przyznanie się do winy byłoby dla niego najlepszym wyjściem, mógłby liczyć na ugodę.

- Mam nadzieję, że się nie przyzna - odrzekłam. - Moim zdaniem jest niewinny.

Poszłam do siebie. Na biurku ciągle leżał egzemplarz „Post”. Otworzyłam go na stronie trzeciej, gdzie znajdował się artykuł o Spencerze widzianym w Szwajcarii oraz o zniknięciu Vivian Powers. Wcześniej przeczytałam tylko pierwszych kilka akapitów. Reszta okazała się odgrzewaną historią Gen-stone, ale w końcu znalazłam informację, której szukałam: nazwisko rodziny Vivian Powers w Bostonie.

Allan Desmond, jej ojciec, wydał oświadczenie:

Nie wierzę, by moja córka przebywała z Nicholasem Spencerem w Europie. W ciągu ostatnich tygodni często do nas dzwoniła, rozmawialiśmy z nią wszyscy, żona, córki i ja. Śmierć Nicholasa Spencera pogrzeżyła ją w głębokiej żałobie, Vivian chciała wrócić do Bostonu. Jeżeli pan Spencer żyje, moja córka nic o tym nie wie. Ja natomiast wiem, że gdyby tylko mogła, absolutnie nie dopuściłaby do tego, byśmy się o nią martwili. Cokolwiek się z nią dzieje, dzieje się bez jej woli i zgody.

Ja też w to wierzyłam. Vivian Powers naprawdę ciężko przeżywała śmierć Nicholasa Spencera. Trzeba mieć w sobie szczególne okrucieństwo, żeby zniknąć, zostawiając rodzinę w rozpacz i ciągłej niepewności. Ona taka nie była.

Siedziałam za biurkiem i przeglądałam notatki z wizyty u Vivian. Nagle coś sobie uświadomiłam. Powiedziała mi, że na list matki, która uważała, iż jej dziecko zostało wyleczone ze stwardnienia rozsianego, odpowiedziano zwyczajową formułą. Natomiast od Caroline Summers wiedziałam, że żadna odpowiedź nie przyszła. Wobec tego ktoś w dziale maszynistek nie tylko przekazał list osobie trzeciej, ale także zatarł wszelkie ślady jego istnienia.

Przeskoczyłam na inny temat. Postanowiłam zadzwonić na policję w Bedford i zawiadomić o e-mailach.

Detektyw, z którym rozmawiałam, był uprzejmy i miły, ale nie robił wrażenia szczególnie

zainteresowanego. Poprosił o przefaksowanie obu listów.

- Przekażemy informację do wydziału podpaleń w biurze prokuratora - powiedział. - I sami poszukamy nadawcy, ale uważam, że to jakiś wygłup. Mamy całkowitą pewność, że podpalaczem jest Bikorsky.

Nie było sensu opowiadać mu o mojej absolutnej pewności, że się mylą. Zaraz po rozmowie z policją zadzwoniłam do Bikorsky'ego. I znów odebrała automatyczna sekretarka.

- Marty, wiem, że sprawa nie wygląda różowo, ale nadal jestem po twojej stronie. Bardzo chciałabym z tobą pogadać.

Zaczęłam dyktować numer swojej komórki, na wypadek gdyby go zgubił, ale zanim skończyłam, podniósł słuchawkę. Zgodził się ze mną spotkać.

Już byłam w drzwiach, gdy coś jeszcze przyszło mi do głowy. Włączyłam ponownie komputer. Jakiś czas temu czytałam w miesięczniku „House Beautiful” artykuł okraszony ilustracjami przedstawiającymi Lynn na tle domu w Bedford. O ile dobrze sobie przypomięłam, było ich kilka. Miałam nadzieję znaleźć opis posiadłości. Wyszukałam artykuł, zapisałam go na dysku i pogratulowałam sobie doskonałej pamięci. Jeszcze chwila i już mogłam wyjść.

Tym razem utknęłam w popołudniowym korku przed Westchester i dotarłam do Bikorskich dopiero za dwadzieścia siódma. Jeśli przyjąć, że Rhoda i Marty w sobotę wyglądali na wyczerpanych, to teraz sprawiali wrażenie po prostu chorych. Usiedliśmy w salonie. Z pokoiku za kuchnią dobiegały dźwięki telewizora, więc przyjął, że właśnie tam jest Maggie.

Przeszłam do rzeczy bez owijania w bawełnę.

- Marty, od razu czułam, że z tym twoim siedzeniem w samochodzie jest coś nie tak. Nie siedziałeś w zimnym aucie ani w bryce z włączonym silnikiem. Przejechałeś się kawałek, mam rację?

Rhoda na pewno przekonywała męża, żeby się nie zgodził na moją wizytę.

- Jesteś dla nas miła, Carley - odezwała się z czerwona twarzą, głosem pełnym napięcia. -

Ale musimy pamiętać, że pracujesz jako dziennikarka, zbierasz informacje do publikacji. Ten nastolatek się pomylił. Nie widział Marty'ego. Nasz prawnik znajdzie dziury w jego historyjce.

Chłopak usiłuje się wybronić z własnych kłopotów, więc oskarża Marty'ego, żeby zyskać możliwość pójścia na ugodę. Odbieramy telefony od zupełnie obcych ludzi, którzy mówią nam, że ten dzieciak kłamie. Mój mąż tamtej nocy w ogóle nie ruszył się z podjazdu.

Przeniosłam wzrok na Marty'ego.

- Pokażę wam dwa e-maile - zaproponowałam.

Najpierw przeczytał je Marty i zaraz podał żonie.

- Co to za facet? - spytał.

- Nie wiem. Policja sprawdza, skąd wyszły wiadomości. Znajdą go. Na mnie robi wrażenie wariata, ale może faktycznie był na terenie posiadłości. Może nawet to on podłożył ogień. Ale dopóki będziesz się upierał przy swojej wersji i nie przyznasz, że byłeś pod domem Spencera dziesięć minut przed pożarem, dopóki kłamiesz, grozi ci każdy nowy świadek, który cię zdemaskuje. A wtedy będziesz skończony.

Rhoda się rozplakała. Marty pogładził ją po kolanie i dłuższy czas milczał. Wreszcie podjął decyzję.

- Pojechałem tam - wyznał zgnębionym głosem. - Dobrze zgadłaś. Po robocie wypilem kilka piw, to ci już mówiłem. Łeb mi pękał, jeździłem bez celu. Cały czas byłem wściekły, nie przeczę, gotowałem się jak nie wiem co. Nie tylko z powodu domu. Bardziej dlatego, że ta szczepionka nie wypaliła. Nie umiem ci powiedzieć, jak gorąco się modliłem, żeby Maggie zdążyła z niej skorzystać.

Rhoda ukryła twarz w dłoniach. Mąż objął ją ramieniem.

- Zatrzymałeś się przed tamtym domem? - spytałam.

- Owszem. Otworzyłem okno i splunąłem. Na ten dom, na to, że zapłacili za niego biedni ludzie swoją krwawicą. I wróciłem do łóżka.

Wierzyłam mu. Przysięgłabym, że mówił prawdę. Pochyliłam się ku niemu.

- Marty, byłeś tam kilka minut przed wybuchem pożaru. Czy widziałeś, żeby ktoś wychodził z domu? A może przejeżdżał inny samochód? Jeśli ten dzieciak mówi prawdę i rzeczywiście ciebie widział, to przecież i ty widziałeś jego?

- Z przeciwka jechał jakiś wóz, minął mnie i pojechał dalej. Może to był właśnie ten chłopak. Potem, po jakimś kilometrze, zobaczyłem jakiś inny samochód jadący w stronę domu Spencerów.

- Co to był za wóz?

Marty pokręcił głową.

- Nie wiem. Sądząc po kształcie lamp, jakiś prehistoryczny rupieć, ale też bym nie przysięgł.

- Czy widziałeś, żeby ktoś szedł podjazdem od strony domu?

- Nie, ale możliwe, że ten gość, co ci podsyła maile, ma rację, bo na terenie posiadłości stał zaparkowany samochód.

- Widziałeś tam samochód!

- Tylko rzuciłem okiem. - Wzruszył lekko ramionami. - Zauważyłem go, kiedy się zatrzymałem i otworzyłem okno, ale to trwało najwyżej parę sekund.

- Co to był za samochód?

- Jakiś ciemny sedan, tyle tylko wiem. Stał obok podjazdu, za filarem po lewej stronie bramy.

Wyjęłam z torebki artykuł ściągnięty z Internetu i odszukałam zdjęcie posiadłości zrobione od strony drogi.

- Pokaż mi, gdzie.

Pochylił się, uważnie przyjrzał fotografii.

- Tutaj - powiedział, wskazując miejsce tuż za bramą.

Podpis pod zdjęciem głosił: „Uroczy chodniczek prowadzi do stawu”.

- Pewnie stał na tym chodniczku - powiedział Marty. - Od ulicy zasłaniał go filar.

- Jeśli mój nawiedzony korespondent faktycznie widział na podjeździe jakiegoś mężczyznę, to mógł być właściciel samochodu - zamyśliłam się na chwilę.

- A dlaczego nie podjechał pod sam dom? - spytała Rhoda. - Po co zaparkował przy bramie?

- Bo nie chciał, żeby ktoś zobaczył jego wóz - odpowiedziałam. - Marty, musisz o tym porozmawiać z prawnikiem. Bardzo dokładnie czytałam sprawozdanie z pożaru i już teraz mogę cię zapewnić, że nie ma tam jednego słowa na temat samochodu zaparkowanego przy bramie, więc ktokolwiek to był, zniknął przed przyjazdem straży pożarnej.

- Może to on podłożył ogień - odezwała się Rhoda z cieniem nadziei w głosie. - Pewnie nie miał uczciwych zamiarów, skoro ukrył swój wóz?

- Mam mnóstwo pytań bez odpowiedzi - oświadczyłam, wstając. - Gliniarze szukają nadawcy e-maili. Może to będzie przełom w śledztwie. Obiecali mi dać znać, kto to taki. Zadzwoń, jak tylko się dowiem.

Marty, podnosząc się, zadał pytanie, które i mnie przyszło do głowy.

- Czy pani Spencer wspomniała, że miała tamtej nocy towarzystwo?

- Nie - odpowiedziałam. A potem, wiedzona lojalnością, dodałam: - Sam widziałeś, jaka wielka jest ta posiadłość. Lynn mogła nie wiedzieć, że ma gościa.

- Pod warunkiem, że ten człowiek znał szyfr otwierający bramę albo go ktoś wpuścił. Tak działają te urządzenia. Czy gliniarze sprawdzili ludzi, którzy tam pracowali, czy skupili się tylko na mnie?

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie - przyznałam. - Ale mogę ci obiecać, że się

dowiem. Na razie zobaczymy, dokąd nas zaprowadzą te e-maile.

Cała rezerwa Rhody, tak widoczna, gdy do nich przyszedłam, gdzieś zniknęła.

- Carley, naprawdę jest szansa na znalezienie prawdziwego podpalacza? - spytała.

- Tak. Jestem o tym przekonana.

- Muszę liczyć na cud. - Mówiła nie tylko o dochodzeniu.

- Ja wierzę w cuda - odparłam krótko i szczerze.

I pojechałam do domu. Niestety, ten jedyny, najważniejszy cud, którego Rhoda pragnęła najbardziej, na pewno nie nastąpi. Nie mogłam jej pomóc w tej sprawie, ale przynajmniej zrobię wszystko, by pomóc dowieść niewinności Marty'ego. I tak tej kobiecie trudno będzie znieść śmierć jedyne dziecko, a byłoby jeszcze dużo gorzej, gdyby wtedy zabrakło jej także męża.

Wiedziałam coś o tym.

„Dosyć ma dzień swojej biedy”, jak mówi Biblia.

Tak właśnie uważałam, gdy dotarłam do domu po spotkaniu z Martym i Rhodą Bikorskymi.

Dochodziła dziewiąta. Nie miałam ochoty na pizzę. Nie miałam ochoty na chińszczyznę. Zajrzałam do lodówki i to też mi nie pomogło. Powitał mnie żaloszny widok jakiejś resztki sera wyschniętej na brzegach, dwóch jajek, oklapniętego pomidora, nadgniętej sałaty i ćwiartki chleba, o którym kompletnie zapomniałam.

Julia Child wyczarowałaby z tego wykwinny posiłek.

Z obrazem tej uroczo ekscentrycznej kucharki przed oczami wzięłam się do roboty i w końcu osiągnęłam nie najgorszy rezultat. Najpierw nalałam sobie kieliszek chardonnay. Potem oberwałam brązowe liście z sałaty, zmieszałam trochę czosnku, oliwy i octu i już miałam sałatkę. Chleb pokroiłam cieniutko, posypałam parmezanem i włożyłam do piekarnika. Ser oraz pomidor poszły do omletu. Okazał się fantastyczny.

Nie każdy potrafi usmażyć omlet, więc szczerze sobie pogratulowałam.

Ustawiłam jedzenie na tacy i usadowiłam się w klubowym fotelu, który stał w salonie rodziców, kiedy dorastałam. Stopy oparłam na podnóżku. Dobrze mi było w domu. Otworzyłam gazetę, którą miałam zamiar przeczytać, ale nie mogłam się na niej skoncentrować, bo w głowie wciąż kłębiły mi się wydarzenia mijającego dnia.

Vivian Powers. Znów zobaczyłam ją stojącą w drzwiach domu, tak jak widziałam ją wtedy, gdy odjeżdżałam. Nietrudno mi było zrozumieć, dlaczego Manuel Gomez był zadowolony, że Nick poznał taką kobietę. Jakoś nie mogłam jednak sobie wyobrazić tych dwojga ludzi, którzy stracili swoich bliskich z powodu raka, jak żyją sobie spokojnie w Europie z pieniędzy, które powinny być przeznaczone na badania mające na celu wynalezienie szczepionki chroniącej przed tą chorobą. Ojciec Vivian przysięgał, że jego córka nie trzymałaby rodziny w niepokoju, nie

pozwoliłaby, aby bliscy się o nią martwili. Syn Nicka Spencera wbrew wszystkiemu chciał wierzyć, że jego ojciec żyje. Czy Nick naprawdę pozwoliłby dziecku, które już straciło matkę, żyć z dnia na dzień kruchą nadzieją, że ojciec kiedyś się do niego odezwie?

Najwcześniejsze lokalne wiadomości telewizyjne zaczynały się o dziesiątej. Włączyłam telewizor, spragniona kolejnych rewelacji na temat Spencera albo Vivian Powers. Poszcęściło mi się. Barry West, ów akcjonariusz, który utrzymywał, że widział Nicka w Szwajcarii, miał udzielić wywiadu. Nie mogłam się doczekać. Najpierw jednak musiałam obejrzeć zwyczajową porcję reklam, dopiero potem było czego posłuchać. Barry West został wytypowany na gwóźdź programu. Nie wyglądał na Sherlocka Holmesa. Średniego wzrostu, pękaty mężczyzna, miał kluchowate nadęte policzki i postępującą łysinę. Siedział w ogródku kafejki, w tym samym miejscu co wówczas, gdy - jak twierdził - zobaczył Nicholasa Spencera.

Korespondent „Fox News” w Zurychu przeszedł od razu do rzeczy.

- Panie West, czy to tutaj pan siedział, gdy odniósł pan wrażenie, że widzi Nicholasa Spencera?

- To nie było żadne wrażenie - sprostował West zdecydowanie. - Ja go rzeczywiście widziałem.

Nie mam pojęcia dlaczego, ale spodziewałam się po nim głosu nosowego lub świszczącego.

Nic podobnego. Głos miał mocny i sprawnie modulowany.

- Musieliśmy z żoną mocno się zastanowić, czy nie odwołać tego wyjazdu - podjął. - Od dawna planowaliśmy podróż w dwudziestą piątą rocznicę ślubu, ale potem straciliśmy niebagatelne fundusze zainwestowane w Gen-stone. W końcu jednak przyjechaliśmy do Zurychu. Dotarliśmy tu w zeszły piątek. A we wtorek po południu siedzieliśmy tutaj i rozmawialiśmy o tym, jak bardzo się cieszymy, że nie zostaliśmy w domu. I wtedy spojrzałem tam. - Wskazał stolik przy samym ogrodzeniu. - Tam siedział. Nie wierzyłem własnym oczom. Bywałem na spotkaniach

akcjonariuszy Gen-stone i wiem, jak wygląda Spencer. Ufarbował włosy, przedtem był ciemnym blondynem, a teraz jest brunetem, ale to nic nie dało. W czapce też bym go poznał. Twarz została ta sama.

- Podobno chciał pan z nim porozmawiać.

- Zawołałem do niego: „Hej, Spencer! Mam parę pytań!”.

- Co się wtedy stało?

- Zerwał się na równe nogi, rzucił trochę drobnych na stół i uciekł. I tyle go widziałem.

Dziennikarz wskazał stolik, przy którym podobno widziano Spencera.

- Ocenę sytuacji zostawiamy widzom. Teraz, w czasie nagrywania programu, warunki pogodowe i czas są takie same jak we wtorkowy wieczór, kiedy pan Barry West ponoć zobaczył Nicholasa Spencera siedzącego przy tamtym stoliku. Jeden z naszych pracowników, mniej więcej wzrostu i budowy pana Spencera, siedzi teraz na tamtym miejscu. Czy pan widzi go wyraźnie? Z pewnej odległości pracownik telewizji mógłby rzeczywiście zostać uznany za Nicholasa Spencera. Nawet rysy twarzy miał podobne. Z drugiej strony, nie potrafiłabym wytłumaczyć, jak ktokolwiek z takiej odległości i patrząc pod takim kątem mógłby rozpoznać Nicka z całkowitą pewnością.

Kamera wróciła do Barry’ego Westa.

- Widziałem Nicholasa Spencera - oznajmił stanowczo. - Wsadziliśmy w jego firmę sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Żądam, żeby nasz rząd przysłał tu ludzi, którzy go wytropią i wydobędą z niego informację, co zrobił z pieniędzmi. Ciężko na nie pracowałem i chcę je odzyskać.

Korespondent „Fox News” kontynuował:

- Zgodnie z naszymi informacjami, wątek szwajcarski podjęło niezależnie kilka różnych instytucji. Podobnie rzecz ma się ze zniknięciem Vivian Powers, kobiety uważanej za kochankę

Nicholasa Spencera.

Zadzwoił telefon, więc wyłączyłam telewizor. Nawet gdyby nie zadzwonił i tak nie oglądałabym dalej. Miałam już serdecznie dosyć wysłuchiwania nieprawdopodobnych teorii.

- Halo - odezwałam się trochę niecierpliwie.

- Czy ktoś ci może dzisiaj nadepnął na odcisk? Jesteś, zdaje się, trochę podminowana.

Casey.

Zaśmiałam się lekko.

- Jestem trochę zmęczona - przyznałam. - I może odrobinę smutna.

- Dlaczego? Opowiedz mi.

- Panie doktorze, mam wrażenie, jakby pan pytał: gdzie panią boli?

- W pewnym sensie właśnie o to pytam.

Streściłam mu w zarysach swój dzień.

- Moim zdaniem - zakończyłam - Marty Bikorsky jest niewinny, a z Vivian Powers dzieje się coś złego. Ten facet, który twierdzi, że widział Nicka Spencera w Zurychu, może mieć rację, ale bardzo, bardzo trudno byłoby to udowodnić.

- Gliny oczywiście znajdą faceta, który przysyła ci e-maile?

- Chyba że trafiłam na jakiegoś cybergeniusza. W każdym razie tak twierdzą.

- Więc jeśli to nie jakiś wariat, to z tego co mówiłaś, wkrótce może nastąpić przełom, który zadziała na korzyść Bikorsky'ego. A z innej beczki, gdybyśmy się w niedzielę nie wybrali do Greenwich, co chciałabyś robić? Może przy ładnej pogodzie pojechalibyśmy sobie gdzieś brzegiem oceanu i zjedli obiad w jakiejś sympatycznej restauracyjce?

- Czy twoi przyjaciele odwołali przyjęcie? Zdawało mi się, że to jakaś rocznica albo urodziny?

Zawahał się wyraźnie.

- Nie, nie odwołali, ale kiedy zadzwoniłem do Vince'a i powiedziałem, że możesz ze mną przyjść, zacząłem mu opowiadać o twojej nowej pracy, no i o tym, że piszesz o Nicholasie Spencerze.

- I...?

- Coś zazgrzytało. Gdy wcześniej mówiłem, że postaram się ciebie zaprosić, widział w tobie dziennikarkę prowadzącą kącik porad finansowych. Wyobraź sobie, rodzice pierwszej żony Nicka Spencera, Reid i Susan Barlowe, mieszkają z Vince'em po sąsiedzku, no i oczywiście też przychodzą na to przyjęcie. I tak jest im teraz bardzo ciężko...

- To u nich mieszka syn Nicka, dobrze pamiętam?

- Tak. Mało tego, Jack Spencer jest najlepszym przyjacielem syna Vince'a.

- Posłuchaj, nie chcę, żeby cię przeze mnie ominęło przyjęcie. Wypisuję się z tej imprezy.

- Nie ma mowy - odparł tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Możemy się spotkać w sobotę, w poniedziałek albo kiedykolwiek indziej. Ale, szczerze mówiąc, oddałabym prawą rękę, żeby móc porozmawiać z byłymi teściami Nicka. Nie chcą udzielać wywiadów, a moim zdaniem nie pomagają tym swojemu wnukowi. Daję słowo honoru, że nawet nie napomknę o Nicku Spencerze, nie zadam ani jednego pytania ani wprost, ani owijając w bawełnę. Jeżeli będą mieli ochotę, mogą później do mnie zadzwonić.

Milczał.

- Casey, Vivian Powers, asystentka Nicka, zniknęła. - Mówiłam napiętym głosem. -

Opowiadałam ci, co się stało z doktorem Broderickiem. Nadal jest w stanie krytycznym. Dom w Bedford spłonął. Nick cały czas utrzymywał ścisły kontakt z byłymi teściami. Powierzył im swojego syna. Może usłyszeli od niego coś, co rzuciłoby na tę sprawę trochę światła?

- To rzeczywiście ma sens - przyznał spokojnie. - Porozmawiam z Vince'em. Z tego, co od niego słyszałem, państwo Barlowe sami czują się już skołowani tymi wszystkimi rozbieżnymi

doniesieniami na temat Spencera. Jeżeli wkrótce nie dojdzie do jakiegoś definitywnego wyjaśnienia zagadki, jego syn, Jack, zacznie chyba mieć problemy psychiczne. Może Vince przekona ich, żeby z tobą porozmawiali.

- Trzymam kciuki.

- Dobra. To tak czy inaczej, jesteśmy umówieni na niedzielę.

- Wspaniale, panie doktorze.

- Jeszcze jedno.

- Aha.

- Zadzwoń do mnie, jak się dowiesz, kto ci przysłał te e-maile. Moim zdaniem masz rację.

Jestem gotów się założyć, że wszystkie pochodzą z tego samego źródła i nie podoba mi się wzmianka o dniu sądu. Facet robi wrażenie wariata, a jeśli jakiś świrus wziął cię na celownik, jest się czego obawiać. Bądź ostrożna.

Mówił to tak poważnie, że poczułam się w obowiązku go rozweselić.

- Nie sądz, a nie będziesz sądzony - rzuciłam.

- Mądrej głowie dość dwie słowie - sparował. - Dobrej nocy, Carley.

Odkąd strzelba została bezpiecznie ukryta w grobie Annie, Ned poczuł się pewniej.

Wiedział, że gliniarze wrócą, więc wcale nie był zaskoczony, gdy znowu zadzwonili do drzwi. Tym razem otworzył bez zwłoki.

Wyglądał lepiej niż we wtorek. Po powrocie z cmentarza we wtorkowe popołudnie ubranie i ręce miał całe ubłocone, ale nic go to nie obchodziło. Otworzył nową butelkę szkockiej, usiadł w fotelu i pił, aż zasnął. Myślał tylko o tym, że gdyby kopał głębiej, dokopałby się do trumny. Mógłby ją otworzyć i wziąć Annie w ramiona.

Wiele go kosztowało, by wygładzić ziemię i odejść. Tak bardzo tęsknił za Annie.

Następnego dnia obudził się przed piątą rano i choć okno było zasłonięte firanką, widział wschód słońca. W pokoju zrobiło się tak jasno, że spostrzegł brud na dłoniach. I pokryte błotem ubranie.

Gdyby wtedy zjawili się gliniarze, zapytaliby na pewno:

- Kopałeś gdzieś, Ned?

A może by nawet pomyśleli o sprawdzeniu grobu Annie i znaleźliby tam strzelbę.

Dlatego właśnie wziął wczoraj prysznic i stał długi czas pod strumieniem wody, szorując się szczotką na długiej rączce, kupioną mu przez Annie. Potem nawet umył głowę, ogolił się i obciął paznokcie. Annie zawsze mu powtarzała, że trzeba wyglądać schludnie.

- Ned, kto ci da pracę, skoro się nie golisz, chodzisz w brudnym ubraniu, a włosy masz jak stóg siana? Czasami wyglądasz tak okropnie, że ludzie się ciebie boją.

W poniedziałek, kiedy pojechał do biblioteki w Hastings, aby wysłać pierwsze dwa e-maile do Carley DeCarlo, zauważył, że bibliotekarka dziwnie mu się przyglądała, jakby się dziwiła jego obecności w takim miejscu.

Potem, w środę, czyli wczoraj, pojechał do Croton, żeby wysłać nowe e-maile. Włożył na

siebie czyste rzeczy. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Dlatego też, chociaż tej nocy spał w ubraniu, i tak wyglądał dużo lepiej niż we wtorek.

Przyszli ci sami dwaj, Pierce i Carson. Od razu zauważyli, że wygląda lepiej. A potem spojrzeli na krzesło, gdzie przedtem leżała sterta brudnych ciuchów. We wtorek, po ich wyjściu, wrzucił wszystko do pralki. Wiedział, że wróca, a nie chciał, żeby zobaczyli ubrania powalane błotem.

Powiódł wzrokiem za spojrzeniem Carsona. Policjant przyglądał się ubłoconym butom stojącym przy krześle. Cholera! Zapomniał je schować.

- Ned, możemy ci zająć kilka minut? - spytał Carson.

Innymi słowy, usiłował grać przyjaciela. Nie da się wziąć na ten lep. Doskonale wiedział, jak pracują gliny. Nie tak dawno temu przecież wyładował w kiciu, bo się poprzytykał w barze z tym kretyńskim ogrodnikiem, który wysłał go do Spencerów do Bedford. Debil powiedział, że w życiu go więcej nie zatrudni, a gliniarze z początku byli bardzo mili. Tylko potem zwalili na niego całą winę.

- Jasne, wchodźcie - powiedział. Ustawili krzesła tak samo jak poprzednim razem. Poduszka i koc leżały na kanapie, jak wtedy. Ostatnie dwie noce spędził na fotelu.

- Ned - odezwał się detektyw Carson - miałeś rację co do tego mężczyzny, który stał za tobą w aptece Browna. Rzeczywiście nazywa się Garret.

No to co? - chciał odpowiedzieć. Ale tylko słuchał.

- Garret jest przekonany, że zanim odszedł, widział cię siedzącego w samochodzie przed apteką. Tak było?

Przyznać się, że go widziałem? Musiałem go widzieć. Peg śpieszyła się na autobus, na pewno szybko się uwinęła z Garretem.

- Jasne - potwierdził. - Wyszedł zaraz po mnie. Wsiadłem, włączyłem silnik, zmieniłem stację, żeby posłuchać wiadomości o dziesiątej, i odjechałem.

- Dokąd udał się Garret?

- Nie wiem. Zresztą, co mnie to obchodzi? Wyjechałem z parkingu, zawróciłem i pojechałem do domu. Chcecie mnie aresztować za to, że zawróciłem?

- Ogólnie wiadomo, że przy niewielkim ruchu nawet mnie się to kiedyś zdarzyło - rzucił Carson lekko.

No tak, teraz będą odgrywali kolegów. Chcą go przyszpilić. Patrzył na Carsona w milczeniu.

- Ned, masz jakąś broń?

- Nie.

- Strzelałeś kiedyś?

Uważaj, ostrzegł się w myślach Ned.

- Jak byłem dzieciakiem, pukałem z dwururki. - Na pewno i tak już o tym wiedzieli.

- Byłeś aresztowany? Przyznaj się.

- Raz. Ale to nie była moja wina.

- Siedziałeś w więzieniu?

Niedługo, bo Annie jakoś zebrała pieniądze na kaucję. Wtedy właśnie nauczył się wysyłać listy elektroniczne tak, żeby nie było wiadomo, skąd zostały nadane. Jeden koleś z sąsiedniej celi powiedział mu, że wystarczy iść do jakiegokolwiek biblioteki, z publicznego komputera połączyć się z Internetem i wstukać „Hotmail”.

- To darmowy serwis - wyjaśniał tamten koleś. - Możesz wpisać fałszywe dane, nikogo to nie obchodzi. Jeżeli komuś coś się nie spodoba, gliniarze dotrą najwyżej do biblioteki, z której poszły e-maile, ale w życiu się nie dowiedzą, kto je wysyłał.

- Krótko - powiedział teraz ponuro.

- Ned, widzę, że masz ubłocone buty. Byłeś może ostatnio w parku miejskim? Na przykład po wyjściu z apteki?

- Powiedziałem wam, że pojechałem prosto do domu. Właśnie w parku miejskim wysadził Peg.

Carson raz jeszcze przyjrzał się butom.

Przecież w parku nie wysiadłem z samochodu. Powiedziałem Peg, że może iść do domu, a kiedy rzuciła się biegiem, strzeliłem. Nie mają powodu mówić o moich butach. Nie zostawiłem śladów w parku.

- Ned, czy moglibyśmy rzucić okiem na twój samochód? - zapytał Pierce.

Nic na niego nie mieli.

- Nie, nie możecie - warknął. - Nie pozwalam. Pojechałem do apteki i kupiłem, co chciałem.

Potem coś się stało tej miłej kasjerce, której uciekł autobus, a wy usiłujecie mnie w to wrobić.

Wynoście się stąd.

Gliniarze patrzyli na niego zimno. Powiedział za dużo. Skąd wiedział, że spóźniła się na autobus? Nad tym się pewnie zastanawiali. Zaryzykował. Czy słyszał o tym, czy mu się śniło?

- Mówili w radiu, że nie zdążyła na autobus. Zgadza się? Tak było? Ktoś chyba widział, jak biegła do przystanku. A w ogóle nie życzę sobie, żebyście oglądali mój samochód i żebyście mnie nachodzili i wypytywali. Wynoście się, słyszycie?! Zjeżdżajcie stąd i trzymajcie się ode mnie z daleka!

Nie zamierzał im wygrażać pięścią, ale jakoś tak się stało, że to zrobił. Bandaż zsunął się z dłoni, zobaczyli pęcherze i opuchliznę.

- Jak się nazywa lekarz, u którego leczysz rękę, Ned? - zapytał Carson cicho.

Dobrze przespana noc oznacza, że wszystkie części mojego mózgu budzą się w tym samym czasie. Nie zdarza się to często, ale miałam tyle szczęścia, że pierwszego maja wstałam z jasnym umysłem i świeża, co w miarę upływu czasu okazywało się coraz bardziej przydatne.

Wzięłam prysznic i ubrałam się w jasnoszary kostium w cieniuteńkie paseczki, który kupiłam pod koniec zeszłego sezonu. Nie mogłam się doczekać, kiedy go nareszcie włożę.

Otworzyłam okno szeroko, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, a przy okazji sprawdzić temperaturę na zewnątrz. Był to cudowny wiosenny dzień, ciepły i z lekkim wiatrem. Na parapecie u moich sąsiadów kiełkowały kwiaty w doniczce, a po błękitnym niebie dryfowały pierzaste obłoczki.

Kiedy byłam mała, co roku pierwszego maja w Ridgewood, w miejscowym kościele pod wezwaniem Naszej Pani z Mount Carmel, obchodziliśmy święto, podczas którego koronowaliśmy kwiatami Najświętszą Matkę. Teraz, gdy stanęłam przed lustrem, żeby nałożyć odrobinę cienia do powieki i różu na policzki, przypomniały mi się słowa hymnu śpiewanego zawsze przy tej okazji:

O Mario, przyjmij dzisiaj kwietną koronę,

Królowo aniołów, Królowo maja...

Doskonale wiedziałam, dlaczego ta melodia wróciła do mnie akurat teraz. Mając dziesięć lat, zostałam wybrana do ukoronowania figurki Matki Boskiej Przenajświętszej wieńcem z kwiatów. Co roku ten zaszczyt przypadał raz dziesięcioletniej dziewczynce, a raz dziesięcioletniemu chłopcu.

W przyszłym tygodniu Patrick skończyłby dziesięć lat.

Dziwna sprawa, jak długo po tym, gdy już człowiek pogodzi się ze smutkiem po stracie kogoś bliskiego i naprawdę wróci do życia, od czasu do czasu coś zniecacka wyskakuje z przeszłości, jak gdyby wołając: „a kuku!”. I wtedy przez kilka chwil blizna znów się otwiera,

znowu krwawi serce.

Dosyć tego. Zdecydowanie wyrzuciłam z głowy podobne myśli.

Do pracy poszłam piechotą, przy biurku znalazłam się o ósmej czterdzieści. Nalałam sobie kawy i zajrzałam do dziupli Kena, gdzie już siedział Don Carter. Nie zdążyłam jeszcze podnieść kubka do ust, gdy zaczęło się dziać.

Najpierw zadzwonił detektyw Clifford z policji w Bedford, a miał nam do przekazania zaskakujące wiadomości. Słuchaliśmy we trójkę, Ken, Don i ja, skupieni przy telefonie z włączonym głośnikiem. Clifford poinformował nas, że policja już wie, skąd wysłano do mnie listy elektroniczne, w tym także ten, którego nie zostawiłam, a tylko o nim powiedziałam. Ten, w którym kazano mi się przygotować na dzień sądu.

Wszystkie trzy wysłano z Westchester County. Pierwsze dwa - z biblioteki w Hastings, trzeci z biblioteki w Croton. Nadawca posłużył się Hotmailem, darmowym serwisem internetowym, ale wprowadził żądane informacje na swój temat, najprawdopodobniej fałszywe.

- Co to daje? - zapytał Ken.

- Nadawca przedstawił się jako Nicholas Spencer i podał adres Spencerów w Bedford, dokładnie tego domu, który spłonął w zeszłym tygodniu.

Nicholas Spencer! Wszyscy wstrzymaliśmy oddech, popatrzyliśmy po sobie z niedowierzaniem. Czy to możliwe?

- Chwileczkę - odezwał się Ken. - W gazetach ostatnio bez przerwy ukazują się zdjęcia Nicholasa Spencera. Czy pokazaliście je bibliotekarzom?

- Jak najbardziej. Na żywo nikt go tam nie widział. Nie korzystał z publicznych komputerów.

- A co z hasłem? - spytał Don. - Nawet na Hotmailu trzeba jakieś podać.

- Nadawca wybrał imię żeńskie. Annie.

Pobiegłam do swojego biurka i przeczytałam ostatni list:

- „Moja żona napisała do ciebie w zeszłym roku, a ty nie raczyłaś jej odpowiedzieć. Teraz już nie żyje. Nie taka znowu z ciebie mądrała. Wymyśliłaś, kto był w domu Lynn Spencer przed pożarem?”. Założę się o wszystko, że żona tego faceta miała na imię Annie - dodałam.

- Odkryliśmy jeszcze jeden interesujący szczegół - powiedział detektyw Clifford. -

Bibliotekarka z Hastings przypomina sobie niewyraźnie jakiegoś niechlujnie wyglądającego mężczyznę, z poważnie poparzoną dłonią, który korzystał z komputera. Nie ma pewności, czy to on wysłał te listy, ale nie sposób go było nie zauważyć.

Zanim się rozłączył, jeszcze zapewnił nas, że policja rozszerzyła obszar poszukiwań i zaalarmowała biblioteki w innych miastach w całym Westchester, prosząc o zwracanie uwagi na mężczyznę po pięćdziesiątce, wzrostu około stu osiemdziesięciu centymetrów, prawdopodobnie o zaniedbanym wyglądzie i z poparzoną prawą dłonią.

Miał poparzoną dłoń! W tym momencie zyskałam pewność, że ten z poparzoną dłonią oraz nadawca e-maili twierdzący, iż widział kogoś na podjeździe domu Spencerów, to jedna i ta sama osoba. Doskonała wiadomość.

Marty i Rhoda Bikorsky mają prawo do odrobiny nadziei. Zadzwoiłam do nich.

Boże, gdybyśmy tak zawsze zdawali sobie sprawę, co jest w życiu naprawdę ważne!

Państwo Bikorsky, usłyszawszy, że nadawca listów elektronicznych przedstawił się jako

Nick Spencer oraz miał poparzoną dłoń, osłupieli,

- Znajdą go, prawda, Carley? - upewniał się Marty.

- Może się okazać, że to tylko jakiś świr - ostudziłam go trochę. - Ale tak, znajdą go na pewno. Mieszka gdzieś niedaleko.

- Dostaliśmy ostatnio jeszcze inną dobrą wiadomość - powiedział Marty. - Mało nie

pospadaliśmy z krzeseł, jak to usłyszeliśmy. Guz w głowie Maggie w zeszłym miesiącu rósł

znacznie wolniej. Ciągle jest, niestety, i na pewno nam ją zabierze, ale jeśli znowu nie przyśpieszy, prawie na pewno spędzimy razem przynajmniej jeszcze jedną Gwiazdkę. Rhoda już zaczęła planować święta.

- Ogromnie się cieszę. - Przełknęłam wielką gulę dławiącą mnie w gardle. - Będziemy w kontakcie.

Chciałam przez kilka chwil posiedzieć spokojnie, napawając się radością, jaką słyszałam w głosie Marty'ego Bikorsky'ego, ale musiałam zadzwonić w jeszcze jedno miejsce, a wiedziałam, że ta rozmowa natychmiast zmieni mi nastrój. Numer ojca Vivian Powers, Allana Desmonda, znajdował się w książce telefonicznej Cambridge w Massachusetts.

Zadzwoniłam.

Podobnie jak Marty Bikorsky, tak i Desmondowie pozwalali automatycznej sekretarce przefiltrować dzwoniących.

- Dzień dobry, nazywam się Carley DeCarlo - zaczęłam - pracuję w „Wall Street Weekly”. Rozmawiałam z Vivian w dniu jej zniknięcia. Bardzo chciałabym się z panem spotkać albo przynajmniej zamienić kilka słów. Jeżeli zechce pan...

I tak samo jak Marty, odebrali, zanim się rozłączyłam. Usłyszałam kliknięcie podnoszonej słuchawki.

- Mówi siostra Vivian, Jane - odezwał się napięty, ale dźwięczny głos. - Ojciec chętnie z panią porozmawia. Mieszka w Hilton Hotel w White Plains. Może pani teraz do niego zatelefonować. Przed chwilą do niego dzwoniłam.

- Odbierze telefon?

- Proszę mi podać swój numer. Powtórzę tacie, żeby się z panią skontaktował.

Nie minęły trzy minuty, a mój telefon rzeczywiście się odezwał. Po drugiej stronie był Allan Desmond. Głos miał bardzo znużony.

- Proszę pani, zgodziłem się na konferencję prasową, to już dosłownie za moment. Czy moglibyśmy porozmawiać później?

Dokonałam w myślach szybkich obliczeń. Dochodziła dziewiąta trzydzieści. Musiałam zadzwonić jeszcze w kilka miejsc, a o trzeciej trzydzieści powinnam być w Gen-stone w Pleasantville, porozmawiać z pracownikami.

- Czy znajdzie pan czas na filiżankę kawy około jedenastej? - spytałam.

- Znajdę.

Uzgodniliśmy, że zadzwonię do niego z holu Hiltona. Raz jeszcze obliczyłam czas. Z Allanem Desmondem porozmawiam czterdzieści minut, może godzinę. Nie więcej. Jeżeli wyjadę z Hiltona o dwunastej, na pierwszą będę w Caspien. Miałam przecucie, że czas podjąć próbę przekonania pani Broderick, by zechciała ze mną zamienić dwa słowa.

Wystukałam numer gabinetu doktora Brodericka, uspokajając siebie, że w najgorszym wypadku żona lekarza nie będzie chciała ze mną rozmawiać.

Recepcjonistka, pani Ward, pamiętała mnie i potraktowała wyjątkowo serdecznie.

- Doktor ma się lepiej z dnia na dzień - powiedziała z nieskrywaną radością. - Zawsze dbał o formę, był silnym mężczyzną, teraz to procentuje. Pani Broderick też jest już dobrej myśli.

- Bardzo się cieszę. Czy pani Broderick jest w domu?

- Nie, pojechała do szpitala, ale po południu na pewno będzie. Teraz, kiedy pan doktor ma się lepiej, pani Broderick znów, jak przedtem, pracuje po kilka godzin dziennie.

- Proszę pani, jadę do Caspien i bardzo bym chciała porozmawiać z panią Broderick. O wypadku jej męża. Wolałabym teraz nie mówić więcej. Planuję zajrzeć do państwa około drugiej, gdyby zechciała poświęcić mi kwadrans, byłabym ogromnie wdzięczna, a ona pewnie także nie uzna tego czasu za stracony. Dałam jej swego czasu numer mojej komórki, ale chciałabym panią prosić o zapisanie go jeszcze raz, na wszelki wypadek. I byłabym serdecznie zobowiązana, gdyby

pani mnie zawiadomiła, jeśli pani Broderick stanowczo odmówi mojej prośbie.

Zadzwoiłam jeszcze do Manuela i Rosy Gomez. Znalazłam ich w domu córki, w Queens.

- Słyszeliśmy o zniknięciu pani Powers - powiedział Manuel. - Bardzo się o nią niepokoiimy.

- Rozumiem, że nie wierzą państwo w jej ucieczkę do Szwajcarii?

- Nie, proszę pani. Ale kim ja jestem, żeby coś mówić...

- Pamięta pan brukowany chodniczek prowadzący do stawu, który zaczyna się tuż przy lewym filarze obok bramy?

- Oczywiście.

- Czy ktoś kiedyś parkował w tym miejscu?

- Pan Spencer regularnie stawiał tam samochód.

- Spencer!

- Zwłaszcza latem. Bywało, że pani Spencer przyjmowała gości nad basenem, a on, w drodze z Nowego Jorku do Connecticut, zaglądał na kilka chwil do Jacka. Wtedy parkował właśnie tam, ponieważ nie chciał, by ktoś zauważył jego samochód. Potem bez przeszkód szedł się przebrać na górę.

- Nie mówiąc nic pani Spencer?

- Mogła znać jego plany, ale pan Spencer uważał, że jeśli pokaże się gościom, trudno mu będzie opuścić towarzystwo.

- Jakim samochodem jeździł pan Spencer?

- Czarnym sedanem marki BMW.

- Czy ktoś inny, któryś z przyjaciół Spencerów parkował na tym chodniczku?

Zapadła cisza. Wreszcie Manuel odezwał się spokojnie.

- Nie za dnia, proszę pani.

Allan Desmond wyglądał, jakby nie spał przynajmniej od trzech dni, i tak na pewno było.

Miał pod siedemdziesiątkę, a cerę tak szarą jak stalowosrebrne włosy. Był szczupły, a teraz w dodatku wyglądał na przybitego i wyczerpanego. Mimo wszystko był starannie ubrany w elegancki garnitur. Odniosłam wrażenie, że to jeden z tych wytwornych mężczyzn, którzy bez krawata występują wyłącznie na polu golfowym.

W barku kawowym nie było tłoku, wybraliśmy stolik w rogu, gdzie mogliśmy swobodnie porozmawiać, przez nikogo niesłyszani. Zamówiliśmy kawę. Pan Desmond najwyraźniej od rana nie miał nic w ustach i chyba nadal nie myślał o jedzeniu. Postanowiłam postawić wszystko na jedną kartę:

- Chętnie zjadłabym gorącą kanapkę, ale tylko pod warunkiem, że i pan da się namówić.

- Subtelna zachęta... ma pani rację, nic dzisiaj nie jadłem. Niech więc będzie gorąca kanapka.

- Dla mnie z serem - zwróciłam się do kelnerki.

Allan Desmond potakująco skinął głową. Przeniósł wzrok na mnie.

- Widziała się pani z Vivian w poniedziałek.

- Tak. Zadzwoiłam do niej z prośbą o rozmowę, ale odmówiła. Prawdopodobnie była przekonana, że nie zamierzam zostawić na Nicholasie Spencerze suchej nitki, i nie chciała brać w tym udziału.

- Dlaczego nie skorzystała z okazji, by go bronić?

- Ponieważ, niestety, nie zawsze taka okazja istnieje. Z przykrością przyznaję, niektóre media, eliminując część wywiadu, dopuszczają się zafałszowania i nieraz pozytywne wyrazy poparcia przedstawiają jako zjadliwą krytykę. Moim zdaniem Vivian cierpiała z powodu nagonki prasy na Nicka i nie chciała stwarzać nawet podejrzeń, że ma w tym jakikolwiek udział.

Pan Desmond pokiwał głową.

- Zawsze była lojalna. - Ból wykrzywił mu twarz. - Czy pani słyszała, co powiedziałem?

Mówię o Vivian jak o zmarłej. To straszne.

Bardzo chciałam znaleźć coś pocieszającego, choćby to nie była prawda, ale nie potrafiłam wymyślić na poczekaniu żadnego krzepiącego kłamstwa.

- Proszę pana, czytałam pańskie oświadczenie dla prasy. Przez trzy tygodnie po katastrofie samolotu Nicholasa Spencera często rozmawiał pan z Vivian przez telefon. Czy wie pan o tym, że łączyło ich coś więcej niż stosunki służbowe?

Zanim odpowiedział, wypił łyk kawy. Nie miałam przy tym wrażenia, że próbuje ułożyć wymijającą formułkę. Raczej wracał myślami w nieodległą przeszłość, by odpowiedzieć mi szczerze.

- Żona uważa, że ja nigdy nie odpowiadam na pytanie bezpośrednio - odezwał się w końcu.

- I zdaje się, ma rację. - Lekki uśmiech uniósł mu kąciki ust i zniknął równie szybko, jak się pojawił. - Wobec tego pozwoli pani, że naszkicuję tło. Vivian jest najmłodszą z naszych czterech córek. W college'u poznała Joela, pobrali się dziewięć lat temu, kiedy miała dwadzieścia dwa lata. Niestety, jak pani z pewnością wie, Joel umarł na raka. Nieco ponad dwa lata temu. Próbowaliśmy wtedy przekonać córkę, by wróciła do Bostonu, ale ona przyjęła pracę u Nicholasa Spencera. Była zaaferowana tym, że wejdzie do zespołu pracowników firmy, która miała stworzyć szczepionkę zwalczającą nowotwory.

Nick Spencer ożenił się z Lynn nieco ponad dwa lata przedtem, nim Vivian zaczęła u niego pracować. Głowę daję, że jego małżeństwo wkrótce stało się czystą fikcją.

- Będę z panią zupełnie szczery - podjął Allan Desmond. - Jeżeli... a u mnie to słowo zawiera ogromne powątpiewanie, jeżeli Vivian rzeczywiście wdała się w romans z Nicholasem Spencerem, na pewno nie stało się to natychmiast. Zaczęła u niego pracować pół roku po śmierci

Joela. Przyjeżdżała do domu na weekend nie rzadziej niż raz w miesiącu. Zawsze przynajmniej jedno z nas spędzało z nią czas: żona albo ja, albo któraś z jej sióstr. Jeśli już coś nas niepokoiło, to raczej fakt, że Vivian nigdzie nie wychodziła. Namawialiśmy ją, by się przyłączyła do grupy wzajemnego wsparcia, zapisała na jakieś kursy... jednym słowem, żeby zaczęła widywać się z ludźmi.

Podano nasze kanapki. Nie muszę zapewniać, że wyglądały absolutnie cudownie. Oczyma wyobraźni widziałam też na każdej z nich ostrzegawczą tabliczkę: „Uwaga, tysiąc kalorii. Zatyka żyły. Czy pamiętasz o poziomie cholesterolu?”.

Odkroiłam kawałek i nadziałam na widelec. Boskie. Bardzo rzadko pozwalam sobie na taką rozpustę. Trudno. Nie miałam siły się tym martwić.

- Pewnie w którymś momencie ten obraz się zmienił? - podrzuciłam.

Allan Desmond pokiwał głową.

Ucieszyłam się, gdy formułując dalszą odpowiedź, odruchowo zaczął jeść.

- Mniej więcej pod koniec zeszłego lata Vivian odżyła. Wydawała się szczęśliwsza, mimo wszelkich kłopotów z badaniami nad szczepionką. Oczywiście, nie wdawała się w szczegóły, jak się domyślałem, były to informacje poufne. Wspomniała jedynie, że Nicholas Spencer jest wyraźnie zmartwiony.

- Czy kiedykolwiek w jakikolwiek sposób dała do zrozumienia, że między nią a Spencerem jest coś więcej niż układ służbowy?

- Nigdy. Ale Jane, nasza starsza córka, ta, z którą panią dzisiaj rozmawiała, czegoś się jednak domyśliła. Powiedziała kiedyś coś w rodzaju... „Viv dosyć się już nacierpiała... Oby jej starczyło rozumu na to, żeby się nie zakochać w żonatym szefie”.

- Czy spytał pan Vivian o jej uczucia w stosunku do Nicholasa Spencera?

- Kiedyś w żartach zapytałem ją, czy ma kogoś na oku. Nawtykała mi od nieuleczalnych

romantyków i zapewniła, że w razie gdyby ktoś się pojawił, na pewno da mi znać.

Allan Desmond był gotów zacząć zadawać mi pytania, czułam to wyraźnie, wobec czego szybko rzuciłam jeszcze jedno:

- Odsuwając na bok kwestie romantyczne, czy Vivian kiedykolwiek mówiła panu o swoim stosunku do Nicholasa Spencera?

Zmarszczył lekko brwi, a potem spojrzał mi prosto w oczy.

- Ostatnie pół roku, może osiem miesięcy mówiła o nim jak o świętym. Jakby był zdolny czynić cuda. Dlatego, gdyby nam przysłała wiadomość, że jedzie do niego do Szwajcarii, to choć nie pochwalałbym takiego obrotu spraw, z całą pewnością bym ją zrozumiał. - W oczach zabłyśły mu łzy. - Bardzo bym chciał otrzymać taką wiadomość, ale to próżna nadzieja. Niezależnie od tego, gdzie Vivian jest, jeśli żyje, o co gorąco modłę się do Boga, na pewno nie może się z nami skontaktować. Inaczej dawno by to zrobiła.

Wierzyłam mu. Podczas gdy stygła nam kawa, opowiedziałam o spotkaniu z Vivian, o jej planach zamieszkania z rodzicami, aż znajdzie sobie nowy dom. I o jej telefonie, kiedy stwierdziła, że chyba potrafi zidentyfikować człowieka, który przejął zapiski doktora Spencera.

- I wkrótce potem zniknęła - powiedział.

Pokiwałam głową.

Oboje zostawiliśmy niedojedzone kanapki. Na pewno oboje mieliśmy przed oczami obraz tej pięknej młodej kobiety, której dom nie był jej twierdzą.

To skojarzenie podsunęło mi pewien pomysł.

- Ostatnio było wyjątkowo wietrznie. Czy Vivian miała jakiś kłopot z frontowymi drzwiami?

- Dlaczego pani o to pyta? - zdziwił się Allan Desmond.

- Zostały na oścież otwarte. Wyglądało to niemal jak celowe działanie, by przyciągnąć

uwagę kogoś z sąsiadów. I tak się właśnie stało. Tymczasem, jeżeli drzwi się dobrze nie zatrzasnęły i otworzył je wiatr, nieobecność Vivian prawdopodobnie miała pozostać niezauważona możliwie najdłużej, przynajmniej cały następny dzień.

Wrócił do mnie obraz stojącej na progu kobiety, patrzącej, jak odjeżdżam.

- Rzeczywiście... - zastanowił się Allan Desmond. - Frontowe drzwi trzeba było porządnie docisnąć, dopiero wtedy zamek zaskakiwał.

- Załóżmy więc, że nikt celowo nie zostawił ich otwartych, tylko otworzył je wiatr. Czy wobec tego przewrócony stolik i lampa na podłodze miały sugerować włamanie i porwanie?

- Zdaniem policji Vivian chciała stworzyć wrażenie, iż padła ofiarą przestępstwa. A kiedy dzwoniła do pani w poniedziałek, jakie robiła wrażenie?

- Była poruszona - uznałam. - I smutna.

Wyczułam ich obecność, zanim ich zobaczyłam. Jednym z mężczyzn o ponurych twarzach był śledczy Shapiro. Drugi okazał się zwykłym mundurowym. Podeszli do stolika.

- Dzień dobry - odezwał się Shapiro. - Chcielibyśmy zamienić z panem dwa słowa na osobności.

- Znaleźliście ją? - spytał Allan Desmond.

- Można powiedzieć, że złapaliśmy ślad. Niejaka Dorothy Bowes, przyjaciółka pańskiej córki, mieszkająca trzy posesje dalej, dziś rano wróciła z urlopu. Vivian Powers miała klucze od jej domu. Z garażu pani Bowes zniknął samochód. Czy pańska córka miała jakieś problemy natury psychiatrycznej?

- Jeżeli uciekła, to ze strachu - powiedziałam. - Jestem tego pewna.

- Tylko dokąd? - zapytał cicho Allan Desmond. - I co ją aż tak przestraszyło?

Chyba mogłabym podsunąć mu odpowiedź. Vivian podejrzewała, że telefon Nicka Spencera był na podsłuchu. Prawdopodobnie tuż po tym, gdy nagrała mi informację na automatycznej

sekretnie, zdała sobie sprawę, że jej rozmowy także są kontrolowane. To by tłumaczyło paniczną ucieczkę, ale nie brak kontaktu z rodziną. I natychmiast zabrzmiało mi w głowie pytanie jej ojca: gdzie się podziała? I czy ktoś ją śledził?

Przyjście policjantów zakończyło naszą rozmowę, nie zajmowałam już czasu Allanowi Desmondowi. Gdy zbliżali się do stolika, przy którym siedziałam z ojcem Vivian, oboje się obawialiśmy, że przynoszą smutne wieści. Na szczęście nadal pozostała nam nadzieja. Zostali z nami kilka minut i staraliśmy się umiejscowić wydarzenia w czasie. Vivian najwyraźniej uciekła do domu przyjaciółki, skąd wzięła samochód. Przynajmniej tam dotarła bezpiecznie.

Zatelefonowała do mnie w poniedziałek około czwartej, ponieważ domyśliła się, kto wziął zapiski od doktora Brodericka. Z tego, co mówił Allan Desmond, jej siostra, Jane, próbowała się do niej dodzwonić tego wieczora około dziesiątej. Nie zastała Vivian w domu, więc założyła... miała nadzieję, że siostra zaczęła się z kimś widywać. Wcześniej rano sąsiad wyprowadzający psa zauważył otwarte drzwi.

Zapytałam policjantów, czy ich zdaniem Vivian mogła usłyszeć albo zobaczyć kogoś na tyłach domu i wtedy uciekła frontowymi drzwiami, w pośpiechu potrącając stół, przewracając go i zrzucając lampę.

Shapiro uznał, iż wszystko jest możliwe, także wersja, którą w pierwszym odruchu uznał za najbardziej prawdopodobną: że zniknięcie Vivian zostało sfingowane. Zgodnie z tym scenariuszem fakt zniknięcia samochodu sąsiadki nic nie zmieniał.

Komentarz policjanta doprowadził Allana Desmonda do furii, ale ojciec Vivian milczał.

Podobnie jak małżeństwo Bikorskich, którzy cieszyli się, że ich córeczka może dożyć do następnej Gwiazdki, tak i on wdzięczny był losowi, że być może jego córka pojechała gdzieś z własnej woli. Żywa.

Podświadomie oczekiwałam wiadomości od pani Broderick albo recepcjonistki jej męża, pani Ward, bym nie przyjeżdżała do Caspien, ale ponieważ takiej informacji nie dostałam, zaczęłam

się zbierać. Zostawiłam Allana Desmonda z policjantami, uzgadniając, że pozostaniemy w kontakcie.

* * *

Annette Broderick była przystojną kobietą po pięćdziesiątce o czarnych włosach przyprószonych siwizną. Układały się naturalnie w miękkie fale, nieco łagodząc kanciaste rysy twarzy. Od razu zaprosiła mnie na piętro, do mieszkania nad gabinetem lekarskim.

Dom był rzeczywiście piękny. Pokoje przestronne, sufity wysokie, gzymsy ze sztukateriami w kształcie liści bluszczu oraz lśniące dębowe posadzki. Usiadłyśmy w bibliotece. Słońce podkreślało ciepło wnętrza, gdzie ściany zniknęły za półkami pełnymi książek. Usiadłyśmy na kanapie z wysokim oparciem.

Przez ostatni tydzień stale spotykałam się z ludźmi, przeżywającymi ciężkie chwile i przerażonymi tym, co przyniosło im życie. Państwo Bikorsky, Vivian Powers i jej ojciec, pracownicy Gen-stone, których nadzieje legły w gruzach... wszyscy żyli w ogromnym stresie. Nie mogłam o nich nie myśleć.

Uświadomiłam sobie wtedy, że jedyna osoba, która przede wszystkim powinna mi przyjść na myśl w trakcie tej wyliczanki, stanowczo nie pasowała do takiego obrazu. Moja przyszywana siostra Lynn Spencer.

Pani Broderick zaproponowała mi kawę, za którą podziękowałam, oraz wodę, na którą chętnie przystałam. Sobie także naląła.

- Philip czuje się coraz lepiej - oznajmiła. - Na pewno jeszcze długo będzie odczuwał skutki wypadku, ale wróci do zdrowia.

Nie zdążyłam jej powiedzieć, jak się cieszę, bo już ciągnęła dalej:

- Z początku, gdy sugerowała pani, że to nie wypadek, skłonna byłam zarzucać pani przesadę. Teraz już nie mam takiej pewności.

- Dlaczego? - spytałam z zapartym tchem.

- Przepraszam, chyba zbyt mocno się wyraziłam - wycofała się szybko. - Ale jak tylko

wyszedł ze śpiączki, próbował mi coś powiedzieć. Niewiele z tego zrozumiałam, lecz na pewno mówił: „ten wóz zawrócił”. Rzeczywiście, zdaniem policji, samochód, który uderzył Philipa, jechał w przeciwną stronę i zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni.

- Innymi słowy policja także uważa, iż pani mąż padł ofiarą celowego działania?

- Nie, nie. Ich zdaniem kierowca był pijany. Mamy tutaj kłopoty z nastolatkami, prowadzącymi po alkoholu albo pod wpływem narkotyków. Policja przypuszcza, że kierowca jechał w złą stronę i w pewnym momencie zawrócił, a nie zauważył Philipa. Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani nie przekonuje wersja o wypadku?

Słuchała uważnie, gdy opowiadałam jej o zaginionym liście od Caroline Summers do Nicka Spencera, o kradzieży wyników badań jej córki, nie tylko ze szpitala w Caspien, lecz także w Ohio.

- Ktoś uwierzył w istnienie cudownego leku? - zapytała z niebotycznym zdumieniem.

- Nie potrafię tego stwierdzić na pewno - zastrzegłam się. - Ale ktoś uznał, że wczesne zapiski doktora Spencera są na tyle obiecujące, iż warto je ukraść, a pani mąż potrafiłby rozpoznać tę osobę. Przy całym szumie, jaki powstał wokół Nicholasa Spencera, stanowiłby poważne zagrożenie.

- W Caspien skradziono zdjęcia rentgenowskie, a w Ohio wyniki badania rezonansem magnetycznym. Czy w obu wypadkach zrobiła to ta sama osoba?

- Pracownicy szpitali nie pamiętają tego mężczyzny, mogą jedynie powiedzieć, że ów ktoś podający się za męża Caroline Summers niczym się nie wyróżniał. A pani mąż dokładnie pamiętał człowieka, który zabrał od niego zapiski doktora Spencera.

- Byłam wtedy w domu i przypadkiem zerknęłam w okno, akurat kiedy ten człowiek wracał do samochodu.

- Więc pani też go widziała! Pani mąż o tym nie wspomniał. Rozpoznałaby pani tego mężczyznę?

- Z całą pewnością nie. Był listopad, a ten człowiek podniósł kołnierz płaszcza. Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej nabieram pewności, że miał na włosach brązoworudą płukankę. Wie pani, w słońcu daje taki pomarańczowy połysk.

- O tym także pani mąż mi nie wspomniał.

- I nic dziwnego. Mężczyźni rzadko zwracają uwagę na podobne szczegóły.

- Czy mówił coś o samym wypadku?

- Ciągle jest pod wpływem środków przeciwbólowych i uspokajających, ale kiedy odzyskuje przytomność umysłu, pyta, co się z nim stało. Chyba nie ma żadnych wspomnień dotyczących samego zdarzenia, tyle tylko, co usłyszałam, kiedy wychodził ze śpiączki.

- Wspólnie z doktorem Spencerem przeprowadzał badania laboratoryjne i właśnie dlatego Nick zostawił pod jego opieką wczesne zapiski ojca. Jak wyglądała współpraca pani męża i ojca Nicka?

- Philip, jak przypuszczam, nie rozwodził się szczególnie na ten temat, a rzeczywiście był ogromnie zainteresowany badaniami doktora Spencera, miał go za geniusza. Była to jedna z przyczyn, dla których Nick zostawił mu zapiski ojca. Mąż zamierzał kontynuować niektóre wątki badań. Szybko jednak uświadomił sobie, że trudno mu będzie znaleźć na to czas, ponieważ zagadnienia, które dla doktora Spencera były prawdziwą obsesją, dla niego stanowiły jedynie hobby. Proszę też pamiętać, że Nick w tym czasie planował karierę na rynku dostaw medycznych, a nie w dziedzinie badań. Dopiero gdy zaczął czytać dokumenty zostawione przez ojca, zdał sobie sprawę, że mogą one do czegoś doprowadzić, może nawet do wynalezienia leku na raka. Z tego, co mąż mi powiedział, testy przedkliniczne były wyjątkowo obiecujące, podobnie jak faza doświadczeń na zdrowych osobnikach. Dopiero późniejsze eksperymenty nagle przestały przynosić

oczekiwane rezultaty. Co prowadzi do pytania, po co ktokolwiek miałby kraść zapiski doktora

Spencera. - Pokręciła głową. - Ja jestem szczęśliwa, że mój mąż żyje.

- Ja także - przyznałam żarliwie.

Nie chciałam mówić tej przemiłej kobiecie, że jeśli doktor Broderick rzeczywiście padł ofiarą przestępstwa, byłam za to w jakiejś części odpowiedzialna. Po rozmowie z nim ruszyłam prosto do biura Gen-stone w Pleasantville i zaczęłam rozpytywać o mężczyznę z rudawymi włosami, a zaraz następnego dnia doktor Broderick znalazł się w szpitalu. Splot wydarzeń zbyt logiczny, żeby go uznać za przypadek.

Czas kończyć wizytę. Podziękowałam pani Broderick za poświęcony mi czas, upewniłam się, czy ma moją wizytówkę z numerem telefonu komórkowego. Opuszczałam ją, nadal nie do końca przekonaną, że jej mąż stał się celem jakiegoś zamachu, i chyba na szczęście. Miał pozostać w szpitalu jeszcze przynajmniej kilka tygodni, tam na pewno jest bezpieczny. A zanim wyjdzie, ja dotrę do kilku ważnych informacji.

* * *

Jeżeli nastrój w Gen-stone wydawał się ponury w czasie mojej poprzedniej wizyty, to dzisiaj panowała tutaj prawdziwa żałoba. Recepcjonistka o mało nie płakała. Powiedziała mi, że pan Wallingford prosił, bym zajrzała na chwilę, zanim porozmawiam z którymś z pracowników.

Telefonicznie zawiadomiła sekretarkę, że można mnie już zapowiedzieć. Poczekalam, aż odłoży słuchawkę.

- Jest pani w fatalnym nastroju - zagadnęłam. - Mam nadzieję, że kłopoty szybko się skończą.

- Dziś rano dostałam wymówienie - odrzekła. - Po południu firma kończy działalność.

- Fatalnie.

Zadzwonił telefon, recepcjonistka podniosła słuchawkę. Pewnie zgłosił się jakiś

dziennikarz, bo powiedziała, że nie wolno jej niczego komentować, i prosiła o skontaktowanie się z prawnikiem spółki.

Zanim skończyła rozmowę, pojawiła się sekretarka Wallingforda. Chętnie bym zamieniła z recepcjonistką jeszcze kilka słów, ale mi się nie udało.

- Pani Rider, prawda? - przywitałam się, zadowolona, że pamiętam jej nazwisko.

Była to kobieta, którą moja babcia określiłaby „prosta Marysia”. Miała na sobie granatowy kostium, cieliste pończochy i brązowe buty na niskim obcasie, zresztą w tym samym kolorze co krótko przycięte włosy. I ani śladu makijażu. Uśmiechnęła się grzecznie, ale bez cienia wesołości.

- Tak, proszę pani.

Drzwi do kolejnych pokoi biurowych wzdłuż korytarza stały otworem, po drodze zajrzałam chyba w każde. Żywej duszy. Cały budynek opustoszał i miałam wrażenie, że gdybym krzyknęła, odpowiedziałoby mi echo. Spróbowałam wciągnąć sekretarkę do rozmowy.

- Przykro mi, że firma kończy działalność. Czy już pani wie, gdzie będzie pani pracowała?

- Nie wiem - ucięła krótko.

Prawdopodobnie Wallingford ostrzegł ją, żeby nic nie mówiła, przez co rozmowa z nią wydała mi się znacznie bardziej interesująca.

- Długo pani pracuje u pana Wallingforda? - Bardzo się starałam, żeby pytanie było rzucone od niechcenia.

- Dziesięć lat.

- O, to jeszcze w spółce meblowej.

- Tak.

Drzwi do jego gabinetu były zamknięte. Udało mi się rzucić jeszcze dwa zdania, kolejną przynętę w łowieniu informacji.

- To pewnie zna pani jego synów? Ich zdaniem nie powinien był sprzedawać rodzinnego

interesu.

- Tak czy inaczej, nie mieli prawa pozwać go do sądu! - odparła z nieskrywanym oburzeniem, stukając do drzwi jedną ręką, a otwierając je drugą.

Piękna wiadomość! Synowie pozwali Wallingforda do sądu! Ciekawe, dlaczego.

Charles Wallingford bardzo wyraźnie nie pałał chęcią widzenia się ze mną, ale też starał się tego nie okazywać. Gdy podniósł się na moje powitanie, zobaczyłam, że nie jest sam. Naprzeciw niego, po drugiej stronie biurka siedział jeszcze jeden mężczyzna. On także wstał i odwrócił się do mnie, gdy Wallingford mnie witał. Odniosłam wrażenie, że zostałam oszacowana od stóp do głów. Ja oceniłam go na jakieś czterdzieści pięć lat i metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Miał siwiejące włosy i orzechowe oczy. Podobnie jak Wallingforda oraz Adriana Garnera otaczała go aura władzy, więc wcale się nie zdziwiłam, gdy został mi przedstawiony jako Lowell Drexel, członek zarządu Gen-stone.

Lowell Drexel... Słyszałam to nazwisko, i to całkiem niedawno. Aha! Już wiedziałam, gdzie.

W czasie wspólnego lunchu Wallingford żartował sobie z Adrianem Garnerem, że akcjonariusz, który twierdził, że widział Nicka Spencera w Szwajcarii, prosił o pracę właśnie Drexela!

- O ile mi wiadomo - odezwał się Drexel głosem pozbawionym wszelkiego ciepła - pani praca, stanowczo niegodna pozazdroszczenia, polega na zbieraniu materiałów do artykułu o Gen-stone dla „Wall Street Weekly”.

- Pomagam w zbieraniu materiałów - skorygowała go. - Pracujemy nad tym we troje. -

Spojrzałam na Wallingforda. - Usłyszałam właśnie, że zamyka pan firmę. To przykre.

Pokiwał głową.

- Tym razem przynajmniej nie muszę się martwić, w co zainwestować - oznajmił ponuro. -

Jest mi ogromnie żal pracowników i akcjonariuszy, ale jednocześnie liczę na ich zrozumienie, że nie jestem wrogiem, choć mamy rozbieżne interesy.

- Nasze spotkanie w sobotę nadal jest aktualne?

- Ależ oczywiście! - Gestem ręki odsunął absurdalną sugestię, iż mógłby je odwołać. -

Muszę pani wyjaśnić ważną kwestię: poza kilkoma wyjątkami, takimi jak recepcjonistka czy pani Rider, daliśmy naszym pracownikom wybór. Mogli tu zostać lub pójść do domu. Większość z nich wolała wyjść i uczynili to od razu.

- Rozumiem. Nie kryję, że jestem rozczarowana, ale spróbuję porozmawiać z tymi, którzy jeszcze są na miejscu. - Chyba nie było po mnie widać zaciekawienia, czy nagle zamknięcie firmy nie wiązało się przypadkiem z moją prośbą o pozwolenie na przeprowadzenie wywiadów.

- Może ja odpowiem na pani pytania? - zaproponował Drexel.

- Spróbujmy. O ile mi wiadomo, pracuje pan w Garner Pharmaceuticals.

- Jestem tam szefem działu prawnego. Jak pani zapewne wie, gdy firma, w której pracuję, zdecydowała się zainwestować miliard dolarów w Gen-stone, uzależniając to oczywiście od udzielenia szczepionce aprobaty przez Instytut Żywności i Leków, pan Garner został poproszony o wejście do zarządu spółki. W takich wypadkach zawsze deleguje on kogoś ze swoich bliskich współpracowników.

- Pan Garner wydaje się zaniepokojony faktem, iż Garner Pharmaceuticals straci renomę z powodu złej prasy Gen-stone.

- Jest tym bardzo mocno zaniepokojony i prawdopodobnie w najbliższym czasie podejmie kroki mające na celu przeciwdziałanie takiemu obrotowi spraw. Na razie jednak nie jestem upoważniony do dyskusji na ten temat.

- A jeśli nic nie zrobi?

- Aktywa Gen-stone zostaną sprzedane - uczynił dłonią okrągły gest, który miał mi dać do zrozumienia, że ma na myśli budynek wraz z wyposażeniem - a uzyskane środki przekazane wierzycielom.

- Czy prosząc o fory dla mojej gazety, miałabym zbyt wielką nadzieję? - zapytałam.

- Owszem, droga pani. - Lekki uśmiech był jednoznaczny z zamknięciem mi drzwi przed samym nosem.

Lowell Drexel i Adrian Garner stanowili doskonale dobraną parę gór lodowych. Jedyne Wallingford okazywał przynajmniej śladowe ilości ludzkich uczuć.

Skinęłam głową Drexelowi, podziękowałam Charlesowi Wallingfordowi, po czym wyszłam z gabinetu za panią Rider. Starannie zamknęła za mną drzwi.

- Zostało kilka telefonistek i maszynistek, jest też parę osób z działu konserwacji - powiedziała. - Od kogo chce pani zacząć?

- Chyba od maszynistek - zdecydowałam.

Chciała pójść przodem, ale dotzymałam jej kroku.

- Czy mogę porozmawiać z panią?

- Wołałabym nie być cytowana w prasie.

- Nie skomentuje pani nawet zniknięcia Vivian Powers?

- Zniknięcia czy ucieczki?

- Pani zdaniem Vivian sfigowała swoje zniknięcie?

- Moim zdaniem podejrzane jest, że została tutaj po katastrofie samolotu. Widziałam również, jak w zeszłym tygodniu wynosiła z biura jakieś dokumenty.

- Po co zabrała je do domu?

- Bo chciała zyskać absolutną pewność, że nie będzie w nich nic, co pozwoliłoby dociec, gdzie się podziały, pieniądze. - W przeciwieństwie do zapłakanej recepcjonistki, pani Rider była wściekła. - Teraz pewnie już jest w Szwajcarii razem ze Spencerem i śmieje nam się w nos. Droga pani, straciłam nie tylko dochody. Ja także jak ostatni głupiec zainwestowałam w akcje tej firmy większą część życiowych oszczędności. Wołałabym, żeby Nick Spencer naprawdę zginął w

katastrofie lotniczej. Już by się smażył w piekle za całe zło, jakie nam wyrządził.

Jeśli szukałam żywiołowej reakcji pracowników, to właśnie ją znalazłam.

Pani Rider gwałtownie poczerwieniała na twarzy.

- Mam nadzieję, że pani tego nie wydrukuje - powiedziała. - Syn Nicka Spencera, Jack, czasami przychodził tutaj z ojcem. Zawsze przystawał przy moim biurku, aby zamienić kilka słów.

Dosyć już wycierpiał, nie musi czytać takich opinii o swoim ojcu, chociaż to człowiek godny pogardy.

- Co pani sądziła o Nicholasie Spencerze, zanim wyszła na jaw cała afera?

- To, co wszyscy inni: że jest jak święty. Że będzie czynił cuda. Taki sam komentarz usłyszałam od Allana Desmonda, gdy opisywał opinię Vivian na temat szefa. Sama też tak o nim myślałam.

- A tak całkiem prywatnie, co pani myśli o Vivian Powers?

- Nie jestem głupia, widziałam, że między nimi coś się kroi. Kto wie, może byli w biurze tacy, którzy się tego domyślili wcześniej niż on sam. Ale też co on widział w tej kobiecie, z którą się ożenił, tego nigdy nie pojmem. Niech pani mi tego nie weźmie za złe, wiem, że jest pani jej przybraną siostrą, ale zawsze kiedy się tu pojawiała - na szczęście niezbyt często - traktowała nas, jakbyśmy w ogóle nie istnieli. Mijała mnie i wchodziła prosto do gabinetu pana Wallingforda, zupełnie jakby miała pełne prawo mu przeszkadzać, niezależnie od tego, co akurat robił.

No właśnie. Czyli jednak naprawdę coś między nimi było.

- A pan Wallingford nie irytował się, kiedy mu przeszkadzała?

- Raczej był zawstydzony. To naprawdę wyjątkowo dystyngowany mężczyzna, a ona potrafiła potargać mu włosy albo cmoknąć go w czubek głowy, a kiedy prosił, żeby tego nie robiła, tylko się śmiała. Trudno było z nią wytrzymać. Jednych ignorowała, drugim wchodziła na głowę...

- Czy miała pani okazję obserwować relacje Vivian Powers z Nicholasem Spencerem?

Pani Rider, skoro już raz zaczęła mówić, zmieniła się w marzenie dziennikarza.

- Biuro miał w innym skrzydle, więc nieczęsto ich widywałam razem. Ale kiedyś zdarzyło się, że wychodząc do domu, miałam ich przed sobą, odprowadzał Vivian do samochodu. Jedno zetknięcie dłoni, jedno spojrzenie wystarczyło, żebym się domyśliła, że coś się szykuje. Wtedy pomyślałam sobie: „To dobrze. On zasługuje na lepszą kobietę niż tamta Królowa Śniegu”.

Byłyśmy już przy wejściu. Recepcjonistka przekrzywiła głowę, jak gdyby próbowała pochwycić strzępki naszej rozmowy.

- Nie będę pani dłużej zatrzymywała - pożegnałam się. - Obiecuję, że to, co pani powiedziała, zostanie między nami. Proszę zdradzić mi jeszcze jedno: teraz jest pani przekonana, że Vivian Powers została w firmie, by zatrzeć ślady po wyprowadzeniu pieniędzy z kont. Czy zaraz po katastrofie samolotu wyglądała na pogrążoną w żałobie?

- Wszyscy byliśmy wtedy smutni. Płakaliśmy rzewnymi łzami i mówiliśmy, jaki cudowny człowiek był z tego Nicka Spencera. Wszyscy też spoglądaliśmy na nią, bo podejrzewaliśmy, że zostali kochankami. A ona nic nie powiedziała. Wstała i poszła do domu. Może nie miała pewności, czy zdoła przed nami odegrać przekonującą scenkę. - Nagle odwróciła się ode mnie. - Zresztą, co za różnica. Jedna szajka. - Wskazała recepcjonistkę. - Betty panią oprowadzi.

Jak się okazało, w biurze nie pozostał nikt, z kim chciałabym porozmawiać. Ci, którzy byli w moim zasięgu, nie mogli nic wiedzieć o liście Caroline Summers do Nicholas Spencera, napisanym w listopadzie. Zapytałam recepcjonistkę o laboratorium.

- Czy też jest już zamknięte?

- Nie, nie. Doktor Celtavini i doktor Kendall z asystentami na pewno będą tam jeszcze jakiś czas.

- Doktor Celtavini i doktor Kendall są teraz w laboratorium? - upewniłam się.

- Tylko doktor Kendall. - Recepcjonistka trochę straciła pewność siebie. Doktor Kendall

najwyraźniej nie figurowała na jej liście osób, z którymi mogłam przeprowadzić wywiad, mimo to Betty do niej zadzwoniła.

* * *

- Nie wiem, czy pani zdaje sobie sprawę, jak trudno jest uzyskać aprobatę dla nowego leku?

- spytała doktor Kendall. - Tylko jedna na pięćdziesiąt tysięcy mieszanek chemikaliów, wymyślona przez naukowców, trafia na rynek. Badania nad lekarstwem na nowotwór trwają od dziesiątków lat.

Na początku istnienia tej firmy doktor Celtavini był wyjątkowo zainteresowany wynikami eksperymentów prowadzonych przez doktora Spencera. Był tak pełen entuzjazmu, że zrezygnował z pracy w jednym z najbardziej prestiżowych laboratoriów badawczych w kraju - i przyłączył się do Nicka Spencera. Tak samo postąpiłam ja, przyznaję.

Siedziałyśmy w jej gabinecie nad laboratorium. Gdy poznałam doktor Kendall w zeszłym tygodniu, zapamiętałam ją jako nieszczerólnie atrakcyjną kobietę, ale teraz, gdy patrzyła mi prosto w twarz, zdałam sobie sprawę, że miała nieodparty urok, emanujący gdzieś spod powierzchni lodu, ledwie widoczny... poprzednio go nie zauważyłam. Zwróciłam uwagę na zarys podbródka, zdradzający silny charakter, ale umknęły mi równo obcięte ciemne włosy wsunięte za uszy i przegapiłam szarozielone oczy. W zeszłym tygodniu odniosłam wrażenie, że rozmawiam z wyjątkowo inteligentną kobietą. Teraz zdałam sobie sprawę, iż jest także atrakcyjna.

- Pracowała pani w laboratorium czy w firmie farmaceutycznej? - spytałam.

- W Hartness Research Center.

Byłam pod wrażeniem. Nie ma firmy o lepszej renomie. Zastanowiłam się, co skłoniło panią doktor do porzucenia tak korzystnej posady. Przecież sama powiedziała, że tylko jeden na pięćdziesiąt tysięcy nowych leków trafia na rynek.

- Nicholas Spencer był najbardziej przekonującym człowiekiem, jakiego znałam -

odpowiedziała na moje niezadane pytanie. - Równie skutecznym w rekrutowaniu personelu, jak w

zdobywaniu pieniędzy.

- Od dawna pani tu pracuje?

- Nieco ponad dwa lata.

Dzień bogaty w wydarzenia. Podziękowałam doktor Kendall, że znalazła dla mnie czas, i wyszłam. Jeszcze przystanęłam w recepcji, aby podziękować Betty i życzyć jej powodzenia.

Zapytałam przy okazji, czy utrzymuje prywatnie kontakt z którąś z maszynistek.

- Pat mieszka niedaleko mnie - zastanowiła się. - Ale odeszła rok temu. Edna i Charlotte...

raczej trzymały się we dwie. Gdyby pani chciała porozmawiać z Laurą, to wystarczy o nią spytać doktor Kendall. Laura jest jej siostrzenicą.

Pytanie nie brzmiało: czy gliny wróca, tylko: kiedy. Ned myślał o tym przez cały dzień.

Strzelbę dobrze ukrył, ale jeśli zdobędą nakaz przeszukania jego wozu, pewnie znajdą DNA Peg.

Kiedy uderzyła głową w deskę rozdzielczą, poleciało jej trochę krwi.

Potem będą szukać tak długo, aż znajdą strzelbę. Pani Morgan powie im, że Ned często chodzi na grób Annie. W końcu skojarzą fakty.

O czwartej postanowił nie czekać dłużej.

Na cmentarzu nie było żywego ducha. Ciekaw był, czy Annie tęskniła za nim tak bardzo jak on za nią. Ziemia, nadal błotnista, ustąpiła łatwo, bez trudu więc wydobył strzelbę i pudełko amunicji. Potem usiadł na grobie i siedział jakiś czas. Nie obchodziło go, że ubranie się pobrudzi i zawilgotnieje. Ważne, że był bliżej Annie.

Jeszcze zostało parę spraw... parę osób, którymi musiał się zająć, ale jak tylko skończy, przyjdzie tutaj znowu i wtedy już nie odejdzie. Kusiło go, żeby zrobić to nawet teraz. Wiedział doskonale, jak to ma wyglądać. Trzeba zdjąć buty, włożyć lufę do ust i dużym palcem u nogi pociągnąć za spust.

Zaśmiał się głośno. Któregoś razu zrobił tak w domu. Strzelba nie była naładowana, chciał tylko podrażnić się z Annie. A ona najpierw krzyknęła, potem wybuchnęła płaczem, w końcu rzuciła się na niego i zaczęła go szarpać za włosy. Wcale nie bolało. Najpierw śmiał się z doskonałego żartu, ale potem zrobiło mu się przykro, że ją tak zdenerwował. Annie go kochała.

Tylko ona jedna go kochała.

Podniósł się wolno. Ubranie znowu miał tak brudne, że ludzie będą się na niego gapili, gdziekolwiek się pokaże. Dlatego wrócił od razu do vana, owinał strzelbę kocem i pojechał prosto do mieszkania.

Pani Morgan będzie pierwsza.

Wziął prysznic, ogolił się i rozczesał włosy. Potem wyciągnął z szafy granatowy garnitur i położył na łóżku. Annie kupiła mu go na urodziny, cztery lata temu. Miał na sobie to ubranie tylko kilka razy. Nienawidził ubierać się w ten sposób. Teraz jednak włożył je wraz z koszulą i krawatem. Robił to dla niej.

Podszedł do toaletki, gdzie wszystko zostało tak, jak ułożyła Annie. Pudełeczko z perłami, które podarował jej na Boże Narodzenie, leżało w górnej szufladzie. Annie je uwielbiała. Powiedziała, że nie powinien był kupować jej prezentu aż za sto dolarów, ale tak czy inaczej, bardzo się jej podobały. Wziął pudełko w rękę.

Słyszał kroki pani Morgan nad głową. Zawsze się użalała, że jest nieporządny. Skarżyła się Annie na bałagan w jego części garażu. Krzywiła się, że kiedy wynosił śmieci, nigdy nie wiązał worków, tylko beztrzesko wciskał je do pojemnika stojącego przy bocznej ścianie domu. Zawsze potrafiła zdenerwować Annie. A teraz, kiedy Annie nie żyje, postanowiła go wyrzucić.

Załadował strzelbę i poszedł na górę. Zapukał do drzwi.

Pani Morgan otworzyła, ale nie zdjęła łańcucha. Bała się. Mimo wszystko powitała go uśmiechem.

- Ned! Jak ty elegancko wyglądasz! Lepiej się czujesz? O, tak. A za chwilę będzie się czuł jeszcze lepiej.

Strzelbę trzymał przy boku, nie mogła jej widzieć przez szparę w drzwiach.

- Zacząłem porządkować rzeczy. Annie bardzo panią lubiła, więc chcę pani dać jej perły.

Wpuści mnie pani?

Nie przekonał jej, poznał to po oczach gospodyni. I była zdenerwowana, bo zagryzała wargę. Mimo to zdjęła łańcuch.

Naparł na drzwi, otworzył je na oścież i pchnął kobietę w tył. Zachwiała się i upadła. Gdy do niej wymierzył, zobaczył na jej obliczu to, co chciał zobaczyć: strach przed nieuniknionym. Taki

Sam grymas widział na twarzy Annie, kiedy biegł do samochodu staranowanego przez śmieciarkę.

Szkoda tylko, że pani Morgan zamknęła oczy.

Znajdą ją dopiero jutro, a może nawet pojutrze. Wobec tego ma mnóstwo czasu, żeby się zająć pozostałymi.

Znalazł torebkę pani Morgan, zabrał kluczyki od samochodu i portfel. W środku było sto dwadzieścia sześć dolarów.

- Dziękuję pani - powiedział, patrząc na nią z góry. - Teraz pani syn może przejąć cały dom.

Był spokojny i opanowany. Głos brzmiący tylko w jego głowie mówił mu, co ma robić.

„Ned, zaparkuj swój samochód gdzieś, gdzie przez dłuższy czas nie wzbudzi niczyich podejrzeń.

Sam będziesz jeździł śliczną, czyściutką, czarną toyotą pani Morgan, na którą nikt nie zwróci uwagi”.

* * *

Godzinę później jechał już toyotą. Vana zostawił na szpitalnym parkingu, gdzie nikt się nie będzie nim interesował. Ruch trwał tam dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Przejeżdżając obok domu, spojrział w okna na piętrze. Na myśl o pani Morgan ogarnęło go przyjemne uczucie.

Zatrzymał się na światłach. Spojrzawszy we wsteczne lusterko, zobaczył samochód zatrzymujący się przed jego mieszkaniem. Wysiedli z niego dwaj policjanci. Znowu przyszli z nim pogadać. Albo może go aresztować.

Za późno. Zapaliło się zielone światło, więc ruszył. Wszystko teraz robił dla Annie. Dla uczczenia jej pamięci postanowił raz jeszcze zerknąć na ruiny domu, który obudził w nim marzenia. Piękny sen o wspólnym domu zmienił się w koszmar, który zniszczył Annie, dlatego on zniszczył dom.

Miał wrażenie, że Annie siedzi obok.

„Zobacz, zamierzał powiedzieć, gdy będą przejeżdżali obok tamtej posiadłości.

Wyrównałem rachunki. Ty straciłaś dom i oni stracili dom”.

A potem pojedzie do Greenwood Lake i oboje z Annie pożegnają się z Harnikami oraz panią Schafley.

Jadąc do domu z Pleasantville, miałam cały czas włączone radio, ale nie słyszałam ani słowa. Nie mogłam się pozbyć wrażenia, że moja zapowiedziana wizyta w biurach Gen-stone wpłynęła w istotny sposób na decyzję o nagłym zamknięciu firmy. Miałam także wrażenie, że niezależnie od tego, jakie inne sprawy Lowell Drexel zamierzał ewentualnie omówić z Charlesem Wallingfordem, zjawił się tam przede wszystkim po to, by mi się przyjrzeć.

Przez przypadek dowiedziałam się od recepcjonistki, Betty, iż jedna z maszynistek sortujących korespondencję i wysyłających standardowe odpowiedzi, niejaka Laura, była siostrzenicą doktor Kendall. Może to właśnie ona miała odpowiedzieć na list Caroline Summers, może uznała, że warto go pokazać ciotce?

Ale nawet jeśli tak, to dlaczego w końcu nie odpisała? Polityka firmy zakładała wysłanie odpowiedzi na każdy otrzymany list.

Vivian powiedziała mi, że Nick Spencer, dowiedziawszy się o zniknięciu dokumentów ojca, przestał wpisywać do kalendarza planowane spotkania. Jeżeli on i Vivian byli tak blisko, jak sądzili ludzie w biurze, to dlaczego nie zwierzył jej się ze swoich kłopotów?

Nie ufał jej?

Nowa, interesująca możliwość.

A może w ten sposób chciał ją chronić?

- Vivian Powers była...

Nagle zdałam sobie sprawę, że jej nazwisko słyszę nie tylko w myślach, ale także z radia.

Jednym ruchem palca podkręciłam dźwięk. Z rosnącym przerażeniem słuchałam najnowszych informacji. Znaleziono Vivian. Żywa, lecz nieprzytomna znajdowała się w samochodzie sąsiadki, zaparkowanym przy bocznej drodze w lesie, zaledwie dwa kilometry od jej domu w Briarcliff Manor. Podejrzewano próbę samobójstwa, ponieważ znaleziono przy niej pustą buteleczkę po

pigułkach nasennych.

Mój Boże! Zniknęła w poniedziałek po południu. Dzisiaj był czwartek. Czy możliwe, że cały ten czas spędziła w samochodzie?

Właśnie dojeżdżałam do granicy okręgu. W ułamku sekundy podjęłam decyzję i na najbliższym skrawie zawirowałam do Westchester.

Czterdzieci pić minut później siedziałam z ojcem Vivian w poczekalni na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu Briarcliff Manor. Allan Desmond płakał - ze strachu i ulgi.

- Chwilami odzyskuje przytomność - powiedział mi - ale najwyraźniej nic nie pamięta.

Pytali ją, ile ma lat, powiedziała, że szesnaście! Myśli, że jest nastolatką... Co ona ze sobą zrobiła?

A może raczej: co jej zrobiono?

Przykryłam dłonią jego rękę. Szukałam słów pocieszenia.

- Żyje - powiedziałam. - Prawdziwy cud, że po trzech dniach w samochodzie w ogóle żyje.

W drzwiach poczekalni stanął detektyw Shapiro.

- Rozmawialiśmy z lekarzami - oznajmił. - Wykluczają możliwość, żeby pańska córka

spędziła trzy dni w samochodzie. Wiemy też, że nie dalej jak przedwczoraj dzwoniła pod

komórkowy numer Nicka Spencera. Czy zdoła pan ją nakłonić do szczerej rozmowy z nami?

Zostałam z Allanem Desmondem jeszcze cztery godziny, aż dotarła do szpitala Jane, która przyleciała z Bostonu. Starsza od Vivian rok czy dwa, była do niej tak podobna, że widząc ją w progu poczekalni, przeżyłam prawdziwy wstrząs.

Oboje nalegali, żebym z nimi została, żebym była przy tym, kiedy Jane porozmawia, a przynajmniej spróbuje porozmawiać z Vivian.

- Słyszała pani, co sądzi policja - powiedział Allan Desmond. - Jest pani dziennikarką.

Niech pani uzyska własną opinię.

Stałam razem z nim u stóp łóżka Vivian, gdy Jane pochyliła się nad siostrą i pocałowała ją w czoło.

- Hej, mała, co ty wyprawiasz? Martwimy się o ciebie.

Z ramienia Vivian wystawał wenflon, kroplami odmierzający jakiś płyn. Tętno i ciśnienie błyskały zielono na monitorze umieszczonym nad jej głową. Twarz miała kredowobiałą, ciemne włosy kontrastowały mocno z cerą i szpitalną pościelą. Otworzyła oczy: wielkie, brązowe i zamglone.

- Jane? - Jej głos miał inny tembr, inną barwę.

- Tak, to ja.

Vivian rozejrzała się błędnym wzrokiem, wreszcie skupiła spojrzenie na ojcu.

- Dlaczego tatuś płacze? - zdziwiła się cicho.

Sprawia wrażenie nastolatki, pomyślałam.

- Tatusiu, nie płacz - powiedziała Vivian i oczy jej się zamknęły.

- Viv, czy pamiętasz, co się stało? - spytała Jane Desmond, przesuwając palcami po twarzy siostry, próbując ją zatrzymać w świecie przytomnych.

- Co się stało? - Vivian z trudem zbierała myśli. Na jej twarzy pojawił się wyraz

niepewności. - Nic. Wróciłam ze szkoły.

Kilka chwil później Jane i Allan Desmond odprowadzili mnie do windy.

- Naprawdę policja ma czelność twierdzić, że ona udaje? - spytała Jane z oburzeniem.

- Jeśli tak uważają, to się mylą - odparłam ponuro. - Vivian nie udaje.

* * *

O dziewiątej wreszcie znalazłam się w domu.

Casey zostawił mi wiadomość na sekretarce o czwartej, szóstej i o ósmej. Wszystkie były takie same: „Zadzwoń do mnie koniecznie, obojętne o której wrócisz”.

Złapałam go w domu.

- Właśnie weszłam - wytłumaczyłam się. - Dlaczego nie zadzwoniłeś na komórkę?

- Dzwoniłem. Kilkakrotnie.

No tak. Posłuszna szpitalnym wymogom wyłączyłam aparat i zapomniałam potem włączyć.

- Przekazałem Vince'owi, że chciałabyś porozmawiać z byłymi teściami Nicka. Albo byłem przekonujący, albo wstrząsnęły nimi wieści na temat Vivian Powers, tak czy inaczej, chcą się z tobą zobaczyć, w każdej chwili, kiedy ci będzie wygodnie. Zakładam, że słyszałaś o Vivian.

Opowiedziałam mu o wizycie w szpitalu.

- Tyle mogłabym się od niej dowiedzieć! - Westchnęłam na zakończenie. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jestem bliska płaczu, póki nie usłyszałam własnego zdławionego głosu. -

Ona też chciała ze mną szczerze porozmawiać, ale nie wiedziała, czy może mi zaufać. Wreszcie podjęła decyzję i zostawiła wiadomość. Jak długo ukrywała się w domu sąsiadki? Może ktoś

zobaczył, jak tam szła? - Wylewałam z siebie potok słów tak szybko, że zaczęłam mówić

niewyraźnie. - Dlaczego nie zadzwoniła stamtąd po pomoc? Czy sama wsiadła do tego samochodu,

czy ktoś ją tam wsadził? Casey, ona się bała! Ukryła się i dzwoniła do Nicka Spencera pod jego

numer komórkowy. Uwierzyła w doniesienia, że widziano go w Szwajcarii? Kiedy u niej byłam,

przysięgam ci, miała pewność, że on nie żyje. Nie spędziła tych trzech dni w samochodzie.

Dlaczego jej nie pomogłam? Od razu wiedziałam, że coś jest stanowczo nie tak, jak powinno!

- Zaraz, nie tak szybko! - przerwał mi. - Zaczynasz gubić watek. Będę u ciebie za dwadzieścia minut.

Dokładnie rzecz biorąc, zajęło mu to dwadzieścia trzy. Otworzyłam drzwi, a Casey mnie objął i wtedy, przynajmniej na tę jedną chwilę przerażający ciężar poczucia winy, że zawiodłam Vivian Powers, został zdjęty z moich barków.

Chyba właśnie w tamtym momencie przestałam walczyć ze swoją miłością do Caseya i uwierzyłam, że on także mnie pokochał. W końcu przecież przyjaciół - i osoby ukochane - poznaje się w biedzie, prawda?

- Zobacz, Annie, tutaj mają basen - odezwał się Ned. - Teraz jest przykryty, ale kiedy pracowałem u nich zeszłego lata, wiesz, dla tego ogrodnika, wtedy był odsłonięty. Na tarasach zawsze stały stoliki. Ogród był naprawdę ładny. Dlatego chciałem, żebyś miała tak samo.

Annie uśmiechnęła się do niego. Zaczynała rozumieć, że nie chciał jej skrzywdzić, sprzedając dom.

Rozejrzał się dookoła. Zapadał zmrok. Właściwie nie zamierzał wchodzić na teren posiadłości, ale skoro pamiętał kod otwierający wejście dla służby... Podpatrzył go u ogrodnika w zeszłym roku. W ten sposób dostał się tutaj wtedy, kiedy podpalił dom. Brama znajdowała się daleko na lewo, aż za ogrodem angielskim. Bogaci ludzie nie lubią mieć służby przed oczami. Nie chcą, żeby czyjeś graty na czterech kółkach psuły im widok eleganckich podjazdów.

- I właśnie do tego potrzebna im strefa buforowa, Annie - wyjaśnił Ned. - Specjalnie sadzą drzewa w odpowiednich miejscach, żeby przypadkiem nie zobaczyć, jak przychodzimy i wychodzimy. Dobrze by im zrobiło, gdyby tak zamienić się z nimi miejscami. No, ale przynajmniej możemy wchodzić i wychodzić, kiedy chcemy, a oni nawet o tym nie wiedzą.

Zeszłego lata strzygł trawniki, rozrzucał mierzwę i sadił kwiaty. W rezultacie znał tę posiadłość jak własną kieszeń.

- Wiesz, jak tu pracowaliśmy, musieliśmy koniecznie korzystać właśnie z tej bramy - wyjaśniał Annie, wjeżdżając na teren rezydencji. - Zobacz, tu jest tabliczka: „Wejście dla obsługi”. Dostawcom i pracownikom otwierało zawsze któreś z tych dwojga zajmujących się domem. Domofonem. Ale ogrodnik, wiesz, ten bydlak, przez którego miałem kłopoty w barze, on znał kod. Dzień w dzień parkowaliśmy tutaj, przed garażem. W środku są meble ogrodowe i takie tam różne. No, w tym roku nie będą im potrzebne. Nikt nie zechce odpoczywać w takim miejscu, obok spalonego domu i całego tego bałaganu. W garażu jest mała łazienka z toaletą. Dla takich jak ja.

Przecież nie wpuszczą nas do domu, nawet do tego domku nad basenem. Pewnie, że nie!

Ten facet, co sprzątał w dużym domu, i jego żona to całkiem mili ludzie. Gdybyśmy na nich wpadli, skłamałbym, że zajrzałem powiedzieć, jak mi przykro z powodu pożaru. Dzisiaj wyglądam całkiem przyzwoicie, więc wszystko by grało. Ale przeczuwałem, że ich nie spotkamy, i zobacz, miałem rację. Chyba w ogóle ich tu nie ma. Nie widzę samochodu. A w tym domu, gdzie mieszkali, jest całkiem ciemno. Żaluzje opuszczone. Nie ma dla nich pracy. Nie ma wielkiego domu, którym się zajmowali. Oni też musieli wjeżdżać przez bramę dla służby. Wszystkie te drzewa są tutaj po to, żeby jaśnie państwo nie musieli patrzeć na bramę i na ten garaż.

Annie, kiedy tutaj pracowałem, to słyszałem, jak ten cały Spencer mówił różnym ludziom przez telefon, że jego szczepionka na pewno będzie dobra, że zmieni świat. No i różni faceci też opowiadali, że kupili akcje i że one są teraz warte dwa razy więcej, i w dodatku ciągle są coraz droższe.

Spojrzał na Annie. Czasami widział ją całkiem wyraźnie, kiedy indziej znowu, tak jak teraz, miał wrażenie, że patrzy na jej cień.

- I tak to się stało - dokończył.

Chciał ją wziąć za rękę, ale mu się nie udało, chociaż dobrze ją widział. Poczł się zawiedziony, ale nie chciał tego po sobie pokazać. Pewnie jeszcze się na niego trochę boczyła.

- Czas na nas, Annie - powiedział.

Obszedł basen, minął ogród i doszedł do podjazdu dla służby, gdzie zostawił samochód przed garażem pełniącym funkcję składziku mebli ogrodowych.

- Może chcesz tam zajrzeć? Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Pewnie ktoś zapomniał, pomyślał Ned. Wszystko jedno. Przecież mógł bez trudu stłuc szybę w oknie.

Wszedł do środka. Rzeczywiście, pod ścianami ustawiono meble ogrodowe, ale pośrodku

zostawiono miejsce na samochód małżeństwa opiekującego się domem. W głębi ułożono na półkach poduszki zdjęte z mebli.

- Widzisz, Annie, jaki śliczny garaż dla pracowników? Wszędzie czysto i porządek.

Uśmiechnął się do niej. Wiedziała, że sobie z niej pokpiwa.

- No, dobrze, kochanie. Teraz pojedziemy do Greenwood Lake i zajmiemy się tymi ludźmi, którzy byli dla ciebie tacy niemili.

* * *

Greenwood Lake znajdowało się w New Jersey, Ned jechał tam godzinę i dziesięć minut. W wiadomościach nie mówili nic o pani Morgan, więc policja jeszcze o niej nie wiedziała. Tymczasem kilka razy usłyszał o znalezieniu przyjaciółki Nicholasa Spencera.

I żona, i przyjaciółka, pomyślał. Tego właśnie można się było po nim spodziewać.

- Ta przyjaciółka jest chora - powiedział Annie. - Naprawdę chora. Też dostała za swoje.

Nie chciał przyjechać do Greenwood Lake za wcześnie. Harnikowie i pani Schafley kładli się do łóżka po obejrzeniu wiadomości o dziesiątej, więc nie powinien się zjawić przed tą porą.

Zatrzymał się w jakimś barze i zjadł hamburgera.

Dokładnie o dziesiątej wjechał we właściwą ulicę i zaparkował naprzeciwko miejsca, gdzie kiedyś stał dom jego matki. U pani Schafley błyszczało światło, ale u Harników było ciemno.

- Przejedziemy się po okolicy, kochanie - powiedział.

O północy Harników nadal nie było w domu, więc Ned zdecydował, że nie może ryzykować i czekać dłużej. Mógł nawet w tej chwili wsadzić lufę strzelby przez okno pani Schafley i wykończyć babę, ale wtedy nie udałoby mu się już tu wrócić.

- Będziemy musieli poczekać, kochanie - powiedział do Annie. - Dokąd teraz?

„Do domku w Bedford, usłyszał w myślach. Wprowadź samochód do garażu i przygotuj sobie wygodne spanie. Tam będziesz bezpieczny”.

W piątek rano byłam w redakcji „Wall Street Weekly” pierwsza. Z Kenem i Donem umówiliśmy się na ósmą, żebym zdążyła z nimi pogadać przed spotkaniem z Adrianem Garnerem, wyznaczonym na dziewiątą trzydzieści. Obaj zjawili się parę minut po mnie, więc ściskając w dłoniach kubki z kawą, zebraliśmy się u Kena i przeszliśmy od razu do rzeczy. Chyba wszyscy odnosiliśmy jednakowe wrażenie, że zmienił się rytm zdarzeń i to nie tylko z powodu zamknięcia Gen-stone. Instynktownie wyczuwaliśmy, iż wypadki nabrały tempa, a my będziemy musieli dotrzymać im kroku.

Zaczęłam od sprawozdania z jazdy do szpitala, kiedy usłyszałam o znalezieniu Vivian Powers, opisałam im jej wygląd i stan. Wtedy okazało się, że Ken i Don, choć także patrzyli teraz na nasze śledztwo zupełnie innym okiem, to wyciągnęli wnioski całkowicie różne od moich.

- Zaczynam widzieć w tym scenariuszu jakiś sens - oznajmił Ken. - I to, co widzę, wcale mi się nie podoba. Wczoraj po południu zadzwonił do mnie doktor Celtavini, zaproponował, żebyśmy się wieczorem u niego spotkali. - Przerwał, popatrzył na nas i podjął: - Doktor Celtavini ma ściśle powiązania ze światem nauki we Włoszech. Parę dni temu dostał cynk, że powstało tam kilka laboratoriów, ufundowanych przez nieznane źródło, najwyraźniej mających kontynuować różne fazy badań prowadzonych przez Gen-stone.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Co to za „nieznane źródło”?

- Nicholas Spencer.

- Nicholas Spencer!?

- Oczywiście nikt tego głośno nie powie. Ale jeżeli to prawda, to Spencer, korzystając z pieniędzy Gen-stone, stworzył kilka oddzielnych laboratoriów. Potem upozorował własne zniknięcie. Gen-stone bankrutuje. Nick funduje sobie nową tożsamość, pewnie także nową twarz i

zostaje jedynym właścicielem szczepionki. Może ten lek okazał się jednak skuteczny, a pan Spencer fałszował rezultaty badań, żeby doprowadzić do upadku spółki.

- W takim razie rzeczywiście mógłby być w Szwajcarii? - zastanowiłam się głośno.

Nie, to niemożliwe, pomyślałam. W to nie uwierzę.

- Zaczynam sądzić, że to nie tylko możliwe, lecz nawet wręcz prawdopodobne... - zaczął

Ken.

- Ken! - przerwałam mu gwałtownie. - Vivian Powers na pewno uwierzyła w jego śmierć. A ja wierzę, że oni naprawdę byli sobie bliscy.

- Carley, sama powiedziałaś, że ta kobieta zniknęła na trzy dni, a na pewno nie przesiedziała tego czasu w samochodzie. No więc co się z nią działo? Jest kilka odpowiedzi na to pytanie. Albo jest doskonałą aktorką, albo na przykład, choć może się to wydawać mało prawdopodobne, ma rozdwojenie jaźni. To by tłumaczyło nawroty świadomości szesnastolatki.

Jak grochem o ścianę.

- Ja to widzę całkiem inaczej - oświadczyłam. - Spróbujmy spojrzeć na całość z zupełnie innego punktu widzenia. Ktoś kradnie zapiski doktora Spencera od doktora Brodericka. Ktoś kradnie też zdjęcia rentgenowskie i wyniki badania rezonansem magnetycznym córki Caroline Summers. To są pewniki. Jeśli wierzyć Vivian, list Caroline Summers napisany do Nicka zniknął, a odpowiedź, którą powinien dostać nadawca, nie została nigdy wysłana. Vivian powiedziała mi, że zostawiła list, by przekazano go jednej z maszynistek. Była tego całkowicie pewna. - Zaczynałam się rozgrzewać. - Powiedziała też, że po zniknięciu notatek doktora Spencera Nick stał się bardzo tajemniczy w kwestii ustalanych spotkań i potrafił nie pojawiać się w biurze nawet kilka dni.

- To, co mówisz, dowodzi słuszności mojej tezy - wtrącił Ken. - Okazało się, że między połową lutego a czwartym kwietniem, kiedy doszło do katastrofy samolotowej, Spencer był kilka razy w Europie.

- Może Nick Spencer nabrał podejrzeń, że ktoś w firmie sabotuje badania - powiedziałam. -

Posłuchaj mnie. W Gen-stone zatrudniona była niejaka Laura Cox, dwudziestoletnia siostrzenica doktor Kendall. Dowiedziałam się tego wczoraj od recepcjonistki, Betty. Zapytałam ją, czy była to rzecz ogólnie wiadoma, i okazało się, że nie. Któregoś dnia Betty zrobiła jakąś drobną uwagę, że Laura Cox nosi takie samo imię jak doktor Kendall, i usłyszała w odpowiedzi: „Dostałam imię właśnie po niej. To moja ciotka”. Potem dziewczyna się zdenerwowała i prosiła Betty, żeby nikomu o tym nie wspominała. Najwyraźniej doktor Kendall nie życzyła sobie ujawniać pokrewieństwa.

- A komu by to szkodziło? - spytał Don.

- Betty powiedziała mi, że w firmie obowiązywała zasada, iż członkowie rodziny pracowników nie mają prawa ubiegać się o zatrudnienie. Doktor Kendall z pewnością o tym wiedziała.

- Medyczne firmy badawcze wolą, żeby nie wiedziała lewica, co robi prawica - przytaknął Don. - Doktor Kendall stanowczo złamała zasady, dopuszczając do zatrudnienia siostrzenicy w Gen-stone, choćby jako maszynistki. Ale przecież to jest tylko praca na wejście. Nie spodziewałem się czegoś takiego po tej kobiecie. Miałem ją za osobę bardziej rygorystyczną na gruncie zawodowym.

- Zanim dostała pracę w Gen-stone, była zatrudniona w Hartness Research Center - wystrześliłam. - Ciekawe, jaką tam miała opinię.

- Sprawdź. - Ken zapisał kilka słów.

- I pamiętaj, że wszystko, co mówisz o Nicholasie Spencerze, obwiniając go o celowe doprowadzenie firmy do bankructwa w celu przywłaszczenia sobie szczepionki, można powiedzieć nie tylko o nim.

- A o kim jeszcze?

- Choćby o Charlesie Wallingfordzie. Co tak naprawdę o nim wiesz?

Ken zastanowił się chwilę.

- Błękitna krew. Niespecjalnie efektywny, ale jednak. Dumny ze swojego pochodzenia.

Jeden z jego przodków założył firmę meblarską raczej ze względów filantropijnych, dając zatrudnienie imigrantom, niż dla wielkich zysków, lecz okazał się też niezłym biznesmenem. Z czasem inne źródła rodzinnego bogactwa powysychały, tymczasem interes meblarski rozkręcił się na dobre. Jeszcze ojciec Wallingforda dbał o rozwój firmy. Po jego śmierci przejął ją Charles - i doprowadził do ruiny.

- Wczoraj, kiedy byłam w biurze Gen-stone, pogadałam sobie z jego sekretarką. Ta kobieta jest oburzona, że synowie pozwalają go z powodu sprzedaży rodzinnej firmy.

Don Carter zdawał się nieporuszony, ale oczy mu rozblęły.

- Interesująca wiadomość. Sprawdzę, co się da z nią zrobić.

Ken znowu odruchowo mazał coś na kartce. Miałam nadzieję, że to znak, iż otworzyła się przed nim możliwość zaistnienia zupełnie nowego scenariusza wydarzeń związanych z Gen-stone.

- Masz nazwisko pacjenta, który wypisał się z hospicjum u Świętej Anny? - spytałam.

- Mój informator nadal robi, co może. - Skrzywił się niemiłosiernie. - Najłatwiej pewnie byłoby je znaleźć w nekrologach.

Zerknęłam na zegarek.

- Muszę pędzić. Uchowaj Boże, żeby wszechmocny Adrian Garner miał na mnie czekać.

Może się złamie i przedstawi mi plan misji ratunkowej, o której napomknął wczoraj Lowell Drexel.

- Niech zgadnę... - odezwał się Don. - Rzecznik pana Adriana Garnera obwieści przy dźwięku fanfar, że Garner Pharmaceuticals przejmie Gen-stone i jako gest dobrej woli w stosunku do pracowników oraz akcjonariuszy upadłej firmy wypłaci im osiem albo nawet i dziesięć centów od każdego włożonego dolara. Dowiemy się, że Garner Pharmaceuticals na nowo podejmie odwieczną walkę z największą plagą świata, nowotworem. I tak dalej.

Wstałam.

- Dam ci znać, czy masz rację. Cześć, chłopaki. - Chciałam powiedzieć coś jeszcze, ale ugryzłam się w język. Za wcześnie jeszcze na te słowa. Na stwierdzenie, że Nick Spencer, żywy czy martwy, mógł być ofiarą spisku i że razem z nim ucierpiało już dwoje następnych ludzi: doktor Philip Broderick oraz Vivian Powers.

* * *

Biura zarządu Garner Pharmaceuticals znajdowały się w wieżowcu Chrysler Building, tym przepięknym starym symbolu Nowego Jorku, wznoszącym się na rogu Lexington i Czterdziestej Drugiej.

Dotarłam na miejsce dziesięć minut przed czasem, a mimo to, ledwie weszłam do recepcji, zostałam zaprowadzona do najświętszego sanktuarium, czyli prywatnego gabinetu Adriana Garnera. W zasadzie nie byłam zaskoczona, zastawszy tam Lowella Drexela. Zdziwił mnie natomiast widok trzeciej osoby w tym gronie: Charlesa Wallingforda.

- Witaj, Carley! - odezwał się wesoło. - Sprawilem ci niespodziankę, prawda? Po rozmowie z tobą mamy ważne spotkanie. Adrian był tak miły, że zaprosił mnie wcześniej.

Znienacka wyskoczył mi przed oczy sielski obrazek: Lynn całuje Wallingforda w czubek głowy i targa mu włosy. Dokładnie tak to opisała jego sekretarka. Chyba od początku miałam nieodparte wrażenie, że Charlesa Wallingforda trudno zaliczyć do ludzi śmiertelnie poważnych, ale kiedy wyobraziłam sobie taką scenę, przestałam mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Jeżeli Lynn miała z nim romans, to tylko po to, żeby zaliczyć kolejną zdobycz.

Gabinet Adriana Garnera był, oczywiście, absolutnie wspaniały. Z okien rozciągał się widok od East River po Hudson River. Od zawsze pasjonują mnie piękne meble, a przysięgłabym, że biurko odgrywające w tym wnętrzu główną rolę wyszło spod ręki samego Thomasa Chippendale'a. Wzór był z czasów regencji, ale egipskie głowy na słupkach wyglądały dokładnie tak samo jak te,

które widziałam w trakcie muzealnej wyprawy do Anglii.

Zaryzykowałam i spytałam Adriana Garnera, czy mam rację. Był przynajmniej na tyle łaskaw, że nie okazał zaskoczenia, iż wiem cokolwiek na temat starych mebli.

- To Thomas Chippendale młodszy - potwierdził.

Natomiast Lowell Drexel skwitował mój popis uśmiechem.

- Bardzo pani spostrzegawcza.

- Taką mam pracę.

Jak w większości współczesnych gabinetów członków zarządu, tak i tutaj urządzono coś na kształt saloniku, miejsce do spokojnej rozmowy, gdzie stały kanapa oraz kilka klubowych foteli.

Tam mnie jednak nie zaproszono. Garner usiadł za swoim biurkiem Thomasa Chippendale'a młodszeo, Drexel i Wallingford zajęli skórzane fotele po drugiej stronie, w których siedzieli, gdy zostałam wprowadzona do biura. Drexel wskazał mi trzeci między nimi.

Adrian Garner od razu przeszedł do rzeczy. Na pewno robił to nawet przez sen.

- Nie chciałem odwoływać naszego dzisiejszego spotkania, ale na pewno zdaje pani sobie sprawę, że wczorajsza decyzja o zamknięciu Gen-stone przyspieszyła konieczność podjęcia wielu decyzji, które już od jakiegoś czasu braliśmy pod uwagę.

Cóż, najwyraźniej nie przeprowadzimy dłuższego wywiadu, na jaki miałam nadzieję.

- Mogę spytać, o jakie decyzje chodzi?

Garner spojrzał mi prosto w oczy. Raptem odczułam emanującą odeń ogromną władzę.

Charles Wallingford wyglądał sto razy lepiej, ale to Garner był prawdziwym kołem napędowym.

Miałam już przedsmak tego w zeszłym tygodniu podczas lunchu, teraz utwierdziłam się w swojej opinii.

Przeniósł wzrok na Lowella.

- Pozwoli pani, że ja odpowiem na to pytanie - odezwał się Drexel. - Pan Garner czuje się

zobowiązany wobec tysięcy inwestorów, którzy ulokowali w Gen-stone swoje aktywa, kierując się opinią Garner Pharmaceuticals, gdy pan Garner ogłosił, że jego firma postanowiła zainwestować w tę spółkę miliard dolarów. Pan Garner nie ma prawnego obowiązku przejmować zobowiązań Gen-stone, lecz mimo to przedstawi ofertę, która, jak się spodziewamy, zostanie przyjęta z wdzięcznością. Garner Pharmaceuticals zaproponuje wszystkim inwestorom: pracownikom i akcjonariuszom, sumę dziesięciu centów za każdego dolara utraconego w wyniku sprzeniewierzenia i defraudacji, do jakich doszło z winy Nicholasa Spencera.

Tego właśnie kazał mi się spodziewać Don Carter. Tyle tylko, że mowę wygłosił Lowell Drexel, a nie Garner.

Nadeszła kolej Wallingforda.

- Ogłosimy tę decyzję w poniedziałek. Zrozumiesz mnie zatem, jeśli poproszę, abyś odłożyła wizytę u mnie w domu. W późniejszym terminie będzie mi bardzo miło cię zaprosić. W późniejszym terminie nie będzie już po co się spotykać, pomyślałam. Wszystkim wam trzem zależy, żeby sprawa jak najszybciej zeszła z pierwszych stron i spoczęła w zakurzonej lamusie.

Nie zamierzałam się poddać tak łatwo.

- Proszę pana - zwróciłam się do Garnera. - Hojność pana przedsiębiorstwa zostanie na pewno przyjęta z wdzięcznością. Ja sama, jak rozumiem, mogę się spodziewać czeku na dwa i pół tysiąca dolarów jako rekompensaty za utracone dwadzieścia pięć tysięcy.

- Zgadza się - przytaknął Drexel.

Zignorowałam go i nadal patrzyłam na Adriana Garnera. On także na mnie spojrzął i kiwnął głową. Wreszcie jednak otworzył usta.

- Jeśli to wszystko...

- Proszę pana - wpadłam mu w słowo - chciałabym wiedzieć, oficjalnie, czy pan osobiście

wierzy, że Nicholas Spencer był widziany w Szwajcarii.

- Nigdy nie wygłaszam oficjalnych stwierdzeń, jeśli nie dysponuję wiarygodnymi informacjami. W tym wypadku, jak pani doskonale wiadomo, nie dysponuję wiarygodnymi informacjami.

- Czy miał pan okazję poznać asystentkę Nicholasa Spencera, panią Vivian Powers?

- Nie. Wszystkie moje spotkania z Nicholasem Spencerem odbywały się tutaj, a nie w Pleasantville.

Odwróciłam się do Drexela.

- Pan zasiadał w zarządzie Gen-stone. Vivian Powers była osobistą asystentką Nicholasa Spencera. Na pewno ją pan spotkał - naciskałam. - I zapamiętał. To piękna kobieta.

- Droga pani, każdy członek zarządu, jakiego znam, ma przynajmniej jedną zaufaną asystentkę, a większość tych kobiet jest wyjątkowo atrakcyjna. Nie mam zwyczaju zawierać z nimi znajomości.

- Nawet nie jest pan ciekaw, co się z nią dzieje?

- O ile mi wiadomo, usiłowała popełnić samobójstwo. Dotarły do mnie plotki, że była uczuciowo związana ze Spencerem, więc może kres ich związku, niezależnie od tego, jak się on skończył, spowodował u niej depresję. To się zdarza. - Wstał. - Zechce nam pani wybaczyć. Za niecałe pięć minut mamy spotkanie w sali konferencyjnej.

Gdybym się odezwała jeszcze chociaż jednym słowem, chybaby mnie wywlókł z fotela.

Garner nawet się nie pofatygował, żeby unieść z siedziska to miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

- Żegnam panią - rzucił tylko.

Wallingford podał mi rękę i powiedział coś, że powinnam się zobaczyć z Lynn, bo moja przybrana siostra potrzebuje pocieszenia. Następnie Lowell Drexel wyprowadził mnie z sanctum

sanctorum.

Najdłuższa ściana recepcji ozdobiona była mapą świata, dającą świadectwo globalnym wpływom Garner Pharmaceuticals. Najważniejsze miejsca zostały oznaczone znajomymi symbolami: Twin Towers, wieża Eiffla, Forum Romanum, Tadź Mahal, Buckingham Palace. Była to piękna ozdoba, która każdemu, kto na nią spojrzał, przekazywała informację, iż Garner Pharmaceuticals jest potężną firmą o światowym zasięgu.

Przystanęłam, żeby się jej przyjrzeć.

- Zdjęcie Twin Towers ciągle budzi bolesną pamięć - zwróciłam się do Lowella Drexela. - I chyba tak już zostanie.

- Chyba tak - zgodził się ze mną gładko.

Mocniej ścisnął mnie za łokieć. Innymi słowy: „spadaj wreszcie”.

Przy drzwiach wisiało na ścianie zdjęcie rodzinne szacownego grona, jak przyjął, zarządu Garner Pharmaceuticals. Nawet gdybym chciała poświęcić mu odrobinę więcej uwagi niż tylko przelotne spojrzenie, nie dano mi takiej szansy. Nie zdołałam także wziąć żadnej z ulotek rozłożonych na stole pod fotografią. Drexel wypchnął mnie na korytarz, a potem stanął ze mną przed windą, żeby się upewnić, czy aby na pewno wsiądę.

Wcisnął odpowiedni przycisk i zniecierpliwiał się, że drzwi nie rozsunęły się natychmiast.

Wreszcie winda przyjechała.

- Do widzenia pani.

- Do widzenia panu.

Była to winda ekspresowa, więc znalazłam się na dole w takim właśnie tempie. Odczekałam pięć minut, następnie wsiadłam do tej samej kabiny i pojechałam z powrotem na górę.

Tym razem odwiedziny w Garner Pharmaceuticals zabrały mi kilkanaście sekund.

- Bardzo przepraszam - szepnęłam do recepcjonistki. - Pan Garner nalegał, żebym

wychodząc wzięła ulotki. - Zmrużyłam oko. Między nami kobietami. - Niech pani mnie nie zdradzi, że zapomniałam.

Dziewczyna była młoda.

- Nie ma sprawy - obiecała solennie, gdy szybko zbierałam foldery. Chętnie obejrzałabym dokładniej zdjęcie ważniaków z zarządu, ale usłyszałam głos Charlesa Wallingforda, więc szybko się usunęłam. Tym razem jednak umknęłam za róg i grzecznie czekałam.

Po jakiejś minucie wyjrzałam ostrożnie. Wallingford niecierpliwie wciskał guzik windy.

To by było tyle w kwestii posiedzenia w sali konferencyjnej, co, Charlesie? Jeżeli rzeczywiście właśnie się rozpoczęło, to nie zostałeś zaproszony.

Trzeba przyznać, ranek okazał się, delikatnie mówiąc, interesujący.

* * *

Popołudnie zapowiadało się jeszcze bardziej interesująco. Wracając do biura, sprawdziłam w taksówce wiadomości zostawione na komórce. Jedna z nich była od Casey'a. Gdy poprzedniego wieczoru ode mnie wyszedł, było już za późno, żeby dzwonić do teściów Nicka Spencera, państwa Barlowe, mieszkających w Greenwich. Toteż Casey rozmawiał z nimi dziś rano. Planowali wrócić do domu mniej więcej o piątej, Casey pytał, czy mogłabym do nich zajrzeć o tej porze.

- Ja mam dziś wolne popołudnie - dodał na koniec. - Jeśli chcesz, mogę cię tam zawieźć.

Wypiję sobie drinka z Vince'em, a ty pogadasz z Barlowe'ami. Potem wybierzemy się gdzieś na obiad.

Bardzo mi się ten pomysł spodobał. Nie wszystko trzeba ujmować w słowa. Wczorajszego wieczora, gdy otworzyłam Caseyowi drzwi, odniosłam wrażenie, że coś się między nami zmieniło.

Oboje wiedzieliśmy, do czego zmierzamy, i obojgu nam było to na rękę.

Zadzwoiłam do niego, umówiliśmy się na czwartą, a potem wróciłam do biura i siadłam do pierwszego szkicu sylwetki Nicholas'a Spencera. Miałam dobry pomysł na nagłówek: „Złodziej czy

ofiara?”.

Spojrzałam na jedno z ostatnich zdjęć zrobionych Nickowi tuż przed katastrofą samolotu. Spodobało mi się to, co zobaczyłam. Zbliżenie było duże, wyraźnie pokazywało poważne spojrzenie, zdecydowany wyraz ust bez uśmiechu. Była to fotografia człowieka zatroskanego, ale godnego zaufania.

Właśnie. Godny zaufania. Nie patrzyłam teraz na człowieka, który zrobił na mnie tak ogromne wrażenie podczas tamtej rodzinnej kolacji, nie był to też łajdak, kłamca i oszust, który sfingował własną śmierć.

Myśl ta pociągnęła za sobą lawinę następnych, które zaakceptowałam szybko i bez żadnych wątpliwości. Katastrofa samolotu. Nick podał swoją pozycję kontrolerowi w Portoryko zaledwie kilka minut przed przerwaniem łączności. Ponieważ szalała wtedy gwałtowna burza, ci, którzy uwierzyli w śmierć Spencera, przyjęli, iż w jego samolot trafił piorun. Ci, którzy w nią nie uwierzyli, twierdzili, że wydostał się z samolotu przed katastrofą, którą sam spowodował.

Czy było inne wytłumaczenie? Czy samolot był w dobrym stanie technicznym? Czy Spencer był zdrowy? Każdemu człowiekowi żyjącemu w stresie, nawet zdrowemu mężczyźnie tuż po czterdziestce, poważnie zagraża atak serca.

Podniosłam słuchawkę. Nadszedł czas, aby złożyć wizytę mojej przybranej siostrze Lynn. Zadzwoniłam do niej i powiedziałam, że chciałabym z nią pogadać.

- W cztery oczy - zaznaczyłam.

Właśnie wychodziła i przez telefon sprawiała wrażenie zniecierpliwionej.

- Carley, przez weekend będę w domku gościnnym w Bedford. Przyjechałabyś w niedzielę po południu? Cicho tam i pusto, będziemy mogły spokojnie porozmawiać.

W drodze powrotnej do Bedford Ned zatrzymał się na stacji benzynowej. Dolał paliwa, a potem w całodobowym sklepie tuż obok zrobił zakupy: jakiś napój gazowany, obwarzanki, chleb i masło orzechowe. Takie właśnie jedzenie lubił najbardziej, zwłaszcza kiedy oglądał telewizję, a Annie kręciła się po domu w Greenwood Lake. Nie przepadała za telewizją. Oglądała tylko takie programy jak „Koło fortuny” i zwykle odpowiadała na pytania szybciej niż uczestnicy konkursu.

- Powinnaś do nich napisać i wystąpić w takim programie - namawiał ją. - Wygrałabyś wszystkie nagrody.

- Stałabym tam jak niemota i tyle. Gdyby wszyscy ci ludzie na mnie patrzyli, nie powiedziałabym słowa.

- E tam.

- Wiem, co mówię.

Ostatnio bywało, że wystarczyło mu o niej pomyśleć, a czuł się zupełnie, jakby z nią rozmawiała. Na przykład wtedy, gdy robił zakupy. Już miał płacić za wybrane towary, kiedy usłyszał jej głos. Kazała mu kupić na rano mleko i płatki.

- Powinieneś się prawidłowo odżywiać - tak powiedziała.

Lubił, jak się o niego troszczyła, a nawet kiedy go karciała.

Była z nim, gdy się zatrzymał po benzynę i jedzenie, ale potem, wracając do Bedford, już jej nie widział w samochodzie ani nie czuł jej obecności. Nie widział nawet jej cienia, ale to może dlatego, że zrobiło się ciemno.

Dojeżdżając do posiadłości Spencerów, uważnie rozglądał się wokół, by zyskać pewność, że jest na drodze sam. Dopiero wtedy podjechał pod bramę i wystukał kod. Tamtej nocy, gdy podpalił dom, włożył rękawiczki, żeby nie zostawić odcisków palców na klawiszach. Teraz nie miało to żadnego znaczenia. Zanim na dobre stąd się wyniesie, wszyscy będą wiedzieli, kim jest i co zrobił.

Zaparkował samochód w garażu dla służby, tak jak zaplanował. W środku było górne światło, ale choć wiedział, że nie jest widoczne z drogi, nie chciał go zapalać, żeby niepotrzebnie nie ryzykować. W schowku na rękawiczki samochodu pani Morgan była latarka, ale kiedy wyłączył reflektory, okazało się, że jej nie potrzebuje. Wystarczająco dużo światła księżycy przedostawało się do środka przez okno. Wyraźnie widział poskładane meble ogrodowe. Podszedł do tych długich rozkładanych krzeseł, zdjął jedno i ustawił je pomiędzy samochodem a ścianą z półkami.

Jak się nazywało takie krzesło? Nie kanapa.

- Annie, jak to się nazywa?

- Leżak. - Usłyszał w myślach odpowiedź.

Poduszki do kompletu były na najwyższej półce, więc musiał się trochę natrudzić, żeby jedną ściągnąć. Okazała się ciężka i gruba. Położył ją na leżaku, wypróbował. Było mu równie wygodnie jak w fotelu, w którym ostatnio sypiał. Na razie jednak nie zamierzał jeszcze układać się do snu, więc otworzył butelkę szkockiej.

Gdy w końcu zachciało mu się spać, zrobiło się chłodno, toteż wyjął z bagażnika strzelbę owiniętą w koc i razem z nią ułożył się na leżaku. Dobrze się czuł, mając ją pod ręką. Będą spali razem otuleni jednym kocem.

W garażu był bezpieczny, mógł spokojnie zasnąć.

- Potrzebujesz snu - szeptała Annie.

Obudziwszy się, poznał po cieniach, że nadchodzi wieczór. Przespał cały dzień. Wstał, poszedł pod prawą ścianę garażu, otworzył drzwi do maleńkiej łazienki, w której mieściła się także toaleta.

Nad umywalką wisiało lustro. Ned spojrzął na siebie i zobaczył zaczerwienione oczy oraz zarost na policzkach. Ogolił się nie dalej jak wczoraj, a już miał doskonale widoczną brodę. Kładąc się poprzedniego wieczora, poluzował krawat i rozpiął górny guzik koszuli, ale chyba powinien był

zdjąć garnitur. Teraz pogniecione ubranie wyglądało nieporządnie.

Co za różnica? - spytał sam siebie.

Spryskał twarz zimną wodą i spojrział w lustro ponownie. Odbicie było niewyraźne. Zamiast swojej twarzy widział na zmianę raz oczy Peg, raz oczy pani Morgan. Szeroko otwarte, wytrzeszczone i przerażone. Wtedy, kiedy każda z nich już wiedziała, co się z nią stanie. Kiedy zrozumiała, że przyszedł ją wykończyć.

Za wcześnie jeszcze na jazdę do Greenwood Lake. Jeśli wyruszy z garażu o dziesiątej, to na miejsce dotrze mniej więcej kwadrans po jedenastej. Zeszłego wieczora, gdy czekał na powrót Harników do domu, nie zachował się zbyt rozsądnie, krążąc po okolicy. Gliniarze mogli zwrócić na niego uwagę.

* * *

Napój nie był już zimny, ale mu to nie przeszkadzało. Zjadł chipsy i zaspokoił głód. Nie potrzebował chleba, masła orzechowego ani nawet płatków. Włączył radio samochodowe, odszukał stację nadającą wiadomości. Ani o dziewiątej wieczorem, ani pół godziny później nie było słowa o znalezieniu martwej wścibskiej właścicielki domu w Yonkers. Pewnie gliniarze zadzwonili do drzwi, a ponieważ nie otwierała i samochodu nie było w garażu, doszli do wniosku, że gdzieś pojechała.

Jutro nie zrezygnują tak łatwo. W dodatku jutro jej syn zacznie się zastanawiać, dlaczego tak nagle zamilkła. Ale to będzie jutro.

Za piętnaście dziesiąta przesunął w górę drzwi garażu. Na zewnątrz zrobiło się chłodno, ale był to miły chłód, jaki nastaje po bardzo ciepłym, słonecznym dniu. Postanowił przejść się kawałek, by rozprostować nogi.

Ruszył ścieżką między drzewami, potem przez ogród. Dalej był basen.

Raptem stanął.

Co to?

Spod opuszczonych żaluzji domku dla gości wdzierały się w mrok smugi światła. Ktoś był w środku.

Na pewno nie ci, którzy tutaj dawniej mieszkali. Oni chcieliby wstawić wóz do garażu.

Przemykając od cienia do cienia, minął basen, obszedł rząd iglaków i ostrożnie, krok po kroku zbliżył się do domku dla gości. Jedna z żaluzji w bocznym oknie pozostała nieco uniesiona. Zachowując się tak cicho jak wówczas, gdy w lesie czatował na wiewiórki, Ned podkradł się do tego okna i zajrzał do środka.

Na kanapie zobaczył Lynn Spencer z drinkiem w ręku. Naprzeciwko niej siedział ten sam facet, którego widział na podjeździe tamtej nocy, gdy podpalił dom. Nie słyszał rozmowy, ale po wyrazie ich twarzy poznał, że się czegoś bali.

Gdyby wyglądali na szczęśliwych, natychmiast wróciłby po strzelbę i wykończył ich na miejscu, od ręki. Tymczasem podobał mu się ich strach. Szkoda, że nie słyszał, o czym rozmawiali.

Lynn wyraźnie miała zamiar zostać w domku jakiś czas. Ubrana była w spodnie i sweter, takie ciuchy, jakie bogaci ludzie noszą poza miastem. Niedbale. Tak oni to nazywali. Annie czytała o tych „niedbałych” ubiorach i śmiała się w głos.

- Ja to się dopiero ubieram niedbale! Mam byle jaki fartuch do noszenia tac, wkładam dżinsy i t-shirty, kiedy sprzątam, a jak się zajmuję ogrodem, no to wtedy już jestem ubrana wyjątkowo niedbale!

Zasmuciło go to wspomnienie. Kiedy stracili dom w Greenwood Lake, Annie wyrzuciła grube rękawice ogrodnicze i wszystkie narzędzia. Nie słuchała, gdy wciąż na nowo powtarzał obietnice, że kupi jej nowy dom. Tylko ciągle płakała.

Odwrócił się od okna. Było już późno. Lynn Spencer nie wróci dziś do domu. Jutro też tutaj będzie. Na pewno. Czas jechać do Greenwood Lake i zająć się sprawami zaplanowanymi na tę noc.

Drzwi od garażu otworzyły się bezszelestnie, brama też nie wydała żadnego dźwięku. Para w domku dla gości nie miała pojęcia, że ktoś w ogóle tutaj był.

* * *

Wróciwszy trzy godziny później, Ned wstawił samochód do garażu, zamknął drzwi i położył się na leżaku, razem z bronią. Czuć ją było prochem - cudowny zapach, przywodzący na myśl ogień na kominku. Objął strzelbę, naciągnął koc, opatulił i ją, i siebie, a potem kołysał się lekko, aż zrobiło mu się ciepło i poczuł się bezpiecznie.

Reid i Susan Barlowe mieszkali w domku z białej cegły, postawionym na prześlicznej działce graniczącej z cieśniną Long Island. Do samego domu prowadził kręty podjazd. Casey wysadził mnie przed drzwiami punktualnie o piątej. Miał na mnie zaczekać u przyjaciela Vince'a Alcotta, mieszkającego po sąsiedzku.

Otworzył mi Reid Barlowe, przywitał mnie z kurtuazją i zaprosił do pokoju słonecznego, gdzie czekała jego żona.

- Lubimy patrzeć stamtąd na rzekę - wyjaśnił, prowadząc mnie przez hol.

Gdy weszliśmy, Susan Barlowe akurat ustawiła na stoliku do kawy tacę z kubkiem lodu oraz trzema wysokimi szklankami. Przedstawiliśmy się sobie wzajemnie i poprosiłam ich, by mnie nazywali Carley. Trochę mnie zdziwił ich wiek, na pewno nie przekroczyli sześćdziesiątki. Reid miał czarne włosy dość gęsto przetykane srebrem, natomiast Susan w dalszym ciągu pozostawała ciemną blondynką, leciutko tylko przyprószoną siwizną. Oboje byli przystojni, wysocy i smukli, o pięknych rysach twarzy, zdominowanych przez ogromne oczy. On miał brązowe, ona - niebieskoszare. U obojga czaił się w źrenicach smutek. Nie wiedziałam, czy po stracie córki, która zmarła pięć lat temu, czy po śmierci byłego zięcia, Nicholasa Spencera.

Pokój słoneczny w pełni zasługiwał na swoją nazwę. Popołudniowe słońce sączyło się do wnętrza, dodając ciepłego blasku żółtemu kwiecistemu wzorowi poduszek na wiklinowej kanapie i fotelach. Ściany i podłoga z białego dębu oraz długa skrzynka z kwiatami, biegnąca wzdłuż okien balkonowych dopełniały wrażenia połączenia ogrodu z domem.

Gospodarze nalegali, bym zajęła miejsce na kanapie, z której roztaczał się imponujący widok na cieśninę Long Island. Sami usiedli w dwóch najbliższych fotelach. Z przyjemnością przystałam na szklaneczkę mrożonej herbaty, a potem dłuższą chwilę siedzieliśmy wszyscy w milczeniu, oceniając się wzajemnie.

Podziękowałam państwu Barlowe za zaproszenie i na zapas przeprosiłam, jeśli jakieś moje pytania wydadzą im się obcesowe lub przykre.

W pewnej chwili odniosłam wrażenie, że zaraz zaczną się schody. Gospodarze wymienili spojrzenia, a potem Reid Barlowe wstał i zamknął drzwi pokoju.

- Na wypadek gdybyśmy nie usłyszeli, że Jack wrócił do domu - wyjaśnił, siadając ponownie. - Lepiej, żeby nie słyszał naszej rozmowy.

- Jack oczywiście nie podsłuchuje - dodała pośpiesznie Susan Barlowe. - Biedne dziecko, jest całkiem zagubione. Uwielbiał Nicka. Bardzo cierpiał, słysząc o śmierci ojca, a kiedy wreszcie się z tym uporał, zaczęły się te wszystkie domysły. Teraz bardzo chce uwierzyć w jego ocalenie, ale z drugiej strony, pojawiłoby się wówczas pytanie, dlaczego Nick milczy.

Zdecydowałam się postawić na szczerść.

- Państwo wiedzą, że jestem przyszywaną siostrą Lynn Spencer - powiedziałam.

Oboje pokiwali głowami. Przysięgłabym, że na jej imię zareagowali ledwo widocznym grymasem pogardy, ale może widziałam to, co chciałam zobaczyć.

- Prawda jest taka, że spotkałam Lynn tylko kilka razy w życiu. Nie zamierzam jej bronić ani wybielać. Jestem tutaj jako dziennikarka i chciałabym się od państwa dowiedzieć jak najwięcej o Nicholasie Spencerze. - Opowiedziałam o swoim pierwszym spotkaniu z Nickiem i o tym, jakie wywarł na mnie wrażenie.

Rozmawialiśmy ponad godzinę. Państwo Barlowe kochali Nicholasa. Bez wątpienia. Lata, gdy był mężem ich córki, należały do najszczeńliwszych w ich życiu. Zdiagnozowanie u niej raka pokryło się w czasie z planami przekształcenia firmy dostarczającej medykamenty w farmaceutyczną spółkę badawczą.

- Kiedy Nick dowiedział się, że Janet jest chora i ma niewielkie szansę na powrót do zdrowia, jakby go coś opętało - powiedziała Susan Barlowe szeptem.

Sięgnęła do kieszeni i włożyła okulary przeciwsłoneczne, mówiąc coś o zbyt jaskrawym słońcu. Nie chciała mi pokazać łez, których nie zdołała opanować.

- Ojciec Nicka szukał leku na raka - podjęła - na pewno pani o tym wie. Nick zaczął studiować dokumentację eksperymentów. Jego zainteresowanie mikrobiologią już od jakiegoś czasu przekształciło się w solidną wiedzę. Przeczynał, że ojciec był o krok od wielkiego odkrycia, i dlatego postanowił zebrać pieniądze na założenie Gen-stone.

- Czy państwo zainwestowali w tę firmę?

- Tak - odezwał się Reid Barlowe. - I zrobilibyśmy jeszcze raz to samo. Nie wiem, co poszło źle, ale cokolwiek się nie udało, to na pewno nie dlatego, że Nick postanowił kogokolwiek okraść czy oszukać.

- Czy po śmierci córki nadal utrzymywali państwo bliskie kontakty z Nickiem?

- Jak najbardziej. Napięcia pojawiły się dopiero po jego ślubie z Lynn. - Reid Barlowe zacisnął usta w wąską linię. - Jestem gotów przysiąc, że ożenił się z nią głównie z powodu fizycznego podobieństwa do Janet. Kiedy ją tu po raz pierwszy przyprowadził, ledwo wierzyliśmy własnym oczom. Był to dla nas straszny cios. Jack też nie zniósł tego najlepiej.

- Miał wtedy sześć lat?

- Tak, sześć. Jeszcze bardzo dobrze pamiętał matkę. Po ślubie Lynn i Nicka Jack jak zwykle przyjeżdżał do nas w gości, ale wyjeżdżał coraz bardziej niechętnie. W końcu Nick zaproponował, żebyśmy go tutaj zapisali do szkoły.

- Dlaczego Nick nie rozstał się z Lynn? - zapytałam.

- Moim zdaniem z czasem doszłoby do tego - odrzekła Susan Barlowe. - Był jednak tak zajęty badaniami nad szczepionką, że problemy życia małżeńskiego... czy też jego braku, odsuwał na bok. Przez jakiś czas bardzo się martwił o Jacka, ale odkąd chłopiec zamieszkał z nami i wyraźnie zaczął na nowo odnajdywać radość życia, Nick skoncentrował się na Gen-stone.

- Czy państwo poznali Vivian Powers?

- Nie - odpowiedział Reid Barlowe. - Oczywiście, czytaliśmy o niej ostatnio, ale Nick nigdy o niej nie wspominał.

- Czy Nick napomknął kiedykolwiek o kłopotach ze szczepionką, zwłaszcza wykraczających poza normalne ryzyko, że każdy obiecujący lek może się w ostatnim stadium testów okazać nieskuteczny?

- W ciągu ostatniego roku był wyraźnie zmartwiony. - Reid Barlowe spojrzał pytająco na żonę, która skinęła głową. - Zwierzył mi się, że wziął pożyczkę pod zastaw swoich udziałów w Gen-stone, ponieważ jego zdaniem potrzebne były dalsze badania.

- Wziął pożyczkę pod zastaw własnych udziałów, a nie z funduszu firmy? - upewniłam się.

- Tak. Jesteśmy dobrze sytuowani. Miesiąc przed katastrofą samolotu Nick poprosił nas o pożyczkę na eksperymenty medyczne.

- Pożyczyli mu państwo pieniądze?

- Tak. Nie powiem pani, jaka to była suma, ale wspominam o tym tylko dlatego, żeby się z panią podzielić własną pewnością, iż jeżeli Nick rzeczywiście brał pieniądze z firmy, to na pewno nie do własnej kieszeni, tylko na badania.

- Czy państwo wierzą w jego śmierć?

- Tak. Nick nigdy nie kłamał i na pewno nie porzuciłby syna. - Reid Barlowe ostrzegawczo podniósł dłoń. - Chyba Jack wrócił. Był na treningu drużyny piłki nożnej.

Ktoś przebiegł przez hol i zatrzymał się pod zamkniętymi drzwiami. Potem zastukał w szybę. Reid Barlowe gestem zaprosił chłopca do środka i wstał, żeby go uściskać.

Jack był szczupły, miał włosy obcięte na jeża i ogromne szaroniebieskie oczy. Gdy zostaliśmy sobie przedstawieni, na jego ustach pojawił się nieśmiały słodki uśmiech.

- Miło mi panią poznać - usłyszałam.

W gardle urosła mi wielka gula. Z pamięci wyłoniły się słowa Nicka Spencera. „Jack jest fantastycznym dzieciakiem”. Miał rację. To widać od razu. Fantastyczny dzieciak. I w tym samym wieku, w jakim byłby mój Patrick, gdyby żył.

- Babciu, mogę iść na noc do Bobby’ego i Petera? Będzie pizza. Ich mama pozwoliła.

Państwo Barlowe porozumieli się wzrokiem.

- Jeśli przyrzekniesz, że nie pójdziecie spać bardzo późno - zastrzegła Susan Barlowe. -

Jutro musisz wstać wcześniej.

- Przyrzekam. Naprawdę. Dziękuję, babciu. Obiecałem, że jeśli się zgodzisz, od razu

zadzwonię. - Odwrócił się do mnie. - Do widzenia pani.

Spokojnie doszedł do drzwi, ale gdy tylko je zamknął, puścił się biegiem. Spojrzałam na jego dziadków. Uśmiechali się oboje.

- Jak pani widzi - odezwał się Reid Barlowe - trafiła nam się druga szansa. Znowu mamy dziecko. Najlepsze w tym wszystkim, że rodzice tych bliźniaków, Bobby’ego i Petera, są tylko kilka lat od nas młodszy.

Cisnęła mi się na usta pewna uwaga.

- Jack wygląda na szczęśliwego, choć tyle przeszedł. Gratuluję państwu.

- Ma gorsze dni, nie sposób zaprzeczyć - powiedział Reid Barlowe cicho. - Ale czemu tu się dziwić. Był bardzo związany z ojcem. Najgorsza jest niepewność. Mądry z niego chłopiec.

Wszędzie dzisiaj pełno zdjęć Nicka i wszelkich komentarzy. W radiu, w prasie, w telewizji...

Jednego dnia dziecko boryka się z wiadomością o śmierci ojca, a następnego słyszy, że widziano go w Szwajcarii. Zaczął fantazjować i nic dziwnego. Ma nadzieję, że Nick zdążył przed katastrofą wyskoczyć z samolotu na spadochronie.

Zamieniliśmy jeszcze kilka zdań i zaczęłam się zbierać do wyjścia.

- Bardzo państwu dziękuję. Obiecuję w niedzielę być po prostu jednym z gości, a nie

dziennikarką.

- Cieszę się, że mogliśmy spokojnie porozmawiać - powiedziała Susan Barlowe. -

Postanowiliśmy podać nasze stanowisko do publicznej wiadomości. Nicholas Spencer był człowiekiem uczciwym i oddanym sprawie naukowcem. - Zawahała się. - Tak, mogę go nazwać naukowcem, choć nie miał tytułu naukowego z mikrobiologii. Cokolwiek poszło źle w Gen-stone, na pewno stało się to nie z jego winy.

Oboje odprowadzili mnie do drzwi, a Reid Barlowe je przede mną otworzył.

- Właśnie zdałam sobie sprawę - odezwała się wtedy jego żona - że nawet nie spytałam pani o Lynn. Jak ona się czuje? Doszła już do siebie?

- Prawie.

- Powinnam się do niej odezwać. Szczerze mówiąc, czułam do niej niechęć od samego początku, ale też winna jej jestem wdzięczność. Nie wiem, czy pani wspomniała, że Nick zamierzał zabrać ze sobą Jacka do Portoryko i to ona przekonała go do zmiany planów. Jack był wtedy ogromnie rozczarowany, ale gdyby poleciał z Nickiem, on także zginąłby w katastrofie.

Vince'a i Julie Alcottów, przyjaciół Casey, polubiłam od razu. Vince był z Caseyem na jednym roku na uczelni medycznej imienia Johna Hopkinsa.

- Skąd mieliśmy z Julie tyle odwagi, żeby się pobrać jeszcze na studiach, tego nigdy nie zrozumieć - zaśmiał się Vince. - Trudno mi uwierzyć, że w niedzielę stuknie nam dziesiąta rocznica.

Wypiłam z nimi kieliszek wina. Taktownie nie zadawali żadnych pytań na temat wizyty po sąsiedzku. A ja powiedziałam tylko, że państwo Barlowe są bardzo mili i że cieszę się z poznania Jacka.

Mimo to Casey wyraźnie zdał sobie sprawę, iż nie jestem w nastroju do towarzyskiej rozmowy, bo zaledwie po kilku minutach wstał.

- Komu w drogę, temu czas - obwieścił - Carley musi popracować nad swoim cotygodniowym kącikiem porad. Zobaczymy się w niedzielę.

Aż do Manhattanu jechaliśmy właściwie w ciszy. Mniej więcej kwadrans po siódmej zbliżaliśmy się do centrum.

- Czasami musisz coś zjeść - odezwał się Casey. - Na co miałabyś ochotę?

Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale nagle zdałam sobie sprawę, że istotnie umieram z głodu.

- Na hamburgera. Może być?

P.J. Clarke, sławna w Nowym Jorku restauracja przy Third Avenue, niedawno otworzyła podwoje po gruntownym remoncie. Tam się zatrzymaliśmy.

- Jesteś bardzo niespokojna - zauważył Casey. - Może wyrzucisz coś z siebie?

- Za wcześnie - odrzekłam. - Jeszcze nie wszystko mi się ułożyło w głowie.

- Przeżywasz spotkanie z Jackiem?

Głos miał łagodny. Wiedział, że poznanie chłopca w wieku Patricka jest dla mnie bardzo trudne.

- I tak, i nie - odparłam. - Miły z niego dzieciak.

Przyniesiono nam hamburgery.

- Chyba faktycznie lepiej będzie pogadać - uznałam. - Bo widzisz, dodałam dwa do dwóch i wynik mnie przeraża.

W sobotę rano Ned włączył radio samochodowe. Właśnie zaczynały się wiadomości o siódmej. Słuchał i coraz szerzej się uśmiechał. W Greenwood Lake, w stanie New Jersey, zastrzelono nocą trzy osoby mieszkające tam od dawna. Policja twierdzi, że ich śmierć można powiązać z zabójstwem pani Elvy Morgan zamieszkałej w Yonkers, w stanie Nowy Jork. Najemca mieszkania w jej domu, niejaki Ned Cooper, dawniej właściciel domu w Greenwood Lake, w niedalekiej przeszłości groził trzem ofiarom. Był także podejrzany w sprawie zabójstwa Peg Rice, kasjerki zastrzelonej przed pięcioma dniami. Testy balistyczne w toku. Cooper przemieszcza się najprawdopodobniej albo ośmioletnim brązowym fordem vanem, albo najnowszym modelem czarnej toyoty. Jest uzbrojony i niebezpieczny.

Zgadza się, pomyślał Ned. Uzbrojony i niebezpieczny. Może powinien teraz pójść do domku dla gości i wykończyć Lynn Spencer oraz tego jej przyjaciela, jeśli jeszcze tam był? Nie, lepiej nie. W garażu nic mu nie groziło. Może poczekać. Musiał jeszcze wymyślić, jak dopaść przybraną siostrę Lynn Spencer, tę Carley DeCarlo.

Wtedy już będą mogli spokojnie odpocząć we dwoje z Annie. Wszystko będzie załatwione, zostanie mu tylko jedno: zdejmie buty, skarpetki, położy się na grobie i mocno chwyci strzelbę.

Była taka piosenka, którą Annie często nuciła. „Ostatni taniec zatańcz ze mną...”.

Wziął z samochodu chleb i masło orzechowe i robiąc sobie kanapkę, zaczął podśpiewywać pod nosem. Po chwili uśmiechnął się, bo Annie zaśpiewała razem z nim:

- Ostatni taniec zatańcz ze mną...

W sobotę spałam aż do ósmej i obudziłam się w dużo lepszym stanie, niż zasnęłam. Miałam za sobą bardzo pracowity tydzień, potrzebowałam odpoczynku. W głowie mi się rozjaśniło, ale to akurat nie poprawiło mi samopoczucia, bo przerażały mnie nieuniknione wnioski. Dochodziłam do konkluzji, która powodowała, że z całego serca chciałam się mylić.

Parząc kawę, włączyłam telewizor, żeby złapać najnowsze wiadomości, i usłyszałam zapowiedź informacji o pięciu osobach zastrzelonych w ciągu ostatnich kilku dni.

A potem obito mi się o uszy słowo Gen-stone i od tego momentu z rosnącym przerażeniem słuchałam szczegółów tragedii. Ned Cooper, mieszkaniec Yonkers, sprzedał swój dom w Greenwood Lake bez wiedzy żony, a pieniądze zainwestował w firmę Nicholasa Spencera. Pani Cooper zginęła w wypadku samochodowym, w dniu gdy rozeszła się wieść o bankructwie spółki, a jej akcje straciły wartość.

Na ekranie pokazało się zdjęcie Coopera.

Znam go! pomyślałam. Ja go znam! Gdzieś go widziałam, całkiem niedawno. Na spotkaniu akcjonariuszy? Możliwe, ale niekoniecznie.

Spiker powiedział, że żona Coopera pracowała w szpitalu Świętej Anny w Mount Kisco, a sam Cooper był od lat pod opieką psychiatry w przyszpitalnej klinice.

Szpital Świętej Anny. Tam go widziałam! Tylko kiedy? Byłam w tym szpitalu trzy razy: najpierw dzień po wybuchu pożaru, drugi raz po kilku dniach i wreszcie kiedy rozmawiałam z dyrektorem hospicjum.

Teraz patrzyłam na ogrodzone żółtą taśmą miejsce zbrodni w Greenwood Lake.

- Dom Coopera stał pomiędzy domami państwa Harników i pani Schafley - mówił reporter.
- Sąsiedzi twierdzą, że dwa dni temu Ned Cooper pojawił się tutaj, obwiniając wszystkich troje o spisek, o to, że chcąc się go pozbyć, zadbali, by jego żona nie dowiedziała się wcześniej o

planowanej sprzedaży domu, której by z pewnością nie pochwaliła.

Na ekranie ukazało się miejsce zbrodni w Yonkers.

- Pograżony w smutku syn Elvy Morgan wyznał policji, iż jego matka bała się Neda Coopera. Wymówiła mu mieszkanie od pierwszego czerwca.

Przez cały czas fotografia Coopera widniała w rogu kadru. Patrzyłam na nią w skupieniu.

Kiedy ja go widziałam?

Głos ze studia komentował:

- Trzy dni temu Cooper był przedostatnim klientem w aptece pana Browna. Według Williama Garreta, studenta, który stał za nim w kolejce do kasy, Cooper kupił środki dezynfekujące i maści na poparzoną prawą rękę. Wyraźnie się zirytował, gdy kasjerka, Peg Rice, zwróciła na to uwagę. Garret jest pewien, iż wychodząc z apteki punktualnie o godzinie dwudziestej drugiej, widział Coopera w zaparkowanym nieopodal samochodzie.

Poparzona prawa ręka! Cooper miał poparzoną prawą rękę!

Dzień po wybuchu pożaru byłam w szpitalu u Lynn. Wychodząc, udzieliłam krótkiego wywiadu kanałowi czwartemu. I właśnie wtedy widziałam Coopera. Stał na zewnątrz i przyglądał mi się. Oczywiście!

Poparzona prawa ręka!

Coś mi mówiło, że widziałam go jeszcze kiedyś, ale teraz było to mało ważne. Znałam w czwórcę jedną z producentek, Judy Miller. Zadzwoiłam do niej.

- Judy, głowę daję, że widziałam Coopera przed szpitalem Świętej Anny w dzień po podpaleniu domu Spencerów. Mogłabyś sprawdzić ujęcia pozaplanowe z mojego wywiadu z dwudziestego drugiego kwietnia? Może gdzieś na nich będzie Cooper.

Zaraz potem skontaktowałam się z biurem prokuratora w Westchester County i poprosiłam o połączenie z detektywem Crestem z działu podpaień. Wyjaśniłam mu, z czym dzwonię.

- Sprawdzaliśmy zgłoszenia na oddziale pierwszej pomocy szpitala Świętej Anny. Nikt tam nie widział Coopera, chociaż dobrze go znają - powiedział policjant. - Może nie zgłosił się akurat tam. Damy pani znać, jeśli się czegoś dowiemy.

Przeskakiwałam z kanału na kanał, wylapując różne informacje na temat Coopera i jego żony, Annie. Podobno rozpaczała, kiedy sprzedał dom w Greenwood Lake. Ciekawe, czy wieść o bankructwie Gen-stone miała coś wspólnego z wypadkiem, w którym owa kobieta straciła życie. Czy to przypadek, że ta wiadomość pojawiła się w dniu jej śmierci?

O wpół do dziesiątej oddzwoniła Judy.

- Carley, miałaś rację. Kamera złapała Neda Coopera przed szpitalem podczas wywiadu z tobą.

Pół godziny później odezwał się detektyw Crest.

- Doktor Ryan, lekarz ze Świętej Anny, rozmawiał z Cooperem na szpitalnym korytarzu, we wtorek rano, dwudziestego drugiego. Zauważył na jego dłoni poważne oparzenie. Cooper twierdził, że sparzył się o rozgrzany piekarnik. Dostał od Ryana receptę na maść.

Żał mi było ofiar Coopera, lecz jednocześnie współczułam jemu samemu. On i jego żona także ucierpieli na skutek upadku Gen-stone. Jednej osobie można było jeszcze pomóc.

- Marty Bikorsky nie podpalił domu Spencerów - powiedziałam Crestowi.

- Nieoficjalnie mogę pani zdradzić, że wznawiamy śledztwo - wyznał detektyw. - Za parę godzin wydamy oświadczenie.

- Niech pan to powie całkiem oficjalnie - burknęłam. - Niech pan to wreszcie powie głośno i wyraźnie: Martin Bikorsky nie podłożył ognia.

Od razu zadzwoniłam do Marty'ego. Oglądał najświeższe wiadomości i już był po rozmowie z prawnikiem. W jego ożywionym głosie brzmiała nadzieja.

- Ten świr ma poparzoną rękę! W najgorszym razie na moim procesie pojawią się

przynajmniej uzasadnione wątpliwości. Tak twierdzi adwokat. Carley, czy ty wiesz, co to znaczy?

- Tak, wiem.

- Bardzo nam pomogłaś, ale jedno ci powiem: cieszę się, że nie posłuchałem twojej rady i nie przyznałem się glinom, że w noc pożaru byłem w Bedford. Mój adwokat nadal uważa, że w ten sposób sam bym się podłożył.

- Ja też się z tego cieszę - wyznałam szczerze.

Nie powiedziałam natomiast, dlaczego. Chciałam sobie uciąć pogawędkę z Lynn, zanim wyjdzie na jaw kwestia samochodu zaparkowanego na terenie posiadłości.

Uzgodniliśmy, że będziemy w kontakcie, i w końcu zdobyłam się na zadanie pytania, którego się obawiałam.

- Jak się czuje Maggie?

- Ma lepszy apetyt, więc przybywa jej sił. Kto wie, może zostanie z nami dłużej, niż przewidywali lekarze. Modlimy się o cud.

- Będę się modliła z wami.

- Bo widzisz, ciągle mamy nadzieję, że doczeka dnia, gdy pojawi się skuteczny lek.

- Trzeba w to wierzyć.

Odłożyłam słuchawkę, podeszłam do okna i wyjrzałam. Trudno powiedzieć, żebym miała fantastyczny widok: jedynie rząd domów po drugiej stronie ulicy. Tym razem ich nie dostrzegłam.

Głowę miałam pełną obrazów czteroletniej Maggie i strasznych myśli, że przez podłą chciwość ktoś opóźnia badania nad szczepionką na raka.

W sobotę Ned mniej więcej co godzinę włączał radio samochodowe i słuchał wiadomości.

Cieszył się, że tamtego wieczora Annie namówiła go na kupno jedzenia. Teraz nie mógłby pójść do sklepu. Jego zdjęcie na pewno pokazywano w telewizji i Internecie.

Uzbrojony i niebezpieczny. Tak powiedzieli.

Czasami po kolacji Annie kładła się na kanapie i zasypiała, a on podchodził i ją przytulał.

Otwierała oczy, w pierwszej chwili przestraszona, ale zaraz zaczynała się śmiać.

- Ned, ty jesteś niebezpieczny. Teraz było zupełnie inaczej.

Mleko, przechowywane w cieple, skwaśniało. Wszystko jedno, mógł zjeść płatki na sucho.

Od chwili gdy zastrzelił Peg, odzyskiwał apetyt. Miał wrażenie, że wielki głaz, leżący mu na sercu, zaczął pękać. Gdyby nie miał płatków, chleba i masła orzechowego, poszedłby do domku dla gości, zabił Lynn Spencer i wziął sobie z kuchni coś do jedzenia. Mógłby nawet wyjechać stąd jej samochodem i tyle by go widzieli.

Ale z drugiej strony, gdyby ten przyjaciel wrócił i ją znalazł, zaraz by wiedzieli, że zginął jej samochód. Gliny szukałyby go wszędzie. Rzucił się w oczy, wart był kupę szmalu. Szybko by go znaleźli.

- Nie śpiesz się, Ned - powiedziała Annie. - Odpocznij. Masz czas.

- Wiem - szepnął.

O trzeciej, obudziwszy się z kilkugodzinnej drzemki, postanowił wyjść. W garażu było ciasno, nie miał gdzie się przespacerować, a zaczęły mu już drętwieć nogi. Na dłuższej ścianie znajdowały się zwykłe, małe drzwi. Otworzył je powoli, nadsłuchując, czy na zewnątrz coś się nie dzieje. Wszystko w porządku. W tej części posiadłości nie było nikogo. Dałby w zastaw własną głowę, że Lynn Spencer w życiu tutaj nie dotarła, ale na wypadek jakichś kłopotów zabrał ze sobą strzelbę.

Obszedł domek nad basenem od tyłu, i to z daleka, trzymając się linii drzew oddzielających basen od domku dla gości. Teraz, gdy liście już wyszły z pąków, z domku dla gości nikt by go nie zobaczył, nawet gdyby ktoś patrzył dokładnie w jego stronę.

Widział budynek dokładnie, choć spoglądał między gałęziami. Żaluzje były podniesione, kilka okien otwarto. Srebrny kabriolet Spencerów stał na podjeździe. Dach miał opuszczony. Ned usiadł na ziemi i skrzyżował nogi. Czuł wilgoć, ale mu to nie przeszkadzało.

Ponieważ czas nie miał dla niego znaczenia, nie wiedział, jak długo czekał, aż drzwi domu się otworzyły i wyszła z nich Lynn Spencer. Zamknęła je za sobą na klucz, a potem ruszyła w stronę samochodu. Ubrana była w czarne spodnie i czarno-białą bluzkę. Wyglądała na wystrojoną. Może wybierała się na drinka i proszoną kolację. Wsiadła do wozu, uruchomiła silnik. Cichutki, ledwo go było słychać. Ominęła zgliszcza dużego budynku i wyjechała z posiadłości.

Ned odczekał jeszcze kilka minut, żeby się upewnić, że zniknęła na dobre, a potem szybkim krokiem pokonał otwartą przestrzeń dzielącą go od ściany domku. Skradał się od okna do okna.

Wszystkie żaluzje były podniesione i, o ile dobrze widział, budynek świecił pustkami. Próbował otwierać okna na bocznej ścianie, ale wszystkie były zamknięte. Skoro miał się dostać do środka, musiał zaryzykować i wejść od frontu, gdzie mógł go dojrzeć każdy, kto by się pojawił na podjeździe.

Dłuższy czas czyścił podeszwy, żeby nie zostawić śladów ziemi na parapecie albo wewnątrz. Wreszcie szybkim ruchem pchnął do góry lewe okno od frontu, oparł strzelbę o ścianę i podciągnął się w górę. Siedząc okrakiem na parapecie, sięgnął po broń. Chwilę później zasunął okno dokładnie tak, jak było, zanim je otworzył.

Upewnił się, że nie zostawił nigdzie brudnych śladów, a następnie szybko przeszukał dom.

W dwóch sypialniach na górze też pusto. Teraz na pewno był sam, ale przypuszczał, że Lynn Spencer niedługo wróci, choć była wystrojona. Mogła właściwie wrócić w każdej chwili, na

przykład po jakiś zapomniany drobiazg.

Dotarł akurat do kuchni, gdy rozległ się przenikliwy dzwonek telefonu. Chwycił strzelbę mocniej, położył palec na spuście. Dźwięk zabrzmiał trzy razy, potem włączyła się automatyczna sekretarka. Słuchał wiadomości, przeszukując szuflady. Odezwał się kobiecy głos:

- Lynn, mówi Carley. Dzisiaj wieczorem zaczynam szkicować artykuł, mam do ciebie jeszcze ze dwa pytania. Zadzwoń później. Jeśli cię nie złapię, zobaczymy się jutro o trzeciej. Gdybyś zmieniła plany i wracała do Nowego Jorku wcześniej, daj mi znać. Mój numer komórki 917-555-8420.

Aha, czyli Carley DeCarlo będzie tu jutro, pomyślał Ned. To dlatego Annie poradziła mu zaczekać i dzisiaj odpocząć. Jutro będzie po wszystkim.

- Dziękuję ci, Annie.

Postanowił wrócić do garażu, ale najpierw musiał znaleźć to, czego szukał.

Większość ludzi przechowuje zapasowe klucze gdzieś w kuchni.

W końcu je znalazł. W jednej z ostatnich szuflad. W kopercie. Pewnie, musiały gdzieś tu być. Małżeństwo, które jeszcze niedawno mieszkało w domku, musiało przecież mieć dwa komplety. W drugiej kopercie znalazł następne klucze. Na jednej napisano: „Domek dla gości”, na drugiej „Domek przy basenie”. Dom przy basenie go nie obchodził, więc wziął tylko jeden komplet.

Otworzył tylne drzwi, sprawdził, który klucz do nich pasuje. Jeszcze tylko parę drobiazgów i mógł wracać do garażu. W lodówce znalazł sześć puszek coca-coli, sześć lemoniady i sześć butelek wody mineralnej, ustawionych w rzędach po dwie. Chętnie by się napił, ale wiedział, że ta Spencer od razu by zauważyła, gdyby czegoś brakowało. W jednej z górnych szafek ustawiono pudełka z krakersami, torebki chipsów ziemniaczanych, precelki i puszki orzeszków. Stąd mógł zabrać, co chciał.

Barek też był pełen. Samej szkockiej - cztery nietknięte flaszki. Wziął jedną, stojącą z tyłu.

Nikt nie dostrzeże braku.

Miał wrażenie, że jest w domku dla gości bardzo długo, choć w rzeczywistości minęło zaledwie kilka minut. Tak czy inaczej, musiał zrobić jeszcze jedno. Na wszelki wypadek, gdyby wróciwszy tutaj, zastał kogoś w kuchni, zwolnił blokadę okna w pokoju telewizyjnym.

Idąc korytarzem, zerknął jeszcze na podłogę i schody. Musiał się upewnić, że nie zostawił choćby jednego śladu buta.

- Potrafisz być porządny, jeśli tylko chcesz, Ned - mawiała Annie. Gdy już okno na bocznej ścianie było odblokowane, długimi krokami poszedł do kuchni, a następnie z butelką szkockiej w ręku oraz pudełkiem krakersów pod pachą otworzył tylne drzwi. Zanim je za sobą zamknął, jeszcze się obejrzał. Jego wzrok przyciągnęło mrugające czerwone oko automatycznej sekretarki.

- Zobaczymy się jutro, Carley - powiedział cicho.

Przez całe rano miałam włączony telewizor, ale przykręciłam dźwięk i nastawiałam głośniej tylko wówczas, kiedy pojawiały się nowe informacje na temat Neda Coopera albo jego ofiar.

Wyjątkowo wzruszający był reportaż o jego żonie, Annie. Kilka osób pracujących razem z nią w szpitalu opowiadało o jej zadziwiającej energii, miłym podejściu do pacjentów, o tym, że zawsze brała nadgodziny, jeśli była potrzebna.

Ze wzrastającym współczuciem słuchałam, jak potoczyły się jej losy. Pięć albo sześć dni w tygodniu pracowała w szpitalu, a potem wracała do wynajętego mieszkania w nieciekawej okolicy, gdzie mieszkała z niezrównoważonym mężem. Jediną i ogromną radością jej życia był domek w Greenwood Lake.

- Annie zawsze wiosną nie mogła się doczekać, kiedy zacznie pracować w ogrodzie -

mówiła jedna z pielęgniarek. - Przynosiła zdjęcia... Rzeczywiście, co roku było w tym ogrodzie inaczej i zawsze pięknie. Czasem sobie z niej żartowaliśmy, że się marnuje w szpitalu. Powinna pracować w cieplarni.

Nikommu w szpitalu nie zdradziła, że Ned sprzedał dom. Jakiś czas później na ekranie ukazał się sąsiad, któremu Ned się przechwalał, że jest właścicielem akcji Gen-stone i niedługo kupi Annie taką willę, jaką ma szef Gen-stone w Bedford.

Po tym komentarzu znowu chwyciłam za telefon i zadzwoniłam do Judy z prośbą, by mi przysłała kopię tego wywiadu, łącznie z kopią mojego. Miałam kolejny dowód na bezpośredni związek Neda Coopera z pożarem w Bedford.

Wysyłając pocztą elektroniczną materiał do niedzielnego kącika porad, stale myślałam o Annie. Policja na pewno odwiedzała biblioteki, pokazując wszystkim zdjęcie Neda Coopera, sprawdzając, czy to on wysłał do mnie e-maile. Jeżeli tak, to właściwie się przyznał, że był na miejscu podpalenia. Postanowiłam zatelefonować do detektywa Clifforda z policji w Bedford. W

zeszłym tygodniu z nim właśnie rozmawiałam o listach elektronicznych.

- Właśnie miałem do pani dzwonić - odrzekł Clifford. - Bibliotekarze potwierdzili nam, że Ned Cooper korzystał z publicznych komputerów. Bardzo poważnie traktujemy jego ostrzeżenie, żeby się pani przygotowała na dzień sądu. W jednym z pozostałych dwóch listów wspomniał, że nie odpowiedziała pani na pytanie jego żony, skierowane do kącika porad. Przykro mi to mówić, ale naszym zdaniem jest pani w niebezpieczeństwie.

Nie była to najradośniejsza nowina.

- Proszę rozważyć, czy nie powinna pani wystąpić o ochronę policyjną do czasu, aż złapiemy tego faceta - podsunął mi detektyw Clifford. - Z drugiej strony, godzinę temu kierowca ciężarówki zauważył czarną toyotę z kierowcą przypominającym Coopera na przydrożnym parkingu w Massachusetts. Samochód miał nowojorską rejestrację, tego szofer jest pewien, choć nie zapamiętał numerów. Można to potraktować jako dobrą wiadomość o świeżym tropie.

- Nie potrzebuję ochrony - odparłam szybko. - Ned Cooper nie wie, gdzie mieszkam, a zresztą dzisiaj i jutro prawie nie będę wychodziła.

- Na wszelki wypadek zostawiliśmy wiadomość pani Spencer. Oddzwoniła z Bedford, ma tam pozostać do czasu, gdy schwytamy Neda Coopera. Jest mało prawdopodobne, żeby się pojawił na terenie posiadłości, ale mimo wszystko obserwujemy drogi w sąsiedztwie.

Na koniec obiecał dać znać, gdyby zyskał jakieś nowe wieści o Cooperze.

Zabrałam na weekend do domu opasłą tekę z wszelkimi informacjami na temat Nicka Spencera, więc gdy tylko odłożyłam słuchawkę, wzięłam się do przeglądania papierów. Tym razem interesowały mnie sprawozdania z katastrofy lotniczej i to począwszy od krzykliwych nagłówków po skromne napomknięcia wplecione gdzieś w artykuły na temat bezwartościowych udziałów i szczepionki.

Czytając, zaznaczałam fragmenty tekstu markerem. Wyszło mi co następuje: w piątek,

czwartego kwietnia, o godzinie czternastej, Nicholas Spencer, doświadczony pilot, wystartował swoim prywatnym samolotem z lotniska Westchester County, kierując się do San Juan w Portoryko. Miał tam wziąć udział w weekendowym seminarium poświęconym sprawom firmy i wrócić w niedzielę po południu. Prognozy pogody zapowiadały umiarkowane opady w okolicach San Juan. Żona Spencera podrzuciła go na lotnisko.

Kwadrans przed lądowaniem samolot Nicholasa Spencera zniknął z ekranów radaru. Nic nie wskazywało na to, żeby miał jakiegokolwiek kłopoty, jedynie deszcz przeszedł w gwałtowną burzę. Przypuszczano, że samolot został trafiony piorunem. Następnego dnia fale zaczęły wyrzucać na brzeg fragmenty wraku.

Mechanik, który sprawdzał maszynę tuż przed startem, nazywał się Dominick Salvio. Po wypadku powiedział, że Nicholas Spencer był doskonałym pilotem, który latał już nieraz w najtrudniejszych warunkach, ale przyznał też, że uderzenie pioruna mogło spowodować katastrofę.

Po wybuchu skandalu pojawiły się w prasie pytania dotyczące lotu. Dlaczego Spencer nie skorzystał z samolotu firmowego, którym zwykle latał na spotkania służbowe? Dlaczego liczba połączeń, zarówno odbieranych, jak i wybieranych z jego telefonu komórkowego drastycznie spadła w ciągu kilku tygodni przed katastrofą? Potem, gdy nie odnaleziono ciała, pytania uległy zmianie. Czy katastrofa została spowodowana celowo? Czy Nicholas Spencer był na pokładzie maszyny, gdy ta uległa zniszczeniu? Zawsze jeździł na lotnisko sam. W dniu podróży do Portoryko zawiozła go żona. Dlaczego?

Zadzwoiłam na lotnisko. Dominick Salvio był w pracy, przełączono mnie do niego od razu.

Dowiedziałam się, że kończy zmianę o drugiej. Niechętnie, lecz zgodził się poświęcić mi kwadrans, umówiliśmy się w terminalu.

- Nie dłużej niż kwadrans - zaznaczył. - Mój dzieciak gra dzisiaj w małej lidze, muszę być na meczu.

Zerknęłam na zegarek. Za piętnaście dwunasta, a ja ciągle w szlafroku. Jednym z wielkich luksusów sobotniego poranka, nawet jeśli pracowałam, był brak pośpiechu. Ten jeden dzień w tygodniu nie musiałam biegiem lecieć pod prysznic i ubierać się galopem. W tej sytuacji jednak czas ruszył z kopyta. Nie miałam pojęcia, jaki będzie ruch, więc chciałam sobie zostawić pełne półtorej godziny na drogę do Westchester.

Piętnaście minut później zadzwonił telefon. Mało brakowało, a byłabym go nie usłyszała, bo akurat suszyłam włosy. Zdążyłam odebrać. To był Ken Page.

- Znalazłem twojego pacjenta z rakiem - oznajmił. - Kto to?

- Nazywa się Dennis Holden, ma trzydzieści osiem lat, jest inżynierem i mieszka w Armonk.

- Jak się czuje?

- Nie chciał się spowiadać przez telefon. Niespecjalnie też miał ochotę umawiać się na spotkanie, ale go przekonałem i w końcu zaprosił mnie do siebie.

- A co ze mną? - spytałam. - Obiecałeś mi...

- Spokojnie! Trochę się musiałem wytężyć, ale jedziesz ze mną. Mamy wybór: albo dzisiaj, albo jutro o trzeciej. Który termin ci pasuje? Mnie wszystko jedno, mogę się dostosować. Mam do niego zaraz oddzwonić.

Na jutro byłam umówiona z Lynn, akurat na trzecią. Nie chciałam tego zmieniać.

- Dzisiaj - zdecydowałam.

- Na pewno oglądałaś wiadomości o Cooperze. Pięć osób straciło życie, bo akcje Gen-stone szlag trafił.

- Sześć - skorygowałam. - Jego żona także była ofiarą.

- Masz rację, ona też. Dobrze, zatelefonuję do Holdena i powiem mu, że widzimy się o trzeciej. Dowiem się, jak tam dojechać, i oddzwonię.

Odezwał się znowu po dziesięciu minutach. Zapisałam adres Dennisa Holdena i numer jego

telefonu, dokończyłam suszyć włosy, zrobiłam szybki makijaż i ubrałam się w stalowoniebieski kostium, też kupiony na wyprzedaży posezonowej zeszłego lata. Gotowe.

Pamiętając wszystko, czego się dowiedziałam o Nedzie Cooperze, otworzywszy drzwi budynku, rozejrzałam się wyjątkowo uważnie. W tych starych domach do wejścia prowadzą strome, zwykle dość wąskie schody, innymi słowy, gdyby ktoś chciał wziąć mnie na cel, miałby stosunkowo łatwe zadanie. Tymczasem ulica tętniła życiem jak zwykle. Chodnikiem walił tłum, nie zauważyłam też, żeby ktoś siedział w samochodzie zaparkowanym w pobliżu. Chyba nic mi nie groziło.

Mimo to schody pokonałam biegiem, a trzy przecznice dzielące mnie od garażu przebyłam w ekspresowym tempie. Na dodatek od czasu do czasu skręcałam raptownie, kryjąc się to za tym, to za tamtym spokojnie idącym przechodniem. I cały czas miałam poczucie winy. Bo jeśli Ned Cooper rzeczywiście się na mnie uwziął, to wystawiałam tych ludzi na niebezpieczeństwo.

* * *

Lotnisko Westchester County leżało na obrzeżach Greenwich, miasteczka, w którym byłam niecałe dwadzieścia cztery godziny temu i gdzie miałam ponownie zjawić się jutro, z Caseyem, na przyjęciu u jego przyjaciół. Zaczęło się od rzadko używanego pasa startowego, stworzonego dla wygody bogatych mieszkańców najbliższej okolicy. Z czasem trzeba było zbudować całkiem niemały terminal, a pośród tysięcy korzystających z niego podróżnych byli i tacy, którzy niekoniecznie należeli do tych z lepszymi chodami.

Dominick Salvio odnalazł mnie w holu cztery minuty po drugiej. Okazał się mocno zbudowanym mężczyzną o brązowych, budzących zaufanie oczach i szerokim, szczerym uśmiechu. Robił wrażenie faceta, który dokładnie wiedział, kim jest i czego chce. Podałam mu wizytówkę i od razu wyjaśniłam, że wolę, jak ludzie nazywają mnie Carley.

- No tak - uśmiechnął się mechanik. - Skoro Marcia DeCarlo to Carley, niech Dominick

Salvio będzie Sal. Na tej samej zasadzie.

Ponieważ wiedziałam, że czas ucieka, przeszłam od razu do sedna. Byłam całkowicie szczerą. Powiedziałam, że przygotowuję materiały do artykułu na temat Nicka Spencera, i że go kiedyś poznałam. Potem krótko wyjaśniłam swoje powiązania z Lynn. Przyznałam się, że nie wierzę, by Nick Spencer przeżył katastrofę i ukrył się w Szwajcarii, wypinając się na cały świat.

W tym momencie Sal wpadł mi w słowo:

- Nick Spencer to był święty facet - oznajmił z przekonaniem. - Ze świecą szukać lepszego.

Jakbym dorwał tych łgarzy, co z niego robią złodzieja... Jęzory bym im powyrywał!

- Tu się zgadzamy - odparłam - ale chciałabym się dowiedzieć, jakie wrażenie zrobił na tobie Nick w dniu katastrofy. Bo widzisz, chociaż miał dopiero czterdzieści dwa lata, to nie sposób zaprzeczyć, że przez ostatnie tygodnie żył w ogromnym napięciu. Nawet bardzo młodemu człowiekowi może się zdarzyć atak serca, wykluczający jakąkolwiek reakcję.

- Co fakt, to fakt - zgodził się Sal. - Wszystko jest możliwe. Mnie tylko złości, że oni wszyscy robią taką wrzawę, jakby Nick Spencer był niedzielnym pilotem. A on był dobry, cholernie dobry i do tego niegłupi. W niejednej burzy już latał i wiedział, jak sobie radzić przy złej pogodzie. No, chyba że trafił go piorun, wtedy już niewiele można zrobić.

- Widziałeś Spencera przed startem? A może z nim rozmawiałeś?

- Zawsze sam sprawdzałem jego maszynę, więc widziałem go, ale z nim nie rozmawiałem.

- Wiem, że podrzuciła go tu żona. Widziałeś ją?

- Taaa... Jakiś czas siedzieli w kafejce, tej blisko prywatnych hangarów. Odprowadziła go do samolotu.

- Jakie sprawiali wrażenie? - Zawahałam się, po czym wyjaśniłam szczerze: - Sal, chciałabym wiedzieć, w jakim nastroju Nick Spencer usiadł za stery. Jeżeli na przykład był zdenerwowany, mogło to mieć wpływ na jego kondycję fizyczną albo na koncentrację.

Sal zapatrzył się w przestrzeń za moimi plecami. Wyraźnie szukał najlepszych słów, ale nie dla ostrożności, tylko po to, by powiedzieć całą prawdę. Spojrzał na zegarek. Mój czas kończył się zbyt szybko.

Wreszcie się odezwał.

- Carley, co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem: ci dwoje nigdy nie byli szczęśliwi.

- A tamtego dnia zauważyłeś w ich zachowaniu coś szczególnego? - naciskałam.

- Najlepiej porozmawiaj z Marge. Z kelnerką, która ich obsługiwała.

- Jest dzisiaj w pracy?

- Tak, bierze zwykle długie weekendy, od piątku do poniedziałku. - Ujął mnie pod ramię i

poprowadził przez terminal do kawiarenki. - To jest Marge. - Wskazał mi kobietę po sześćdziesiątce, o babcinym wyglądzie. Zobaczywszy nas, od razu podeszła, szeroko uśmiechnięta. Gdy Sal wyjaśnił, o co chodzi, uśmiech znikł jej z twarzy.

- Pan Spencer był najmiłszym człowiekiem na świecie - oznajmiła. - A jego pierwsza żona, sama słodycz. Nie wiedzieć po co się ożenił z tą oślizgłą górą lodową. W dzień katastrofy musiała mu porządnie zaleźć za skórę. Muszę jej przyznać, że chyba go przepraszała, ale i tak był zły jak osa. Nie słyszałam dokładnie, co mówili, coś mi się tylko obito o uszy, że zmieniła zdanie i postanowiła jednak nie lecieć z nim do Portoryko. On powiedział na to, że gdyby wiedział wcześniej, zabrałby ze sobą Jacka. Jack to syn pana Spencera.

- Jedli coś albo pili? - spytałam.

- Oboje wypili mrożoną herbatę. Wie pani co, dobrze, że ani ona, ani Jack nie polecili tym samolotem. Szkoda tylko, że pan Spencer nie miał tyle szczęścia.

Podziękowałam Marge i wróciłam z Salem do terminalu.

- Na pożegnanie odegrała przed wszystkimi wielką scenę zakończoną słodkim całusem - powiedział mechanik - więc myślałam, że przynajmniej z żoną mu się poukładało. No, ale potem

Marge opowiedziała mi to samo co tobie. Więc myślę, że mógł być zły i może faktycznie popełnił jakiś błąd. To się zdarza najlepszym. Pewnie nigdy się nie dowiemy.

Do Armonk dotarłam trochę za wcześnie, więc jakiś czas siedziałam w samochodzie przed domem Holdena, czekając na Kena Page'a. W pewnej chwili jak automat wystukałam na komórce numer Lynn w Bedford. Chciałam ją zapytać prosto z mostu, dlaczego przekonała Nicka, żeby nie zabierał syna do Portoryko, a potem sama też zrezygnowała z podróży. Czyżby ktoś jej dał znać, że bezpieczniej będzie nie wsiadać do tego samolotu?

Albo wyszła, albo nie miała ochoty odbierać telefonu. Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że tak jest lepiej. Chętnie zobaczę na własne oczy jej reakcję na takie pytanie.

Wykorzystała małżeństwo mojej matki z jej ojcem, zapewniając sobie bezpłatnego rzecznika prasowego w mojej osobie. Odgrywała rolę wdowy pogrążonej w żałobie, troskliwej macochy i zdradzonej żony oszusta. Prawda natomiast wyglądała zupełnie inaczej. Lynn miała w nosie Nicka Spencera, kompletnie jej nie obchodził Jack i na dodatek pewnie cały czas kręciła z Charlesem Wallingfordem.

Podjechał Ken. Zaparkował tuż za moim wozem; wysiadłam i poszliśmy razem. Holden mieszkał w ładnie położonym budyńeczku w stylu elżbietańskim. Dom otaczały kosztowne krzewy, kwitnące drzewa oraz aksamitne trawniki, świadczące o tym, że właściciel był zdolnym inżynierem lub pochodził z bogatej rodziny.

Ken zadzwonił i od razu nam otworzono. Na progu stał szczupły mężczyzna o chłopięcej twarzy, krótko przyciętych brązowych włosach i ciepłych piwnych oczach.

- Nazywam się Dennis Holden - powiedział. - Zapraszam.

W środku dom był równie atrakcyjny jak z zewnątrz. Gospodarz zaprowadził nas do salonu, gdzie przed kominkiem stały naprzeciwko siebie dwie kremowe kanapy. Stary dywan lśnił cudownym połączeniem kolorów: były tam różne odcienie czerwieni, niebieskiego, złota i purpury. Siadłam na jednej z kanap, obok Kena i wtedy przez głowę przemknęła mi myśl, że kilka miesięcy

temu Dennis Holden wyszedł stąd, jak sądził, po raz ostatni. Co czuł, wracając do domu? Trudno było sobie wyobrazić, jakie emocje nim wtedy targaly.

Ken wręczył mu wizytówkę. Poszperałam chwilę w torebce, znalazłam swoją i także podałam Holdenowi. Obejrzał je obie z uwagą.

- Doktor Page... - odwrócił się do Kena. - Czy pan praktykuje?

- Nie. Zajmuję się pisaniem o badaniach medycznych.

Holden przeniósł spojrzenie na mnie.

- Marcia DeCarlo. Czy to pani prowadzi kącik porad finansowych?

- Tak, to ja.

- Moja żona z przyjemnością czyta tę kolumnę.

- Bardzo mi miło.

- Doktorze - zwrócił się znowu do Kena - przez telefon powiedział pan, że zbierają państwo materiał do artykułu o Nicholasie Spencerze. Czy pana zdaniem przeżył on katastrofę samolotu, czy też myli się człowiek, który twierdzi, że widział go w Szwajcarii?

Ken popatrzył na mnie, potem znowu na Holdena.

- Carley rozmawiała z rodziną Spencera. Może niech ona odpowie. Opowiedziałam Holdenowi o wizycie u państwa Barlowe i spotkaniu z Jackiem.

- Z tego co słyszałam o Nicku Spencerze, nigdy nie opuściłby syna. Był z gruntu dobry i całkowicie oddany poszukiwaniom leku na raka.

- To prawda. - Holden pochylił się, oparł ręce na kolanach i złączył czubki palców. - Nick nie był zdolny do sfingowania własnej śmierci. Cóż, uznałem, że jego odejście zwalnia mnie z obietnicy... Czekałem na odnalezienie ciała, ale od katastrofy minął już prawie miesiąc... Może nigdy nie wypłynie.

- Jaką obietnicę pan złożył? - zapytał cicho Ken.

- Obiecałem nie zdradzić nikomu, że jako pacjent hospicjum dostałem od Nicholasasa Spencera szczepionkę antyrakową.

Oboje mieliśmy nadzieję, oboje się spodziewaliśmy, że Dennis Holden otrzymał szczepionkę i że nam o tym powie. Gdy jednak rzeczywiście usłyszeliśmy te słowa padające z jego ust, poczuliśmy się jak na ostatniej prostej kolejki górskiej w wesołym miasteczku. Patrzyliśmy na niego osłupiali. Był szczupły, ale nie chudy. Skórę miał zdrową, o różowym zabarwieniu. Raptem pojęłam, dlaczego ma takie krótkie włosy: dopiero mu odrastały.

Holden wstał, podszedł do kominka i wziął w dłoń ramkę leżącą na gzymsie fotografią do dołu. Podał ją Kenowi, spojrzeliśmy razem.

- To zdjęcie żona zrobiła w czasie kolacji, która miała być moim ostatnim posiłkiem w domu.

Mizerny. Kruchy. Łysy. Siedział przy stole, uśmiechając się słabo. Rozpięta pod szyją koszula wisiała na nim jak na wieszaku. Policzki miał zapadnięte, ręce jak szkielet.

- Schudłem do trzydziestu pięciu kilogramów - powiedział. - Teraz ważę prawie siedemdziesiąt. Miałem raka okrężnicy, byłem operowany, ale nastąpiły przerzuty. Choroba opanowała cały mój organizm. Lekarze uważają za cud, że w ogóle żyję. To rzeczywiście cud. Sprawił go Bóg przez swego posłańca, Nicka Spencera.

Ken nie mógł oderwać oczu od zdjęcia.

- Czy lekarze wiedzą, że dostał pan szczepionkę?

- Nie. I oczywiście nie mają powodu niczego się domyślać. Są po prostu zdumieni, że w ogóle jeszcze chodzę po tym świecie. Pierwszy skutek szczepionki był banalny - żyłem. Potem wróciło uczucie głodu, więc zacząłem jeść. Nick odwiedzał mnie co kilka dni, prowadził szczegółowy dziennik. Jeden egzemplarz miałem ja, drugi on. Tak czy inaczej, kazał mi przysiąc, że będę milczał. Miałem nigdy nie dzwonić do niego do biura i nie zostawiać mu żadnych

wiadomości. Jedynie doktor Clintworth, dyrektor hospicjum, domyśla się prawdy i chociaż zaprzeczałem, raczej mi nie uwierzyła.

- Czy lekarze robili panu prześwietlenia promieniami Roentgena albo badanie rezonansem magnetycznym? - spytał Ken.

- Tak. Doszli do wniosku, że nastąpiła u mnie jedna na trylion spontaniczna remisja. Kilka osób napisało na mój temat prace naukowe. Kiedy pan dzisiaj zadzwonił, w pierwszym odruchu chciałem panu odmówić. Z drugiej strony... regularnie co tydzień czytam „Wall Street Weekly”. Niedobrze mi się robi, kiedy media obrzucają błotem Nicka. Uznałem, że już dość. Nie wiem, czy szczepionka pomoże każdemu, ale mnie wróciła do życia.

- Czy pozwoli nam pan przeczytać ten dziennik?

- Zrobiłem dla was kopię. Z zapisków wyraźnie wynika, że szczepionka zaatakowała komórki zmienione nowotworowo, izolując je i niszcząc. Jednocześnie zainicjowała rozrost zdrowych komórek. Poszedłem do hospicjum dziesiątego lutego. Nick pracował tam jako wolontariusz. Byłem wtedy niezłe zorientowany w możliwościach leczenia nowotworów. Doskonale wiedziałem, kim jest Nick, czytałem o jego eksperymentach. Błagałem go, żeby zechciał wypróbować na mnie szczepionkę. Wstrzyknął mi ją dwunastego lutego. Dwudziestego wróciłem do domu. Od tamtej pory minęło ponad dwa i pół miesiąca. Nie mam raka.

Godzinę później, gdy już mieliśmy wychodzić, otworzyły się drzwi. Weszły piękna kobieta i dwie dziewczynki, ledwie rozkwitające nastolatki. Wszystkie trzy miały cudownie rude włosy. Domyśliłam się w nich żony i córek Holdena. Od razu do niego podeszły.

- Cześć, dziewczyny - powitał je z uśmiechem. - Wczesnie wróciłyście. Zabrakło wam funduszy?

- Nie, nie. Nie zabrakło - odparta żona, biorąc go za rękę. - Stęskniłyśmy się za tobą.

* * *

Ken odprowadził mnie do samochodu. W drodze zamieniliśmy jeszcze kilka zdań.

- Musimy przyjąć, że istotnie mogła to być jedna na trylion samoistna remisja - stwierdził.

- Daj spokój.

- Carley, wszelkie lekarstwa i szczepionki mają różny wpływ na konkretne organizmy.

- Ja wiem tylko, że ten człowiek wyzdrowiał.

- To dlaczego testy laboratoryjne nie dają pozytywnych rezultatów?

- Ken, nie pytasz mnie, tylko siebie. I odpowiedź dostaniesz tę samą: ktoś chciał, żeby szczepionka okazała się nieskuteczna.

- Owszem, brałem pod uwagę taką możliwość i doszedłem do wniosku, że Nicholas Spencer podejrzewał rozmyślną manipulację testami szczepionki. To by tłumaczyło tworzenie nowych laboratoriów w Europie. Holden miał dotrzymać tajemnicy i pod żadnym pozorem nie dzwonić do Nicka, nie zostawiać dla niego wiadomości w biurze. Spencer nie ufał nikomu.

- Ufał Vivian Powers - odrzekłam. - Pokochał ją. Moim zdaniem nie powiedział jej o Holdenie ani o swoich podejrzaniach, bo domyślał się, że ta wiedza może być niebezpieczna. I, jak się okazuje, miał rację. Ken, pojedź ze mną do Vivian Powers, do szpitala, sam ją obejrzyj. Ta dziewczyna nie udaje, a ja zaczynam się domyślać, co się z nią stało.

* * *

Ojciec Vivian Powers, Allan Desmond, siedział w poczekalni tuż obok OIOM-u.

- Zmieniamy się z Jane - powiedział. - Chcemy, żeby zawsze któreś z nas było przy Vivian, kiedy odzyskuje przytomność. Nadal nie bardzo wie, co się z nią dzieje, i jest przestraszona, ale dojdzie do siebie.

- Wróciła jej pamięć? - spytałam.

- Nie. Ciągle ma się za szesnastolatkę. Lekarze przestrzegają, że może nigdy nie przypomnieć sobie zgubionych lat. Będzie musiała pogodzić się z tym faktem, kiedy wydobrzeje na

tylę, by go pojąć. Najważniejsze jednak, że żyje. Niedługo będzie mogła wrócić do domu. Tylko to się liczy.

Wyjaśniłam, że Ken razem ze mną zbiera materiały do publikacji o Spencerze i że jest lekarzem.

- Chcielibyśmy zobaczyć Vivian - powiedziałam. - To ważne. Próbuujemy odgadnąć, co się z nią działo.

- Dobrze, będzie pan mógł ją zobaczyć, doktorze.

Zaledwie po kilku minutach weszła do poczekalni pielęgniarka.

- Pana córka odzyskuje przytomność.

Ojciec Vivian był przy niej, gdy otworzyła oczy.

- Tatusiu - odezwała się cicho.

- Jestem, kochanie. - Ujął w ręce jej dłonie.

- Co mi się stało? Miałam wypadek?

- Tak, słoneczko, ale wszystko będzie dobrze.

- Marcowi nic się nie stało?

- Nie, nic.

- Za szybko prowadził. Mówiłam mu, że jedzie za szybko.

Oczy jej się zamknęły. Allan Desmond spojrzał na mnie i Kena.

- Vivian jako szesnastolatka uczestniczyła w wypadku samochodowym - szepnął. -

Odzyskała przytomność na oddziale pierwszej pomocy.

* * *

Szłam obok Kena szpitalnym parkingiem.

- Znasz kogoś, kogo by można popytać o leki, wpływające na pracę mózgu? - zapytałam.

- Wiem, do czego zmierzasz... Tak, znam kogoś takiego, popytam. Od lat trwa wyścig firm

farmaceutycznych, szukających leku choćby na chorobę Alzheimera, na poprawienie pamięci.

Skutkiem tych wysiłków jest na razie rosnąca wiedza o niszczeniu pamięci. Tajemnicą poliszynela jest, że już prawie od sześćdziesięciu lat używa się takich środków do pozyskiwania wiadomości od schwytanych szpiegów. Dzisiaj te leki są nieskończenie bardziej wyrafinowane. Wystarczy wspomnieć o pigułkach zwanych „pomocnikami gwałciciela”. Są bezwonne i bez smaku.

Pozwoliłam sobie wyrazić podejrzenie, które już od jakiegoś czasu formowało mi się w głowie.

- Ken, posłuchaj mnie uważnie i spróbuj wykazać nieścisłości. Moim zdaniem Vivian

Powers w panice uciekła do domu sąsiadki, ale nawet stamtąd bała się wezwać pomoc. Wzięła cudzy samochód, nie zdołała jednak uciec. Została naszpikowana lekami niszczącymi pamięć krótkotrwałą, bo ktoś chciał się dowiedzieć, czy Nick Spencer przeżył katastrofę. W biurze sporo ludzi zdawało sobie sprawę z łączącej ich więzi. Porywacz oczekiwał, że Nick, jeśli żyje, odpowie na telefon Vivian. Ponieważ się nie odezwał, zaaplikowano jej specyfik usuwający najświeższe wspomnienia i zostawiono w samochodzie niedaleko domu.

* * *

Godzinę później znalazłam się w domu i od razu włączyłam telewizor. Neda Coopera nadal nie złapano. Jeżeli rzeczywiście pojechał w okolice Bostonu, może tam udało mu się znaleźć jakąś kryjówkę. Odniosłam wrażenie, że szuka go każdy policjant w stanie Massachusetts.

Zadzwoiła mama. Była wyraźnie zmartwiona.

- Carley, ostatnie dwa tygodnie prawie nie rozmawiałyśmy, to do ciebie niepodobne. Biedny Robert także nie ma właściwie żadnych wiadomości od Lynn, ale to u nich nie taka znowu nowość.

Czy stało się coś złego, kochanie?

Mnóstwo, mamusi, pomyślałam. Na szczęście nie między nami.

Oczywiście nawet się nie zająknęłam na temat prawdziwej przyczyny moich niepokojów.

Zasłaniałam się brakiem czasu, tłumacząc, że zbieranie materiałów okazało się zajęciem przynajmniej na dwa równoległe etaty. Mało z krzesła nie spadłam, gdy zaproponowała, żebyśmy w któryś weekend przyjechały obie z Lynn, w ramach rodzinnej sielanki.

Kiedy się rozłączyłyśmy, zrobiłam sobie kanapkę z masłem orzechowym i zaparzyłam kubek herbaty. Postawiłam go na tacy i usiadłam przy biurku, na którym piętrzyły się zapiski o Nicholasie Spencerze oraz wycinki z gazet na temat katastrofy samolotu. Pracowałam kilka godzin. Wreszcie zebrałam wszystkie materiały, uporządkowałam i schowałam do teczki. Dla odmiany zajęłam się ulotkami informacyjnymi, które zabrałam z Garner Pharmaceuticals. Uznałam, że warto się przekonać, czy są jakieś odniesienia do Gen-stone. Mniej więcej w środku stertki zrobiło mi się gorąco z wrażenia. Widziałam to w recepcji, zostało mi w podświadomości.

Długi czas, może nawet pół godziny, siedziałam nad drugim kubkiem herbaty, popijając ją małymi łydkami, choć dawno wystygła.

Miałam w ręku klucz do wszystkich wydarzeń. Czułam się zupełnie tak, jakbym po otwarciu sejfów znalazła w nim wszystko, czego szukałam.

Albo jakbym właśnie ułożyła trudny pasjans. Może to lepsze porównanie, bo w kartach jest joker i w większości gier ma znacznie większe prawa niż jakakolwiek inna karta. W talii używanej do tej rozgrywki jokerem była Lynn, której pojawienie się zmieniło i jej życie, i moje.

Wróciwszy z domku dla gości, Ned usiadł w samochodzie i popijał szkocką, słuchając wiadomości o sobie, nadawanych przez radio. Podobało mu się słuchanie o sobie, ale nie chciał wyczerpać akumulatora. Po jakimś czasie zdrzemnął się i w końcu zasnął.

Obudził się nagle, usłyszawszy samochód zbliżający się podjazdem dla służby. Chwycił strzelbę. Jeżeli to gliniarze, jeżeli go wytropili, przynajmniej odstrzeli paru, zanim go wykończą.

Jedno z okien wychodziło na drogę, lecz nic przez nie nie widział. Za dużo przy nim postawiono krzeseł. W sumie bardzo dobrze, bo oznaczało to, że nikt nie zajrzy do wnętrza i nie zobaczy samochodu.

Odczekał prawie pół godziny, ale nikt więcej się nie pojawił. Wtedy coś mu się przypomniało - i już wiedział, kto to przyjechał: na pewno ten przyjaciel Lynn Spencer, który był tutaj w noc pożaru.

Ned postanowił sprawdzić, czy się nie pomylił.

Ze strzelbą wetkniętą pod ramię bezszelestnie otworzył boczne drzwi garażu i ruszył znajomą już drogą do domku dla gości. W miejscu, gdzie małżeństwo opiekujące się domem Spencerów zwykle zostawiać swój samochód, stał ciemny sedan. Żaluzje w domku były opuszczone, tylko jedna, ta przez którą zaglądał poprzedniej nocy, pozostała odrobinę podciągnięta. Pewnie się zacinała. Okno było nadal otwarte, więc przykucnął i zajrzał do środka, do salonu, gdzie Lynn Spencer siedziała wczoraj z tym facetem.

No i byli, jak najbardziej, tylko że teraz towarzyszył im ktoś jeszcze. Ned słyszał trzeci głos, męski, ale nie widział twarzy. Jeżeli przyjaciel Lynn Spencer i ten trzeci pozostaną tutaj do jutra, do wizyty tej DeCarlo, no to będą mieli pecha. Jemu tam wszystko jedno. Żadne z nich nie zasługiwało, żeby żyć.

Wyteżał słuch, chcąc się zorientować, o czym rozmawiają. Akurat wtedy Annie powiedziała

mu, że powinien wrócić do garażu i się przespać.

- I nie pij więcej - dodała.

- Ale...

Zacisnął usta. Odezwał się do Annie na głos, ostatnio robił to coraz częściej. Ten trzeci, który akurat coś mówił, i przyjaciel Lynn Spencer niczego nie usłyszeli, ale ona podniosła dłoń, nakazując ciszę.

Na pewno powiedziała, że usłyszała coś podejrzanego. Ned wziął nogi za pas i kiedy otworzyły się frontowe drzwi, był już daleko za rzędem iglaków. Nie widział twarzy faceta, który wyszedł z budynku i popatrzył w obie strony, a potem szybko wrócił do wnętrza. Zanim zamknął za sobą drzwi, powiedział głośno:

- Lynn, ty już masz urojenia.

Wcale nie, pomyślał Ned. Tym razem usta miał zamknięte i bardzo cicho wrócił do garażu.

Dopiero tam, otworzywszy butelkę szkockiej, zaczął się śmiać.

Odezwał się, bo miał zamiar powiedzieć Annie, że może pić, przecież nie bierze już żadnych lekarstw.

- Ciągle zapominasz, Annie - oświadczył. - Ciągle o tym zapominasz.

W niedzielę rano wstałam wcześniej. Po prostu nie mogłam spać. To prawda, obawiałam się konfrontacji z Lynn. Poza tym miałam dziwne przeczucie, że stanie się coś strasznego. Wypiłam jedną szybką małą czarną, wciągnęłam na siebie spodnie oraz lekki sweter i poszłam do katedry.

Właśnie zaczynała się msza o ósmej, przysiadłam więc w ławce.

Modliłam się za ludzi, którzy stracili życie z ręki Neda Coopera, którzy umarli dlatego, że ten człowiek zainwestował w Gen-stone. Modliłam się za wszystkich chorych, którzy umrą, ponieważ doszło do sabotażu szczepionki Nicka Spencera. I za Jacka Spencera, za dziecko, które miało naprawdę kochającego ojca. I za mojego chłopczyka, Patricka. Jest między aniołkami.

Jeszcze nie minęła dziewiąta, kiedy wierni się rozeszli. Ja nadal byłam niespokojna.

Poszłam do Central Parku. W ten wspaniały majowy poranek, zapowiadający dzień pełen słońca, pod kwitnącymi drzewami już ludzie spacerowali, jeździli na rolkach i na rowerach. Inni rozkładali koce na trawie, szykując się do pikniku lub opalania.

Znowu pomyślałam o ludziach takich jak ci z Gen-stone, którzy w ubiegłym tygodniu byli jeszcze między żywymi, a teraz już odeszli. Czy przeczuwali, że ich czas się kończy? Mój tata wiedział. Wrócił od drzwi i pocałował mamę, dopiero potem wyszedł na codzienny poranny spacer. Nigdy wcześniej tego nie robił.

Skąd takie myśli w mojej głowie?

Chciałam, żeby ten dzień zniknął, żeby czas minął lotem błyskawicy, żeby już przyszedł wieczór, a ja spotkałabym się z Caseyem. Dobrze nam było razem. Wiedzieliśmy o tym oboje. Wobec tego, skąd brał się we mnie ten przytłaczający smutek, kiedy o nim myślałam? Zupełnie, jakbyśmy mieli podążyć w przeciwne strony, jakby nasze drogi znów miały się rozejść.

Zawróciłam w stronę domu i po drodze zajrzałam jeszcze do pobliskiej knajpki na kawę i bułkę.

Automatyczna sekretarka mrugała, okazało się, że dzwonił Casey, dwa razy. Cudownie.

Poprzedniego wieczora był na meczu z kolegą, który miał abonamentowe miejsca na stadionie, więc się nie widzieliśmy i nie słyszeliśmy.

Oddzwoniłam od razu.

- Zaczynałem się martwić - powiedział. - Carley, ten Cooper ciągle jeszcze jest na wolności.

Niebezpieczny typ. Nie zapominaj, że napisał do ciebie trzy razy!

- Nie martw się, jestem ostrożna. Na pewno nie ma go w Bedford i wątpię, żeby był w Greenwich.

- Zgoda. Raczej nie ma go w Bedford. Pewnie szuka Lynn Spencer w Nowym Jorku. Policja z Greenwich obserwuje dom państwa Barlowe. Jeżeli facet wini Nicka Spencera za niepowodzenie szczepionki, to może na przykład chcieć skrzywdzić jego syna.

Szczepionka jest jak najbardziej w porządku, chciałam powiedzieć. Ale nie. Nie teraz, nie przez telefon.

- Carley - podjął Casey - chętnie bym cię podrzucił dzisiaj do Bedford i zczekał tam na ciebie.

- Nie, nie - wyrwało mi się spiesźnie. - Nie wiem, ile czasu zajmie mi rozmowa z Lynn, a ty powinieneś być na przyjęciu na czas. Pojadę sama. Widzisz, Casey, nie chcę teraz wchodzić w szczegóły, ale dowiedziałam się wczoraj czegoś, co może prowadzić do oskarżenia o zbrodnię.

Szczerze mówiąc, modłę się, żeby Lynn nie była w to uwikłana. Jeżeli coś wie albo podejrzewa, powinna teraz o wszystkim mi powiedzieć. Muszę ją do tego przekonać.

- Bądź ostrożna. - A potem powtórzył słowa, które po raz pierwszy usłyszałam z jego ust tamtej nocy: - Kocham cię.

- Ja ciebie też kocham - szepnęłam.

Wzięłam prysznic, umyłam włosy i umalowałam się staranniej niż zwykle. Wskoczyłam w

jasnozielony jedwabny komplet: spodnie plus żakiet. Jeden z tych ciuchów, w których zawsze dobrze się czuję, a w dodatku ludzie mi mówią, że dobrze wyglądam. Kolczyki i naszyjnik, które zwykle wkładam do tego kostiumu, na razie wrzuciłam do torebki. Wydawały mi się zbyt odświętne jak na tę wizytę. W końcu miałam tylko porozmawiać ze swoją przyszywaną siostrą. W uszy włożyłam zwykłe złote kolczyki.

O pierwszej czterdzieści pięć wsiadłam do samochodu i ruszyłam do Bedford. Za dziesięć trzecia wcisnęłam dzwonek przy bramie i Lynn otworzyła mi ją z domku dla gości. Podobnie jak w zeszłym tygodniu, gdy rozmawiałam z Gomezami, okrążyłam zgliszcza domu, by zaparkować obok mniejszego budynku.

Wysiadłam z samochodu, stanęłam na progu, przycisnęłam guzik dzwonka.

Lynn otworzyła mi drzwi.

- Chodź, Carley - powiedziała. - Czekałam na ciebie.

O drugiej po południu Ned znalazł sobie odpowiednie miejsce za drzwiami w pobliżu domku dla gości. Kwadrans później na podjeździe prowadzącym od wejścia dla służby pojawił się jakiś mężczyzna, którego nigdy dotąd nie widział. Nie wyglądał na glinę. Miał na sobie zbyt drogie ubranie; granatowa marynarka, beżowe spodnie i rozpięta pod szyją koszula cuchnęły szmałem na kilometr. W dodatku jego ruchy zdradzały człowieka, który uważa, że świat leży u jego stóp. No, koleś, jeśli nie zwiniesz się stąd w ciągu godziny, to ty będziesz leżał u stóp, pomyślał Ned.

Ciekawe, czy to ten sam, co tu zajrzał wczoraj wieczorem? Nie przyjaciel, tylko ten drugi? Możliwe. Był podobnie zbudowany.

Dzisiaj Ned całkiem wyraźnie widział obok siebie Annie. Wyciągała do niego rękę.

Wiedziała, że do niej przyjdzie.

- Już niedługo, Annie - szepnął. - Daj mi jeszcze te dwie godziny, dobrze?

Głowa go bolała potwornie, po części dlatego, że wykończył butelkę szkockiej, a po części z tego powodu, że nie wymyślił jeszcze, jak po wszystkim dostanie się na cmentarz. Nie mógł pojechać toyotą, bo gliny jej szukały. A bryka Lynn Spencer za bardzo przyciągała wzrok. Od razu ktoś by zwrócił na nią uwagę.

Obserwował faceta, który podszedł do budynku i zapukał w drzwi. Otworzyła mu Lynn Spencer. Ned uznał, że gość jest sąsiadem, który zajrzał z wizytą. Wszystko jedno, tak czy inaczej: albo znał kod otwierający wejście dla personelu, albo wpuściła go, otwierając bramę z domku. Pół godziny później, za dziesięć trzecia, jakiś samochód wjechał główną bramą i zaparkował przed domkiem dla gości.

Ned obserwował młodą kobietę wysiadającą z wozu. Rozpoznał ją od razu: Carley DeCarlo. Przyjechała punktualnie, może trochę za wcześnie. Wszystko szło zgodnie z planem.

Tylko ten nowy facet ciągle siedział w środku. Jego strata.

DeCarlo była wystrojona, jakby szła na jakieś przyjęcie. Miała na sobie piękne ubranie, chciałby takie kupić Annie.

Tę kobietę stać na takie luksusy. I nic dziwnego, w końcu przecież jest jedną z nich, jedną z tych oszustów, co to zgarniają cudze pieniądze, doprowadzają Annie do rozpacz, a potem mówią: „To nie moja wina! Ja też jestem ofiarą”.

Dobre sobie! I pewnie dlatego jeździsz sportową ciemnozieloną acurą i ubierasz się w ekstraciuchy, na które musiałaś wywalić furę szmalu.

Annie zawsze mówiła, że gdyby mogli sobie pozwolić na nowy samochód, chciałyby mieć ciemnozielony.

- No bo pomyśl - tłumaczyła Nedowi. - Czarny zawsze jest trochę przerażający. Większość granatowych wygląda jak czarne, więc właściwie nie ma różnicy. Natomiast ciemnozielony... To samochód z klasą, a jednocześnie ma swój wdzięk. Pamiętaj, jak wygrasz na loterii, idź i kup mi ciemnozielony samochód.

- Annie, kochanie moje, nie kupiłem ci samochodu, ale dzisiaj przyjadę do ciebie ciemnozielonym wozem - powiedział Ned. - Cieszysz się?

- Och, Ned! - Roześmiała się.

Była blisko. Pocałowała go i pomasowała mu kark, jak zwykle wtedy, kiedy czuł się z jakiegoś powodu podenerwowany, na przykład jeśli starł się z kimś w pracy.

Podchodząc do budynku, zostawił strzelbę opartą o pień drzewa, teraz po nią wrócił i zastanawiał się, co dalej. Chciał się dostać do środka. W ten sposób zyskałby większą szansę, że nikt nie usłyszy strzałów.

Na czworakach posuwał się wzdłuż krzewów, aż dotarł pod boczną ścianę domu i znalazł się pod oknem pokoju telewizyjnego. Dzisiaj drzwi prowadzące do salonu były prawie całkiem

zamknięte, więc nie mógł tam zajrzeć. Natomiast doskonale widział faceta, który zjawił się tu jako pierwszy gość. Był w pokoju telewizyjnym. Stał za drzwiami.

- Carley DeCarlo raczej nie wie, że on tu jest - powiedziała Annie. - Ciekawe, dlaczego.

- Możemy się dowiedzieć - odrzekł Ned. - Mam klucz od kuchennych drzwi. Wejdziemy.

Lynn była naprawdę piękną kobietą. Zwykle nosiła włosy gładko zaczesane do tyłu i upięte w kok, ale dzisiaj złote pasma otaczały jej twarz, łagodząc nieco lodowaty błękit kobaltowych oczu. Miała na sobie idealnie dopasowane białe spodnie i białą jedwabną bluzkę. A ja się obawiałam, że będę wyglądała zbyt elegancko! Ona najwyraźniej nie miała takich zahamowań. Włożyła też biżuterię; wąski złoty naszyjnik lśniący diamentami, złote kolczyki ozdobione tymi samymi kamieniami oraz jeden pierścionek - także z diamentem. Ten sam, który zauważyłam na pamiętnym zebraniu akcjonariuszy.

Obdarzyłam ją szczerym komplementem, a ona rzuciła od niechcienia coś o tym, że za jakiś czas wybiera się na przyjęcie po sąsiedzku. Poszłam za nią do salonu. Byłam tutaj w ubiegłym tygodniu, ale nie miałam zamiaru jej o tym informować. Na pewno nie spodobałaby jej się wiadomość, że wypytywałam Manuela i Rosę.

Usiadła na kanapie, lekko pochylona, tylko tyle, żeby brakiem sztywności dać znać, iż oczekuje relaksującej pogawędki. Jednocześnie było zupełnie jasne, że nie jestem niecierpliwie wyczekiwany gościem. Wprawdzie nie miałam ochoty na nic do picia, nawet wodę, ale mogła zdobyć się chociaż na pozory gościnności i coś mi zaproponować. Zrozumiałam oczywiście zawarte w tym przesłanie, które brzmiało: „Mów swoje i zjeżdżaj”.

Jak sobie chcesz, pomyślałam. Wzięłam głęboki oddech.

- Lynn, nie jest mi łatwo. Szczerze mówiąc, przyjechałam tu i chcę ci pomóc tylko dlatego, że moja mama wyszła za twojego ojca.

Skupiła na mnie wzrok i skinęła głową. No dobra, porozumienie osiągnęłyśmy.

- Nie przepadamy za sobą - podjęłam - i nie ma sprawy, nie musimy się kochać. Ale wykorzystyłaś powiązania rodzinne... jeśli można to tak nazwać i powołałaś mnie na swojego rzecznika. Odgrywałaś wdowę w żałobie, niemającą pojęcia, jakim człowiekiem był jej mąż,

macochę kochającą pasierba, kobietę, która straciła środki do życia oraz przyjaciół i znalazła się na krawędzi załamania. Ale to wszystko tylko gra.

- Naprawdę? - zdziwiła się uprzejmie.

- Tak sędzę. Nick Spencer w ogóle cię nie obchodził. W jednym tylko nie skłamałaś: ożenił się z tobą, bo przypominałaś mu pierwszą żonę. To prawda. Ale wszystko jedno, nie po to tu przyjechałam. Chcę cię ostrzec. Niedługo rozpocznie się dochodzenie, mające wyjaśnić, dlaczego nagle pojawiły się problemy ze szczepionką. Ja wiem, że ten środek działa. Wczoraj na własne oczy widziałam żywy dowód. Poznałam człowieka, który trzy miesiące temu stał na progu śmierci, a teraz nie ma ani jednej komórki nowotworowej.

- Kłamiesz! - warknęła.

- Nie kłamię. Ale nie to jest najważniejsze. Chcę ci powiedzieć coś innego: wiemy, że Vivian Powers została porwana i naszpikowana lekami powodującymi zanik pamięci.

- Co za bzdura!

- To nie bzdura. Tak samo jak fakt, że notatki doktora Spencera zostały skradzione doktorowi Broderickowi, u którego Nick je przechowywał. I ja wiem, kto je ukradł. Wczoraj znalazłam jego zdjęcie wśród członków zarządu Gafner Pharmaceuticals. To Lowell Drexel.

- Lowell? - W jej głosie brzmiało zdenerwowanie.

- Doktor Broderick powiedział mi, że notatki starszego Spencera wziął od niego człowiek o rudawobrązowych włosach. Nie domyślił się, że były farbowane, bo zrobiono to naprawdę bardzo dobrze. Oto zdjęcie z zeszłego roku, kiedy Drexel nie był siwy. Zamierzam powiadomić o tym prowadzących śledztwo. Doktor Broderick o mało nie stracił życia w wypadku samochodowym, który niekoniecznie był wypadkiem. W każdym razie ja mam ogromne wątpliwości. Na szczęście ranny wraca do zdrowia i policjanci pokażą mu to zdjęcie. Przypuszczam, że kiedy już zidentyfikuje Drexela, policja zacznie się też bliżej interesować katastrofą samolotu. Pokłóciłaś się

z Nickiem w kafejce na lotnisku, tuż przed startem. Kelnerka usłyszała, jak pytał cię, dlaczego w ostatniej chwili zmieniłaś zdanie i z nim nie lecisz. Powinnaś mieć odpowiedź na to pytanie, kiedy zada ci je policja.

Lynn była wyraźnie zdenerwowana.

- Staralam się naprawić nasze małżeństwo... Dlatego zamierzałam z nim lecieć. Poprosiłam go też, żeby zabrał ze sobą Jacka innym razem. Zgodził się, chociaż bez entuzjazmu. Ale przez cały piątek był dla mnie tak nieprzyjemny, że kiedy mieliśmy jechać na lotnisko, postanowiłam jednak nie brać walizki. Nie powiedziałam mu o tym od razu, dopiero w drodze, stąd jego wybuch. A mnie nie przyszło do głowy, że mógłby w ostatniej chwili wpaść po Jacka i zabrać go ze sobą.

- Kiepska ta twoja historyjka - oceniłam. - Chcę ci pomóc, ale wcale mi nie ułatwiasz zadania. Wiesz, nad czym policja zacznie się zastanawiać w następnej kolejności? Na przykład nad tym, czy przypadkiem w kafejce na lotnisku nie wrzuciłaś Nickowi czegoś do szklanki. Sama zaczynam o tym myśleć.

- Jesteś śmieszna!

- Moim zdaniem twoja sytuacja jest bardzo poważna. Policja skoncentrowała się na Nicku. Masz sporo szczęścia, że do tej pory nie znaleziono jego ciała. Kiedy rozejdzie się wieść, że szczepionka jednak działa, kierunek śledztwa się zmieni, a wtedy twoja sytuacja będzie bardzo nieciekawa. Dlatego jeżeli wiesz o czymś, co się działo w laboratorium, choć nie powinno było mieć miejsca, albo jeśli ktoś ci podszeptał, żebyś nie wsiadała wtedy do samolotu z Nickiem, lepiej sobie wszystko przypomnij i idź na ugodę z prokuratorem.

- Carley, musisz zrozumieć, że ja kochałam Nicka. Naprawdę chciałam naprawić nasze małżeństwo. Wszystko przekręcasz.

- Nie, Lynn, to bez sensu. Czegoś takiego mi nie wmówisz. Ten świr, Ned Cooper, który powystrzelał tylu ludzi, ma na sumieniu także podpalenie waszego domu. Tego jestem pewna.

Widział jakiegoś mężczyznę wychodzącego z domu. Napisał mi o tym w liście elektronicznym, który przekazałam policji. Moim zdaniem romansujesz z Wallingfordem, a kiedy to wyjdzie na jaw, twoje alibi nie będzie wiele warte.

- Ja romansuję z Charlesem? - Zaczęła się śmiać. Wydawała z siebie zduszone piskliwe dźwięki, pozbawione wesołości, za to wskazujące na zdenerwowanie. - Carley, przeceniłam twoją inteligencję. Charles jest tylko tchórzliwym złodziejem, okradającym własną firmę. Robił to już wcześniej, dlatego synowie nie chcą go znać, a potem, kiedy zdał sobie sprawę, że Nick zaciąga pożyczki pod zastaw własnych akcji, zaczął okradać także Gen-stone. Postanowił uszczknąć coś dla siebie, defraudując fundusze przeznaczone dla dostawczej gałęzi spółki.

Patrzyłam na nią twardo.

- Pozwolono mu kraść! Wiedziałaś, że kradnie, i nic nie zrobiłaś?

- Carley, to naprawdę nie był jej problem - odezwał się niski, męski głos.

Zza moich pleców.

Zabrakło mi tchu i aż podskoczyłam ze strachu. W drzwiach stał Lowell Drexel. Miał broń.

- Siadaj - powiedział cicho, głosem wypranym z emocji.

Kolana nagle mi zmiękły, osunęłam się na fotel i pytająco spojrzałam na Lynn.

- Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie - westchnęła. - Naprawdę bardzo mi przykro, ale...

- Spojrzała na coś za mną, w głębi pokoju, oczy jej się rozszerzyły, a pogardliwy wyraz twarzy zmienił się w grymas przerażenia.

Odwróciłam głowę. Na progu jadalni stał Ned Cooper. Włosy miał w straszliwym nieładzie, na twarzy trzydniowy zarost, ubranie wymięte i brudne, a w oczach o rozszerzonych źrenicach malowało się szaleństwo. W dłoniach trzymał strzelbę. Na moich oczach uniósł ją i pociągnął za spust.

Huk wystrzału, gryzący zapach prochu, ostry krzyk Lynn, łoskot padającego na ziemię ciała

Drexela. Odebrałam to wszystkimi zmysłami.

Troje! Przeleciało mi przez głowę. Troje w Greenwood Lake, troje w tym pokoju. Zabije mnie!

- Proszę... - mamrotała Lynn. - Błagam...

- E, tam. Niby dlaczego miałabyś żyć? - zapytał Ned Cooper. - Wszystko słyszałem. Jesteś wredna.

Wymierzył. Ukryłam twarz w dłoniach.

- Bła...

Znowu wystrzał, znowu proch i wiedziałam, że Lynn jest martwa. Teraz moja kolej. Teraz mnie zabije. Czekałam na uderzenie kuli.

- Wstawaj. - Potrząsnął mnie za ramię. - Rusz się. Bierzemy twój wózek. Przyfarcilo ci się.

Pożyjesz jeszcze z pół godziny.

Z trudem stanęłam na nogach. Nie mogłam spojrzeć na kanapę. Nie chciałam widzieć ciała Lynn.

- Nie zapomnij kluczyków - powiedział ze straszliwym spokojem.

Torebka leżała na podłodze, obok fotela. Schyliłam się i zgarnęłam ją niezgrabnym ruchem.

Cooper chwycił mnie pod ramię, pociągnął w stronę jadalni, a potem przez kuchnię.

- Otwórz drzwi - rozkazał.

Zatrzasnął je za nami i pchnął mnie w stronę miejsca dla kierowcy.

- Wsiadaj. Poprowadzisz.

Najwyraźniej wiedział, że nie zamknęłam samochodu. Śledził mnie? O Boże, po co ja tu przyjechałam? Powinnam była potraktować jego groźby poważnie!

Obszedł samochód od przodu, nie spuszczał ze mnie oczu i cały czas trzymając mnie na muszce. Wsiadł na miejsce pasażera.

- Otwórz torebkę i wyjmij kluczyki.

Nie mogłam sobie poradzić z zamkiem. Palce miałam kompletnie bez czucia. Cała się trzęsłam, tak bardzo, że kiedy wreszcie udało mi się otworzyć torebkę i wyjąć kluczyki, z ogromnym trudem trafiłam właściwym w stacyjkę.

- Jedź do bramy. Otworzysz kodem. Dwadzieścia osiem zero osiem. Skręć od razu w prawo.

I jeśli będą gliny, nic nie kombinuj.

- Nie będę - obiecałam. Ledwo wykrztusiłam te słowa.

Pochylił się, żeby nie było go widać z ulicy. Ale i tak nie dostrzegłam tam żadnych innych samochodów.

- Na rogu w lewo.

Gdy minęliśmy zwęgloną ruinę, zobaczyłam wolno jadący radiowóz. Patrzyłam twardo przed siebie. Wiedziałam, że Ned Cooper nie żartował: gdyby policjanci się zbliżyli, zabiłby ich, a potem mnie.

* * *

Cooper siedział cały czas skulony, ze strzelbą między nogami, odzywał się tylko po to, żebym jechała tam, gdzie sobie zaplanował.

- Tutaj w prawo. Teraz w lewo. - Aż w pewnym momencie odezwał się całkiem odmiennym tonem: - Już skończone, Annie. Jadę do ciebie. Cieszysz się, kochanie, prawda?

Annie. Jego zmarła żona. Zwracał się do niej, jakby była w samochodzie. Może spróbować o niej porozmawiać? Powiedzieć mu, jak mi żal ich obojga? Czy zyskam dzięki temu jakąś szansę? Może mnie nie zabije? Chciałam żyć. Chciałam spędzić całe długie i szczęśliwe życie z Caseyem. Chciałam urodzić dziecko.

- Teraz w lewo, a potem dłuższy kawałek prosto.

Unikał głównych tras, gdzie mogliśmy się natknąć na szukających go policjantów.

- Dobrze, Ned, już skręcam - odpowiedziałam. Głos tak mi drżał, że musiałam często zagryzać wargi, żeby w ogóle cokolwiek powiedzieć. - Wczoraj w telewizji dużo słyszałam o Annie. Wszyscy mówili, że była wspaniałą kobietą.
- Nie odpowiedziałas na jej list.
- Ned, czasami, jeśli to samo pytanie napływa od wielu osób, odpowiadam na nie, nie zwracając się do nikogo w szczególności, bo to by było nie w porządku w stosunku do innych piszących. Na pewno odpowiedziałam na pytanie Annie, choć nie adresowałam odpowiedzi tylko do niej.
- Nie wiem.
- Ned, ja też kupiłam akcje Gen-stone. I straciłam pieniądze tak samo jak ty. Właśnie dlatego zbieram materiały do artykułu w gazecie, żeby wszyscy dowiedzieli się o ludziach takich jak my, którzy zostali oszukani. Wiem, jak bardzo chciałeś sprawić Annie piękny, duży dom. Ja też kupiłam udziały w Gen-stone za pieniądze odkładane na moje cztery kąty. Mieszkam w wynajętym mieszkanku, bardzo małym, podobnym do twojego.
- Słuchał mnie w ogóle? Nie miałam pojęcia.
- Zadzwoniła moja komórka. Była w torebce, którą ciągle trzymałam na kolanach.
- Czekasz na telefon?
- To pewnie mój chłopak. Mamy się spotkać.
- Odbierz. Powiedz mu, że się spóźnisz.
- Rzeczywiście dzwonił Casey.
- Wszystko w porządku?
- Tak, opowiem ci później.
- Kiedy przyjedziesz?
- Za jakieś dwadzieścia minut.

- Dwadzieścia minut?

- Dopiero ruszyłam. - Jak mu dać znać, że potrzebuję pomocy? - Powiedz wszystkim, że już jadę. Cieszę się, że niedługo zobaczę Patricka.

Cooper wyjął mi telefon z dłoni. Wcisnął klawisz kończący rozmowę i rzucił komórkę na tylne siedzenie.

- Niedługo to ty zobaczysz Annie, a nie Patricka.

- Dokąd jedziemy?

- Na cmentarz. Do Annie.

- Na który cmentarz?

- W Yonkers.

Do Yonkers było najwyżej dziesięć minut jazdy.

Czy Casey zrozumiał, że go potrzebuję? Czy zawiadomi policję i poprosi, żeby szukali mojego samochodu? Ale jeśli nas znajdą i pojedą za nami, to zginę nie tylko ja, ale i policjanci.

Miałam pewność, że Cooper zamierza się zastrzelić na cmentarzu. I najpierw zabije mnie.

Jedyną szansą na ocalenie było przekonanie go, żeby darował mi życie. Musiałam wobec tego wzbudzić w nim współczucie.

- Wczoraj w telewizji mówili okropne rzeczy o tobie. To niesprawiedliwe.

- Słyszałaś, Annie? Ona też uważa, że to niesprawiedliwe. Oni nie wiedzą, jak się czułaś, kiedy przez te ich kłamstwa straciłaś dom. Nie wiedzą, jak ja się czułem, kiedy patrzyłem, jak umierasz, kiedy śmieciarka walnęła w twoje auto. I nie wiedzą, że ci wszyscy ludzie, dla których zawsze byłaś taka miła, zadbali, żebyś się nie zorientowała, że chcę sprzedać dom. Nie lubili mnie, więc pozbyli się nas obojga.

- Ned, chciałam o tym napisać - odezwałam się. Bardzo się starałam, żeby moje słowa nie brzmiały jak błaganie, co nie było łatwe.

Już jechaliśmy przez Yonkers. Ruch był spory, więc Cooper skulił się jeszcze niżej na siedzeniu.

- Chciałabym napisać o tym, jak Annie potrafiła się zająć ogrodem, o tym, że co roku był coraz piękniejszy - ciągnęłam.

- Cały czas prosto. Już blisko.

- Wszyscy się dowiedzą, że pacjenci w szpitalu ją uwielbiali. I napiszę, jak bardzo kochała ciebie.

Na drodze było coraz mniej samochodów. Kawałek przed nami, po prawej stronie zobaczyłam cmentarz.

- Zatyłowałabym to „Historia Annie”.

- Skręć na szutrówkę. I prosto do cmentarza. Powiem ci, kiedy stanąć. - W jego głosie nie było żadnych emocji.

- Annie - odezwałam się - wiem, że mnie słyszysz. Wyłumacz Nedowi, że najlepiej będzie, jeśli zostaniecie razem tylko we dwoje, a ja wrócę do domu i napiszę o tobie, o tym, jak bardzo się kochacie. Powiedz mu, że nie chcesz, żeby ktoś wam przeszkadzał, kiedy nareszcie znowu go obejmiesz.

Nie wyglądało na to, żeby mnie usłyszał.

- Zatrzymaj i wysiadaj - rozkazał.

Szłam przed nim aż do grobu niedawno zasypanego błotnistą ziemią. Na środku pagórka widniało podłużne wgłębienie.

- Annie powinna mieć piękny grób ze śliczną tablicą, na której jej imię okalałyby wyrzeźbione kwiaty - powiedziałam. - Ned, ja o to zadbam.

- Siadaj. Tam. - Wskazał mi miejsce jakieś dwa metry od grobu. Sam usiadł na mogile i wymierzył we mnie ze strzelby. Lewą ręką ściągnął but i skarpetkę.

- Odwróć się.

Zabije mnie. Próbowałam się modlić, ale moje usta szeptały tylko jedno słowo, to samo, z którym umarła Lynn.

- Błagam...

- No i co, Annie, jak myślisz? - odezwał się Ned. - Co robić? Powiedz.

- Błagam... - Byłam tak sparaliżowana strachem, że nawet nie poruszałam wargami. Gdzieś z oddali usłyszałam zbliżające się wycie syren.

Za późno, pomyślałam. Za późno.

- Dobrze, Annie. Niech będzie po twojemu.

Usłyszałam huk wystrzału i wokoło zapadła ciemność.

* * *

Odnoszę wrażenie, że pamiętam jakiegoś gliniarza mówiącego: „Jest w szoku”. I chyba widziałam ciało Neda leżące na grobie Annie. A potem, zdaje się, znowu zemdlałam.

* * *

Gdy następnym razem odzyskałam przytomność, znajdowałam się w szpitalu. Nie zastrzelił mnie. Żyłam. Annie powiedziała Nedowi, żeby mnie nie zabijał.

Pewnie byłam po uszy naszpikowana środkami nasennymi, bo znów zasnęłam.

Potem ktoś powiedział: „Obudziła się, proszę wejść”.

W następnej chwili znalazłam się w ramionach Caseya i wreszcie poczułam się bezpieczna.

Epilog

Charles Wallingford, zapoznany z rewelacjami, jakie usłyszałam od Lynn przed jej śmiercią, nabrał ogromnej chęci do współpracy z policją. Przyznał się do kradzieży całej brakującej sumy, poza kwotą, pożyczoną przez Nicka z firmy pod zastaw własnych udziałów. Pieniądze te były działką Wallingforda za udział w planie mającym na celu doprowadzenie Gen-stone do bankructwa. Najbardziej jednak zdumiewające okazało się oświadczenie Charlesa, że pomysłodawcą i mózgiem całej intrygi oraz osobą nadzorującą każde posunięcie był Adrian Garner, miliarder i szef Garner Pharmaceuticals.

To właśnie Garner zarekomendował doktor Kendall na asystentkę doktora Celtaviniego.

Miała sabotować wyniki eksperymentów.

Również on był kochankiem Lynn - i to jego widział Ned Cooper na podjeździe w noc pożaru. Potem Lynn zwolniła służbę, żeby móc się swobodnie spotykać z Garnerem.

Gdy ten dowiedział się, że szczepionka na raka rzeczywiście rokuje olbrzymie nadzieje, uznał, iż nie satysfakcjonują go tylko prawa do dystrybucji. Chciał być właścicielem patentu. Zamierzał doprowadzić do zaniechania badań oraz bankructwa Gen-stone, a następnie za psie pieniądze przejąć prawa do leku. W ten sposób Garner Pharmaceuticals stałaby się właścicielem leku, który otwierał możliwość zrobienia lukratywnego interesu.

Błędem okazało się wysłanie Lowella Drexela po zapiski doktora Spencera.

Telefon Vivian Powers był na podsłuchu. Gdy zostawiła mi wiadomość, że domyśla się, kto zabrał notatki od doktora Brodericka, została porwana i odurzona lekami niszczącymi pamięć krótkotrwałą, by nie ujawniła, kim był rudowłosy posłaniec.

Także Garner dał Lynn pigułkę, którą kochająca żona wrzuciła do mrożonej herbaty Nicka w kafejce na lotnisku. Był to zupełnie nowy środek, niedający żadnych objawów przez kilka godzin. Po owym czasie ten, kto go przyjął, zapadał w sen w ciągu jednej chwili. Nick Spencer nie

niał żadnych szans.

W świetle tych faktów Garner został oskarżony o morderstwo. O kupno akcji Gen-stone wystąpiła inna wielka spółka farmaceutyczna. W wyniku tego kroku inwestorzy, do tej pory przekonani, że stracili wszystko, stali się ponownie właścicielami akcji wartych prawie tyle samo, ile w nie zainwestowali, a przy tym z całkiem przyzwoitymi perspektywami, iż któregoś dnia, jeśli badania nad szczepionką będą przebiegały bez szczególnych zakłóceń, te papiery poważnie zyskają na wartości.

Tak jak podejrzewałam, siostrzenica doktor Kendall przekazała ciotce list Caroline Summers o córce wyleczonej ze stwardnienia rozsianego. Gdy dotarł on na biurko Adriana Garnera, ten posłał Drexela do doktora Brodericka po zapiski Spencera.

W tej chwili znana firma farmaceutyczna ściąga z całego świata czołowych mikrobiologów, którzy mają przestudiować te notatki, by szukać kombinacji składników, które pozwolą stworzyć cudowny lek.

Nadal trudno mi uwierzyć, że Lynn nie tylko pomogła Garnerowi zabić własnego męża, lecz również - tamtego strasznego dnia w domku dla gości - pozwoliłaby Lowellowi Drexelowi zabić mnie. Ojciec Lynn musiał uporać się nie tylko ze śmiercią córki, lecz także z jej potępieniem i poniżeniem w mediach. Moja mama pomagała mu ze wszystkich sił, ale nie było to łatwe. Przy całym współczuciu dla męża musiała jednocześnie dać sobie radę ze świadomością, jaki los zgotowała mi Lynn, pragnąc nie dopuścić do ujawnienia prawdy.

Casey zrozumiał, co usiłowałam mu powiedzieć, kiedy jechałam z Nedom Cooperem - i zawiadomił policję. Obserwowali cmentarz. Dawno doszli do wniosku, że Ned może się tam pojawić. Kiedy usłyszeli od Caseya o Patricku, moim zmarłym synku, natychmiast ruszyli do grobu Annie.

* * *

Dziś jest piętnasty czerwca. Po południu odbyła się ceremonia żałobna ku czci Nicka Spencera. Byłam na niej z Caseyem. Zjawili się sporo pracowników Gen-stone i akcjonariuszy. Ci, którzy najgłośniejszemu odsądzały Spencera od czci i wiary, siedzieli w skupionej ciszy pełnej szacunku, gdy oddawano cześć jego geniuszowi i poświęceniu.

Dennis Holden zelektryzował zgromadzonych. Na ekranie wielkości billboardu widniało jego zdjęcie - to, które pokazał Kenowi i mnie i na którym wyglądał tak marnie, zrobione w czasie, gdy był o krok od śmierci.

- Jestem tutaj, ponieważ Nick Spencer podjął ryzyko i wstrzyknął mi swoją szczepionkę - oznajmił z mocą.

Ostatni przemawiał syn Nicka, Jack.

- Mój tata był fantastyczny - powiedział. Łzy napłynęły mu do oczu. - Obiecał, że jeśli tylko da radę, to już żadne dziecko nie straci mamy z powodu raka.

Nieodrodny syn wspianego ojca. Skończywszy, zajął miejsce pomiędzy babcią a dziadkiem. Przynajmniej miałam świadomość, że choć przeżył zbyt wiele, znalazł się pod dobrą opieką.

Potem Vince Alcott powiedział:

- Nicholas Spencer podał szczepionkę jeszcze jednej osobie. Jest ona dzisiaj z nami.

Nastąpiło widoczne poruszenie.

Marty i Rhoda Bikorsky wystąpili naprzód, prowadząc za ręce Maggie. Rhoda stanęła przed mikrofonem.

- Spotkałam Nicholasa Spencera w hospicjum Świętej Anny - powiedziała, łykając łzy. -

Byłam tam z wizytą u przyjaciela. Usłyszałam o szczepionce. Moja córeczka umierała wtedy na raka. Błagałam Nicka, żeby jej dał lekarstwo. Przyprowadziłam ją do niego dzień przed katastrofą samolotu. Nawet mąż o niczym nie wiedział. Kiedy usłyszałam, że lekarstwo jest bezwartościowe,

przeraziłam się, że stracimy dziecko jeszcze wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Od tego czasu minęły dwa miesiące. Guz w mózgu Maggie maleje. Codziennie troszeczkę. Nie wiemy, jak to się skończy, ale Nick Spencer dał nam nadzieję.

Marty podniósł córkę i pokazał ją ludziom. Dziewczynka, taka krucha i blada, gdy widziałam ją półtora miesiąca temu, miała teraz zarumienione policzki i wyraźnie przybrała na wadze.

- Obiecano nam, że będzie z nami do Bożego Narodzenia - powiedział Marty. - Teraz zaczynamy mieć nadzieję, że zobaczymy, jak dorasta.

Gdy ludzie wychodzili po ceremonii, ktoś powtórzył słowa matki Maggie:

- Nick Spencer dał nam nadzieję.

Całkiem przyzwoite epitafium.